

Briggs Patricia CRY WOLF
PROLOG

Południowo-zachodnia Montana
Październik

Nikt lepiej od Waltera Rice'a nie wiedział, że jedynym bezpiecznym miejscem, jest takie w którym nie ma innych ludzi. Bezpiecznym dla nich, oczywiście. Jedynym problemem było to, że on nadal ich POTRZEBOWAŁ, potrzebował ludzkich głosów i śmiechu. Ku jego zażenowaniu, zdarzało mu się czasami podchodzić pod granicę kempingu i przysłuchiwać się rozmowom przyjezdnych i udawał wtedy, że oni rozmawiają z nim.

Był to tylko jeden z mniej istotnych powodów, dla których Walter leżał teraz na brzuchu na ziemi, pokrytej igliwem, w cieniu dużego drzewa, i obserwował młodego człowieka, robiącego notatki ołówkiem w notatniku, i zbierającego próbki. Pełne plastikowe próbówki młody nieznajomy wkładał do plecaka.

Walter nie bał się, że młodzieniec może go dostrzec- wujek Sam iupełnił się że Rice nauczy się ukrywać i maskować, a poza tym będzie w stanie przeżyć w najbardziej niebezpiecznych rejonach. Dzięki temu był teraz w stanie skutecznie zlewać się z otoczeniem, jak Indianie, którzy zaludniali książki z jego dzieciństwa. Jeśli nie chciał by go dostrzeżono- był niewidoczny. Poza tym ten chłopiec wyglądał jak grzeczny dzieciak z przedmieścia. Nie powinni byli go posyłać do krainy grizzly samego- karmienie niedźwiedzi przez studentów było kiepskim pomysłem.

Nie to, że niedźwiedzi były tutaj dzisiaj. Jak Walter, wiedziały jak czytać znaki- za jakieś cztery do pięciu godzin rozpęta się tutaj burza.

Czuł to w kościach. Było wcześniej jak na zimowy sztorm, ale to był właśnie taki kraj. Widział kiedyś śnieg w sierpniu.

Sztorm był kolejnym powodem, dla którego śledził chłopaka. Burza i to co trzeba zrobić- niezbyt często zdarzało mu się być tak rozdartym przez niezdecydowani.

Mógł zostawić badacza w spokoju. Burza nadciągnie i ukradnie jego życie, ale tak już było w górach, takie było prawo dzikiej przyrody. To byłaby czysta śmierć. Gdyby tylko student nie był tak młody...

Całe życie temu widział on śmierć wielu chłopców- myślał że się do tego przyzwyczaił. Jednak kolejna śmierć, wydawała mu się być jedną za dużo.

Mógłby ostrzec chłopca. Ale wszystko w nim buntowało się na tą myśl. Już tyle czasu minęło odkąd ostatnio rozmawiał z kimś twarzą w twarz... Sama myśl o tym sprawiała, że było mu zimno i zamarł. To było zbyt niebezpieczne. Mogłoby to przywołać kolejny flashbackii- nie miał żadnego od pewnego czasu- ale one zawsze pojawiały się niespodziewanie. Byłoby fatalnie, gdyby poszedł ostrzec chłopca, a skończyło się tym, że by go zabił.

Nie, nie mógł zaryzykować swojego niewielkiego skrawka spokoju, ostrzegając tego obcego- ale nie mógł dać mu po prostu umrzeć, co to, to nie.

Sfrustrowany, śledził już chłopaka kilka godzin, szli coraz dalej i dalej, oddalając się od najbliższej drogi i bezpiecznego schronienia. Wypchany plecak pokazywał wyraźnie, że student planował zostać w lesie na noc- i znaczyło to, że wiedział co robi wybierając się na tą wycieczkę. Niestety, okazało się coraz jaśniej i jaśniej, że było to całkowicie błędne przekonanie. To było jak oglądanie szorstkiej June Cleaveriii. Smutne. Zwyczajnie smutne.

Jak oglądanie nowych, w wykrochmalonych mundurach i gotowych by stać się mężczyznami, chociaż wszyscy inni wiedzą że są tylko mięsem armatnim.

Do diabła, chłopak budził w Walterze wszystkie myśli i uczucia, które ten wolał trzymać z dala od siebie. Ale irytacja nie była jeszcze

dość silna, by zmienić decyzji sumienia Rice'a. Sześć mil dalej, może ciut dalej, podczas gdy mężczyzna nadal bił się z myślami, chłopiec zamarł na środku ścieżki.

Grube gałęzie przeszkadzały w dobrej widoczności, najpierw Walter zobaczył tylko tył plecaka. Widział tylko jedno pólki co. Dobre było to, że nie był to łoś. Mógł to być czarny niedźwiedź (który zapewne okaże się być głodnym...), ale to na pewno nie łoś.

Walter wyciągnął swój wielki nóż, chociaż nie był pewny czy chce pomóc studentowi. Nawet czarny niedźwiedź będzie dla studenta szybszą śmiercią, tyle że bardziej krwawą. Widział tu niedźwiedzie już, czego nie można było powiedzieć o chłopaku. Rice podniósł się ostrożnie, opadło z niego kilka igieł. Jednak nie było go słyhać- ale jeśli chciał pozostać niezauważony, takim pozostawał.

Niski warkot wywołał dreszcz strachu, który przeszył mężczyznę, podnosząc jego adrenalinę do poziomu warstwy ozonowej. Nigdy nie słyszał takiego dźwięku wcześniej, a znał wszystkie drapieżniki zamieszkujące te terytoria.

Cztery stopy dalej i już nic nie zasłaniało mu widoku.

Tam, na środku drogi stał pies- a raczej coś pso-podobnego, w każdym bądź razie. Na początku Walterowi wydawało się, że to owczarek niemiecki (ze względu na jego ubarwienie), ale było coś w przedniej części zwierzęcia, co sprawiało że ten wyglądał bardziej jak niedźwiedź, niż jak pies. I był dużo większy, niż jakikolwiek pies czy wilk, którego widział samotny łowca. Drapieżnik miał zimne oczy, oczy zabójcy, i nieprawdopodobnie długie zęby.

Walter nie wiedział jak to coś nazwać, ale wiedział co to było. W tym potwornym pysku uzewnętrzniała się każda wizja z najgorszych ludzkich koszmarów. Było to coś co można było nazwać śmiercią. Nieznajomy drapieżnik był krwawym wojownikiem, na pewno nikim niewinnym.

Myśliwy poderwał się ze swojej kryjówki, z nadzieją że odwróci na chwilę uwagę potwora i rzucił się sprintem w jego stronę, ignorując protest starych kolan, sugerujących że mężczyzna jest za stary na

walkę. Minęło sporo czasu od jego ostatniej bitwy, ale nigdy nie zapomniał tego uczucia, gdy czuć jak krew mocno tętni w żyłach.

- Uciekaj, dzieciaku!- Warknął na zneruchomiałego chłopca, wykrzywiając się przy tym ostro. Ustawił się, by stanąć przeciwko przeciwnikowi.

Zwierze mogło uciec. Czasami, gdy drapieżnikowi nie opłaca się walczyć o jedzenie, ten odchodził. Ale Walter nie uważał, by to dziwne stworzenie miało zamiar tak zrobić. Wszystko przez ten niesamowity błysk inteligencji w złotych oczach potwora.

Niezależnie od tego, co powstrzymywało zwierzę przed zaatakowaniem studenta, nie miało podobnych oporów w przypadku Rice'a. Skoczyło na niego, jakby starszy mężczyzna nie miał broni. Może jednak dziwny drapieżnik nie był taki sprytny jak się wydawało- lub uważał że myśliwy jest zbyt stary, by ostry nóż w jego dłoni miał być zagrożeniem. Może nie doceniał weterana? A może atak wywołał studencik- wziął do serca radę Waltera i uciekał, biegł szybciej niż spadająca gwiazda- i w bestii obudziła się wściekłość, że coś przeszkodziło mu skosztować świeżego mięsa?

Ale Walter Rice nie był bezradnym chłopcem. Zdobył swoją broń na pewnym wrogim generale, którego kiedyś zabił, zamordował w ciemności jak go uczono. Nóż pokrywał magiczny urok, wpisany w metal- blade, dziwne symbole, kiedyś czarne, a dzisiaj wyblakłe i srebrnawe.

Poza tym egzotycznym elementem, to był dobry nóż i weteran udowodnił to, zagłębiając go głęboko w ramieniu bestii. Zwierze było od niego szybsze, szybsze i silniejsze. Ale on dobrze wykorzystał możliwość zadania pierwszego ciosu.

Nie wygrał, ale triumfował. Utrzymał bestię zajętą i paskudnie ją zranił. Ta nie będzie w stanie iść tropem dzieciaka, przynajmniej nie tej nocy- a jeśli student był mądry, był już w połowie drogi do swojego samochodu.

W końcu potwór uciekł, uginały mu się łapy, krwawił z kilkunastu ran- nie było wątpliwości kto jest w gorszym stanie. Jednak

i Wujek Sam- w mowie potocznej- rząd stanów zjednoczonych

ii Flashback - nieświadome wspomnienie, refleksja, w tym przypadku przeniesienie się wspomnieniami do przeszłości, i na nowo odgrywanie ich w rzeczywistości, nie zdając sobie sprawy że to tylko wspomnienia.

iii June Cleaver - Postać z amerykańskiego serialu, z lat 70. Wzorcową matką, która strofowała swoje pociechy, by dobrze postępowały.

Walter widział w życiu wielu umierających ludzi, i po zapachu swoich jelit, widział że jego czas nadszedł.

Ale młody człowiek był bezpieczny. Być może będzie dobrą odpowiedzią, jedno ocalone życie, w zamian za tyle poległych osób.

Rice pozwolił mięśniom pleców się rozluźnić i po chwili poczuł pod plecami suchą trawę, która ugięła się pod jego ciężarem. Ziemia pod nim wydawała się być wspaniała, podtrzymywała gorące, spocone ciało, w jakiś sposób pocieszała go. Wydawało mu się właściwe, że kończy swoje życie w ten sposób- ratując nieznanego, skoro to śmierć innego nieznanego przywiodła go wcześniej w to miejsce.

Wiatr wzmógł się, i mężczyzna pomyślał, że temperatura spadła o kilka stopni- a może to tylko kwestia szoku i utraty krwi? Zamknął oczy i czekał cierpliwie na śmierć, jego starego wroga, by w końcu po niego przyszła. Nóż nadal dzierżył w dłoni, tylko na wypadek gdyby ból stał się zbyt duży. Umieranie z powodu ran brzucha nie było najprostszą metodą umierania.

Ale to nie śmierć przyszła, gdy wokół rozszalała się pierwsza w tym sezonie zamieć.

ROZDZIAŁ 1

Chicago: listopad

Anna Latham starała się zniknąć na siedzeniu pasażera. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej pewność siebie uzależniona była od obecności Charlesa przy jej boku. Znała go dopiero półtora dnia, a już zdążył zmienić jej świat... przynajmniej, gdy wciąż przy niej był. Bez niego jej cała nowo odzyskana pewność siebie zniknęła. Jej kpiąca nieobecność tylko jasno wskazywała, jak wielkim tchórzem tak naprawdę była. Jak gdyby potrzebowała przypomnienia.

Zerknęła na mężczyznę, który przez pokrytą roztopionym śniegiem autostradę z pełną swobodą kierował wynajętą przez Charlesa terenówką, jak gdyby był rodowitym mieszkańcem Chicago, a nie przyjezdnym z dzikich ostępów Montany.

Ojciec Charlesa, Bran Cornick, dla reszty świata wyglądał jak student, jakiś maniak komputerowy lub artysta. Ktoś wrażliwy, łagodny i młody. Jednak ona wiedziała, że absolutnie taki nie był. Był Marrokiem – tym, przed którym odpowiadały wszystkie Alfy w kraju, a nikt nie mógł dominować nad Alfą, jeśli był wrażliwy i łagodny. Nie był również młody. Wiedziała, że Charles miał niemal dwieście lat, a to znaczyło, że jego ojciec był jeszcze starszy.

Kątem oka uważnie mu się przyglądała, lecz poza jakimś szczegółem w rysunku jego ust i dłoni, nie potrafiła dostrzec w nim Charlesa. Charles po matce odziedziczył wygląd rdzennego Amerykanina, jednak wciąż sądziła, że dostrzega między nimi jakieś nieznaczące podobieństwo. Coś, co mówiło jej, że Marrok był takim samym człowiekiem, jakim był jego syn.

Jej rozum skłonny był uwierzyć, że Bran Cornick jej nie

skrzywdzi i że różnił się od innych wilków, które znała. Jednak jej ciało

nauczyło się lękać mężczyzn z jej gatunku. Im bardziej dominujące były ich wilki, tym bardziej prawdopodobne było, że ją skrzywdzą. A nigdzie nie było bardziej dominującego wilka niż Bran Cornick, nieważne jak nieszkodliwie mógł wyglądać.

- Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało – powiedział nie patrząc na nią.

Czuła zapach swojego własnego strachu, oczywiście więc było, że on czuł go również.

- Wiem – udało jej się odpowiedzieć. Nienawidziła się za to, że udało im się zrobić z niej tchórza. Miała nadzieję, że pomyślał, że to strach przed postawieniem się innym wilkom z jej stada po tym, jak przyczyniła się do śmierci ich Alfy. Nie chciała, by wiedział, że jego również się bała. Albo nawet się domyślał.

Uśmiechnął się lekko, lecz nie odezwał więcej.

Wszystkie miejsca na parkingu za jej czteropiętrowym blokiem zajmowały obce wozy. Była tam nowa, szara i błyszcząca furgonetka z doczepioną biało-pomarańczową naczepą, na której boku widniał rysunek ogromnej krowy morskiej. Napis umieszczony poniżej ogłaszał każdemu mieszkańcowi bloku, że Floryda była “Stanem Krów Morskich”.

Bran, nie przejmując się zablokowaniem wyjazdu, zaparkował tuż za przyczepą. Cóż, pomyślała wysiadając z samochodu, już nie będzie musiała przejmować się tym, co myślał właściciel jej mieszkania. Wyjeżdżała do Montany. Czy Montana była “Stanem Wilkołaków”?

Przy drzwiach dla ochrony czekały na nich - w swojej ludzkiej formie – cztery wilki. Wśród nich był również Boyd, nowy Alfa, który ukrytymi w cieniu oczami chłonał każdy jej ruch. Na sekundę spojrzała mu w oczy, po czym natychmiast spuściła wzrok i podążyła za Branem, który jak mur stanął między nimi a nią.

Jakby nie było, bała się ich bardziej niż Marrok. To dziwne, gdyż dzisiaj w ich oczach nie było żadnych domysłów ani chciwości, które zazwyczaj rozbudzały jej strach. Wydawali się opanowani... i

zmęczeni. Wczoraj zabito ich Alfę i to zraniło każdego z nich. Sama to odczuła – i zignorowała. Myślała, że to Charles umierał.

To przez nią czuli ból. Wszyscy to wiedzieli.

Przypomniała sobie jednak, że Leo trzeba było zabić. Sam zabił wielu i przyczynił się do śmierci jeszcze większej liczby ludzi. Nigdy więcej nie będzie musiała patrzeć na żadnego z nich. Miała zamiar nie odzywać się nikogo i żywiła nadzieję, że ją zignorują.

Tyle, że przyjechali tutaj, by pomóc jej w przeprowadzce. Starła się temu zapobiec, lecz nie dała rady zbyt długo sprzeciwiać się Marrokowi.

Odważyła się rzucić kolejne spojrzenie na Boyda, lecz tym razem jego twarz również nic jej nie powiedziała. Wyjęła więc klucz i zdrętwiałymi ze strachu palcami zaczęła gmerać nim w zamku. Żaden z wilków nie okazywał zniecierpliwienia, lecz czując ich spojrzenia na plecach, starała się spieszyć. O czym oni myśleli? Przypominali sobie, co niektórzy z nich jej zrobili? Ona tego nie robiła. Nie robiła.

Oddychaj, upomniała się.

Jeden z mężczyzn zakołysał się na piętach i mruknął coś rozdrażniony.

- George – powiedział Boyd, na co tamten natychmiast się uspokoił.

Wiedziała, że to jej strach pobudził tamtego wilka. Musiała wziąć się w garść, a zacinający się zamek wcale jej w tym nie pomógł. Gdyby był tu Charles, poradziłaby sobie ze wszystkim. On jednak leczył się z ran postrzałowych. Jego ojciec powiedział jej, że Charles jest bardziej wrażliwy na srebro niż większość wilków.

- Nie oczekiwałem, że przyjdiesz - powiedział Bran.

Domyśliła się, że nie mówił do niej, gdyż wcześniej namówił ją, by na razie zostawiła Charlesa samego. Musiał skierować te słowa do Boyda, gdyż to właśnie on mu odpowiedział.

- Miałem wolny dzień.

Do zeszłej nocy Boyd był trzecim w stadzie. Teraz jednak był Alfą stada Zachodniego Przedmieścia z Chicago. Tego stada, które opuszczała.

- Pomyślałem, że to nieco przyspieszy sprawy – ciągnął Boyd. – Obecny tu Thomas zgodził się pojechać furgonetką do Montany i z powrotem.

Otworzyła drzwi, lecz Bran nie ruszył się z miejsca. Zatrzymała się więc zaraz za drzwiami, pilnując, by się nie zatrzasnęły.

- Jak stoją finanse stada? - spytał Bran. – Mój syn twierdzi, że według Leo potrzebujecie pieniędzy.

W głosie Boyda wyczuła typowy dla niego, bezradny uśmiech.

- Nie kłamał. Jego partnerka była piekielnie kosztowna w utrzymaniu. Nie stracimy dworu, ale to jedyna dobra wiadomość, jaką miał dla mnie księgowy. Dostaniemy trochę po sprzedaży biżuterii Isabelli, jednak nie tyle, ile zapłacił za nią Leo.

Patrzyła, jak Bran – niczym generał robiący przegląd wojsk - wzrokiem ocenia wilki, które Boyd ze sobą przyprowadził. W końcu spojrzał na Thomasa.

Anna również skierowała na niego wzrok i dostrzegła to, co widział Marrok: stare jeansy z dziurą na kolanie i tenisówki, które najlepsze dni dawno miały już za sobą. Ona sama była ubrana bardzo podobnie. Z tą tylko różnicą, że miała dziurę na lewej, a nie na prawej nodze.

- Czy przez czas, jaki spędzisz w podróży do Montany i z powrotem będziesz mógł stracić pracę? - spytał Bran.

Thomas wbił wzrok w swoje stopy i odpowiedział spokojnym głosem.

- Nie, proszę pana. Pracuję na budowie, a teraz mamy sezon przestoju. Już dogadałem się z szefem. Mam dwa tygodnie wolnego.

Bran wyjął z kieszeni książeczkę czekową i, używając ramienia jednego z wilków jako podpory, wypisał czek.

- To dla ciebie, na pokrycie kosztów tej podróży. Wymyślimy ci jakąś stawkę godzinową i dopilnuję, by po przyjeździe do Montany pieniądze już na ciebie czekały.

Oczy Thomasa rozbłysły ulgą, lecz nic nie powiedział.

Bran przeszedł przez drzwi, minął Annę i ruszył po schodach. Gdy tylko przestał ich obserwować, pozostałe wilki podniosły wzrok i spojrzały na Annę.

Uniosła dumnie brodę i napotkała ich wzrok, całkowicie zapominając o swojej decyzji, by tego nie robić, aż do chwili gdy było już za późno. Oczy Boyda miały nieodgadniony wyraz, a Thomas wciąż wpatrywał się w ziemię... Jednak pozostałą dwójkę, George'a i Joshuę, łatwo było rozszyfrować. W chwili, kiedy Bran odwrócił się do nich plecami, wiedza kim była w ich stadzie w pełni zabłysła w ich oczach. Byli wilkami Leo i to nie tylko przez fakt należenia do jego stada. Mieli takie same skłonności. Była dla nich niczym i przyniosła śmierć ich Alfie. Gdyby mieli wystarczająco dużo śmiałości, zabiliby ją tu i teraz.

Tylko spróbujcie, mówiły jej oczy. Nie opuszczając oczu odwróciła się od nich. Jako partnerka Charlesa teoretycznie przewyższała rangą ich wszystkich. Ale nie byli tylko wilkami, a ich ludzka część nigdy nie zapomni tego, co - zachęceni przez Leo - jej zrobili.

Ze ściskającym się żołądkiem i stężalym z napięcia karkiem, Anna starała się utrzymać równe tempo idąc po schodach do mieszkania na czwartym piętrze. Bran czekał obok niej, kiedy otwierała drzwi. Odsunął się na bok, by mogła wejść pierwsza, pokazując tym samym, że on sam ją szanuje.

Zatrzymał się w progu i ze zmarszczonymi brwiami rozejrzał się po mieszkaniu. Wiedziała, co zobaczył: niewielki stolik, przy którym stały dwa zniszczone, składane krzesła, jej śpiwór i niewiele więcej.

- Mówiłam ci rano, że mogę sama wszystko spakować – powiedziała mu Anna. Wiedziała, że nie było tego dużo, lecz nie podobała jej się jego milcząca ocena. – Wtedy mogliby tylko przyjść i wynieść pudła.

- Spakowanie i zniesienie tego na dół potrwa nawet mniej niż godzinę - powiedział Bran. - Boyd, ile z twoich wilków żyje w takich warunkach?

Wezwany, Boyd precyzyjnie przeszedł obok Anny do pokoju i zmarszczył brwi. Nigdy nie był w jej mieszkaniu. Zerknął na Annę, podszedł do jej lodówki i otworzył drzwi, ukazując panującą w niej pustkę.

- Nie wiedziałem, że jest aż tak źle. – Spojrzał gdzieś na korytarz.
- Thomas?

Zaproszony, Thomas, również wszedł do mieszkania i rzucił swojemu nowemu Alfie przepraszący uśmiech.

- U mnie nie jest aż tak źle, lecz moja żona również pracuje. Opłaty są dosyć wysokie.

Thomas w strukturze stada stał niemal tak samo nisko jak Anna, i – ponieważ był żonaty – nigdy nie zaproszono go, by się nią „zabawił”. Jednak również nie protestował. Podejrzała, że to i tak więcej niż można by się spodziewać po uległym wilku, lecz to nie powstrzymało jej, by żywić do niego pretensję.

- W takim razie prawdopodobnie pięć lub sześć – westchnął Boyd.
– Zobaczą, co da się zrobić.

Bran otworzył portfel i podał mu wizytówkę.

- W następnym tygodniu zadzwoń do Charlesa i umów na spotkanie jego i waszego księgowego. Jeśli okaże się to konieczne, możemy zorganizować pożyczkę. To niebezpieczne mieć głodne i zdesperowane wilki na ulicy.

Boyd przytaknął.

Ponieważ Marrok najwyraźniej skończył omawiać interesy, pozostałe dwa wilki minęły Annę w progu i weszły do środka. George celowo trącił ją w ramię. Odsunęła się od niego i instynktownie objęła ramionami, podczas gdy on posłał jej szyderczy uśmiech, który szybko ukrył przed pozostałymi.

- Illegitimis nil carborundum - mruknęła.

To było głupie. Wiedziała to zanim jeszcze pięść George'a wystrzeliła w jej stronę.

Zrobiła unik i odskoczyła. Zamiast otrzymać uderzenie w żołądek, przyjęła go w ramię. W korytarzu było jednak zbyt mało miejsca, by mogła uciec przed drugim ciosem. Jednak taki nie padł.

Boyd natychmiast powalił George'a na podłogę i unieruchomił go, wbijając mu kolano w plecy. George nie walczył z nim, tylko zaczął szybko mówić.

- Ona nie powinna tego robić. Leo powiedział: żadnej łaciny. Sam pamiętasz.

Ponieważ od chwili, kiedy Anna zdała sobie sprawę, że nikt oprócz Isabelli - którą uważała za przyjaciółkę - nie rozumiał łaciny, stosowała ją jako formę buntu. Trochę trwało, zanim Leo się tego domyślił.

- Leo nie żyje - powiedział Boyd cicho, prosto do ucha George'a. - Teraz panują nowe zasady. Jeśli jesteś wystarczająco mądry by żyć, nie uderzysz partnerki Charlesa na oczach jego ojca.

- Nie pozwól bękartom pokonać woli twej? - odezwał się Bran od progu. Patrzył na nią jak na dziecko, które nagle okazało się niespodziewanie mądre. - Okropna łacina. No i trzeba popracować nad twoją wymową.

- To wina mojego ojca - powiedziała, pocierając obolałe ramię. Siniec do jutra zniknie, lecz w tej chwili naprawdę bolał. - W collegu przez kilka lat miał łacinę i używał jej dla rozrywki. Podchwycił ją każdy z mojej rodziny. Jego ulubionym powiedzeniem jest Interdum feror cupidine partium magnarum europe vincendarum.

- Czasem czuję przemożną potrzebę podbicia wielkich połaci Europy? - wtrącił Boyd z lekkim niedowierzaniem. Najwyraźniej Isabella nie była jedyną, która rozumiała mój tajemny sprzeciw.

Przytaknęła.

- Zazwyczaj mówił tak tylko wtedy, gdy mój brat lub ja byliśmy wyjątkowo okropni.

- I to jego ulubione przysłowie? - spytał Bran, przyglądając się jej, jakby była robalem... lecz takim robalem, z którego był coraz bardziej zadowolony.

- Mój brat był prawdziwym bachorem – powiedziała.

Powoli na jego ustach pojawił się uśmiech. Anna uświadomiła sobie, że był on identyczny jak u Charlesa.

- Co chcesz, żebym z nim zrobił? - spytał Boyd, głową wskazując na George'a.

Uśmiech Brana zniknął, gdy spojrzał na Annę.

- Chcesz, żebym go zabił?

Zapanowała absolutna cisza, kiedy wszyscy czekali na jej odpowiedź. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że strach, którego zapach wciąż czuła, nie był tylko jej własny. Marrok przerażał ich wszystkich.

- Nie - skłamała. Po prostu chciała jak najszybciej spakować swoje rzeczy i mieć to już za sobą, by nigdy więcej nie widzieć już George'a i jemu podobnych. – Nie. – Tym razem mówiła poważnie.

Bran przechylił na bok głowę i zobaczyła, jak jego oczy nieznacznie zmieniają barwę, błyskając złotem w mroku korytarza.

- Podnieście go.

Zaczekała, aż wszyscy weszli w głąb jej mieszkania, po czym sama opuściła dający niejaką anonimowość korytarz. Kiedy znalazła się już w pokoju, Bran rozdzierał jej śpiwór. To tak, jakby przyglądać się, jak prezydent wychodzi przed Biały Dom i zaczyna kosić trawę lub wynosi śmieci.

Boyd podszedł do niej i wręczył jej czek, który przyczepiła do drzwi lodówki. Jej ostatnia wypłata.

- Będziesz tego potrzebować.

Wzięła od niego papier i wetknęła go w kieszeni.

- Dzięki.

- Wszyscy jesteśmy ci dłużni - powiedział. – Nikt z nas nie mógł się skontaktować z Marrokiem, kiedy sytuacja zaczęła się pogarszać. Leo tego zabronił. Nawet nie wiesz, ile godzin spędziłem gapiąc się w telefon i starając się złamać jego władzę.

Zaskoczona napotkała jego wzrok.

- Chwilę zajęło mi domyślenie się, czym jesteś. – Uśmiechnął się gorzko. – Nie zwracałem na to uwagi. Naprawdę mocno starałem się tego nie robić, a nawet nie myśleć. Tak było o wiele łatwiej.

- Omegi są rzadkością - powiedział Bran.

Boyd nie odrywał od niej wzroku.

- Niemal mi umknęło, co robił Leo i dlaczego właśnie ciebie chciał tak traktować, podczas gdy zawsze był typem „zabij ich szybko”. Znałem go naprawdę długo i nigdy nikogo tak nie wykorzystywał. Widziałem, że wzbudza to w nim odrazę. Jedyne Justinowi naprawdę sprawiało to przyjemność.

Anna opanowała drżenie, gdy przypomniała sobie, że zeszłej nocy Justin również zginął.

- Kiedy zrozumiałem, że Leo nie mógł liczyć na to, że wypełnisz jego rozkazy, że nie jesteś przeciętnym uległym wilkiem... że jesteś Omegą... było już niemal za późno - westchnął. – Gdybym dał ci numer Marroka już dwa lata temu, nie zajęło by ci długo zadzwonić do niego. Jestem więc ci winien nie tylko podziękowania, lecz i moje uniżone przeprosiny – powiedział i przechylił głowę na bok, by odsłonić dla niej gardło.

- Czy... - Przełknęła ślinę, by zwilżyć nagle suche gardło. – Upewnij się, że to się nigdy więcej nie stanie? Nikomu? Nie tylko mnie skrzywdzono.

Nie patrzyła na Thomasa. Justin czerpał wielką przyjemność z dręczenia go.

Boyd z powagą pochylił głowę.

- Obiecuję.

Lakonicznie skinęła głową, co wydawało się mu wystarczyć. Z rąk Joshuy wziął puste pudło i ruszył do kuchni. Przynieśli je ze sobą, razem z taśmą klejącą i materiałem pakowym. To z pewnością wystarczy do zapakowania wszystkiego, co posiadała.

Nie miała żadnej walizki, wzięła więc jedno z pudeł i zaczęła pakować w nie rzeczy, które chciała teraz ze sobą zabrać. Bardzo uważała, by na nikogo nie patrzeć. Zbyt wiele się zmieniło i nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

Była właśnie w łazience, kiedy zadzwonił czyjś telefon. Wilkołaczy słuch oznaczał, że słyszałam rozmowę z obu stron.

- Boyd? – To był jeden z nowych wilków, Rashid, lekarz. W jego głosie brzmiała panika.

- Tak, to ja. Co się stało?

- Ten wilk w celi... On...

Boyd był wciąż w kuchni, a mimo to wciąż słyszała dochodzące ze słuchawki trzaski.

- Chodzi o niego – wyszeptał Rashid zdesperowany. – Próbuje się wydostać... i doszczętnie demoluje celę. Nie sądzę, że ten pokój wytrzyma.

Charles.

Kiedy go opuszczała, był niemal całkowicie zamroczony, lecz wydawał się wystarczająco szczęśliwy, że będzie w rękach jego ojca, podczas gdy on odsypiał efekt wydlubania z niego kilku srebrnych kul. Najwyraźniej sytuacja uległa zmianie.

Anna chwyciła swoje pudło i w drzwiach łazienki natknęła się na Brana.

Spojrzał na nią badawczo, lecz nie wydawał się zdenerwowany.

- Wygląda na to, że jesteśmy potrzebni gdzieś indziej – powiedział ze spokojem. – Nie sędzę, by kogokolwiek skrzywdził, lecz srebro ma na niego silniejszy i bardziej nieprzewidywalny wpływ niż na inne wilki. Masz już wszystko?

- Tak.

Bran rozejrzał się wokół i w końcu jego wzrok spoczął na Boydzie.

- Powiedz swojemu wilkowi, że zaraz tam będziemy. Ufam, że upewnisz się, że wszystko zostanie spakowane, a mieszkanie posprzątane zanim stąd wyjdziecie.

Boyd ulegle skłonił głowę.

Bran wziął od niej pudło i wetknął je sobie pod ramię, po czym w staromodnym geście wyciągnął do niej dłoń. Anna lekko położyła palce na jego ramieniu i ruszyła z nim do drzwi. W ten sposób Marrok podprowadził ją do samej terenówki, spowalniając ją, kiedy powinna była uciekać.

Na powrót pojechali do dworu Naperville, który stado Zachodniego Przedmieścia zatrzymało dla siebie. Bran nie łamał żadnych przepisów drogowych, lecz i nie tracił czasu.

- Większość wilków nie byłaby w stanie wyrwać się z celi – powiedział łagodnym głosem. – Kraty są ze stopu srebra, a jest ich mnóstwo. Jednak Charles jest również synem swojej matki. Ona nigdy by nie pozwoliła, żeby przetrzymywano ją w czymś tak prozaicznym jak kilka krat i wzmocnione drzwi.

Anna jakoś nie była zaskoczona faktem, że Bran wiedział, jak zbudowany jest taki pokój.

- Matka Charlesa była czarownicą? - Anna nigdy nie spotkała czarownicy, lecz słyszała o nich wiele historii. A od chwili, gdy stała się wilkołakiem, nauczyła się wierzyć w magię.

Potrząsnął głową.

- Nie według naszej definicji. Nie jestem nawet pewien czy posługiwała się magią – ściślej mówiąc. Saliszowie nie postrzegali świata w taki sposób: magiczny i niemagiczny. Naturalny i nadnaturalny. Czymkolwiek jednak była, jej syn jest taki sam.

- Co się stanie, jeśli Charles się wydostanie?

- Dobrze by było, gdybyśmy dotarli tam, zanim to nastąpi – powiedział tylko.

Zjechali z autostrady i Bran zwolnił do przepisowej prędkości. Poza rytmicznym bębnieniem palcami w kierownicę nie okazywał żadnych oznak zniecierpliwienia. Kiedy zatrzymali się przed dworem, Anna wyskoczyła z samochodu i biegiem rzuciła się do drzwi. On nie wydawał się spieszyć, a mimo to znalazł się przy nich pierwszy i otworzył je dla niej.

Anna przebiegła przez hall i pokonując trzy stopnie na raz rzuciła się w dół prowadzących do piwnicy schodów. Bran nie odstępował jej nawet na krok. Panująca wokół cisza nie działała na nich pokrzepiająco.

Zazwyczaj jedyne, po czym można było odróżnić celę od pozostałych pokoi gościnnych mieszczących się w piwnicy, to stalowe drzwi i framugi. Teraz jednak po obu ich stronach od ściany odpadły wielkie kawały tynku, ukazując srebrne kraty umieszczone wewnątrz muru. Przez powstałe dziury prześwitywała wisząca w pasmach tapeta, przez którą Anna nie mogła dostrzec wnętrza. Przed drzwiami stały trzy wilki w swoich ludzkich formach. Anna wyraźnie czuła ich strach. Wiedzieli, co znajdowało się w tym pokoju – przynajmniej jeden z nich widział, jak Charles zabił Leo, mimo tego, że dostał już dwiema srebrnymi kulami.

- Charles - powiedział Bran ganiącym tonem.

W odpowiedzi wilk zawył. Był to wściekły, chrapliwy dźwięk, który ranił uszy Anny i nie wyrażał niczego prócz furii.

- Śruby zaczęły wychodzić z gwintów, sir. Same – powiedział nerwowo jeden z wilków, a Anna dostrzegła, jak kurczowo zaciskał dłoń na śrubokręcie.

- Tak – odparł spokojnie Bran. – Domyślam się, że zaczęły. Mój syn nie reaguje dobrze na srebro, a jeszcze gorzej znosi niewolę. Moglibyście być bezpieczniejsi wypuszczając go... choć może i nie. Szczerze przepraszam was, że zostawiłem was tutaj, byście sami się z nim zmagali. Myślałem, że jest w lepszym stanie. Wygląda jednak na to, że nie doceniłem wpływu Anny.

Odwrócił się i wyciągnął dłoń do Anny, która przystanęła na ostatnim stopniu schodów. Szalejący wilk nawet w połowie nie przerażał jej tak, jak pozostałych mężczyzn... to przed nimi czuła strach. Hall w podziemiu nie był duży i nie podobało jej się, że tak wiele wilków znajduje się blisko niej.

- Podejź tu, Anno - powiedział Bran. Chociaż jego głos był niezwykle łagodny, nie była to prośba.

Prześliznęła się obok nich, patrząc raczej w ziemię niż w ich oczy. Kiedy Bran ujął ją za łokieć, Charles warknął z wściekłością – nie miała jednak pojęcia, jak zza wiszącej na ścianie tapety mógł cokolwiek dostrzec.

Bran uśmiechnął się i zabrał dłoń.

- Dobrze. Ale straszysz ją.

W jednej sekundzie warczenie zmieniło się w zaledwie ciche powarkiwanie.

- Porozmawiaj z nim trochę – poradził jej Bran. – Zabiorę pozostałych na górę. Kiedy poczujesz się swobodniej, nie bój się otworzyć drzwi. Jednak dobrze było by poczekać, aż całkowicie przestanie warczeć.

Zostawili ją samą. Może to i szalone, lecz natychmiast poczuła się bezpieczniej. Ulga, że strach ją opuścił, niemal uderzała do głowy. Tapeta zadrżała, gdy Charles krążył pod ścianą i dostrzegła fragment jego rudego futra.

- Co ci się stało? – spytała go. – Nic ci nie było, kiedy rano wyjeżdżaliśmy.

W swojej wilczej postaci nie mógł jej odpowiedzieć, lecz warczenie natychmiast ustało.

- Przepraszam - ciągnęła. – Pakuję rzeczy z mojego mieszkania i musiałam przy tym być. Poza tym, potrzebowałam spakować kilka ubrań na drogę, żebym miała co na siebie włożyć nim przyczepy dotrą do Montany.

Uderzył w drzwi. Nie na tyle mocno, by je zniszczyć, lecz z wyraźnym żądaniem.

Anna zawahała się, lecz w końcu przestał przecież warczeć. W myślach wzruszyła ramionami, usunęła rygiel i otworzyła drzwi. Był większy niż pamiętała. A może wyglądał tak tylko wtedy, gdy całkowicie obnażał kły. Krew sączyła się z rany na jego lewej tylnej nodze i kapiała mu na łapę. Dwa zranienia w jego piersi krwawiły nieco mocniej.

Za nim, pokój - który rano był jeszcze ładnie umeblowany - przypominał istną ruinę. W szale Charles poodrywał ogromne fragmenty tynku ze wszystkich czterech ścian, jak i z sufitu. Podłogę pokoju pokrywały strzępy rozszarpanego materaca, w których dostrzec też można było drzazgi z rozbitej komody.

Z niedowierzaniem przyglądała się szkodom, po czym gwizdnęła z wrażenia.

- Jasny gwint.

Kulejąc podszedł do niej i dokładnie ją obwąchał. W tej chwili zaskrzypiał jeden ze schodów, na co momentalnie obrócił się i warknął wrogo, stając pomiędzy nią i intruzem.

Bran usiadł na najwyższym stopniu.

- Nie skrzywdzę jej – powiedział, po czym spojrzał na Annę. – Nie wiem, jak dużo teraz rozumie. Jednak sądzę, że lepiej mu będzie w jego własnym domu. Dzwoniłem już do naszego pilota – jest gotowy do lotu.

- Myślałam, że mamy jeszcze kilka dni. – Poczowała, jak ściska jej się żołądek. Chicago było jej domem. – Muszę zadzwonić do „Scorci” i powiedzieć Mickowi, że odchodzę i że musi poszukać nowej kelnerki.

No i nie miałam szansy porozmawiać z sąsiadką i wyjaśnić jej wszystkiego. Kara będzie się martwić.

- Muszę dzisiaj wracać do Montany – powiedział Bran. – Jutro rano jest pogrzeb naszego przyjaciela, który niedawno zmarł. Zamierzałem zostawić cię tu, żebyś dojechała później, lecz teraz nie sądzę, by to był dobry pomysł. - Bran głową wskazał na Charlesa. – Najwyraźniej nie leczy się tak szybko, jak myślałem. Muszę zabrać go do domu i przebadać. Mam przy sobie komórkę. Możesz zadzwonić do sąsiadki oraz tego Micka i wyjaśnić im sytuację?

Spojrzała w dół na wilka, który stał między nią i swoim ojcem, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie po raz pierwszy zrobił coś takiego. Poza tym, jaki miała wybór? Zostać w stadzie z Chicago? Boyd, w porównaniu z Leo, był ogromnym postępem, lecz... za nic nie chciała z nimi zostać.

Położyła dłoń na grzbiecie Charlesa i przeczesała nią jego futro. Nie musiała również nachylać się, by to zrobić - Charles był ogromnym wilkołakiem. Przesunął się nieco, aż oparł się o nią ciałem, chociaż nawet na moment nie spuścił z Brana oczu.

- No dobra - powiedziała. – Podaj mi telefon.

Bran uśmiechnął się i podał go jej. Charles nie ruszył się nawet na centymetr, zmuszając Annę do wyciągnięcia ręki i chwycenia komórki. Charles wciąż wbijał w ojca zimny wzrok. Jego postawa rozśmieszyła ją, przez co łatwiej jej przyszło przekonać Karę, że jechała do Montany dlatego, że tego chciała.

ROZDZIAŁ 2

Po porannej katastrofie Anna obawiała się lotu do Montany. Jeszcze nigdy w życiu nie leciała samolotem i myślała, że będzie to przerażające. Zwłaszcza w małym, sześćciosobowym, dwusilnikowym Lear Branie, do którego ich prowadzono.

Bran usiadł na siedzeniu drugiego pilota, co oznaczało, że wszystkie siedzenia dla pasażerów były puste. Charles szturchnął ją nosem i popchnął ją za pierwszy rząd siedzeń zwróconych przodem do kierunku lotu i dopóki nie usiadła, wpatrywał się w dwa siedzenia odwrócone tyłem. Kiedy usadowił się na podłodze i położył głowę na jej stopach, Anna odłożyła swoje pudło na siedzenie obok, zapięła pasy i czekała na start.

Nie spodziewała się dobrej zabawy, zwłaszcza, kiedy Charles zdecydowanie się nie bawił. Leżał sztywny i zrzędlivy u jej stóp, powarkując cicho podczas turbulencji.

Jednak lot tym małym samolotem przypominał przejażdżkę na najwyższej na świecie karuzeli w wesołym miasteczku. Delikatnej niż na Diabelskim Młynie, ale na krawędzi niebezpieczeństwa, które czyniło ją jeszcze bardziej ekscytującą. Nie spodziewała się, że spadną z nieba. Nie bardziej niż tego, że koło Diabelskiego Młyna urwie się i potoczy wzdłuż pasażu handlowego. No i żadna karuzela na świecie nie miał takiego widoku.

Nawet nurkowanie do lądowania na tym pasie, który wyglądał na mniejszy niż parking przy Wall-Marcie, nie posuwał jej humoru. Kiedy samolot zniżał lot, zapięła pas i przytrzymała ręką pudło, by nie upadło na Charlesa. Jej żołądek pozostał tam, gdzie powinien być. Gdy samolot uderzył o asfalt i podskoczył dwa razy, nim koła pozostały na ziemi, uśmiechnęła się szeroko.

Pilot kołował do hangaru na tyle dużego, żeby pomieścić dwie maszyny ich rozmiaru, jednak druga połowa budynku była pusta. Anna chwyciła swoje pudło i ruszyła za Charlesem ku wyjściu. Mocno kulał –

tak długie pozostawanie bez ruchu na pewno mu nie pomogło. Nadal utrzymywał się pomiędzy nią a swoim ojcem.

Kiedy tylko stanęli na ziemi, zaczęła drzeć. Jej kurtka była nieco za cienka na Chicago, ale tutaj była stanowczo nieodpowiednia. Hangar nie był ogrzewany i było na tyle zimno, że widziała swój własny swój oddech.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak blisko stał Charles, dopóki nie odwróciła się, by spojrzeć na samolot i kolaniem uderzyła w jego zabandażowany bok. Nie pokazał po sobie, że coś poczuł, ale musiało go to boleć. To była jednak jego wina. Gdyby tak na nią nie napierał, nie uderzyłaby w niego.

- Wyluzuj – powiedziała mu zirytowana. – Twój ojciec na pewno mnie nie zaatakuję.

- Nie sądzę, żeby martwił się tym, że mogę cię skrzywdzić – powiedział Bran z rozbawieniem. – Zabierzmy cię gdzieś daleko od wszystkich innych samców. Wtedy się choć trochę uspokoić.

Pilot, który szedł za nimi i sprawdzał samolot, uśmiechnął się na te słowa.

- Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę tego starego Indianina takiego podekscytowanego.

Charles spojrział na niego. Pilot spuścił wzrok ale nie przestał się uśmiechać.

- Hej, nie patrz tak na mnie – w końcu dowiozłem cię do domu, całego i zdrowego. Niemal tak dobrze, jak ty byś to zrobił. Prawda, Charles?

- Dziękuję Hank – Bran odwrócił się do Anny. – Hank musi pozamykać wszystko w samolocie, więc rozgrzejemy ciężarówkę.

Gdy wychodzili z zabezpieczonego hangaru w dziesięciocalowy śnieg, złapał ją pod łokieć. Charles warknął. Zirytowany Bran odpowiedział tym samym.

- Dosyć. Dosyć. W żaden sposób nie pożądam twojej damy, a to twoje warczenie jest prostackie.

Charles przestał hałasować, ale podszedł tak blisko do Anny, że ta - nie chcąc go urazić - niechcący wpadła na Brana. Marrok pomógł jej złapać równowagę i marszcząc brwi spojrzął na wilkołaka obok niej. Jednak nie powiedział już nic więcej.

Poza hangarem, lądowiskiem praktycznie nie było tu śladu cywilizacji. Jedynie w głębokim śniegu widniały dwie koleiny po tym, jak ktoś przejechał samochodem. Góry były imponujące: wyższe, ciemniejsze i znacznie surowsze niż miękkie wzgórza Środkowego Zachodu, które znała. Jednak Anna czuła w powietrzu dym z palonego drewna, nie mogli więc być tak odizolowani, jak by się wydawało.

- Myślałam, że będzie tu ciszej. – Nie zamierzała nic powiedzieć, ale hałas ją zaskoczył.

- To wiatr pośród drzew – powiedział Bran. – Jest także trochę ptaków, które zostają na zimę. Czasami, kiedy wiatr się uspokaja i jest naprawdę chłodno, cisza jest tak głęboka, że można ją poczuć w kościach. - Brzmiało to przerażająco, ale coś w jego głosie powiedziało jej, że to uwielbiał.

Bran zaprowadził ich za hangar, gdzie czekała na nich zakryta śniegiem szara ciężarówka z kilkusobową kabiną. Sięgnął na podłogę kabiny i wyciągnął szczotkę. Uderzył nią mocno o ziemię, żeby strząsnąć śnieg.

-Śmiało, wsiadaj – powiedział. – Może odpalisz ciężarówkę, żeby kabina się nagrzała. Kluczyki są w stacyjce. – Zmiotł śnieg z drzwi pasażera i przytrzymał je dla niej otwarte.

Postawiła swoje pudło na podłodze kabiny i wspięła się do środka. Pakunek zaczął się ześlizgiwać po skórzanej tapicerce fotela kierowcy. Charles wskoczył za nią do środka i zaczepił łapą o drzwi tak, że się zamknęły. Był cały mokry. Kiedy jej dotknął, wzdrygnęła się, lecz zaraz dostrzegła, że wydzieliał dużo ciepła. Silnik zamruczał cicho i ożył, a kabinę wypełniło zimne powietrze. Anna przesunęła się na środkowe siedzenie, gdy tylko zyskała pewność, że samochód nie zgaśnie.

Kiedy ciężarówka w większości była oczyszczona ze śniegu, Bran wrzucił szczotkę z powrotem na podłogę auta i wskoczył na siedzenie kierowcy.

- Hankowi nie powinno już długo zająć. - Na widok trzęsącej się Anny w jego wzroku pojawiła się powaga. – Zorganizujemy ci cieplejszy płaszcz i jakieś kozaki odpowiednie na tutejszą zimę. Chicago to raczej

nie tropiki - powinnaś mieć lepszy zestaw na zimę niż to.

Kiedy mówił, Charles przysunął się do Anny, zmuszając ją do przesunięcia się na zewnętrzne siedzenie pasażera. Usadził się pomiędzy nimi, jednak żeby mógł się zmieścić, połowę ciała położył na jej kolanach.

- Miałam do opłacenia elektryczność, gaz, wodę... i czynsz – powiedziała lekko. – Och, Charles, ważysz tonę. My, kelnerki, nie zarabiamy wystarczająco na luksusy.

Tylne drzwi się otworzyły i Hank wspiął się do środka. Pilot usiadł na swoim siedzeniu i dmuchnął w dłonie.

- Ten stary wiatr potrafi dogryźć.

- Czas jechać do domu – zgodził się Bran, po czym wrzucił bieg i ruszył. Trzymał się drogi, mimo że pokrywał ją śnieg. – Najpierw podrzucę Charlesa i jego partnerkę.

- Partnerkę?

Anna zwróciła twarz w kierunku jazdy, nie można jednak było przeoczyć zaskoczenie w głosie Hanka.

- Nic dziwnego, że staruszek jest taki podekscytowany. Rany, stary, to była szybka robota. I do tego jest ładna.

Nie podobało jej się mówienie o niej, jakby jej tam nie było. Nawet jeśli była zbyt nieśmiała, żeby się odezwać. Charles zwrócił głowę w stronę Hanka, podwinął wargę, żeby pokazać kilka bardzo ostrych zębów.

Pilot roześmiał się.

- W porządku, w porządku. Ale niezła robota, stary.

Właśnie wtedy nos powiedział jej coś, z czego nie zdawała sobie sprawy w samolocie. Hank nie był wilkołakiem. A najwyraźniej wiedział, że Charles był.

- Myślałam, że nie wolno nam nikomu mówić – powiedziała.

- Mówić czego? – spytał Bran.

Spojrzała do tyłu na Hanka.

- Mówić im czym jesteśmy.

- Och, to jest Aspen Creek – odpowiedział jej Hank. – Tutaj każdy wie o wilkołakach. Jeśli nie poślubiłaś jednego, to zostałaś przez któregoś usynowiona. Ty, albo jedno z twoich rodziców. To jest terytorium Marroków i jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną.

Czyżby w jego głosie był sarkazm? Nie знаła go na tyle, żeby to stwierdzić z całą pewnością.

Powietrze dmuchające jej w twarz w końcu się nagrzało. Dzięki niemu i Charlesowi czuła się coraz mniej jak w lodówce.

- Myślałam, że wilkołaki nie mają rodziny, tylko stado – powiedziała.

Bran zerknął na nią, po czym wrócił spojrzeniem na drogę.

- Ty i Charles musicie poważnie porozmawiać. Jak długo jesteś wilkołakiem?

- Trzy lata.

Zachmurzył się.

- Masz rodzinę?

- Ojca i brata. Nie widziałam ich od czasu... - Wzruszyła ramionami. – Leo powiedział mi, że muszę zerwać z nimi wszystkie kontakty. Gdybym tego nie zrobiła uznalby, że stanowią zagrożenie dla stada. - I zabije ich.

Bran jeszcze bardziej spoważniał.

- Poza Aspen Creek wilki nikomu nie mogą powiedzieć, kim są. Wyjątek stanowią jedynie małżonkowie – pozwalamy na to dla ich bezpieczeństwa. Ale nie musisz odizolować się od swojej rodziny – dodał jeszcze, jakby do siebie. – Przypuszczam, że Leo obawiał się, że twoja rodzina może mu popsuć plany, jakie miał z tobą związane.

Mogła zadzwonić do swojej rodziny. Niemal już poprosiła o to Brana, postanowiła jednak poczekać i porozmawiać najpierw z Charlesem.

Podobnie jak lot samolotem, dom Charlesa był inny niż się spodziewała. Przypuszczała, że - skoro był w puszczy w Montanie - mieszkał w jednym z tych ogromnych domów z pni drzew, albo w czymś naprawdę starym, jak siedziba stada. Ale dom, przed który podwiózł ich Bran, nie był ani ogromny, ani zbudowany z drzewa. Zamiast tego wyglądał jak prosty dom w stylu ranczo, pomalowany nawet ładną kombinacją szarości i zieleni. Stał u podnóża sporego wzgórza i wychodził na kilka ogrodzonych pastwisk dla koni.

Gdy Bran odjeżdżał, Anna pomachała mu w wyrazie wdzięczności. Potem wzięła swoje pudło - nieco podniszczone odkąd zmoczyła je na podłodze ciężarówki - i weszła na schody. Charlesem idącym tuż przy jej nodze. Schody pokrywała biała warstwa śniegu, chociaż oczywiste było, że zwykle są odsnieżone.

Gdy uświadomiła sobie, że zapomniała poprosić Brana, by otworzył drzwi, na moment ogarnęła ją panika. Gałka jednak lekko przekręciła się pod naciskiem jej dłoni. Przypuszczała, że skoro wszyscy w Aspen Creek wiedzą o wilkołakach, tym bardziej wiedzieli, że nie należy okradać żadnego z nich. Jednak dla niej, wychowanej w mieście, wydawało się dziwne, że Charles zostawił swój dom niezamknięty, podczas gdy od podróżował przez połowę kraju.

Otworzyła drzwi... i wszystkie myśli o jakichkolwiek zamkach zniknęły. Z zewnątrz dom mógł wyglądać skromnie, lecz wewnątrz... Można było powiedzieć o nim wszystko, jednak nie to.

Podłoga w salonie - podobnie jak w jej mieszkaniu - była drewniana. Ta jednak pokryta była parkietem z ciemnego i jasnego drewna, przy krawędziach pokoju układając się we wzór, który wyglądał na typowo indiański. Grube, miękko wyglądające perskie chodniki pokrywały centralną część salonu i jadalni. Najdalszą ścianę zdobił ogromny, granitowy kominek. Był często używany i bardzo piękny.

Wygodne kanapy i fotele stały pomieszane z ręcznie robionymi, klonowymi stolikami i regałami na książki. Wiszące na ścianie olejne płótno, przedstawiające wodospad otoczony sosnowym lasem, mógł równie dobrze być eksponatem w muzeum. Anna miała wrażenie, że prawdopodobnie kosztował więcej niż mogłaby zarobić przez całe życie.

Z wejścia mogła zobaczyć całą kuchnię, w której subtelnie połyskiwały granitowe blaty. Kamienne powierzchnie kontrastowały z

ciemnymi, dębowymi szafkami, które były na tyle nieregularne, że można było zauważyć, iż – podobnie jak meble w salonie - były ręcznie robione. Srebrno-czarne urządzenia powinny wyglądać zbyt nowoczesnie, ale w jakiś sposób wszystko do siebie pasowało. Nie była to duża kuchnia, ale nie było w niej nic, co by nie pasowało do całej rezydencji.

Anna stała w wejściu, brudząc stopionym śniegiem wypolerowaną podłogę. Coraz bardziej nabierała przekonania, że tu nie pasuje - ani ona, ani jej pudło. Gdyby miała gdzie pójść, odwróciłaby się i odeszła. Jednak wszystko, co na nią czekało na zewnątrz, to śnieg i mróz. Nawet, gdyby mieli tu taksówki, w portfelu miała cztery dolary, a na koncie jeszcze mniej. Czek w jej kieszeni wystarczył by na połowę drogi do Chicago. Cóż, pod warunkiem, że znalazłaby bank, w którym mogłaby go spieniężyć oraz jakiś dworzec autobusowy.

Charles otarł się o nią i wkroczył do domu, jednak gdy tylko uświadomił sobie, że Anna za nim nie idzie, zatrzymał się. Popatrzył na nią długo, a ona objęła ramionami kartonowe pudło. Może on też miał wątpliwości.

- Przepraszam – powiedziała odwracając wzrok od jego żółtego spojrzenia. Przepraszała za to, że zawracała mu głowę, że nie była silniejsza, lepsza... nie była czymś.

Poczuła na skórze falę mocy, która przyciągnęła jej spojrzenie z powrotem na niego. Charles opadł na ziemię i zaczął przemianę.

Było na to zbyt wcześnie – jego rany były zbyt poważne. Prędko zatrzasnęła drzwi biodrem, rzuciła pakunek na podłogę i podbiegła do niego.

- Co ty wyrabiasz? Przestań.

Ale on już zaczął i nie śmiała go dotknąć. Zmiana sama w sobie była bolesna i nawet delikatny dotyk mógł wywołać agonię.

- Cholera, Charles.

Nawet po trzech latach bycia wilkołakiem nie lubiła patrzeć na przemianę - ani swoją, ani nikogo innego. Było coś strasznego w oglądaniu czyichś powyginanych i powykręcanych kończyn, a brzuchu znajdowało się miejsce, gdzie ani futro ani skóra nie zakrywały mięśni ani kości.

Charles był inny. Powiedział jej, że dzięki magii jego matki lub temu, że urodził się wilkołakiem, jego przemiana była szybsza. Wydawała się również piękną. Gdy po raz pierwszy widziała jego zmianę, była nią oczarowana.

Tym razem tak nie było. Przemiana była powolna i potworna - tak jak jej. Zapomniał o bandażach, które nie były w stanie przemienić się wraz z nim. Wiedziała, że bandaże w końcu się porwą i wiedziała też, że będą sprawiały mu ból.

Unikając dotknięcia go, prześlizgnęła się wzdłuż ściany i pobiegła do kuchni. W gorączkowych poszukiwaniach otwierała szuflady, dopóki nie znalazła tej, w której trzymał ostre przedmioty. Znalazła w niej parę nożyczek. Uznała, że mniej prawdopodobne będzie, iż dźgnie go nożyczkami niż nożem, chwyciła więc je i wyszła.

Cięła materiał, jak się zmieniał, ignorując jego gardłowy warkot, gdy wsunęła ostrze pod zbyt ciasne ubranie. Dodatkowy ucisk musiał zadawać ból, jednak było to lepsze niż czekanie, jak napinające się mięśnie w końcu podrażnią go na strzępy.

Prędkość jego przemiany zmniejszała się w miarę trwania. W końcu zaczęła się martwić, że w połowie drogi utknie gdzieś pomiędzy. Sama miewała koszmary o tym, że zakończyła przemianę w połowie. W końcu jednak Charles skulił się u jej stóp w pełni ludzkiej formie.

Myślała, że już skończył, ale wtedy na jego nagim ciele zaczęło pojawiać się ubranie. Materiał rozprzestrzenił się na jego ciele w taki sam sposób, jak wcześniej skóra podczas przemiany. Nie było to nic wymyślnego: jeansy i zwykła biała koszulka, jednak dotąd nie wiedziała, że wilkołaki mogą zrobić coś takiego. To była prawdziwa magia.

Nie wiedziała, jak dużą magią potrafił się posługiwać. W ogóle niewiele o nim wiedziała poza tym, iż sprawił, że jej serce zabiło szybciej i że odganiał jej normalny, na wpół spanikowany stan.

Zadrżała i uświadomiła sobie, że w domu jest zimno. Kiedy wyjeżdżał do Chicago, musiał wyłączyć ogrzewanie. Rozejrzała się dookoła i znalazła małą pikowaną kapę przerzuconą przez oparcie bujanego fotela. Chwyciła ją i ostrożnie, żeby nie podrażnić zbyt mocno jego skóry, delikatnie ją na nim rozłożyła.

Wciąż leżał na podłodze, opierając jeden policzek na jej chłodnej powierzchni.

- Charles? – W pierwszym odruchu chciała go dotknąć, jednak była to ostatnia rzecz, jakiej sama pragnęła po przemianie. Jego skóra odczuwała by jakby była nowa i obdarta.

Koc zsunął się z jego ramion. Kiedy podniosła go, żeby ponownie go nim okryć, na plecach jego koszulki dostrzegła szybko rosnącą, ciemną plamę. Gdyby jego rany były zwykłe, przemiana zregenerowałaby je w większym stopniu. Rany spowodowane srebrem goiły się wolniej.

- Masz zestaw pierwszej pomocy? – zapytała. Apteczka jej stada była wyposażona tak, żeby poradzić sobie z ranami odniesionymi w mało poważnych walkach. A do tych dochodziło zawsze, gdy tylko stado wychodziło gdzieś w komplecie. Nie do uwierzenia było, żeby Charles był gorzej przygotowany niż jej... niż stado z Chicago.

- W łazience. – Jego głos był szorstki i surowy z bólu.

Łazienka była za pierwszymi drzwiami, które otworzyła. Było to duże pomieszczenie z wanną stojącą na lwich łapach, ogromną kabiną prysznicową i białą porcelanową umywalką. W rogu pomieszczenia była bieliźniarka. Na dolnej półce Anna znalazła przemysłowych rozmiarów apteczkę, którą natychmiast zabrała do salonu.

Zwykle śniada skóra Charlesa przybrała teraz szary odcień. Z bólu zaciskał zęby, a jego oczy płonęły gorączką. Co chwila pojawiały się w nich złote błyski, pasujące do kolczyka w jego uchu. Siedział prosto, a narzuta opadła wokół niego na podłogę.

- To było głupie. Przemiana nie pomaga przy ranach od srebra – zrugła go. Ból, jakiego sobie przysporzył wywołał w niej nieoczekiwaną złość. - Wszystko co zrobiłeś, to zmarnowałeś energię, której twoje ciało potrzebowało, żeby się uleczyć. Pozwól mi się zabandażować, a potem znajdę jakieś jedzenie. – Ona też była głodna.

Charles posłał jej słaby uśmiech, po czym zamknął oczy.

- Dobrze – powiedział ochryple.

Musiałyby zdjąć większość ubrań, które na siebie założył.

- Skąd się wzięły twoje ubrania? – Można by pomyśleć, że był w to ubrany, gdy przemieniał się w wilka. Pomagała jednak go rozebrać, aby lekarz w Chicago mógł go zbadać. Gdy zmieniał się w wilka, nie miał na sobie nic oprócz bandaży.

Potrząsnął głową.

- Skądś tam, nie wiem.

Jeansy były od Levi'sa a koszulka miała metkę Hanesa. Zastanawiała się czy ktoś w tej chwili nie biegał gdzieś w samej bieliźnie.

- Świetnie – powiedziała, delikatnie odklejając mu koszulkę od klatki piersiowej, by zobaczyć jego ranę. – Było by łatwiej, gdybyś się nie ubrał.

- Przepraszam – chrząknął. – Taki nawyk.

Kula przeszła jego pierś, na prawo od mostka. Dziura na plecach była gorsza, większa od tej z przodu. Gdyby był człowiekiem, nadal leżałby na ostrym dyżurze. Jednak wilkołaki są twarde.

- Jeśli przykleisz plaster z przodu - powiedział – przytrzymam go dla ciebie. Będziesz musiała przytrzymać ten z tyłu. Potem owiń wszystko opaską weterynaryjną.

- Opaską weterynaryjną?

- To te kolorowe przedmioty wyglądające jak bandaże. Są samoprzylepne, nie będzie potrzeby więc jej zapinać. Prawdopodobnie będziesz musiała użyć dwóch opakowań, żeby wystarczająco zakryć opatrunek.

Anna rozcięła koszulkę nożyczkami, które znalazła w kuchni, a następnie otworzyła jedno opakowanie plastrów. Przyłożyła jeden z nich do małej, poszarpanej rany na jego piersi, przez cały czas próbując nie myśleć o dziurze przeszywającej go na wylot. Charles przycisnął podkład mocniej niż ona śmiała.

Przeszukała zestaw w poszukiwaniu opaski weterynaryjnej i na samym dnie znalazła cały tuzin. Większość z nich była czarna i brązowa, ale było też kilka innych. Ze złości na niego, że zadawał sobie większy ból, gdy mógł zostać w formie wilka jeszcze przez kilka dni,

chwyciła dwie jaskraworóżowe rolki.

Roześmiał się, gdy wyciągnęła je z zestawu, ale musiało go zabołec, bo zacisnął usta i wziął kilka płytkich oddechów.

- Mój brat je tam włożył – powiedział, gdy największy ból minął.

- Czy zrobiłeś coś, żeby jego też wkurzyć? – zapytała.

Ponownie się zaśmiał.

- Twierdził, że tylko takie miał w biurze, gdy uzupełniał apteczkę.

Chciała zadać mu jeszcze kilka pytań na temat jego brata, jednak cała ochota, żeby go podrażnić minęła, gdy spojrzała na jego plecy. Przez te kilka minut, w czasie których szukała niezbędnych środków, krew spłynęła po jego skórze aż do krawędzi jego jeansów. Powinna była zostawić jego koszulkę w spokoju, dopóki nie miała przygotowała wszystkiego.

- Tarditas et procrastinatio odiosa est – powiedziała do siebie.

- Mówisz po łacinie? – zapytał.

- Nie, tylko dużo cytuję. To miał być Cycero, ale twój ojciec powiedział mi, że moja wymowa jest do niczego. Przetłumaczyć ci? - Ślad po pierwszej kuli, którą przyjął, żeby ją osłonić płonął czerwienią na jego plecach tuż nad poważniejszą raną. Będzie go bolało przez jakiś czas, ale nie było to niebezpieczne.

- Nie mówię po łacinie – powiedział. – Ale znam trochę francuski i hiszpański. Zwlekanie jest okropne?

- Właśnie to miało to znaczyć. – I tak już wszystko pogorszyła. Powinien wezwać do tego lekarza.

- Jest dobrze – powiedział, odpowiadając na napięcie w jej głosie. – Tylko zatamuj krwawienie.

W ponurym nastroju, Anna właśnie się do tego zabierała. Zebrała jego spocone włosy i przerzuciła mu przez ramię.

Nie miała wystarczająco dużych opatrunków na ranę na jego plecach, wzięła więc dwa, ostrożnie przytrzymała je w miejscu kolanem i sięgnęła wokół niego z rolką kolorowej opaski. Charles bez pytania wziął

od niej końcówkę i przycisnął sobie do żeber. Użyła tego jak kotwicy, żeby owinąć go resztą za pierwszym razem.

Zadawała mu ból. Poza małymi, płytkimi wdechami niemal nie oddychał. Udzielanie pierwszej pomocy wilkołakom przypominało igranie z ogniem. Wilk z bólu mógł stracić kontrolę nad sobą, tak jak stało się z nim dziś rano. Jednak Charles trzymał się i siedział całkowicie nieruchomo, kiedy naciągała opaskę wystarczająco mocno, by przytrzymać opatrunki na właściwym miejscu.

Zużyła obie rolki kolorowej taśmy i starała się nie zauważać, jak dobrze jasny róż wyglądał na jego ciemnej skórze. Kiedy mężczyzna jest na granicy utraty przytomności, zauważanie jego piękna wydawało się czymś niewłaściwym. Jego miękka, ciemna skóra rozciągała się na napiętych mięśniach i kościach... Może, gdyby nie pachniał tak dobrze pod tą warstwą krwi i potu, mogłaby zachować dystans.

Jej. On był jej, wyszeptała ta część jej, która nie przejmowała się ludzkimi obawami. Jakkolwiek Anna obawiała się tych szybkich zmian w jej życiu, jej wilcza połowa była bardzo zadowolona z wydarzeń minionych kilku dni.

Wzięła z kuchni ścierkę do rąk i zmoczyła ją. Gdy on dochodził do siebie po jej niezdarnych poczynaniach, ona wycierała z jego skóry krew.

- Na nogawce też jest krew – powiedziała mu. – Jeansy trzeba zdjąć. Możesz je zaczarować, żeby znikły? Tak jak to zrobiłeś, aby się pokazały?

Potrząsnął głową.

- Nie teraz. Nawet, żeby się popisać.

Rozważyła trudności związane ze zdejmowaniem mu spodni i podniosła nożyczki, którymi posłużyła się do rozcięcia koszulki. Były wygodne i ostre i cięży gruby jeans tak samo lekko, jak koszulkę. Gdy skończyła, Charles siedział na podłodze w ciemnozielonych bokserkach.

- Mam nadzieję, że masz dobry lakier na tej podłodze – mruknęła, żeby nie myśleć o ranie. – Szkoda było by ją zaplamić.

Jego krew rozlała się na wymyślnym wzorze podłogi. Na szczęście perskie chodniki były zbyt daleko, żeby mogła im zagrozić.

Druga kula przeszła na wylot jego łydkę. Wyglądała gorzej niż wczoraj i była bardziej spuchnięta i obolała .

- Krew jej nie zaszkodzi – odpowiedział, jakby codziennie wykrwawiał się na podłogę. – W zeszłym roku położyłem cztery warstwy poliuretanu. Nic jej nie będzie.

W jego apteczce zabrakło już różowego, więc do nogi wybrała kolejny najbardziej wyrazisty kolor, żółto-zielony. Tak jak różowy, ten jaskrawy kolor pasował do niego. Anna zużyła całą rolkę i kolejną parę opatrunków, żeby taśma się nie przykleiła. Skończyła, zostawiając narzutę, jego ubranie i podłogę pokryte krwią. Jej ubrania też nie wypadły zbyt dobrze.

- Chcesz, żebym zaprowadziła cię do łóżka, zanim uporam się z tym bałaganem czy raczej wolisz, żeby dać ci kilka minut, abyś mógł się zebrać?

- Zaczekam – powiedział. Kiedy pracowała, barwa jego oczu zmieniła się w wilczą, żółtą. Pomimo porannego napadu złości, którym przestraszył wilki w Chicago, jego kontrola była bardzo dobra. Cóż, na tyle dobra, żeby nie ruszać się przy niej. Ale nie było powodu, żeby go naciskać.

- Gdzie jest pralnia? – zapytała, zabierając zmianę ubrań z jej pudła.

- Na dole.

Minęło parę minut zanim ją znalazła. W końcu otworzyła drzwi na krótkiej ścianie między kuchnią i jadalnią. Przypuszczała, że to szafa, a znalazła schody. Pralnię znalazła w rogu na w pół wykończonej piwnicy. Pozostała część pomieszczenia przeznaczona była na siłownię i wyposażona z imponującą dbałością.

Rzuciła szczątki bandażu i jego ubrań do śmietnika, który stał koło pralki. Był tam zlew, wypełniła więc go wodą i wrzuciła wszystko, co można było uratować. Pozwoliła ubraniom moczyć się przez kilka minut. Sama w tym czasie przebrała się w czyste rzeczy i wrzuciła swoją zaplamioną krwią koszulkę i jeansy do zlewu. Obok suszarki znalazła kosz wypełniony poskładanymi, czystymi szmatami i zabrała kilka do wytarcia podłogi.

Charles nie zareagował, kiedy weszła. Miał oczy zamknięte, a twarz spokojną. Powinien wyglądać śmiesznie w zakrwawionej bieliźnie

z paskami zielonych i różowych bandaży wokół niego, ale wyglądał jak... Charles.

Krew na podłodze łatwo dała się uprzątnąć, tak jak obiecał. Ostatni raz przejechała po politurze i wstała, żeby wrócić na dół z brudnymi od krwi szmatami, Charles jednak swoją dużą dłoń złapał ją za kostkę. Zamarła, zastanawiając się czy w końcu stracił kontrolę.

- Dziękuję – powiedział. Brzmiało to dosyć cywilizowanie.

- Powiedziałabym „w każdej chwili” , ale jeśli będę musiała cie bandażować zbyt często, to sama cie zabiję - odparła.

Uśmiechnął się, ale oczy miał wciąż zamknięte.

- Postaram się nie krwawić częściej niż będzie to konieczne – obiecał, uwalniając ją do jej zajęć.

W czasie, gdy pralka pracowała w piwnicy, Anna wrzuciła do mikrofalówki mrożone burrito. Jeśli ona była głodna, to on musiał umierać z głodu.

Nie znalazła kawy ale zamiast tego była czekolada w proszku i duży wybór różnego gatunku herbat. Doszła do wniosku, że to cukru teraz potrzebowali, wstawiła więc wodę na kakao.

Gdy wszystko było gotowe, zabrała talerz i kubek kakao do salonu i postawiła na podłodze, naprzeciw Charlesa. Nie otworzył oczu, ani się nie ruszył, zostawiła go więc samego.

Przeszukała cały dom, dopóki nie znalazła jego sypialni. Nie było to trudne. Mimo luksusowego umeblowania i dekoracji, nie był to duży budynek. Był tam tylko jeden pokój z łóżkiem.

Fakt ten sprawił, że zakłopotana zamyśliła się na chwilę.

Odrzuciła koce. Przynajmniej przez kilka dni nie musiała martwić się seksem. Charles nie był na razie w formie na uprawianie żadnej gimnastyki. Bycie wilkołakiem nauczyło ją – oprócz innych rzeczy – że należy ignorować przeszłość, żyć teraźniejszością i nie myśleć za dużo o przyszłości. Sprawdzało się to, dopóki teraźniejszość była do wytrzymania.

Była zmęczona i czuła się kompletnie nie na miejscu. Zrobiła to, czego nauczyła się w ciągu kilku ostatnich lat i zaczerpnęła siły z wilka

wewnątrz niej. Nie na tyle jednak, aby inny wilk mógł to wyczuć. Wiedziała, że gdyby spojrzała teraz w lustro, zobaczyłaby wpatrujące się w nią swoje brązowe oczy. Jednak pod skórą czuła tę Drugą. Wykorzystywała wilka, żeby przebrnąć przez to, czego jej ludzka połowa by nie przetrwała. Jak na razie dawało jej to więcej siły i odsuwało na bok zmartwienia.

Przesunęła dłonią po prześcieradłach w kolorze leśnej zieleni - Charles wydawał się lubić zielony - i wróciła do salonu.

Nadal siedział na podłodze. Otworzył też oczy, a kakao i burrito, które mu zostawiła, zniknęły. To dobry znak. Jednak miał nieobecny wzrok, a na dużo bledszej niż powinna być twarzy widoczne były głębokie bruzdy.

- Chodźmy zapakować cię do łóżka - odezwała się do niego z przedpokoju, zachowując bezpieczny dystans. Najlepiej nie płoszyć rannego wilka, nawet w ludzkiej postaci. A zwłaszcza takiego, który nawykł do robienia wszystkiego na własną rękę.

Skinął głową i zaakceptował jej pomoc. W ludzkiej formie był równie potężny jak w zwierzęcej - górował dobre trzydzieści centymetrów nad jej niewiele ponad stu pięćdziesięcioma. Poza tym był ciężki. Mogła go podnieść i przenieść, gdyby zaszła taka potrzeba, ale byłoby to niewygodne i mogłaby go niechcący zranić. W końcu objęła ramieniem jego talię i poprowadziła go do sypialni.

Będąc tak blisko niego, nie mogła nie zareagować na zapach jego skóry. Pachniał jak samiec i partner. Zauroczona tym aromatem, pozwoliła swojemu wewnętrznemu wilkowi podnieść łeb i powitała zadowolenie bestii.

Gdy poprowadziła go do łóżka, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Po napiętych mięśniach ramion poznała jednak, że cierpi. Był rozpalony i miał gorączkę, a to ją niepokoiło. Nigdy wcześniej nie widziała wilkołaka z tym ostatnim objawem.

Syknął, siadając na materacu. Krew z jego bokserek wsiąkła w prześcieradło, ale dziewczyna postanowiła to zignorować. Nie czułaby się komfortowo mówiąc mu o tym. Wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić – był w o wiele lepszym stanie przed przemianą. Ktoś tak stary jak on powinien być mądrzejszy.

- Czemu się zmieniłeś? - skarciła go.

Spokojne spojrzenie napotkało jej wzrok. W głębi żółtych oczu czaiło się więcej z wilka niż człowieka.

- Miałaś zamiar wyjść. Wilk nie miałby szans namówić cię, być została.

Zmienił się tylko dlatego, że niepokoił się, że ona go zostawi?
Romantyczne... I głupie.

Zirytowana przewróciła oczami.

- Gdzie niby miałabym odejść? I co cię to będzie obchodzić, skoro wykrwawisz się na śmierć?

Spuścił wzrok.

On, ten wilk, ten mężczyzna, osobnik tak dominujący, że ludzie instynktownie ustępowali mu z drogi, dał jej teraz tę przewagę. Zabrakło jej tchu w piersi.

- Mój ojciec mógłby cię zabrać, gdzie tylko sobie życzyła - odezwał się miękko. - Byłem niemal pewny, że namówię cię, byś została, ale nie doceniłem tego, jak poważnie jestem ranny.

- Głupek - mruknęła cierpko.

Spojrzał na nią. Cokolwiek dostrzegł na twarzy Anny, przywołało uśmiech na jego usta. Kiedy jednak odpowiedział na jej ostatni zarzut, jego głos był poważny.

- Tak. Dobrze to skwitowałaś.

Powoli Charles zaczął kłaść się na pościeli. Anna błyskawicznie podłożyła pod niego ramiona pilnując, by nie dotykać opaski oraz rany i pomogła mu się położyć.

- Może wolisz leżeć na boku?

Pokręcił przecząco głową i zagryzł wargi. Z doświadczenia wiedziała jak bardzo może boleć zwykłe leżenie, gdy jest się ciężko rannym.

- Wezwać kogoś do siebie? Lekarza? Twojego ojca?

- Nie. Nic mi nie będzie, potrzebuję tylko snu.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie, którego Charles jednak nie zauważył.

- Jest tutaj jakiś doktor? Albo osoba, która choć trochę znałaby się na medycynie? Jak na przykład dziesięcioletni skaut?

Na jej ostatnie słowa błysnął słabym uśmiechem, który tylko mocniej podkreślił jego piękno. Na ten widok Annę aż zabolęło serce.

- Mój brat jest lekarzem, ale on pewnie nadal jest w stanie Waszyngton. - Zawahał się na moment. - Albo i nie, jeśli nad tym pomyśleć. On na pewno wróci na pogrzeb.

- Pogrzeb? - Pochówek przyjaciela Brana, przypomniała sobie szybko. Powód, dla którego Bran nie mógł zostać dłużej w Chicago.

- Jutro – odparł. Jednak nie o tę informację jej chodziło. Ponieważ nadal nie była pewna czy chce dowiedzieć się czegoś więcej o zmarłym, nie pytała więcej. On też zamilkł. Anna myślała już że usnął, gdy nagle odezwał się cicho.

- Anno, nie ufaj zbyt łatwo.

- Słucham? - spytała przykładając mu dłoń do czoła, lecz nie wydawało się ono cieplejsze.

- Jeśli zdecydujesz się przyjąć ofertę mojego ojca pamiętaj, że jego działania mają proste motywy. On wcale nie jest jeszcze taki stary. Nadal dobrze się trzyma i jest nieskomplikowanym mężczyzną. Chcę cię na swój własny użytek. - Charles spojrział na nią i dziewczyna utonęła w jego złotych oczach. - Jest dobrym człowiekiem. Jednak twardo trzyma się rzeczywistości. A ta mówi mu, że posiadanie Omegi oznacza, że nigdy więcej nie będzie musiał zabić kolejnego przyjaciela.

- Jak tego, którego pogrzeb jest jutro? - spytała, chociaż domyślała się prawdy. To musiał być powód tych podtekstów, które wyczuwała.

Gniewnie skinął głową.

- Nie mogłabyś mu pomóc. Nikt nie mógł. Ale może następnym razem...

- Twój ojciec tak naprawdę wcale nie chce dać mi wyjechać, prawda? - Czy ona była więźniem?

Zrozumiał jej lęk.

- Nie to miałem na myśli. On nie kłamie. Powiedział ci, że jak będziesz chciała, puści cię i będziesz mogła odejść. I tak zrobi. Ale Bran będzie próbował zdobyć twoją zgodę, byś trafiła tam, gdzie mu najbardziej zależy. Jednak nigdy nie zatrzyma cię wbrew twojej woli.

Anna spojrzała na niego, a wilk w niej uspokoił się.

- Ty też mnie tutaj nie zatrzymasz, jeśli nie będę chciała zostać.

Jego dłonie śmignęły z dużą prędkością i zanim zdążyła zareagować, chwyciły jej nadgarstki. Jego oczy lśniły bursztynowym wilczym ogniem.

- Nie licz na to, Anno. Nie licz - powiedział chrapliwie.

Powinna się bać. Był większy i silniejszy od niej, a jego szybkość w ruchu wykalkulowana została by ją przestraszyć... chociaż nie była pewna dlaczego czuł, że musi się upewnić, że ona dobrze go rozumiała. Jednak z dominującym wilkiem, nie mogła się go przestraszyć. Był jej i nie skrzywdziłby jej, tak jak i ona nie zrobiłaby krzywdy jemu.

Pochyliła się i oparła swoje czoło o jego.

- Znam cię - szepnęła. - Nie możesz mnie oszukać. - Ta pewność wstrząsnęła nią. Być może znali się naprawdę krótko, jednak w tym czasie poznała go lepiej niż on sam znał siebie.

O dziwo, roześmiał się – choć cicho. Miała nadzieję, że nie przysporzyło mu to więcej bólu.

- Jak Leo udało się zmusić cię, byś zachowywała się jak uległy wilk?

Całym tym biciem, zmuszaniem jej do seksu z mężczyznami, których nie chciała... Przesunęła wzrok na bliznę na nadgarstkach, które trzymał Charles. Użyła srebrnego noża. Gdyby jednak nie jej niecierpliwość, gdyby poczekała aż zostanie w domu sama, byłaby już martwa.

Leo próbował ją złamać, gdyż nie była posłuszna i uległa. Była czymś zupełnie innym. Nie chciał, by to zrozumiała. Była na zewnątrz struktury stada - Charles jej to wyjaśnił. Ani dominująca, ani uległa. Omega. Cokolwiek by to znaczyło.

Charles przesunął dłonie się z jej nadgarstków na policzki. Przysunął ją bliżej siebie, tak by mógł z bliska patrzeć na jej twarz.

- Anno? Anno, przepraszam. Nie miałem zamiaru...

- To nie byłeś ty - uspokoiła go. - Wszystko w porządku. - Skupiła się i zauważyła, że ranny wygląda na bardziej zmęczonego niż wcześniej. - Musisz iść spać.

Spojrzał na nią badawczo, po czym skinął głową i puścił ją.

- W jadalni masz telewizor. Albo możesz posurfować po Internecie
- komputer stoi w biurze. Są tam...

- Też jestem zmęczona.

Być może była genetycznie uwarunkowana, by chodzić z ogonem pomiędzy nogami, ale nie była głupia. Tylko sen pomoże jej się uporać z ostatnimi, gwałtownymi zmianami w jej życiu. Wymiana Chicago na dziką Montanę była najmniej ważną z nich. Była Omegą. Była ceniona, a nie uległa i bezwartościowa. Miała partnera, cokolwiek się z tym wiązało. Było to najlepsze co jej się przytrafiło, choć wciąż był to dla niej lekki wstrząs.

- Będziesz miał coś przeciwko, jeśli będę tu spała? – spytała niepewnym głosem. Nie chciała być intruzem, jeśli jej nie chciał. To było terytorium Charlesa. Jednak jej wilk nie chciał opuszczać go teraz, rannego.

Przez to czuła się niepewnie, przez tę potrzebę. Niepewnie i niezbyt bezpiecznie. Jakby miał zamiar połknąć ją w całości, albo zmienić ją nie do poznania. Ale była zbyt zmęczona, by walczyć z myślami. Zbyt nawet zmęczona, by myśleć czy chce w ogóle walczyć.

- Proszę bardzo - powiedział i to wystarczyło.

Miała rację, wiedział to. Potrzebował snu.

Po tym jak wróciła z łazienki, ubrana w flanelową koszulę i rozciągnięte spodnie od pizamy, położyła się skulona obok niego i momentalnie zapadła w sen. Również był wyczerpany, lecz poczuł, że nie chce zrezygnować z ani jednej chwili, kiedy mógł trzymać ją w ramionach. Była jego niespodziewanym darem.

Nie miał pojęcia, co Anna o nim myśli. Zanim został ranny, planował poświęcić sporo czasu na zaloty. W ten sposób byłaby bardziej go pewna, zanim zabrałby ją z jej terytorium.

Wyraz jej twarzy, gdy weszła do jego domu... Jęknęła cicho, więc szybko rozluźnił ramiona. Tą przemianą przysporzył sobie jeszcze więcej szkód i w ludzkiej formie uzdrawiał się dużo wolniej... lecz gdyby ją stracił, pojawiła by się rana, która nigdy by się nie zagoiła.

Przetrwała traktowanie Leo i nadal była cała. Bez względu na to co mówiła o braku opcji wiedział, że jeśli jej coś nie zajmie, Anna odejdzie od niego. Zmienił się więc i mimo bólu - było warto. Zbyt długo jej szukał, by teraz dać jej szansę opuścić go.

Dziwnie było mieć kobietę w tym łóżku, choć jednocześnie miał wrażenie, że od zawsze tutaj należała. Jego. Położyła rękę na ranie na jego piersi, ale zignorował echo bólu, gdyż z jej dotykiem pojawiła się radość.

Jego.

Głos Marroka niczym ciepły strumień przepłynął przez jego myśli.

Pogrzeb będzie o dziewiątej rano. Jeśli ci się nie uda dotrzeć, daj znać. Samuel tam będzie, po wszystkim będzie chciał spojrzeć na twoje rany.

Bran nie był prawdziwym telepatą. Mógł tylko wysyłać, a nie odbierać wiadomości. Samuel wspominał mu kiedyś, że ich ojciec nie miał kiedyś nawet tej umiejętności, lecz odkrył ją w sobie niedługo po tym, gdy po raz pierwszy stał się Alfą.

I jest coś, co chciałbym, żebyś zrobił...

Głos Marroka zamilkł i Charles wiedział, że nie musi słyszeć tej części. Albo jego ojciec nie chciał by ją usłyszał.

Nigdy nie kwestionował wiary Brana w Boga czy tego, że dziadek

wierzył w duchy, ponieważ znał oba te byty. Chociaż Bóg rzadko do niego przemawiał. Czasem ostrzegał albo zsyłał dodatkową siłę i pocieszenie. Jednak duchy były bardziej wymagające i Charles szybko nauczył się rozpoznawać znaki, gdy któryś czegoś od niego chciał.

- Przepraszam - szepnął do Anny i zmienił pozycję, by sięgnąć po telefon. Szczęśliwie był on po jego stronie łóżka. Dziewczyna jednak nie poruszyła się.

Charles wybrał numer komórki ojca.

- Nie dotrzesz na pogrzeb? Masz się gorzej? - Nawet bez widocznego numeru rozmówcy Bran zawsze wiedział, kto do niego dzwoni. Z Charlesem nigdy nie marnował czasu na zbędne uprzejmości i od razu przechodził do rzeczy.

- Wszystko w porządku, tato - odpowiedział i poczuł jak mięśnie Anny napinają się lekko. Obudziła się. - Masz mi coś jeszcze do powiedzenia.

Nastąpiła krótka pauza.

- Gdybym wiedział, że twoja matka jest córką szamana, nigdy bym nie wziął jej na moją partnerkę – mruknął. Od chwili, gdy u syna objawił się talent jego rodzicielki, Bran często to powtarzał. Charles uśmiechnął się: jego ojciec świetnie wiedział, że nie oszuka żadnego wilkołaka, a zwłaszcza własnych synów. Nawet przez telefon.

- Dobra - przerwał ciszę Bran. Charles czekał w milczeniu. Ojciec znów zaczął mówić, a jego głos przybrał ostry ton. - W południowo-zachodniej Montanie, w okręgu Wilderness, miało miejsce zabójstwo. Kilka dni temu polujący na łosie myśliwy został rozszarpany na strzępy. To było w ostatnim dniu sezonu. Jeden z naszych policyjnych kontaktów dał mi o tym znać. Informacja ukaże się jutro w gazetach. Oficjalnie obwinia się grizzly.

- Dziki wilk? - spytał Charles.

- Może. Albo ktoś próbuje się upewnić, że wiem, iż ujawnienie istnienia wilkołaków jest złym pomysłem.

Leżąca obok niego Anna była bardzo spokojna. Obudziła się i słuchała.

Bran kontynuował.

- Okręg ten znajduje się na naszym podwórku. Ktoś chciał mieć pewność, że otrzymam wiadomość. Nie mieliśmy dzikich w Montanie od piętnastu czy dwudziestu lat. - Większość żyjących na swobodzie wilków była dość mądra, by trzymać się z dala od terytorium Marroka. - Ranger, od którego dostałem wiadomość, przekazał mi też raport sprzed miesiąca. Jakiś student zgłosił, że zaatakował go potwór. Stało się to w miejscu oddalonym o kilka kilometrów punktu, gdzie znaleziono rozszarpanego myśliwego. Student powiedział, że to coś po prostu wyszło spośród drzew. Warknęło na niego, błysnęło kłami i pazurami... Wszyscy sugerowali pumę, lecz chłopak był pewien, że to na pewno nie był dziki kot. Powtarzał, że to był jakiś potwór.

- Jak to się stało, że przeżył, by móc opowiedzieć tę historię? - zainteresował się Charles i poczuł, jak leżąca obok dziewczyna zeszytniała. Źle zrozumiała jego pytanie. Zaczął więc mówić dalej, raczej dla wyjaśnienia tego jej niż ojcu. - Jeśli to był dziki wilk, nie pozwoliliby mu uciec po tym, jak go zobaczył.

Charles od dawna nie musiał zabić żadnego świadka. Najczęściej mógł spokojnie liczyć na brak wiary w zjawiska nadprzyrodzone oraz – jeśli chodziło o południowy rejon Pacyfiku - w opowieści o Wielkiej Stopie. Jedno z oregońskich stad zrobiło sobie nawet hobby z zostawiania śladów Wielkiej Stopy, zawsze wtedy, gdy któryś z młodych wilkołaków narozrabiał.

- Student opowiedział o jakimś szalonym starcu, który trzymając nóż wyskoczył znikąd i kazał mu uciekać - wyjaśnił Bran. - Chłopak go posłuchał.

Charles przez chwilę trawił te informacje.

- Szalony starzec, który przypadkowo był obok, gdy wilkołak zdecydował się zabić dzieciaka? Żaden starzec nie byłby w stanie pokonać żadnego z nas, nawet posuniętego w latach.

- Nigdy nie twierdziłem, że ta historia ma jakiś sens - usłyszał suchą odpowiedź. – A nie jesteśmy pewni czy ten potwór to wilkołak. Nie poświęciłem temu uwagi, dopóki nie dowiedziałem się o tym zabitym myśliwym.

- A co z nim? Jesteś pewien, że był ofiarą kogoś z naszego rodzaju?

- Moim informatorem była Heather Morrel. Ona umie rozróżnić

zabójstwo grizzly od wilka.

Heather była człowiekiem, lecz wychowała się w Aspen Creek.

- Dobrze - zgodził się Charles. - Chcesz żebym to sprawdził? Ale będę mógł to zrobić dopiero za kilka dni, kiedy będę się nadawał do tej roboty. - Poza tym nie chciał opuszczać Anny. - Możesz wysłać kogoś innego? - Musiał być to ktoś dostatecznie dominujący, by poradzić sobie z dzikim.

- Nie chcę wysłać nikogo na śmierć.

- Tylko mnie. - Charles też potrafił używać suchego tonu głosu.

- Tylko ciebie - uprzejmie zgodził się jego ojciec. - Jednak nie wyślę cię tam rannego. Samuel przyjechał na pogrzeb. Będzie mógł się tam wybrać i zbadać sytuację.

- Nie możesz wysłać tam Samuela. - Jego reakcja była natychmiastowa. Protest ten był zbyt gwałtowny, by mógł być odruchowy. Czasami duchy jego matki dawały mu drobne rady odnośnie przyszłości.

Tym razem to Marrok czekał. Próbował więc wymyśleć powód, dla którego nie był to dobry pomysł... i nie podobała mu się odpowiedź, jaka przyszła mu do głowy.

- Odkąd wrócił z Teksasu, dzieje się z nim coś złego - powiedział w końcu.

- Jest na skraju samobójstwa – powiedział Bran bez ogródek. - Wysłałem go do Mercy z nadzieją, że dziewczyna otrząśnie go z tego stanu. To dlatego ciebie wysłałem do Chicago, zamiast do Waszyngtonu.

Biedna Mercy, biedny Samuel. Charles przesunął palcami po ramieniu Anny. Dzięki Bogu i dzięki wszystkim duchom, że ojciec nigdy nie próbował kojarzyć jego. Spojrzał w dół na dziewczynę i pomyślał, że na szczęście do Chicago Bran wysłał jego, a nie Samuela.

Duchy odpowiedziały na jego impulsywną modlitwę wtrącając się trochę bardziej.

- Samuel jest twardy – powiedział, odrzucając od siebie ostrzegawcze obrazy, które nagle zaczęły zalewać jego umysł. - Ale jest uzdrowicielem - a nie myślę, by to było odpowiednie w tej sytuacji.

Pojadę tam. Będę musiał poczekać kilka dni, ale pojadę. - Niepokój, który prześladował go od chwili, gdy ojciec się z nim skontaktował, w końcu zaczął słabnąć. Jego decyzja była słuszna.

Jednak ojciec miał inne zdanie.

- Wczoraj zarobiłeś trzy srebrne kule. A może o czymś zapomniałem? A dzisiejszego ranka straciłeś nad sobą kontrolę.

- Dwie kule i zadrapanie - skorygował Charles. - Przez chwilę będę troszkę sztywny. A moja kontrola ma się już dobrze.

- Pogadamy po tym, jak dasz Samuelowi się zbadać. - Bran wyłączył się bez pożegnania. Jednak jego głos rozbrzmiał jeszcze w głowie Charlesa. Nie chce stracić obu swoich dzieci.

Charles odłożył słuchawkę i zwrócił się do milczącej Anny.

- Pytaj.

- Bran, Marrok, ma zamiar podać fakt istnienia wilkołaków do wiadomości publicznej? - zapytała cicho i niepewnie, jakby nigdy nie rozważała tego typu pomysłu.

- On uważa, że wie o nas zbyt wielu nieodpowiednich ludzi. Nauka i komputery sprawiają, że coraz trudniej jest nam się ukrywać. Ojciec na nadzieję, że uda mu się wszystko lepiej kontrolować, jeśli to on będzie nadzorował przepływ informacji, zamiast czekać aż wrogowie albo jacyś idioci zrobią to za nas.

Dziewczyna rozluźniła się i zamyśliła nad jego słowami.

- To uczyni życie ciekawszym.

Roześmiał się i przytulił ją do siebie. W końcu, zadowolony i spokojny, zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 3

Przebywali teraz w mieście. Nie było to tradycyjne miasto, ale miało stację gazową, hotel oraz historyczny dwupiętrowy, kamiennie-ceglany budynek informujący, iż mieści się w nim szkoła Aspen Creek. Za nią mieścił się stary kościół, zbudowany z kamienia i ukryty w gąszczu drzew, z którego widoczny był tylko od strony parkingu. Prawdopodobnie by go nie zauważyła, gdyby Charles nie podał jej dokładnych instrukcji.

Anna skierowała jego dużą, zieloną furgonetkę bezpośrednio na kościelny parking, wprost na miejsce przeznaczone dla o wiele mniejszego samochodu. Jednak wszystkie inne miejsca parkingowe były zajęte. Nie zauważyła żadnych domów, jednak na parkingu znajdowało się sporo furgonetek i wiele innych czterokołowych pojazdów.

Furgonetka Charlesa była starsza od niej samej, ale wyglądała jakby była fabrycznie nowa. Jeśli miała wierzyć licznikowi, to przejechała mniej niż sześćdziesiąt tysięcy kilometrów – około trzech tysięcy kilometrów rocznie. Charles mówił jej, że nie lubi jeździć.

Wyłączyła silnik i z troską patrzyła jak Charles otworzył drzwi i bez sił opadł na ziemię. Mimo, że wyglądał poważnie, upadek nie zdawał się być dla niego bolesny. Plama na różowej opasce nie powiększyła się przez noc. Nadal wyglądał na wycieńczonego, a skórę pokrywał mu rumieniec, który nieco ją martwił.

Gdyby byli w Chicago czekając na spotkanie z jej starym stadem, nie pozwoliłaby mu na nie przyjść. Zbyt wiele znajdujących się tam wilków chciałoby wykorzystać okazję, że jest osłabiony. Gdyby zaś to się jej nie udało, starałaby się zatrzymać go o wiele bardziej niż tego poranka.

Ostrożnie wbijając w podłogę oczy wyraziła swój niepokój. Z doświadczenia wiedziała, że dominujące wilki nie lubiły poddawania w wątpliwość ich męstwa i czasami źle na to reagowali. Nie to, żeby rzeczywiście myślała, że Charles ją skrzywdzi.

- Nikt nie śmiałby mnie tknąć. Mój ojciec zabiłby ich, gdybym nie sam tego najpierw nie zrobił. W najmniejszym stopniu nie jestem bezbronny.

Nie miała odwagi, by ponownie kwestionować jego zdanie. Wszystko co mogła zrobić, to mieć nadzieję, że miał rację.

Musiała przyznać, że rzeczywiście można było powiedzieć o nim wiele

rzeczy, ale nie, że wyglądał na bezbronego. Fałdy opatrunków skrywała ciemna marynarka garnituru. Kontrast pomiędzy formalnym ubraniem a jego sięgającymi pasa, ozdobionymi koralikami, splecionymi włosami osobliwie przyciągał uwagę. Oczywiście jego twarz - piękna i egzotyczna – oraz jego duże, napięte i muskularne ciało sugerowało, że wyglądałby wspaniale we wszystkim.

Był ubrany o wiele bardziej elegancko od niej. Musiała założyć jeansy i żółtą zapinaną koszulę, gdyż jedyną rzeczą jaką miała było parę koszulek. Pakując się, nie myślała, że będzie uczestniczyła w pogrzebie.

Westchnęła i ostrożnie otworzyła drzwi, żeby nie uszkodzić zaparkowanego obok Subaru. Charles czekał na nią przed furgonetką i wyciągnął ramię. Zaczynała przyzwyczajać się do tego gestu, jakkolwiek mógłby wydawać się staromodny. Wsunęła dłoń pod jego ramię i gdy ruszyli w stronę kościoła, pozwoliła mu dobrać własne tempo.

Utykanie nie było widoczne, wiedziała jednak, że przenikliwe spojrzenia mogły zauważyć sztywność w jego ruchach. Gdy zaczynali pokonywać stopnie zerknęła na niego, lecz nie mogła nic wyczytać z jego twarzy: zdążył już przybrać swoją zwykłą, zastygłą w bezruchu maskę.

W środku kościoła wrzało niczym w ulu. Ponad setka głosów mieszała się ze sobą tak bardzo, że tu czy tam zrozumiała pojedyncze słowa, jednak nie usłyszała nic, co miało by jakiś sens. Mogła wyczuć wilki, ale byli tam również ludzie. Wszyscy zgromadzeni przesiąknięci byli wyraźnym zapachem smutku, pokryci gniewem i rozgorzeniem.

Kiedy wkroczyli do samej kaplicy, każda ławka była szczelnie zapełniona, a kilka osób nawet stało z tyłu. Odwrócili się, gdy weszli z Charlesem do środka i wszyscy wbili w nią wzrok – w jedyną osobę w całym pieprzonym kościele, która miała na sobie jeansy. Albo żółty kolor.

Wzmocniła uścisk na ramieniu Charlesa. Spojrzał w dół na jej twarz, po czym po prostu rozejrzał się wokół siebie. Zanim minęli trzy ławki, każda z osób wydawała się znaleźć coś pilnego, by zwrócić swą uwagę gdzieś indziej.

W wyrazie wdzięczności ponownie lekko ścisnęła jego przedramię i rozejrzała się po samym kościele. Z ciemnym drewnem, wysokim sklepieniem i wnętrzem na kształt krzyża, przypominał jej trochę kościół parafialny, przy którym dorastała. Ambona znajdowała się bezpośrednio naprzeciw przejścia między ławkami, którym kroczyli, podwyższona o około pół metra nad

podłogą. Z tyłu znajdowało się kilka ław ustawionych tak, że widać było wszystkich zgromadzonych.

Gdy zbliżali się w stronę ołtarza uświadomiła sobie, że myliła się myśląc, że kościół jest całkowicie zatłoczony. W pierwszej ławce poza Branem nie siedział nikt.

Mimo szytego na miarę, ciemno-grafitowego garnituru, Marrok siedział wyglądając dla wszystkich jak ktoś, kto czeka bardziej na autobus niż na pogrzeb. Rozłożył ramiona, opierając łokcie na oparciu ławki, z wyciągniętymi i skrzyżowanymi w kostkach nogami, wpatrując się w ołtarz... lub pustkę. Jego twarz nie wyrażała więcej niż zwykły wyraz twarzy Charlesa, co było tylko pozorem. Nie znała go długo, lecz twarz Marroka była jedną z tych ruchliwych, nie stworzona do tego, by pozostawać zbyt długo w bezruchu.

Wyglądał na osamotnionego i Anna przypomniała sobie, że mężczyzna oplakiwany przez całe miasto został zabity przez Brana. „Przyjaciel” – powiedział o nim Bran.

Stojący obok niej Charles warknął cicho, zwracając na siebie uwagę ojca. Bran przyjrzał im się i uniósł brew, przez co obojętność zniknęła z jego twarzy. Poklepał ławkę obok siebie.

- O co chodzi? Chyba nie myślałeś, że będą szczęśliwi z mojego powodu?

Charles obrócił się na pięcie tak szybko, że Anna niemal uderzyła nosem w jego pierś. Jednak on nie patrzył na nią, tylko na wszystkich innych znajdujących się w świątyni, którzy kolejny raz zaczęli odwracać od niego oczy. Jak tylko jego moc gorącą falą rozeszła się po kościele, zaległa głucha cisza.

- Głupcy – powiedział na tyle głośno, by każdy w kościele mógł usłyszeć.

Bran roześmiał się.

- Usiądź, zanim głupio wszystkich wystraszysz. Nie jestem politykiem, by zamartwiać się o to co o mnie myślą, dopóki są mi posłuszni.

Po chwili Charles uległ i Anna zorientowała się, że siedzi między nimi.

Gdy tylko Charles zwrócił twarz w stronę ołtarza, wśród ludzi

wybuchły szept. Rozmowy stawały się coraz szybsze, aż w końcu osiągnęły poprzedni poziom napięcia. Można było w nich wyczuć ukryte oskarżenie, na tyle gęste, by się nim udławić. Anna zdecydowanie czuła się tu jak wyrzutek.

- Gdzie jest Samuel? - Charles spojrzał nad jej głową na ojca.

- Właśnie wchodzi - powiedział Bran nie patrząc za siebie. Charles jednak odwrócił się, podobnie jak Anna.

Mężczyzna kroczący w stronę bocznej nawy był prawie tak wysoki jak Charles. Jego twarz jednak była ostrzejszą wersją rysów Brana. Ta ostrość sprawiła, że nie był tak bezbarwny czy młodzieńczo wyglądający jak jego ojciec. Wydał jej się dziwnie pociągający, chociaż nie był tak przystojny jak Charles. Jego zwyczajne brązowe włosy nosił niedbale podcięte, a mimo wszystko udało mu się wyglądać schludnie i elegancko. W jednej ręce trzymał zniszczony futerał na skrzypce, a w drugiej krótką, ciemnoniebieską kowbojską kurtkę. Kiedy był już niemal na przodzie, odwrócił się i szybko potoczył po zgromadzonych spojrzeniem. Następnie przyjrzał się Annie, a jego twarz załamała się w wyjątkowo słodkim uśmiechu, którego odbicie widywała na twarzy Charlesa. Poprzez ten uśmiech, za powierzchownymi różnicami zauważyła ukryte podobieństwa, bardziej w zarysie kości policzkowych czy mimiki niż podobieństwa rysów twarzy.

Usiadł obok Charlesa, wnosząc na skórze rzeźki zapach śniegu. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i zaczął coś mówić, jednak umilkł, gdy od ostatnich, aż do pierwszych rzędów ławek tłum zalała fala ciszy.

Główną nawą wolnym krokiem szedł przystrojony w staroświecką sutannę duchowny, trzymając w zgięciu lewego ramienia wiekowo wyglądającą Biblię. W chwili, gdy dotarł na czoło kościoła, w sali panowała absolutna cisza.

Jego widoczny wiek wskazywał, że nie był wilkołakiem. Miał jednak wygląd, który nadał jego „Witam i dziękuję za przybycie, by oddać cześć naszemu przyjacielowi” wydźwięk ceremonialny. Z widoczną troską o poszarzałą, wyprawioną skórę księgi, położył Biblię na ambonie. Delikatnie otworzył ciężko wytłoczoną oprawę i odłożył na bok zakładkę.

Zaczął czytanie od piętnastego rozdziału pierwszego listu św. Pawła do Koryntian, którego ostatni wers wypowiedział nie patrząc już w tekst.

- Gdzież jest, o śmierci twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? *

* cytaty z Pisma Św. Nowego Testamentu; Biblia Tysiąclecia.

- oścień - zaostrzony kij

Przerwał, pozwalając swoim oczom prześliznąć się po sali dłużej niż zrobił to Charles, po czym dokończył zwyczajnym już głosem.

- Krótco po tym jak powróciliśmy w te strony, Carter Wallace o drugiej nad ranem przyszedł do mojego domu, by trzymać moją żonę za rękę, gdy nasz pies myśliwski wydawał swój pierwszy miot szczeniąt. Nie chciał zapłaty.

Powiedział, że jeśli dostałby pieniądze za przytulanie pięknej kobiety, byłby żigolakiem, a nie weterynarzem.

Zszedł z ambony i usiadł na podobnym do tronu, drewnianym krześle. Rozległo się szurnięcie i skrzypnięcie drewna, po czym wstała stara kobieta. Mężczyzna z jasnymi, kasztanowymi włosami odprowadził ją w dół bocznej nawy, podtrzymując jej ramię. Gdy mijali ławkę Anny, wyczuła w nim wilka.

Przejsie całej drogi do szczytu schodów prowadzących do ambony zajęło kobiecie kilka minut. Była tak mała, że musiała stanąć na podnóżku, z podtrzymującym ją za talię, stojącym z tyłu wilkołakiem.

- Ośmioletni Carter wszedł do naszego sklepu - powiedziała słabym, drżącym głosem. - Dał mi piętnaście centów. Gdy zapytałam go za co te pieniądze, odpowiedział, że kilka dni wcześniej on i Hammond Markham byli w sklepie i Hammond ukradł czekoladowy baton. Zapytałam go, dlaczego to on, a nie Hammond oddaje mi pieniądze. Na to on odparł, że Hammond nie ma pojęcia, iż przyszedł mi je zwrócić. - Roześmiała się i starła łzę spod oka. - Zapewniał mnie, że to były pieniądze Hammonda, chociaż skradzione z jego skarbonki właśnie tego ranka.

Wilkołak, który ją odprowadzał, podniósł jej dłoń do swych ust i pocałował, po czym - mimo protestów - podniósł ją w ramiona i zaniósł z powrotem na miejsce. Byli to mąż i żona, a nie wnuczek i babcia, na których powinni wyglądać.

Anna zadrżała, nagle bardzo mocno zadowolona, że Charles - tak jak ona - był wilkiem, nie człowiekiem.

Inni ludzie również wstawali i opowiadali więcej historii lub czytali wersy z Biblii. Były łzy. Zmarły, Carter Wallace - lub raczej doktor Carter Wallace, jako że rzeczywiście był miejscowym weterynarzem - był kochany przez tych ludzi.

Charles wyciągnął nogi przed siebie i pochylił głowę. Obok niego, Samuel nieobecnie bawił się futerałem skrzypiec, pocierając wytarte skórzane miejsca.

Zastanawiała na jak wielu pogrzebach byli i ilu przyjaciół lub członków rodziny pogrzebali. Wcześniej, kiedy ciężko jej było popełnić samobójstwo, przeklinała swą wieczną młodość i regenerujące się ciało. Ale napięcie w ramionach Charlesa, wiercenie się Samuela i absolutny spokój Brana dały jej do zrozumienia, że są inne powody, które nadają wirtualnej nieśmiertelności miano przekleństwa.

Zastanawiała się czy Charles miał wcześniej żonę. Człowieczą żonę, której przybywało lat, a jemu nie. Jakby to było gdyby ludzie, których znała jako dzieci, dorośli i umarli, podczas gdy ona nie miałaby nawet jednego siwego włosa ?

Spojrzała na Charlesa. Powiedział jej, że ma dwieście lat, a jego brat i ojciec nawet więcej. Byli na wielu pogrzebach.

Jej rozmyślenia przerwała podniesiona nerwowość wśród zebranych. Rozejrzała się i zobaczyła idącą nawą, młodą dziewczynę. Nic w jej wyglądzie nie wskazywało, by była przyczyną tak dużego poruszenia. Chociaż była zbyt daleko, by ją wyczuć wśród tak wielu ludzi, coś w niej jednak wyzierało człowiekiem.

Dziewczyna wspięła się po schodach, a gdy stronicowała Biblię, spod rzęs obserwując zebranych, napięcie wręcz śpiewało w powietrzu. W końcu położyła palec na jednej ze stron i zaczęła czytać.

- Bo to jest wieść, którą słyszeliście od początku, że powinniśmy jedni drugich miłować; nie jak Kain, który pochodził od niegodziwca i zabił swego brata. A dlaczego go zabił? Ponieważ jego własne uczynki były niegodziwe, natomiast jego brata —prawe. *

* Pismo Święte w Przekładzie Nowego Świata, 1 Jana 3 :1-24

- Shawna, wnuczka Cartera – szepnął do niej Charles. – Zaczyna się robić paskudnie.

- Zbyt tego nie przestudiowała - wyszeptał w tym samym czasie Samuel, ze słabym przebłyskiem humoru. - W Biblii znaleźć można się pisarzy o dużo ostrzejszym języku niż Jan.

Shawna przeczytała kilka kolejnych wersów. W pewnym momencie nagle spojrzała prosto na Marroków, co zmusiło Annę do skrzyżowania z nią spojrzenia. Nie odczuła żadnej mocy Alfy, lecz po nie więcej niż pół sekundy dziewczyna spuściła wzrok.

- Nie chodziła do szkoły - powiedział Charles cichym głosem. Każdy - czy to wilkołak, czy nie - kto był dalej od niego niż Anna, nie byłby w stanie tego usłyszeć. - Jest młoda i zarozumiała - i wkurza się, że władza ojczulka nad Aspen Creek zaczęła się na długo przed fatalną decyzją naszego doktora Wallace'a, by przemienić się w wilkołaka. Ale wyciąganie tego na jego pogrzebie jest niewybaczalne.

Acha. Nagle ogólne napięcie i złość nabrały sensu. Carter Wallace był Przemienionym. Nie przeszedł pomyślnie przeistoczenia, a Bran zmuszony był go zabić. Bran powiedział, że Carter był jego przyjacielem. Jakkolwiek, pomyślała zerkając na jego pozornie obojętną twarz, nie sądziła, by miał wielu przyjaciół.

Sięgnęła przez swój bark, gdzie zwisała - niby przypadkowo - ręka Marroka i wzięła ją w swoje dłonie. To był odruch. Gdy tylko zorientowała się, co właśnie zrobiła, zamarła. Jednak w tym czasie Marrok uściśnął mocno jej dłoń, zadając w ten sposób kłam swej swobodnej pozie. Uścisk bolał, ale nie sądziła, żeby było to zamierzone. Po chwili go rozluźnił.

Przy ambonie, Shawna z wyraźną i niepoahamowaną goryczą ponownie zaczęła mówić, nie mogąc wpatrywać się w Brana.

- Mój dziadek umierał na raka kości, kiedy Marrok namówił go na Przemianę. Dziadzio nigdy nie chciał być wilkołakiem, ale słaby i chory, pozwolił się namówić. - Anna miała wrażenie, że jej wypowiedź była wyuczona na pamięć, jak gdyby Shawna ćwiczyła ją przed lustrem.

- Słuchał swojego przyjaciela - ciągnęła. Nie spojrzała ponownie na Brana, ani nawet na Annę. Kto nie znał zmarłego, nie był pewny kogo dziewczyna ma na myśli. - Więc zamiast umrzeć z powodu choroby, umarł z powodu skręconego karku. A wszystko przez to, że według Brana dziadek nie stał się dość dobrym wilkołakiem. Może dziadzio wolał myśleć, że to lepsza śmierć.

Nie powiedziała „Ja, nie”, pozostawiając te słowa wiszące w powietrzu. Po tym jednak, jak zeszła z ambony, zabrzmiały one wzdłuż ław.

Anna już zaczęła nienawidzić dziewczynę, jednak gdy ta, z buntowniczo wysuniętym podbródkiem przechodziła obok nich, Anna

zauważyła, że jej oczy były czerwone i podpuchnięte.

Był moment kiedy myślała, że Charles zerwie się na równe nogi - czuła gotującą się w nim wściekłość. Lecz to Samuel wstał. Zanim wszedł na podium, zostawił za sobą futerał na skrzypce. Jakby ślepy na panującą atmosferę, wdał się w historię o bardzo młodym Carterze Wallasie, który wymknął się spod opieki swojej matki, by iść na spacer. Skończyło się tak, że jego ojciec ostatecznie znalazł go, niemal pięć kilometrów w głąb lasu, pół metra od rozdrażnionego grzechotnika. Ojciec Cartera zabił węża – rozwścieczając tym swego syna.

- Nigdy wcześniej lub od tego czasu, nie widziałem Cartera tak wściekłego. - Samuel wyszczerzył się w uśmiechu. - Był przekonany, że ten wąż był jego przyjacielem, a biedny stary Henry - ojczulek Cartera - był zbyt roztrzęsiony, by się o to wyklócać.

Uśmiech Samuela zniknął, i pozwolił budować się ciszy, zanim znowu zaczął mówić.

- Shawna była daleko, kiedy poruszaliśmy tę sprawę, więc wybaczę jej niedoinformowanie – powiedział. - Mój ojciec nie uważał, że to był dobry pomysł, by Carter zmierzył się z Przemianą. Mówił nam wszystkim – wliczając samego doktora - że Carter ma zbyt miękkie serce, aby dobrze przejść przemianę w wilka.

Ambona zaskrzypiała złowrogo pod naciskiem Samuela, który po chwili celowo rozłożył ręce.

- Jest mi wstyd, gdyż brałem stronę jego syna Gerry'ego i we dwóch, wraz z jego doktorem i jego synem, przekonaliśmy Cartera, żeby spróbował. Mój ojciec - wiedząc, że mężczyzna tak chory jak doktor był małym ryzykiem - wziął Przemianę na siebie – i udało mu się to. Jednakże miał rację. Carter nie mógł ani zaakceptować, ani kontrolować swojej bestii. Mógł być każdym z nas, mógł umrzeć w lutym z innymi, którym nie udało się Przemiana. Jednakże Gerry, do którego należało w tej całej sytuacji należało to zadanie, nie zrobiłby tego. A bez jego zgody, mój ojciec nie mógłby tego zrobić.

Zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał na wnuczkę Cartera.

- On prawie zabił twoją matkę, Shawna. Zaopiekowałem się nią potem i poświadczę, że to było szczęście, a nie żaden odruch ze strony Cartera, który oszczędził jej życie – możesz spytać jej osobiście. Jak mężczyzna, którego życie było zawsze oddane służbie innym, mógłby znieść fakt, że zabił własną córkę? W mojej obecności pytała Marroka czy byłby w stanie wypełnić obowiązki, których nie mógł wypełnić jej brat. W tym czasie wilk w Carterze

był na tyle oddalony, że nie mógł o to sam poprosić. Więc nie, mój ojciec nie starał się przekonać Cartera do Przemiany – był po prostu jedynym, który sięgnął po srebro, aby poradzić sobie z wynikającym z tego wszystkiego bałaganem.

Kiedy Samuel skończył mówić, pozwolił spojrzeniu dryfować wolno wzdłuż sali, aż głowy posłusznie się pochylały. Kiwnął głową, po czym znowu zajął miejsce obok Charlesa.

Kilku następnych ludzi trzymało spojrzenia z daleka od Marroka i jego synów, Anna zauważyła jednak, że to raczej z powodu zażenowania niż ponurego gniewu, który był tak widoczny w przeciągu ostatniego kwadransu.

W końcu duchowny wstał.

- Mam tutaj list, który Carter dał mi kilka tygodni temu - powiedział. - Miałem go otworzyć w razie jego śmierci – która według niego - miała przyjść szybko, w ten czy inny sposób. - Otworzył list i założył okulary.

- Przyjaciele – zaczął. - Nie oplakujcie mojego odejścia. Ja nie będę. Moje życie tego ostatniego roku pokazało mi, że majstrowanie w planach Bożych rzadko jest dobrym pomysłem. Z radością i ulgą dołączę do mojej ukochanej żony. Moja ostatnia prośba. Bran, ty stary bardziej, zaśpiewaj coś na moim pogrzebie.

Kościół był bardzo spokojny. Charles odczuł niechcianą sympatię do zmarłego. Błogosławiony Carter, który był tak dobrym uzdrowicielem, jak Samuel. Przeczynał co się stanie i również to, jak ludzie to odbiorą – nie wykluczając Marroka.

Wstał i wyciągnął rękę do ojca, jako że Bran – co dla niego nietypowe - wydawał się całkowicie zaskoczony. Bran nie przyjął ręki, ale uwolnił Annę z uścisku i stanął na nogi. Anna położyła swą dłoń na kolanach i wygięła ją, jak gdyby odczuwała w niej ból.

- Wiedziałeś, że doktor to zrobi? - szepnął Charles do Samuela wskazując na zniszczony futerał na skrzypce, gdy podążali z ojcem na czoło kościoła. Gdyby wiedział, również zabrałby coś do grania. Jakby nie było, został zepchnięty na stanowisko przy pianinie – które miało trzy rozstrojone klawisze, wokół których musiał improwizować.

Samuel pokręcił głową.

- Planowałem raczej coś zagrać, niż opowiadać. – Otworzył futerał i wyciągnął skrzypce, po czym nagle dodał odrobinę głośniej. – Co zaśpiewasz

ojcze?

Charles spojrział na ojca, jednak nie mógł odczytać wyrazu jego twarzy. Zbyt wiele pogrzebów, zbyt wielu zmarłych przyjaciół, pomyślał.

- Proste dary - odpowiedział Bran po chwili.

Charles zasiadł do pianina, podczas gdy Samuel nastroił skrzypce. Gdy brat skinął głową, Charles zagrał wstęp do melodii Shakerów*. To dobry wybór, pomyślał. Nie smutna, nie całkiem religijna i pasowała do Cartera Wallace'a, który przeważnie był prostym człowiekiem. Poza tym była to pieśń, którą wszyscy dobrze znali.

* Shakerzy - Mowa o „Zjednoczonym Towarzystwie Wierzących w Powtórne Przyjście Chrystusa”, zwanych potocznie Shakerami. Nazywani są „protestanckimi zakonnikami”. W trakcie swoich religijnych ceremonii tańczyli i śpiewali.

„To dar za łagodność, to dar za prawość.

To dar za zbudzenie się i wdychanie powietrza rano,

Za codzienne przechadzki ścieżką wybraną przez braci,

To właśnie dar, o który modlimy się, by przenigdy go nie stracić.”

Gdy cichy głos ojca kończył ostatni wers, Charles uświadomił sobie, że pieśń pasowała również do niego. Mimo, że Bran był subtelnym człowiekiem, jego potrzeby i pragnienia były zwyczajne: utrzymać swych ludzi żywych i bezpiecznych. Dla tych celów był gotowy być bezwzględny.

Spojrzał w stronę Anny, gdzie siedziała sama na ławce. Jej oczy były zamknięte, lecz poruszała ustami w ślad słów Brana. Zastanawiał się jak brzmi, gdy śpiewa i czy jej głos pasował by do jego głosu. Nie był pewien czy ona w ogóle śpiewa. Z drugiej jednak strony wspominała, że kiedy spotkała wilka, który ją zaatakował i wbrew jej woli Przemienił, pracowała w sklepie muzycznym jako sprzedawca gitar.

Otworzyła oczy i ich spojrzenia się skrzyżowały. Odczuł tak wielki wstrząs, że był zdumiony, że może nadal grać bez zatrzymania.

Jego.

Gdyby wiedziała jak intensywne są jego uczucia, uciekłyby z kościoła. Nie był przyzwyczajony do bycia zaborczym lub do dzikiej radości, że

zagościła w jego sercu. To pochłaniało jego kontrolę, na powrót więc skupił się na muzyce. Rozumiał muzykę.

Anna musiała wysilić się, by w tym samym czasie nie nucić pieśni. Gdyby publiczność składała się tylko z ludzi, z pewnością by to robiła. Jednak było zbyt wiele osób wokół niej, których słuch był tak dobry, jak jej własny.

Jedną z rzeczy, których nienawidziła będąc wilkołakiem było to, że przestała słuchać wielu swoich ulubionych muzyków. Jej uszy wyłapywały najłżejsze drgania w tonacji lub meszek w nagraniu. Ale tych pieśniarzy mogła słuchać bez przerwy...

Głos Brana był czysty i zamierał dokładnie na szczycie, lecz to bogata barwa dźwięku sprawiała, że drżały jej włosy na karku.

Gdy śpiewał ostatnią nutę, mężczyzna siedzący z tyłu za nią na ławce pochylił się do przodu, aż jego usta dotykały niemal jej karku.

- Więc Charles przywiózł sobie do domu zabaweczkę, co? Zastanawiam się czy się podzieli. – Jego głos zabarwiał lekki akcent.

Przesunęła się na ławce tak daleko, jak tylko mogła i nieruchomo wpatrywała w Charlesa. Ten jednak zamykał właśnie pokrywę pianina i zwrócony był do niej plecami.

- Zostawił cię jak jagnię wśród wilków - zamruczał wilkołak. - Ktoś tak łagodny i delikatny mógłby zrobić więcej z innym mężczyzną. Z kimś kto lubi być dotykany. - Położył swoje ręce na jej ramionach i starał się przyciągnąć z powrotem do siebie.

Anna wyszarpnęła się z jego uchwytu, zapominając o pogrzebie i publiczności. Skończyła z pozwalaniem na dotykanie jej przez kogokolwiek. Wstała i obróciła się, by stanąć twarzą do wilkołaka, który rozparty na ławce uśmiechał się do niej leniwie. Ludzie po obu jego stronach przesunęli się, by dać mu tyle miejsca, ile mogli. Była to lepsza ocena tego kim był niż łuk, w który ułożone były jego usta.

Anna musiała przyznać, że był uroczy. Jego twarz była doskonała i elegancka, a jego skóra - tak jak Charlesa - była egzotyczna i rozświetlona. Jego nos i czarne oczy wskazywały na Bliski wschód, chociaż akcent był czysto hiszpański. Miała dobre ucho do rozpoznawania akcentów. Wyglądał na jej lata, dwadzieścia trzy lub cztery, ale z jakiegoś powodu była całkowicie pewna, że był bardzo, bardzo stary. Miał też w sobie ślad dzikości, jakiejś trawiącej go choroby, co kazało jej być ostrożną.

- Zostaw ją w spokoju, Asil - powiedział Charles, a jego ręce spoczęły władczo na jej ramionach w miejscu, gdzie były ręce innego mężczyzny. - Wypatroszy cię i zostawi wronom jeśli będziesz wchodził jej w drogę.

Anna parła się o jego ciepłe ciało, bardziej niż zaskoczona, że miał rację – lub przynajmniej, że jej pierwszą reakcją nie był strach. To była złość.

Drugi wilk roześmiał się, a jego ramiona szarpnęły się w gwałtownym ruchu.

- Dobrze – powiedział. - Dobrze. Ktoś powinien. - Nagle dziwny humor opuścił go i potarł ze znużeniem twarz. - Byle nie za późno. - Spojrzał za Annę i Charlesa. - Mówiłem ci, sny powróciły. Śniłem o niej prawie każdej nocy. Powinieneś to wkrótce zrobić, zanim będzie za późno. Dzisiaj.

- W porządku Asil. - Głos Brana brzmiał matowo. - Ale nie dzisiaj. Nie jutro. Możesz wytrzymać trochę dłużej.

Asil odwrócił się, by spojrzeć na zebranych, którzy byli cichymi świadkami całego zajścia, po czym odezwał się czystym, dźwięcznym głosem.

- Macie dar posiadania kogoś, kto wie co trzeba zrobić i robi to. Macie miejsce, do którego będziecie wracać. Bezpieczne miejsce, właśnie dzięki niemu. Musiałem opuścić mojego Alfę, by przyjść tutaj, gdyż pozwolił mi gnić w szaleństwie bez miłości. - Odwrócił głowę i symbolicznie splunął na swoje lewe ramię. - Słaba miłość zawodzi. Jeśli wiecie co czuję, co Carter Wallace czuł, wiecie jakie błogosławieństwo macie w Branie Cornicku, który będzie zabijał tych, którzy powinni być zabici.

Wtedy Anna zdała sobie sprawę, że ten wilkołak prosił Brana o śmierć.

Odruchowo odsunęła się od Charlesa. Położyła kolano na ławce, na której siedziała i sięgnęła do tyłu, by zbliżyć rękę do pasa Asila.

Syknął wstrząśnięty, lecz nie cofnął się. Gdy go trzymała, woń dzikości i choroby zwietrzała. Wbił w nią wzrok, a białka jego oczu rozjaśniły się, podczas gdy tęczówki zwęziły do małych obwódek wokół czarnej źrenicy.

- Omega - wyszeptał ochryplym głosem.

Stojący z tyłu za nią Charles podszedł bliżej, ale nie dotknął jej. Czekając, aż zimne ciało pod opuszkami jej palców rozgrzało się. Wszyscy stali w bezruchu. Anna wiedziała, że wszystko co mogła zrobić, by to skończyć, to

cofnąć rękę. Była jednak dziwnie niechętna, by ją cofnąć.

Szok na twarzy Asila zniknął, a skóra wokół jego oczu i ust złagodniała do smutku, który nasilał się i pogłębiał, zanim schował głęboko tam, gdzie wszystkie prywatne myśli skrywały się przed zbyt przenikliwymi obserwatorami. Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej twarzy, ignorując ostrzegawcze warknięcie Charlesa.

- Jest tu więcej darów niż myślałem. - Uśmiechnął się całym sobą do Anny. - Zbyt późno dla mnie, mi querida. Marnujesz swój dar na moją starą osobę. Ale za wytchnienie w bólu, dziękuję. - Spojrzał na Brana. - Dziś i jutro, i może również następnego dnia. Widzieć Charlesa, prawdziwego samotnego wilka, złapanego w sidła Amora... Myślę, że to będzie mnie bawić przez jakiś czas dłużej.

Uwolnił się z uścisku Anny, chwycił jej rękę w swoją i - z przebiegłym spojrzeniem w stronę Charlesa - pocałował jej dłoń. Po czym uwolnił ją i wyszedł z kościoła. Nie spiesząc się, ale też nie grzebiąc.

- Bądź przy nim czujna - ostrzegł ją Charles, ale nie brzmiał na niezadowolonego.

Ktoś chrząknął i Anna rozejrzała się w koło, by napotkać spojrzenie pastora. Uśmiechnął się do niej, po czym spojrzał na kościół. Przerwa w jego obrzędzie bynajmniej nie wydawała się go obchodzić. Może był przyzwyczajony, że wilkołaki przerywają mszę. Anna poczuła rumieniec kwitnący jej na twarzy i osunęła się z powrotem na ławkę... Pragnęła zniknąć. Właśnie przerwała pogrzeb człowieka, którego nawet nie знаła.

- Czas, by zakończyć ceremonię - powiedział pastor. - Nasza żałoba skończyła się tutaj, a kiedy wyjdziemy, musimy pamiętać o dobrze przeżyтым życiu i otwartym sercu dla wszystkich. Schylcie proszę głowy w ostatniej modlitwie.

ROZDZIAŁ 4

Północnozachodnia Montana

Okręg Wilderness

Walter nie wiedział jak udało mu się przeżyć atak bestii, podobnie jak nie rozumiał jak wcześniej przetrwał trzy tury pobytu w Wietnamie, gdzie tylu jego przyjaciół i kolegów poległo. Może w obu tych przypadkach był to łut szczęścia, a może przeznaczenie miało dla niego inne plany. Jak kolejne trzydzieści lat samotnej włóczędzy po lesie.

Jeśli jego przeżycie ataku potwora było mało prawdopodobne, reszta była po prostu dziwna. Pierwsze co zauważył to to, że bolesny artretyzm atakujący jego ręce i kolana oraz szarpiący ból po starej ranie - nagle zniknęły. Zimno również mu już nie dokuczało.

Długo trwało nim zdał sobie sprawę, że kolor jego włosów i brody wrócił do tych, z czasów jego młodości - nie nosił ze sobą lusterka. Wtedy też zwrócił uwagę na inne osobliwości. Był szybszy i silniejszy niż kiedykolwiek przedtem, a rany zaczęły goić się z zadziwiającą prędkością. Jedyne, co nie goiło się tak szybko, jak cięcie na brzuchu, to jego zniszczona dusza.

Dopiero rankiem po pierwszej pełni księżyca, kiedy obudził się ze smakiem krwi w ustach, czerwonymi paznokciami i nagim, zbryzganym nią ciałem, zrozumiał co się stało. Doskonale pamiętał co zrobił i czym się stał. Zdał sobie sprawę, że zmienił się w swojego wroga i zapłakał na myśl o stracie resztki człowieczeństwa.

Aspen Creek, stan Montana

Z ręką Charlesa obejmującą ją za ramiona, Anna ruszyła za resztą załobników w kierunku zimnego parkingu. Zatrzymali się na chodniku i patrzyli jak ilość pojazdów stopniowo maleje. Kilka opuszczających kościół osób spojrzało na Annę, jednak nikt się nie zatrzymał.

Gdy zostali już praktycznie sami dziewczyna dostrzegła, że mimo swojego przyjaznego uśmiechu, Samuel uważnie taksuje ją spojrzeniem swoich szarych oczu.

- Więc to ty jesteś tą zbląkaną psiną, którą mój brat postanowił przygarnąć do domu? Jesteś niższa niż się spodziewałem.

Nie mogła oburzyć się na jego słowa, skoro tak naprawdę nie miał zamiaru jej obrażać. Przynajmniej nie nazwał jej suką.

- Tak – powiedziała. Usiłowała się opanować, by nie zacząć nagle wić się pod jego badawczym wzrokiem lub nie bełkotać bez sensu, co czasem zdarzało jej się, gdy była zdenerwowana.

- Samuel, to jest Anna. Anno, mój brat Samuel - przedstawił ich sobie Charles.

Jego brat najwidoczniej jednak uznał, że prezentacja Charlesa nie była kompletna, bo zaraz uzupełnił prezentację.

- Doktor Samuel Cornick, starszy brat i prześladowca. Bardzo miło cię poznać Anno...

- Latham - dokończyła załując, że nie jest w stanie wymyśleć czegoś bardziej sensownego.

Posłał jej ciepły uśmiech, który jednak nie rozświetlił mu oczu.

- Witamy w rodzinie. - Poglaskał ją po głowie, głównie - jak sądziła - by zirytować Charlesa.

Ten jednak nie dał się sprowokować.

- Przestać flirtować z moją partnerką – powiedział tylko.

- Zachowujcie się - wtrącił Bran. - Samuelu, możesz zabrać Charlesa do kliniki i obejrzeć jego rany? Mam dla niego zadanie, ale jeśli szybko nie wydobrzeje, będę musiał znaleźć kogoś innego. Nie wydaje mi się, że zdrowieje tak szybko jak powinien.

Lekarz wzruszył lekko ramionami.

- Jasne. Nie ma problemu. - Zerknął na Annę. - Myślę, że to nam chwilę zajmie.

Nie była głupia i wiedziała, że chce porozmawiać z bratem sam na sam. A może to Bran chciał tej rozmowy, a Sam tylko mu pomagał?

Charles też musiał dojść do podobnego wniosku.

- Może pojedziesz ciężarówką z powrotem do domu? Samuel albo ojciec odwiozą mnie po badaniu.

- Jasne - odpowiedziała pogodnie, posyłając mu szybki uśmiech. Nie masz powodu, by czuć się zranioną – upomniała się w duchu.

Odwróciła się i szybko poszła do samochodu. Przyda jej się trochę czasu dla siebie. Miała parę rzeczy, które chciała przemyśleć z dala od Charlesa. Skutecznie odwracał jej uwagę.

*

Charles miał ochotę warknąć widząc z jaką ulgą dziewczyna odeszła. Zwalczył irracjonalny gniew na Samuela, który w czarujący sposób na mentalny rozkaz Brana odesłał Annę do domu. Zawsze wiedział, kiedy ojciec odzywał się w ten sposób do brata. Twarz Samuela zawsze go zdradziła.

Samuel odezwał się dopiero wtedy, gdy Anna wyjechała z parkingu.

- Zabiłeś wilka, który ją wykorzystywał?

- On nie żyje. - Z jakiegoś powodu Charles nie mógł oderwać wzroku od samochodu. Nie podobało mu się odsyłanie jej. Wiedział, że nie było powodów do obaw - nikt nie dotknąłby jego własności. Poza tym całe miasto wiedziało, że to dzięki niej Asil nie wywołał awantury na pogrzebie. Nawet te kilka osób, których nie były na uroczystości - jak partnerka jego ojca, która swoją nieobecnością wywołała mały skandal - szybko dowie się co się stało i to najdalej w przeciągu godziny. Mimo to nadal nie podobało mu się odsyłanie Anny samej. Ani trochę.

- Charles? - Głos jego brata był spokojny.

- To dlatego poprosiłem cię, byś pozbył się Anny - mruknął Bran. –
Chciałem, byś zobaczył w nim tę różnicę. Tak samo zachowywał się wczoraj,
gdy dziewczyna tylko znikła z pola jego widzenia. Ona jest Omegą i myślę że
jej efekt na niego maskuje niektóre jego objawy. Wydaje mi się, że nie
usunęli z niego całego srebra.

- Kiedy został postrzelony?

- Przedwczoraj. Dostał trzy razy. Raz w ramię, drugi raz w pierś, na
wylot, trzeci raz zaś w łydkę. Wszystkie kule były srebrne.

Charles nadal patrzył na zarys ciężarówki, która szykowała się do
skrętu do domu.

- On jest bardziej wrażliwy na truciznę w srebrze niż...Charles!

Ciężkie ręce chwyciły go za ramiona, a ojciec dotknął jego twarzy,
unieruchamiając go wzrokiem skuteczniej niż ręce brata.

- Muszę iść - powiedział swojemu Alfie czując, że serce utknęło mu w
gardle. Nie mógł myśleć, nie mógł tutaj zostać. Musiał ją chronić, chociaż był
poobijany.

- Czekaj - rozkazał mu ojciec. Słowa te owinęły się wokół niego niczym
stalowe liny. Charles zamarł w miejscu, chociaż jedyne o czym mógł myśleć,
to by ruszyć za ciężarówką. - Samuel musi cię obejrzeć. Wyślę do niej Sage,
dobrze?

Dotyk ojca, jego głos i coś jeszcze pomogło mu w końcu zebrać myśli.
Znow miał kontrolę. By uspokoić swoją wewnętrzną bestię, zamknął oczy i
skoncentrował się na dotyku dłoni ojca na twarzy,

- Znowu to zrobiłem, prawda? - zapytał, chociaż nie potrzebował
potwierdzenia Marroka. Wziął głęboki oddech i twierdząco skinął głową. -
Sage to dobra myśl.

Nie lubił mieć nikogo we własnym domu. Ojca i brata - jasne, ale
innych tylko w wypadku wyższej konieczności. Jednak nie chciał, by Anna
była sama. Na Sage mógł się zgodzić. Nie skrzywdzi jego Anny i może
ochronić ją, póki on sam jest poza domem. Będzie trzymać samców z dala.

Niepokój, jaki czuł w środku nieco zelżał. Jednak nie odrywał wzroku
od ojca, gdy ten dzwonił z komórki do Sage i słuchał, gdy prosił ją, by
posiedziała z Anną. Dopiero wtedy dał się zaprowadzić do samochodu

Samuela, którym miał jechać do kliniki. Ojciec wsiadł do swojego Humvee, by pojechać za nimi.

- Tata powiedział mi, że musiałeś zabić Gerry'ego - odezwał się do brata. Gerry był synem Wallace'a oraz facetem odpowiedzialnym za ból i śmierć kilkunastu osób, podczas eksperymentów z pewnym narkotykiem. Syn Wallace'a nie przejmował się skutkami ubocznymi i dodatkowymi ofiarami.

Sam z ponurą miną skinął głową.

- Nie zostawił mi wyboru.

Nawet rozproszony niepokojem o swoją partnerkę i bólem źle gojących się ran, Charles wiedział, co miał na myśli jego brat.

- Zastanawiasz się pewnie jak wielu jeszcze ludzi będziemy musieli zabić, by ochronić ojca? Ilu przyjdzie nam torturować i zniszczyć?

- O to chodzi - szepnął lekarz. - Zabijamy ludzi. Wilki i niewinnych... dla naszego ojca. Czym się różnimy od Gerry'ego, że on zasłużył na zniszczenie, a my nie?

Jeśli Marrok wysłał Samuela do Mercy, do Tri-Cities, by wyleczyć go z melancholii, nie zadziałało to zbyt dobrze. Charles walczył, by na chwilę oderwać myśli od Anny i zaczął zastanawiać się, czym mógłby pomóc bratu. Bez dotyku Brana przychodziło mu to jednak dużo trudniej.

- Nasz ojciec zapewnia naszemu stadu bezpieczeństwo i trzyma je pod kontrolą. Bez jego przywództwa bylibyśmy pogrążeni w chaosie i rozproszeni, podobnie do europejskich wilków, a współczynnik ofiar byłby jeszcze wyższy niż teraz. Co by się stało, gdyby plan Gerry'ego się powiódł? - spytał.

Sage zajmie się Anną w jego imieniu. Nie było żadnego powodu, by czuł tę przemożną potrzebę pojechania do niej.

- Gerry myślał, że jego ojciec mógłby opanować wilka i odebrać Marrokowi przywództwo nad stadem - wymamrotał Samuel. - Kto może powiedzieć, że nie miał racji? Może ocaliłby ojca. Czy to co zrobił jest gorsze od tego, gdy ojciec wysyła cię, byś kogoś zabił?

- A co, jeśli Gerry miał rację? Jeśli jego plan wydałby owoce i gdyby jego ojciec zaakceptował swojego wewnętrznego wilka? Gdyby wtedy, z pomocą nowego narkotyku Gerry'ego, zabił naszego ojca i przejął władzę jako nowy Marrok... Co wtedy?- drążył Charles. - Doktor był dobrym człowiekiem,

ale jak myślisz, jak by się sprawdził jako Marrok?

Starszy z braci zamyślił się nad chwilę, po czym westchnął.

- Nie był wystarczająco dominujący, by to udźwignąć. Zapanowałby chaos, a Alfy zaczęłyby walczyć ze sobą o władzę. A Gerry, niczym kryjący się w cieniu szakał, próbowałby je pozabijać. - Zaparkował przed wejściem do kliniki, jednak nie wykonał gestu by wysiąść z samochodu. - Ale czy mimo to nie zabiłbyś dla ojca? Nawet, gdyby nie chodziło o kwestię przetrwania wilków w tym kraju? Czy Gerry tak się mylił?

- Złamał nasze prawa. - Charles wiedział, że dla jego brata te sprawy nie były tak czarno-białe. Sam nigdy nie musiał zaakceptować rzeczy takimi, jakie były, nie w ten sposób co on sam. Sięgnął więc po fakty, które przemówiłyby do niego. - Gerry zabijał niewinnych. Nie po to, by zapewnić jego stadu przetrwanie, lecz by dać ojcu szansę na przeżycie. - Uśmiechnął się lekko, gdyż do głowy wpadła mu kolejna myśl. - Gdyby kiedykolwiek któryś z nas zaczął zabijać niewinnych, by ochronić tatę, żaden z nas by tego nie przeżył. Sam by nas zabił.

Napięcie opuściło ramiona Samuela.

- Tak, zrobiłby to, prawda?

- Czujesz się już lepiej, gdy upewniłeś się, że jesteś po stronie aniołów?
- zainteresował się Charles, gdy Bran zaparkował obok nich.

Brat uśmiechnął się do niego złośliwie.

- Powiem ojcu, że nazwałeś go aniołem.

Charles wysiadł z samochodu i - napotkawszy badawcze spojrzenie ojca - wzruszył tylko ramionami.

*

Samuel zapalił światła w przychodni i skierował się w stronę jednego z pokojów zabiegowych.

- Dobra, staruszk. Pokaż mi te dziury po kulach. - Uśmiech spełził z twarzy lekarza, gdy zobaczył jak brat mocuje się z marynarką.

- Poczekaj - rozkazał i sięgnął do szuflady po parę ostrych nożyczek. Na widok twarzy Charlesa wyszczerzył złośliwie zęby. - Hej! To tylko garnitur. Wiem, że stać cię na kupno nowego.

- Przymiarki - warknął Charles. – Cztery przymiarki i podróże do miasta tylko po to, by ktoś cię mierzył i kłuł. Nie, dzięki. Tato, pomożesz mi to zdjąć i zabierzesz z dala ode mnie swojego syna i jego nożyczki?

- Odlóż je, Samuelu - powiedział Bran. - Zgaduję, że skoro udało mu się w to ubrać, powinniśmy być w stanie teraz to z niego zdjąć. Nie musisz warczeć, Charles.

Z ich pomocą pozbycie się marynarki okazało się możliwe. Charles jednak skończył zlany potem, a Marroka mamrotał pod nosem kojące słowa. Nie spytali nawet czy pomóc mu rozpiąć koszulę - po prostu ją z niego zdarli.

Samuel spojrział uważnie na różowy opatrunek na ranie i uśmiechnął się szeroko.

- To nie był twój pomysł.

- Anna.

- Myślę, że lubię tego twojego małego wilczka. Może i łatwo ją przestraszyć, ale nie przeraziła się Asila i stawiała mu czoło. No i każdy, kto ośmieliłby się owinąć cię w różowy kolor...

Lekarz nagle spowaźniał. Przeciął głupią, różową opaskę i zobaczył przechodzącą na wylot dziurę. Przysunął twarz do rany, by ją powąchać, po czym założył bratu opatrunek z czegoś mniej... widowiskowego.

Charles odkrył nagle, że woli wcześniejszy róż... bo założyła go mu ona.

- Tym razem prawie cię straciliśmy, braciszku. Ale pachnie czysto i wygląda dość zdrowo. A teraz ściągaj spodnie, chcę obejrzeć twoje nogi.

Charles nie lubił się rozbierać. Sądził, że ma w sobie zbyt wiele z Indianina. Do tego niechętnie obnażał swoje rany. Nie lubił, gdy ludzie wiedzieli o jego słabościach, nawet jeśli był to tylko jego ojciec i brat. Niechętnie rozpiął spodnie i pozwolił im opaść.

Samuel zmarszczył brwi, zanim jeszcze odwinął opatrunek. Widać już było brzydki zielonkawy odcień wokół rany. Gdy dziura była już odkryta,

lekarz pochylił nad nią głowę i powąchał, po czym szybko odskoczył do tyłu.

- Kto czyścił ci tę ranę?

- Stado z Chicago ma lekarza – odparł Charles.

Niezbyt wiele wilkołaków wybierało ten zawód. Nikt poza Samuelem, z tego co się orientował. Chicagowski medyk musiał być jednym z nowych, których Leo ukrywał przed Marrokiem. Przebywanie w pobliżu krwi i mięsa było bardzo trudne dla wilkołaków i ciężko im było zebrać wtedy myśli. Jednak żadna z tych rzeczy nigdy jakoś nie rozpraszała Sama.

- To jakiś konował - warknął jego brat. - Czuję srebro z odległości kilku centymetrów.

- Źle wyszkolony w byciu wilkiem - poprawił go Charles. - Żaden z nowych wilków Leo nie wie co robić z nosem - wliczając w to Annę. Wątpię, by umiał wywąchać srebro.

- A ja mam wrażenie, że się ciebie bał, synu - wtrącił z kąta pokoju ich ojciec. - Nie jesteś zbyt miłym pacjentem.

- Wskakuj na stół - zakomenderował lekarz. - Muszę trochę pogrzebać. Tato, będziesz musiał mu trochę pomóc, gdy się tym zajmę.

Bolało dużo bardziej niż sam postrzał, jednak Charles siedział spokojnie, gdy brat grzebał i kopał w ranie. Pot ściekał mu z czoła i pewnie już dawno by się przemienił, gdyby nie pomoc ojca.

Starał się zignorować poczynania Samuela, ale było to niemożliwością. Szczególnie, że tamten co chwila komentował swoje czynności. Gdy w końcu rana została polana roztworem soli fizjologicznej, wszystkie jego mięśnie napięły się w proteście i Charles syknął.

Ale...

- Sorry, stary, coś nadal tu siedzi. - I znów grzebanie i cięcie.

Charles cudem powstrzymywał cisnący mu się na usta krzyk, jednak nie mógł zatrzymać skomlenia, które wyrywało mu się w trakcie zabiegu. W końcu jęknął z ulgi, gdy Samuel oczyścił ranę i zaczął ją bandażować, sygnalizując koniec tortur.

Podczas gdy Charles leżał na stole zabiegowym i próbował sobie przypomnieć jak się oddycha, jego brat przerwał milczenie.

- Nie zostanę tutaj, tato.

Charles przestał martwić się swoją nogą i spojrzał lekarzowi w twarz. Samuel nie był jeszcze w stanie ponownie zamieszkać sam. Bran na pewno też to wiedział – dużo lepiej niż on radził sobie z ludźmi.

Sam ciągnął, jakby nie chciał, by ktoś mu przerwał.

- Nie mogę tutaj zostać. Zbyt wielu ludzi zbyt dużo ode mnie oczekuje. Nie chcę być w stadzie.

Bran spojrzał na niego z kąta pomieszczenia.

- Co więc zamierzasz zrobić?

Samuel uśmiechnął się. Był to szybki przebłysk, który sprawił, że Charlesa zabolalo serce. Jak bardzo jego brat się zmienił przez te ostatnie lata. Cokolwiek się mu stało w przeszłości, zmieniło go nieodwracalnie.

- Myślałem, że wrócę i jeszcze przez jakiś czas pomęcę Mercy.

Mówił spokojnie i zwyczajnie, ale po napiętym ciele widać było, ile ta rozmowa go kosztuje i ile dla niego znaczy.

Może jednak ojcu nie odbiło, gdy popchnął Samuela do Mercy? Charles jednak z doświadczenia wiedział, że romanse nie są ani bezbolesne ani spokojne. Może jednak cechy te nie były tym, czego potrzebował jego braciszek.

- A co z Adamem? - zapytał niechętnie. Mercy mieszkała w Tri-Cities w stanie Waszyngton, a przywódca Stada Dorzecza Kolumbii nie był dość dominujący, by utrzymać grupę z Samem w składzie. Z kolei Adam zbyt długo był Alfą, by zgodzić się na inną pozycję w stadzie.

- Już z nim rozmawiałem. - Padła szybka odpowiedź.

- Zgadza się, byś przejął kontrolę? - Charles był mocno zdziwiony. Inny wilk może by się zgodził na to, ale nie Adam.

Brat oparł się wygodnie o biurko i uśmiechnął się.

- Nie mam zamiaru przejmować jego stada, staruszku. Będę przebywał na tamtejszym terytorium jako samotny wilk. Powiedział, że się na to zgadza.

Twarz Marroka była całkowicie obojętna i młodszy z jego synów wiedział, co niepokoi ich ojca. W ciągu ostatnich dwóch lat, od kiedy Sam wrócił z Teksasu, były noce gdy było mu bardzo trudno znieść bycie samotnym wilkiem.

Samuel, jak jego ojciec - i Asil - był stary. Starość była niebezpieczna dla wilkołaków. Do tej pory nigdy nie wydawała się być kłopotem dla starszego z synów Marroka, ale od jego powrotu coś się w nim zmieniło.

- Oczywiście - ciągnął Sam, jakby nieświadomy myśli rodziny. - On nie wie, że wprowadzam się do Mercy.

Adam również czuł miętę do ich małego kojota, przypomniał sobie Charles.

- W takim razie Mercy ci wybaczyła?

- Mercy? - Zapytany wznosił oczy do nieba i po raz pierwszy od dawna nie widać było w nich cienia. - Nasza Mercy, która nigdy nie wścieka się, gdy może się odegrać? Oczywiście, że nie.

- To jak zdobyłeś jej zgodę na to, by się do niej wprowadzić?

- Jeszcze się nie zgodziła. Ale się zgodzi. - Cokolwiek miał na myśli, jego oczy nagle rozbłysły radośnie. Na ten widok ich ojciec wyprostował się.

- Zgoda. Jedź tam. Myślę, że to najlepsze wyjście – powiedział.

Cokolwiek nie tak było z Samuelem, pobyt w Aspen Creek nie poprawiał jego stanu. Może Mercedes będzie miała więcej szczęścia. O ile nie zabije Sama - albo jego ojca - za ustawienie jej na linii ognia.

Charles był już zmęczony leżeniem twarzą na własnym ubraniu. Usiadł i przez chwilę walczył z dzwonieniem w uszach, które groziło, że znów go pośle do pozycji poziomej.

- Jak się czujesz? - spytał brat, od razu wchodząc w lekarski tryb.

Charles zamknął oczy i złapał oddech.

- Nie czuję już chęci zerwania się i wyrwania drzwi, pewnie dlatego że zrobiłeś już najgorszą część roboty.

- Nieee. Gdybym chciał, mógłbym torturować cię jeszcze dłuższą chwilę.

Charles posłał bratu długie spojrzenie.

- Czuję się już znacznie lepiej. Dziękuję. - Bolało go, ale czuł się już bardziej sobą. Zastanawiał się czemu zatrucie srebrem sprawiło, że stał się tak opiekuńczy w stosunku do Anny. Nigdy nie czuł się w ten sposób.

- Dobra. - Lekarz spojrzał na Marroka. - Nie jutro ani pojutrze. Gdyby to był ktoś inny, zalecałbym jeszcze dziesięć dniu odpoczynku, ale on nie jest głupi i jest twardy. Po usunięciu srebra będzie leczył się niemal tak szybko, jak normalnie. Po środzie żaden obcy nie będzie w stanie stwierdzić, że cokolwiek jest z nim nie tak. Nie będzie więc mu groziło, że ktoś go zaatakuje myśląc, że z osłabionym wilkiem da sobie radę. Ale jeśli chcesz go wysłać, by sam poradził sobie ze stadem, sugeruję wysłać z nim jakiegoś mięśniaka. Przynajmniej jeszcze przez kilka tygodni.

Charles spojrzał na ojca i czekał na jego wyrok. Bieganie po dzikich lasach w środku zimy nie było jego ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu. Te góry niezbyt lubiły podróżnych. Jednak poradziłby sobie z tą sprawą lepiej niż ktokolwiek inny, kogo Marrok mógłby tam wysłać. Szczególnie, jeśli to naprawdę jakiś dziki wilk atakował na terytorium ojca.

W końcu Bran przytaknął.

- Bardziej zależy mi na tobie niż na czasie. Poczekamy tydzień.

- A co masz zamiar zrobić z Asilem? - Spytał Charles. - Pomimo najlepszych intencji księdza Mitchella, Samuela i doktora Wallace'a we własnej osobie, stado jest teraz w paskudnej sytuacji. Jeśli będziesz musiał go zabić, będą poważne konsekwencje.

Bran uśmiechnął się lekko.

- Wiem. Miesiąc temu Asil przyszedł do mnie, narzekając na swoje sny, i ponownie poprosił mnie o ukrócenie jego męki. Nic, czym bym normalnie się martwił, ale w końcu jest Maurem.

- O czym on śni? - Spytał Samuel.

- O swojej martwej partnerce. Została zamęczona na śmierć. On nie chciał o tym mówić, ale wiem, że czuje się winny, że gdy ona była torturowana, on podróżował. Wspominał, że sny się urwały, gdy wstąpił do stada, ale miesiąc temu znów się pojawiły. Wstaje zdeorientowany i... czasami nie w tym miejscu, gdzie kładł się spać.

Niebezpieczne, pomyślał Charles, mieć wilka siłami Maura, który nie

panuje nad sobą.

-Myślisz, że jego śmieć może poczekać? - spytał Samuel.

Bran uśmiechnął się i był to prawdziwy uśmiech.

- Myślę, że to poczeka. Mamy Omegę, która może mu pomóc. - Spojrzał na młodszego syna i jego uśmiech jeszcze się powiększył. - Ona nie ma zamiaru zostawić cię dla niego, bez względu na to co mówi Asil.

*

Salon w mieszkaniu Charlesa, choć bogato wyposażony, według Anny pozostawał ciepły i swojski. Tylko, że to nie był jej dom. Kręciła się niespokojnie od pokoju do pokoju, aż w końcu wylądowała w sypialni. Usiadła pod ścianą i przyciągnęła kolana do piersi. Nie chciała się rozplakać. Była po prostu głupia - nawet nie wiedziała czemu jest taka smutna. Przeszkadzało jej to, że ją odesłał - odkryła to w tej samej chwili, gdy poczuła ulgę że siedzi chwilę sama.

Wilkołaki i przemoc, wilkołaki i śmierć... Występowały razem, jak banany i masło orzechowe. Może lepiej było ukrywać się tutaj niż w Chicago, ale nie zmieniało to faktu, że wszystkie są potworami. TO nie była ich wina, wilków stąd, oni po prostu starali się żyć jak najlepiej z przekleństwem, które czyniło ich drapieżnymi zwierzętami. Nawet Charles. Nawet Marrok. Nawet ona sama. Były zasady odnośnie bycia wilkołakiem - czasami człowiek dla większego dobra musiał po prostu zabić swojego najlepszego przyjaciela.

Ludscy partnerzy starzeją się, podczas gdy wilkołaki pozostają młode. Wilki - jak Asil - próbują zmusić innych do atakowania ich, gdyż sami chcą umrzeć... albo zabijać.

Wzięła drżący oddech. Gdyby lata temu ktoś zabił Leo i jego partnerkę wielu ludzi nadal by żyło... a ona byłaby na ostatnim roku studiów na uniwersytecie stanowym, ze specjalizacją z historii muzyki zamiast... czego?

Musiała znaleźć pracę, coś co da jej cel i odskocznnię dla bycia wilkołakiem. Kelnerowanie w „Scorci” uratowało ją na więcej sposobów, niż tylko w aspekcie finansowym. Trudno pławić się w uzalaniu nad sobą, gdy zdierasz sobie buty osiem - dziesięć godzin dziennie. Może znajdzie tutaj

pracę jako kelnerka, pomyślała.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Podskoczyła w miejscu i energicznie potarła policzki, lecz jej twarz była sucha. Sygnał ponownie rozbrzmiał, więc Anna pospieszyła do drzwi wejściowych. Była taka niezdecydowana. Dosłownie przed dziesięcioma minutami cieszyła się, że została sama, a teraz była uradowana, że ktoś rozproszył jej samotność.

Rzuciła tylko okiem na srebrno - metalicznego Lexusa na podjeździe, gdy jej uwagę całkiem zaabsorbowała stojąca na ganku kobieta. Miała przyjacielski i dobroduszny wyraz twarzy. Jej ciemne włosy były starannie zaplecione we francuski warkocz i były niemal tak samo długie jak włosy Charlesa.

Wilkołak, ostrzegł Annę jej nos.

Nieznajoma uśmiechnęła się i wyciągnęła na powitanie dłoń.

- Jestem Leah - powiedziała. - Żona Marroka.

Omega chwyciła jej dłoń i szybko puściła.

- Wejźmy do środka i porozmawiajmy, dobrze? - odezwała się uprzejmie nowo przybyła.

Anna wiedziała, że Charles nie lubi swojej macochy... podobnie jak samolotów, samochodów i telefonów komórkowych, jeśli o tym mowa. Jednak poza tym nie było podstaw do niepokoju. Zresztą - nie było sposobu by odmówić i nie obrazić ciemnowłosej kobiety.

- Wejź - zaprosiła ją grzecznie, cofając się z przejścia.

Żona Marroka szybkim krokiem weszła do salonu. W środku zatrzymała się i zaczęła oglądać pokój, jakby była tutaj pierwszy raz. Anna odniosła nieprzyjemne wrażenie, że być może popełniła poważny błąd pozwalając jej wejść. Może Charles nie wpuszczał jej do domu - Anna nie widziała innego powodu dla fascynacji Leah umeblowaniem.

Chyba, że cała ta scenka była grą, która miała pokazać Annie, że nie jest nawet tak interesująca jak pokój. Gdy Leah dalej skanowała pomieszczenie wzrokiem - chicagowska wilkołaczyca uznała, że ostatni jej domysł jest najrozsądniejszy. Pokój nie był aż tak duży, by jego oglądanie miało zająć nie wiadomo ile czasu.

- Nie jesteś taka, jak oczekiwałam - wymamrotała w końcu partnerka Marroka. Stała przy kominku podziwiając wiszącą na ścianie, ręcznie zdobioną gitarę. Mogła to być tylko ozdoba, ale dziewczyna miała wrażenie że ktoś jej często używa. W każdym razie ani słowem nie odpowiedziała na uwagę gościa i nie ruszyła się z miejsca - nadal stała przy drzwiach.

Leah odwróciła się w jej stronę, jednak na jej twarzy nie było już nic uprzejmego czy przyjaznego.

- Wybierając ciebie musiał zadowolić się resztkami, prawda? Przebył całą drogę do Chicago, by znaleźć dziecko... kobietę, która dla nikogo nie byłaby żadnego rodzaju wyzwaniem. Powiedz mi... czy siadasz i wstajesz na jego rozkaz?

Złośliwość ataku wskazywała, że miał charakter dużo bardziej osobisty niż tylko pokazanie słabszemu wilkowi jego miejsca. Leah, mimo wszystko partnerka Marroka, brzmiała na zazdrosną. Czy pragnęła dla siebie również Charlesa?

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się z trzaskiem i - wraz z zimnym powietrzem i oparami francuskich perfum - weszła druga kobieta. Była wysoka i szczupła, wyglądała jak modelka - do tego zamożna. Brązowe włosy zdobiły złote pasma, a policzki muśnięte były złocistym pudrem, lecz w jej twarzy to wspaniałe, błękitne oczy najbardziej przykuwały wzrok.

Anna rozpoznała ją z pogrzebu. Była nie tylko piękna, ale i dramatyczna, a to połączenie sprawiało, że łatwo zapadała w pamięć. Zatrzasnęła za sobą drzwi i rzuciła na fotel zimową kurtkę. Nadal ubrana była w te same ubrania, co w kościele.

- Och, proszę cię, Leah. „Siądź i wstań”? Mogłaś wymyślić coś lepszego niż to, skarbie. - Głos nieznanemu był głęboki i niósł w sobie echo parnego Południa. Do Anny zaś powiedziała. - Przepraszam, że tak tu wtargnęłam, ale zgadywałam, że możesz potrzebować ratunku przed naszą Królową Suk.

- Wyjdź, Sage. To nie ma nic wspólnego z tobą - rozkazała ostro Leah. Nie wyglądała na taką, co ma się obrazić za przezwisko.

- Kochanie... - Usłyszała w odpowiedzi słodki głosik. - Bardzo bym chciała, ale moje rozkazy pochodzą od samego szefa, który jest o stopień wyżej w hierarchii niż ty. - Jasnobłękitne oczy prześliznęły się na Omegę. - Ty musisz być Anną Charlesa. Jestem Sage Carhardt. Przepraszam za niegrzeczne powitanie, ale cokolwiek czyniło Charliego szczęśliwym sprawia, że jej ogon aż drży z niechęci. A to dlatego, że nasz Alfa kocha swoich synów.

- Zamknij się! - warknęła żona Marroka. Powiew władzy przeszedł przez pokój, odrzucając Sage dwa kroki wstecz. Zabawne, Anna była pewna że to jasnooka piękność była bardziej dominująca... Wtedy zrozumiała, że tamta zaczerpnęła energię od Marroka. Kobieta zajmuje równoległe miejsce do swego partnera. Omega wiedziała o tym, ale aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy pełnych konsekwencji tego faktu.

- Ty - Leah na chwilę przeniosła uwagę na Annę. - Siadaj na kanapie. Zajmę się tobą za minutę.

Rozsądna kobieta by jej posłuchała, pomyślała z żalem młoda kobieta. Osoba, którą była jeszcze tydzień temu drżąca usiadłaby i posłusznie czekała na rozkazy. Jednak teraz Anna, która została partnerką Charlesa, która była Omegą, a przez to poza rozkazami stada, uniosła wysoko brodę i odpowiedziała spokojnie.

- Nie dziękuję. Myślę, że powinnaś już wyjść i wrócić kiedy mój... - Trzy lata jako wilkołak, ale nadal nazywanie Charlesa partnerem brzmiało dla niej źle. Nawet nie był jej mężem. - Kiedy Charles tu będzie.

Chwila wahania zabrała wiele z siły jej oświadczenia, jednak Sage nie zwróciła na to uwagi. Jej twarz rozświetlił zachwyty.

- Tak, Leah. Dlaczego nie wrócisz, gdy będzie tu Charlie? Chciałabym to zobaczyć.

Ciemnowłosa kobieta nie zwracała na nią uwagi. Zmarszczyła brwi, zdziwiona nieposłuszeństwem Anny.

- Siadaj - rozkazała. Anna poczuła jak moc głosu tamtej płynie w jej kierunku i bez efektu spływa po jej ciele.

Omega zmarszczyła za to brwi, tknięta nagłą myślą.

- Widziałam Sage na pogrzebie, ale Marrok był sam. Dlaczego nie siedziałaś koło niego?

- Nie miał żadnego interesu by tam być. – Padła pełna pasji odpowiedź.

- Zabił Cartera. A teraz udaje, że go oplakuje? Nie mogłam go powstrzymać przed tą podróżą. Nigdy mnie jednak nie słucha, czyż nie? Jego synowie są jego doradcami, a ja jestem tylko substytutem jego utraconej miłości. Tej nieprawdopodobnie pięknej, indiańskiej suki, która była taka skora do samopoświęcenia. Nie mogłam go powstrzymać, ale nie miałam go też zamiaru popierać. - Gdy kończyła mówić po jej policzkach ciekły łzy. Otarła

je i spojrzała na wilgotną dłoń, po czym z wyrazem przerażenia wyrysowanym na twarzy przeniosła wzrok na Annę. - O Boże. O mój Boże. Jesteś jedną z nich. Powinnam była wiedzieć, powinnam była wiedzieć, że Charles przyprowadzi coś takiego jak ty na moje terytorium.

Wybiegła wraz z podmuchem wiatru i mocy, pozostawiając Annę starającą się nie okazać, jak bardzo czuła się oszołomiona.

- Dałabym każde pieniądze, by to zobaczyć. - Uśmiech rozjaśnił twarz Sage. - Och kochanie - Westchnęła. - Jestem taka szczęśliwa, że Charles sprowadził cię do domu. Najpierw Asil, teraz Leah. Życie będzie dużo ciekawsze, gdy będziesz w pobliżu.

Anna wytarła spocone dłonie w dzinsy. Było coś dziwnego w odpowiedzi Leah, jakby była niemal siłą zmuszona do wypowiedzenia tamtych słów. Przełknęła ślinę i spróbowała przybrać życzliwy, spokojny wyraz twarzy.

- Chciałabyś się czegoś napić?

- Oczywiście. - Przytaknęła niebieskooka kobieta. - Chociaż znając Charliego, nie ma pewnie nic dobrego do picia. Zrobię nam herbatę i opowiem ci o sobie. A potem ty będziesz mogła mi powiedzieć coś o tobie.

*

Charles pozwolił ojcu podprowadzić się do Humvee.

- Tak, no cóż - mruknął Bran niemal warcząc, co pokazało jego synowi, jak mocno był zaniepokojony. - To nauczy cię, by następnym razem robić szybsze uniki.

- Przepraszam. – potulnie przeprosił Charles sadowiąc się w fotelu pasażera.

- Dobra. Tylko nie pozwól by to się powtórzyło. - mruknął starszy z wilków, zamykając delikatnie drzwi.

Charles zapiął pasy. Prawdopodobnie i bez nich przetrwałby sposób jazdy ojca, ale pasy przydadzą się, by utrzymać go w fotelu.

Pieczenie, które zaciemniało mu myśli zniknęło, ale nadal nie był w najlepszym stanie. Mimo zupy, którą brat odgrzał mu w mikrofalce był słaby jak nowo narodzone kociątko. Brat Wilk był niespokojny, chciał tylko znaleźć sobie jakieś bezpieczne i ciemne miejsce, by odpocząć.

- Naprawdę masz zamiar pozwolić Samowi być samotnym wilkiem? - Przerwał w końcu ciszę. Marrok był zaborczy i terytorialny i w przeciwieństwie do niego nie był skłonny pozwolić odejść tym, którzy do niego należą. Ostatnim razem, gdy Samuel odszedł, nie poprosił o zgodę. Po prostu zniknął. Wytropienie go zajęło Charlesowi kilka ładnych lat.

- Jestem tak wdzięczny, że znalazł coś co chce robić, że nawet zaszantażowałbym kogoś, by mu to umożliwić.

- A nie zrobiłeś tego? - Charles lubił Adama, Alfę z Tri-Cities, jednak zdziwił się, że Marrok nie wymusił na nim zgody na obecność swojego starszego syna. Niewiele Alf zgodziłoby się na pobyt dominującego samotnego wilka na ich terytorium.

- Jeszcze nie. Chociaż myślę, że będę musiał mu trochę pomóc z Mercedes. Nie była szczęśliwa, gdy wysłałem Samuela do domu razem z nią.

- On da sobie radę z Mercy.

- Mam taką nadzieję. - Bran zacisnął dłonie wokół kierownicy. - Lubię twoją Annę. Wygląda na taką nieśmiałą i cichą, jak kwiat, który złamie się przy pierwszy ostrzejszym słowie. Ale wtedy robi coś takiego jak przeciwstawienie się Asilowi.

Gdy gwałtownie wyminęli lodziarkę i ruszyli drogą do jego domu, Charles położył dłonie na siedzeniu.

- Powinieneś zobaczyć ją z wałkiem do ciasta.

Nawet nie próbował ukryć zadowolenia w głosie. Z każdą chwilą czuł się lepiej. W uszach przestało mu dzwonić i jego kontrola wracała. Trochę jedzenia i snu... i będzie niemal jak nowy.

- Będziesz chciał wejść? - spytał ojca bardziej z grzeczności niż z pragnienia.

- Nie. - Bran przecząco pokręcił głową. - Wyślij też Sage do domu. Ona będzie chciała pogadać, a ty i Anna potrzebujecie teraz czasu. Anna była trochę zdenerwowana pod koniec obrządku.

Charles spojrział ostro.

- Myślałem, że to była tylko reakcja na pogrzeb. Zbyt wielu ludzi, których nie znała.

- Nie, tam było coś jeszcze.

Ranny cofnął się w pamięci do ostatnich chwil w kościele, jednak nie dostrzegł tego, co sugerował jego ojciec.

- Nie zauważyłem niczego takiego.

- Na pewno to zrobiłeś. Jak myślisz, dlaczego byłeś jak szalony, gdy ona odjechała?

- To przez tą scenę z Asilem? - Jeśli to Asil ją zdenerwował, Charles chętnie się nim zajmie. Dzięki temu ojciec nie będzie musiał się nim więcej kłopotać.

Bran roześmiał się i potrząsnął przecząco głową.

- Tyle razy ci mówiłem, że mogę wkładać ludziom do głowy myśli, ale nie jestem w stanie ich stamtąd wyciągać. Nie wiem co ją zdenerwowało. Spytaj ją.

Cud nad cuda, ale dotarli do drzwi wejściowych bez żadnych niespodzianek. Charles wysunął się z samochodu i przez chwilę opierał o maskę, czkając aż nogi przestaną pod nim drżeć. Marrok patrzył na niego uważnie, ale nie zaproponował pomocy.

- Dzięki. - Nienawidził bycia słabym. Jeszcze bardziej zaś nienawidził, gdy próbowano go niańczyć. A raczej nienawidził tego do czasów Anny.

- Wejdz do środka zanim upadniesz. To będzie dostateczne podziękowanie.

Może to zimno, a może coś innego sprawiło, że kolana przestały mu drżeć i mógł niemal normalnie podejść do drzwi wejściowych.

Jego ojciec zatrąbił dwa razy i odjechał, gdy tylko jego syn dotknął klamki. Gdy Charles wsunął się do domu, znalazł Sage i Annę siedzące przy stole w jadalni, nad filiżankami z herbatą. Wyczulony nos powiedział mu jednak, że był tutaj wcześniej jeszcze inny gość.

Czuł się głupio, gdy ojciec wysłał Sage do jego domu. Ale wyczuwając

zapach Leah ucieszył się na myśl o swojej paranoi. Tej ostatniej nie zajęło zbyt wiele czasu wykonanie pierwszego ruchu.

Sage urwała jakąś opowieść w pół słowa.

- Charlie, wyglądasz jakbyś wyrwał się z piekła. - Zerwała się na równe nogi i pocałowała go w policzek. Uśmiechnęła się do niego, po czym złapała swój kubek i wstawiła go do zlewu w kuchni.

- Dzięki - powiedział oschle.

Ta uśmiechnęła się tylko.

- Zabieram się już stąd i mam zamiar zostawić waszą dwójkę nowożeńców dla siebie. Anno - nie daj mu się uwięzić w tej jego jaskini. Zadzwoń do mnie to się wybierzemy do Missouli na jakieś zakupy czy coś. - Jeszcze raz lekko poklepała Charlesa po ramieniu i wyszła.

Anna popijała spokojnie herbatę i patrzyła na niego swoimi ciemnymi, niezglębionymi oczami. Rano związała włosy gumką i mężczyzna poczuł, że brakuje mu widoku loków w kolorze whiskey, otaczających swobodnie jej twarz.

- Mówiła do ciebie Charlie - odezwała się.

Uniósł brwi na ten komentarz.

Uśmiechnęła się, co nagle rozjaśniło jej poważną twarz.

- To do ciebie nie pasuje.

- Sage jest jedyną osobą, która nie zdaje sobie z tego sprawy - mruknął. - Na szczęście.

Podniosła się z krzesła.

- Zrobić ci herbaty? Albo coś do jedzenia?

W drodze do domu był cholernie głodny, jednak nagle poczuł, że jedyne na co ma ochotę, to sen. Nie miał nawet siły chodzić.

- Nie. Myślę, że pójdę spać.

Zabrała swój kubek do kuchni i wstawiła go do zmywarki. Pomimo własnych słów, skierował się za nią.

- Co powiedział twój brat?

- W łydce nadal było trochę srebra. Usunął je.

- Niezbyt zabawne - mruknęła posyłając mu ostre spojrzenie.

Nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu.

- Nie.

Podeszła do niego i wsunęła mu się pod pachę, obejmując go w talii ramieniem.

- Chodźmy, ledwo stoisz. Zapakujmy cię do łóżka, nim upadniesz.

Nie miał nic przeciwko jej pomocy. Ani trochę. Mogła nawet nazywać go Charlie i nie miałby żadnych obiekcji, póki tylko stała przy jego boku.

Pomogła mu pozbyć się ubrań. Nie miał na sobie kurtki, więc nie było to tak bolesne. Gdy wylądował w łóżku, Anna zaciągnęła żaluzje i zaciemniła pokój. Gdy przykrywała go kołdrą, złapał ją delikatnie za nadgarstek.

- Zostaniesz ze mną? - Był zbyt zmęczony by rozmawiać, ale nie chciał by była sama, skoro jego ojciec uważał, że coś jej przeszkadza.

Zamarła, a zapach jej przerażenia przetestował jego kontrolę, którą na nowo odnalazł po pozbyciu się z organizmu srebra. Nie miał nic do zabicia poza duchami. Uspokoił więc rosnącą wściekłość i czekał, aż ona zdecyduje co zrobi. Mógł puścić jej dłoń i był gotów to zrobić... ale tylko, jeśli ona położy się przy jego boku.

Nie był pewien czemu się tego tak bała - mimo że spała z nim zeszłej nocy - dopóki nie przeniosła spojrzenia na jego dłoń. Ktoś zmuszał ją i szarpał, pomyślał. Pewnie nawet więcej niż raz. Wściekłość znów zaczęła w nim rosnać, ale ona wtedy przykryła jego rękę swoją.

- Dobrze - zgodziła się trochę ochryplym głosem.

Pół sekundy później wysunęła swoją dłoń i usiadła na brzegu łóżka, by zdjąć tenisówki. Potem jeszcze dzinsy i koszulkę, i już leżała obok niego. Jej ciało było sztywne i niechętne.

Odwrócił się do niej plecami mając nadzieję, że zrozumie, że nie miał zamiaru do niczego jej zmuszać i że wtedy się uspokoi. Zdał sobie sprawę, że chciał, by została przy nim to nie tylko dla jej bezpieczeństwa. Czuł się lepiej mając ją bezpieczną przy swoim boku. Usnął, wsłuchany w jej oddech.

*

Pachniał wspaniale. Gdy przez sen jego ciało odprężyło się, poczuła, że i z niej powoli spływa napięcie. Nie była ranna, ale jak on - była zmęczona. Zmęczona byciem na widoku, zmęczona myśleniem co powinna zrobić teraz.

Miała tyle pytań. Nie spytała go o dziwną reakcję na nią jego macochy czy o Asila, ponieważ wyglądał jakby miał zamiar usnąć na stojąco... co w zasadzie niemal się zdarzyło.

Spojrzała na nadgarstek. Nie było na nim żadnych nowych siniaków, nie zrobił jej krzywdy. Nie wiedziała czemu uścisk jego dłoni obudził w niej panikę - większość cierpień jakich doświadczyła była przed nią ukryta. Ale jej ciało pamiętało kruszący kości uchwyt i kogoś krzyczącego na nią, gdy ją krzywdził... Była uwięziona i nie mogła przed nim uciec.

Jej puls przyspieszył i czuła, jak wilk w niej poruszył się niespokojnie, szykując się do jej obrony. Odetchnęła zapachem Charlesa i pozwoliła, by przepłynął przez nią, kojąc bestię. Charles nigdy jej nie skrzywdzi. Wiedziała o tym i ona, i jej wilk.

Po kilku chwilach Anna zebrała odwagę i wślizgnęła się pod kołdrę. Gdy śpiący nawet się nie poruszył, zaczęła przysuwać się coraz bliżej niego. Zatrzymywała się co chwila, gdy jej ciało starało się przypomnieć jej jak bardzo jest dominujący i że może ją skrzywdzić.

Wilki, co wiedziała z podsłuchanych rozmów, są zwykle spragnione dotyku. Mężczyźni w chicagowskim stadzie dotykali się dużo częściej niż zwykła grupa heteroseksualnych mężczyzn. Ale bycie blisko innego wilka nigdy nie przynosiło jej spokoju czy komfortu.

Zawsze może wezwać swojego wewnętrznego wilka na pomoc, tak jak to zrobiła zeszłej nocy. Wtedy mogłaby zwinąć się tuż przy nim i wdychać jego oddech. Jednak skoro on spał, Anna pomyślała, że to dobra okazja by poradzić sobie z kilkoma jej innymi problemami. Wilk mógł rozwiązać bieżące

kwestie, ale dziewczyna chciała móc dotykać go i bez niego.

Łóżko sprawiało, że wszystko było jeszcze trudniejsze. Czuła się słaba i trudno jej było zbliżyć się do niego. Asil powiedział, że Charles nie lubi, jak się go dotyka. Zastanawiała się, dlaczego? Nie wyglądało, by przeszkadzał mu jej dotyk.

Wyciągnęła rękę do przodu, aż poczuła ciepłe prześcieradło, ogrzane jego żarem. Palcami dotknęła jego ciała i wpadła w panikę. Była zadowolona, że Charles śpi i nie widzi, jak szybko ucieka dłonią i przytula ją do ściśniętego żołądka. Starła się nie trząść, by nie zobaczył jej takiej - tchórza.

Zastanawiała się, dlaczego nadzieja była dużo trudniejsza niż rozpacz.

ROZDZIAŁ 5

Anna przeszukiwała szafki w kuchni. Charles z pewnością obudzi się głodny. Na szczęście facet miał dom zaopatrzony jak przed jakimś oblężeniem. Pomyślała o kuchni włoskiej – ostatnio dobrze sobie radziła z gotowaniem włoskich dań – lecz nie miała pojęcia czy Charles ją lubił. Gulasz wydawał się bezpieczniejszym wyborem.

Zamrażarka w piwnicy była pełna mięsa, zapakowanego w wyraźnie opisane pakunki. Wyjęła paczkę oznaczoną jako gulasz z łosia i zaczęła rozmrażać je na blacie. Nigdy nie jadła łosia, lecz założyła, że mięso na gulasz jest mięsem na gulasz. W lodówce znalazła marchewki, cebulę i seler. Wszystko, czego teraz potrzebowała, to ziemniaki. Nie było ich w lodówce ani na blacie, nie było ich na lodówce ani pod zlewem. Ktoś tak świetnie zaopatrzony jak Charles musiał mieć gdzieś ziemniaki... Chyba, że ich nie lubił.

Właśnie tkwiła z głową w jednej z niższych szafek, podśpiewując sobie „Gdzie, och gdzie, podziały się ziemniaki”, kiedy przestraszył ją dźwięk komórki. Poderwała głowę do góry i grzotnęła nią w spód blatu.

Telefon znajdował się w sypialni, czekała więc aż Charles go odbierze. Jednak dzwonek wciąż nie cichł.

Wzruszyła w myślach ramionami i spróbowała wyczuć zapach jarzyn. Charles powiedział, że nie umie używać nosa. Jednak jeśli gdzieś były, ich zapach kamuflowały przyprawy i owoce, które Charles trzymał w kuchni.

Telefon na ścianie również się rozdzwonił. Był to stary aparat z obrotową tarczą, wynaleziony na długo przed identyfikacją rozmówcy. Anna wpatrywała się w niego, z poczuciem rosnącej frustracji. To nie był jej dom. Po dziesięciu sygnałach w końcu odebrała.

-Halo?

-Anna? Daj proszę Charlesa. – Bez wątpienia, był to Bran.

Zerknęła na drzwi do sypialni i zmarszczyła brwi. Skoro do tej pory nie odebrał, to z pewnością potrzebował snu.

-Charles śpi. Mogę coś przekazać?

-Obawiam się, że to nie wystarczy. Proszę obudź go i powiedz, że muszę z nim pogadać.

Jego „proszę” zabrzmiało jakby powiedziane z czystej uprzejmości. To był wyraźny rozkaz.

Anna niechętnie odłożyła słuchawkę na blat i poszła po Charlesa. Zanim jednak dotarła do drzwi, te otworzyły się i ukazał się w nich syn Brana. Miał na sobie tylko jeansy i właśnie naciągał na siebie koszulkę.

-To tata? -zapytał.

Anna skinęła głową, na co minął ją i podniósł słuchawkę do ucha.

-Czego potrzebowałaś?

-Mamy problem. -Anna usłyszała słowa Brana. – Potrzebuję cię... i może zabierz ze sobą Annę. Przyjedźcie tu, tak szybko jak tylko możecie.

Bran potrzebował Charlesa. Syn był jego wykonawcą, jego zabójcą. Wiele razy ryzykował dla ojca życie, a ona będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

Zanim skończył rozmowę, Anna już nakładała na siebie kurtkę. Charles cofnął się do sypialni i po chwili wyłonił się z niej, trzymając w dłoni skarpetki i buty.

-Pomożesz mi z butami? -spytał. – Mam problem ze schylaniem.

Prowadziła jak ktoś, kto nigdy nie jeździł po śliskiej drodze. A może nie jeździła. Jednak dzisiaj lepiej dawała sobie radę, a nie myślał, że stan dróg się pogorszył. Najwyraźniej wciąż ją dręczyło. Wyczuwał zapach jej niepokoju, lecz nie wiedział co może na to poradzić. Gdyby jego żebra były w lepszym stanie, sam usiadłby za kierownicą, lecz teraz zadowolił się dawaniem jej wskazówek.

Kiedy zarzucając samochodem wjechała na podjazd jego ojca, Charles zacisnął dłoń na uchwycie przy drzwiach. Anna wyczuła jak jest napięty i zwolniła. Tuż przed drzwiami stał jasnozielony SUV z rządowymi tablicami: Służba Leśna.

Z jakiegokolwiek powodu dzwonił jego ojciec, musiało mieć to bezpośredni związek z dzikim wilkiem w lesie. Może znaleźli kolejne ciało.

Anna podjechała pod do mi zatrzymała samochód za zieloną terenówką.

-Czujesz to? -spytał Annę, kiedy obchodziła ciężarówkę, by stanąć koło niego.

Przechyliła głowę na bok i przez chwilę koncentrowała się na zapachu.

-To krew?

-Świeża – odparł. – Przeszkadza ci to?

-Nie. A powinno?

-Gdybyś była jakimkolwiek innym wilkiem, Omega, od razu poczułabyś głód.

Spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

-Tak, ja również. Jednak jestem na tyle stary, że zbytnio mi to nie przeszkadza.

Nie zadał sobie trudu z pukaniem do drzwi – jego ojciec z pewnością słyszał, że już przyjechali. Zapach krwi zaprowadził ich do sypialni.

Był już tam Samuel. Rozpoznał schludne opatrunki z bandaża, mimo że nie poznawał starszego człowieka leżącego na prześcieradłach. Był człowiekiem, tak jak Heather Morrell, która siedziała na pobliskim krześle i trzymała starca za rękę.

Heather podniosła wzrok. Na jej twarzy pojawił się strach, jednak Charles nie zrobił nic, by go złagodzić. Wywoływanie w ludziach strachu było jednym z powodów, które uczyniły z niego tak skutecznego wykonawcę swojego ojca. Poza tym, zanim nie porozmawia z ojcem i dowie się o co chodzi, nie mógł powiedzieć jej nic, by ją pocieszyć.

-Gdzie jest Marrok? -zapytał.

-Czeka na ciebie w gabinecie.

Cofnął się lekko i chciał wyjść, kiedy usłyszał jej cichy głos.

-Jack to dobry człowiek.

Spojrzał na nią nad swoim ramieniem i zobaczył, że kobieta z napięciem się w niego wpatruje. Mógł ją zapytać, co miała na myśli, jednak najpierw musiał porozmawiać z ojcem. Anna nie odezwała się, lecz po jej rosnącym napięciu poznał, że wyczuła jakieś podteksty. Jeśli się nie mylił, dalsza egzystencja przyjaciela Heather, Jacka, stała pod znakiem zapytania. Skinął więc tylko głową i skierował się do gabinetu. Anna ruszyła za nim.

W kominku płonął ogień – z doświadczenia wiedział, że to zły znak.

Ojciec rozpalał go tylko wtedy, gdy był zmartwiony. Marrok ze skrzyżowanymi nogami siedział na podłodze i wpatrywał się w płomienie.

Charles zatrzymał się tuż za drzwiami, lecz Anna minęła go i wyciągnęła

dłonie do ciepła. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

W końcu, Bran westchnął i wstał, po czym powoli okrążył Charlesa.

-Jak się czujesz? – zapytał, stając twarzą do syna.

Czuł w nodze pałacy ból i był zbyt słaby, by teraz wyruszyć. Nie zamierzał kłamać swojemu ojcu, jednak nie chciał też wymieniać wszystkich swoich cierpień.

-Lepiej. Czego potrzebujesz?

Bran założył ręce na piersi.

-W tym tygodniu zabiłem już kogoś, kogo nie chciałem. Nie chcę robić tego ponownie.

-Jacka trzeba zabić? – Czy ojciec chciał, by on to zrobił? Z niepokojem spojrzał na Annę, która podeszła bliżej ognia i zgarbiła ramiona, nie patrząc na żadnego z nich. On również w tym tygodniu nie chciał już nikogo zabijać.

Bran wzruszył ramionami.

-Nie. Jeśli trzeba będzie to zrobić, zajmę się tym. Mam jednak nadzieję, że uda się tego uniknąć. To jeden ze współpracowników Heather. Byli w terenie razem z ekipą ratunkową szukając kolejnego zaginionego myśliwego, kiedy zaatakował ich wilkołak. Nie ma wątpliwości co to było. Heather wyraźnie go widziała. Postrzeliła go i potrafiła samochodem – od chwili, kiedy jasne się stało, co zabiło poprzedniego łowcę, ładuje bron srebrnymi kulami. Powiedziała mi, że Jack powiązał przypadek napastnika i martwego myśliwego, kiedy w drodze tutaj raz po raz tracił i odzyskiwał przytomność.

-Przywiozła go tutaj, bo został Przemieniony?

-Ona myśli, że być może uległ Przemianie, lecz Samuel jest odmiennego zdania. Nie wyrządzono mu wystarczająco dużo szkód, a i nie zdrowieje zbyt szybko. -Wykonał jeden z tych gestów, w których był dobry. Ten mówił: Jestem tylko amatorem. Najlepiej zostawię wszystko ekspertom. – Jego problemem najwyraźniej nie są rany, lecz znaczna utrata krwi. A kiedy tylko go tu przywiozła, nasza Heather zaczęła tego żałować. Samuel wydał oświadczenie.

-Co rozważacie? – Charles nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że Anna słucha każdego słowa. Część niego chciała to przed nią ukryć i chronić ją przed nieprzyjemną stroną jego życia. Jednak nie chciał budować związku w oparciu o półprawdy i sekrety. Poza tym i tak wiedziała, jak podłe potrafi być życie.

Bran odsunął krzesło do tyłu i westchnął.

-Jeśli strażnik leśny pojawi się publicznie i powie, że został zaatakowany przez wilkołaka – na przykład będzie to doświadczony, szanowany człowiek, jakim jest Jack – ludzie go posłuchają. A zanim zamknęła jadaczkę, Heather

powiedziała mi, że to bardzo otwarty człowiek. Jeśli pomyśli, że jego ludziom coś grozi, roztrąbi o wszystkim tak głośno jak tylko może, bez względu na to, jak szalenie to zabrzmi.

Charles napotkał spojrzenie ojca. Kiedy indziej mogliby sobie odpuścić. Gdyby ukrećili łeb problemowi z wilkiem i nie było by więcej śmierci... Każdy pożar wygaśnie z braku ognia. Jednak jego ojciec wierzył, że wkrótce będą musieli ujawnić się społeczeństwu. Nie mogli sobie pozwolić na złą sławę.

Charles chciał dać sobie więcej czasu na to, by wyszukać jakieś inne wyjście z sytuacji.

-Jak udało jej się wydostać go stamtąd? – zapytał. Znał te lasy. O tej porze roku można było poruszać się po nich jedynie w butach śnieżnych lub z zaprzęgiem. Heather zaś nie była wilkołakiem, który mógł unieść większy ciężar niż ona sama.

-Zadzwoiła do wuja. Tag go wy dostał.

Ach. To dlatego Bran wydawał się za ledwie zamyślony, a nie całkowicie zamknięty w sobie – jak zawsze, kiedy musiał zająć się jakąś nieprzyjemną sprawą.

Charles rzucił ojcu nieznaczny, pełen ulgi uśmiech.

-Cholerna spryciara-powiedział. Heather miała czterdzieści trzy lata, jednak biorąc pod uwagę, że był świadkiem jej narodzin, dla niego była wciąż dzieckiem. Co więcej, dla Colina Taggarta, swojego ogromnego wuja, również. – Jeśli więc postąpisz tak, jak powinienes i wyeliminujesz tego wysoce szanowanego, odpowiedzialnego i niewinnego człowieka, będziesz miał na karku bunt?

Tag był bardzo opiekuńczy względem tych, których uważał za swoich. Skoro więc uratował tego strażnika, to wystarczyło, by stał się jednym z nich. Jeśli więc Bran zdecydował się usunąć ранnego przyjaciela Heather, musiałby najpierw pokonać Taga. Dzięki Bogu.

Bran westchnął ponownie.

-Byłbym szczęśliwszy z tego powodu, gdyby nie znaczyło to, że muszę posłać cię na wpół uleczonego w pogoń za jakimś dzikim wilkiem. Jestem całkiem pewien, że kiedy już wyeliminujemy zagrożenie – i pokażemy znajomemu Heather, że jego napastnik był zarówno bandytą jak i potworem -Jack będzie skłonny milczeć, kiedy już się ujawnimy. Jednak będziesz musiał wkrótce to zrobić. Ten wilk musi zginąć zanim Jack wstanie z łóżka i zażąda, by go

wypuścić.

-Nie możesz wysłać nikogo innego? – spytała cicho Anna.

Bran potrząsnął głową.

-Trzeba się tym zająć szybko, po cichu... i skutecznie. Charles jest jedynym, którego znam, a który potrafi utrzymać z dala ludzkie władze, jeśli

sprawy zaczną się komplikować. – Uśmiechnął się lekko. – Ufam mu również, że nie przyłączy się do zabójcy, by zapolować na ludzi.

Charles zmrużonymi oczami przyjrzał się ojcu. Mógł to ująć w mniej... desperacki sposób.

-Mało prawdopodobne, by ten wilk był bardziej dominujący ode mnie, nie może więc mnie oszukać lub zmanipulować -wyjaśnił Annie. – A jeśli sprawy „zaczną się komplikować”, mam w zanadrzu nieco magii, by zatuszować dowody. Nie jestem tak dobry, jak prawdziwa czarownica, lecz sądzę, że w naszych dzikich lasach nie ma co liczyć na najlepszą technologię dochodzeniową.

-Tak. Ale też w Aspen Creek nie ma innego wilka, który poradziłby sobie z polowaniem na taką zdobycz i nie zatracić się w szale. – Bran odwrócił wzrok na Annę, która wciąż wpatrywała się w ogień. – Zabicie czującej istoty uzależnia o wiele bardziej niż polowanie na króliki podczas pełni księżyca. Poza tym Aspen Creek jest sanktuarium dla tych wilków, które mają problemy... lub które je powodują. Rodzaj wilków, które poradzą sobie z polowaniem na innego wilka, są wystarczająco silne, by wysłać je w dziki świat. Zazwyczaj nie trzymam ich przy sobie.

-Więc wszystkie wilki w twoim stadzie są psychiczne? -spytała. Charles nie potrafił stwierdzić czy mówiła poważnie, czy był to tylko żart. Może, przy bliższym zastanowieniu, rzeczywiście się tak bardzo nie myliła.

Bran odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

-Bynajmniej, moja droga. Jednak nie poradzą sobie z tym. Gdybym myślał, że ryzykuję życie Charlesa, znalazłbym kogoś innego. Nie będzie mu wygodnie i z pewnością nie będzie też łatwe, lecz w całym kraju nie ma ani jednego wilka, który zna te lasy tak dobrze jak mój syn. I ranny czy nie, da radę każdemu wilkowi, którego byś nie wymieniła.

-Wysyłasz go samego?

Charles nie mógł nic wyczytać z jej głosu, lecz jego ojciec wychwycił coś,

co go zaintrygowało.

-Niekoniecznie. – Miał na twarzy taki wyraz, jakby znalazł sposób na rozwiązanie trapiącego go problemu. Charles nie domyślił się co ojciec miał na myśli wystarczająco szybko, by go powstrzymać. – Ty mogłabyś z nim jechać.

-Nie – powiedział natychmiast Charles, lecz doznał dziwnego uczucia, że się spóźnił.

Bran w ogóle nie zwrócił na niego uwagi.

-To nie będzie zabawa. To naprawdę dzikie góry, a ty jesteś miastową dziewczyną.

-Jestem wilkołakiem – powiedziała unosząc bojowniczo brodę. – Powinnam dać sobie radę z nieco dzikim terenem, nie sądzisz?

-Ona nie ma żadnej kurtki, rękawic czy butów -warknął Charles z lekką desperacją. Widział, że jego ojciec podjął już decyzję, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego Bran tak bardzo do tego dążył. – O tej porze roku będziemy używać butów śnieżnych, a Anna nie ma doświadczenia. Będzie mnie spowalniać.

Jego ojciec wyglądał w taki sposób, kiedy chciał coś osiągnąć.

-Bardziej niż dziura w twojej łydce? – Założył ręce na piersi i zakolysał się na piętach. Z twarzy Charlesa musiał odczytać zdecydowaną odmowę, ponieważ westchnął i przeszedł na walijski. – Potrzebujecie czasu, by wypracować między wami pewne sprawy. Ona nie ufa żadnemu z nas. Tutaj jest zbyt wielu ludzi, którzy będą stroszyć jej pióra. – Jego ojciec był dżentelmenem. Nigdy nie powiedziałby złego słowa na swoją partnerkę, oboje jednak wiedzieli, że mówił o Leah. -Twoja Anna musi cię poznać, a ty nie ujawniasz swojej natury przed nikim. Weź ją ze sobą i spędźcie razem kilka dni. To jej dobrze zrobi.

-Żeby patrzyła, jak zabijam intruza? -Charles wybuchł w tym samym języku. Anna wiedziała kim był, lecz nie musiał rzucać jej tego w twarz. Przywykł już do tego, że przeraża innych, jednakże nie chciał przerazić również i jej. – Jestem pewien, że bardzo ją to do mnie przekona.

-Być może. – Kiedy już jego ojciec obrał jakiś kurs, niemożliwe było, żeby zmienił zdanie. Każdy, kto wtedy próbował stanąć mu na drodze, był zmiotany z drogi, niczym zwykły pionek. Charles nie lubił być takim pionkiem. W milczeniu zaczął wpatrywać się w ojca.

Stary bard uśmiechnął się lekko.

-W porządku -powiedział Charles po angielsku. – Niech będzie.

Uniosła brodę.

-Postaram się cię nie spowolnić.

Charles poczuł się, jakby dostał cios w żołądek. Udało mu się sprawić, że poczuła się niechciana, chociaż wcale nie miał tego na myśli. Nie miał talent do prawienia pięknych słów, lecz i tak spróbuje wszystko naprawić.

-Nie martwi mnie to, że mnie spowolnisz – powiedział jej. – Ojciec ma rację. Z ta nogą nie będę bił żadnych rekordów prędkości. To nie będzie żadna zabawa. Nie w tych górach, zimą.

Nie chciał, żeby znów widziała, jak zabijał. Czasami to było w porządku, kiedy ktoś z nim walczył, jak wcześniej Leo. Lecz czasami płakali i błagali. A i tak musiał ich zabić.

-Dobrze – odparła Anna. Napięcie w jej głosie powiedziało mu, że nie naprawił szkód... jednak nie mógł jej skłamać i powiedzieć, że chciał ją mieć przy sobie. Nie mógł. A chociaż wiedział, że jej zdolność rozpoznawania kłamstwa wciąż nie była najlepsza, nie chciał okłamywać swojej partnerki.

-Rozumiem. -Anna nie odrywała wzroku od podłogi. – To nie będzie zabawa.

-Zadzwoń i powiem, żeby otworzyli sklep -powiedział Bran. Nie można było dostrzec o czym myśli... poza tym, że postanowił nie pomagać Charlesowi. – Kup jej wszystko, czego myślisz, że będzie potrzebować.

Charles poddał się i zwrócił swoją uwagę ku temu, na czym się znał.

-Powiedz im, że będę na miejscu za godzinę – powiedział do ojca. – Najpierw jednak będę musiał porozmawiać z Heather i Tagiem. Wyruszymy z samego rana.

-Weź mojego Humvee -powiedział Bran, ściągając jeden z kluczy ze swojego breloczka. – Dojedziecie nim dalej niż twoją terenówką.

Ależ mi teraz pomagasz, prawda? -pomyślał Charles z lekkim zgorzknieniem. Bran nie potrafił odczytywać myśli, lecz jego nieznaczny uśmiech powiedział mu, że ojciec dobrze odczytał wyraz twarzy syna.

CHARLES nie był zaskoczony widząc, że Heather na nich czeka. Stała zaraz za progiem pokoju gościnnego i ze wzrokiem wbitym w podłogę opierała się

o ścianę. Nie podniosła oczu, kiedy do niej podeszli, lecz nie milczała.

-Zabiłam go przez samo to, że go tu przywiozłam, prawda?

-Tag pojechał do domu? -spytał Charles.

Heather spojrzała na niego i przez chwilę nie odrywała wzroku od jego twarzy.

-Powiedział, że na razie ma dosyć całej tej krwi i poszedł na dół pooglądać telewizję.

-Twojemu Jackowi nic nie będzie -powiedziała Anna, najwyraźniej zniecierpliwiona jego wymijającą odpowiedzią. -Charles i ja zajmujemy się wilkołakiem, który go zaatakował... i miejmy nadzieję, że to wystarczy, by twój przyjaciel nie wypaplał wszystkiego prasie.

Heather przez chwilę wpatrywała się w Annę.

-Dzięki Bogu za kogoś kto nie uważa, że informacje są cenniejsze od złota.

Ty musisz być Omegą Charlesa z Chicago.

Anna uśmiechnęła się, lecz Charles poznał, że musiała się nieco do tego zmusić.

-Wilki lubią mieć swoje sekrety, prawda? Jeśli to w czymkolwiek pomoże... To, że przyprowadziłaś innego wilka – Taga, tak? – przechyliło szalę. Heather kątem oka spojrzała na Charlesa i wiedział, że dzwoniąc po wuja miała nadzieję właśnie na to. Jednak kiedy się odezwała, rozpoznał w jej głosie prawdę.

-Był jedynym, który przyszedł mi wtedy na myśl. Wiedziałam, że przyjedzie tylko dlatego, że go o to poproszę.

Tag taki był.

-Czy możemy obudzić twojego Jacka? – spytał Charles.

-Kilka razy odzyskiwał i na powrót tracił przytomność -powiedziała. – Teraz już tylko śpi.

Człowiek był nieco starszy niż Heather, a jego twarz była zapadnięta i blada. Kiedy tylko Heather go obudziła, pokój wypełnił zapach jego bólu.

Interesujące, pomyślał Brat Wilk na widok rannego. Łatwy posiłek.

Charles nigdy nie zdążył się domyśleć czy Brat Wilk żartował, czy nie, gdyż obaj wiedzieli, że nie pozwoli mu pożywić się człowiekiem. Podejrzał jednak, że było to mniej więcej po środku. Zmusił wilka, by cofnął się, po czym nad ramieniem Heather spojrzał na człowieka.

-Nazywam się Charles -powiedział. – Jestem wilkołakiem. Heather, nie zamierzam go zjeść.

Heather zeszła mu z drogi, lecz i tak wyczuł, że chciała zostać na miejscu i chronić przed nim przyjaciela.

-Dlaczego nas zaatakowałeś? -wyszeptał Jack, z trudem dobywając słowa.

-To nie ja -odparł Charles. -Spytaj Heather, ona ci powie. O dzikim wilku dowiedzieliśmy się zaledwie kilka dni temu. Byłem ranny i mój ojciec chciał poczekać, aż będę zdolny wyruszyć za nim w pogoń. Myśleliśmy, że skoro sezon polowań dobiega już końca, dobrze będzie poczekać kilka tygodni.

-Ranny?

Charles zacisnął zęby, by zapanować nad wilkiem, który był wyraźnie rozdrażniony, kiedy rozpiął koszulę. Oparzenie na jego ramieniu było wyraźne, jednak od momentu, kiedy Anna zarzucała na drodze samochodem wyczuwał zapach swojej własnej krwi. Dlatego też był pewny, że opatrunek zakrywający ranę był nią przesiąknięty.

Ani Jack, ani Heather nie stanowili zagrożenia, lecz Brata Wilka to nie obchodziło. Ukazywanie wrogom słabości było złe. Jednak ważne było, żeby zrozumiał dlaczego czekają. Jeśli chcieli, żeby siedział cicho, Jack musiał zrozumieć, że w normalnych okolicznościach potrafili zapanować nad swoimi.

-Rana po postrzale -powiedział Jack.

-I jeszcze dwie inne – zgodził się Charles, na powrót zakładając koszulę.

-Jack był kiedyś gliną -wtrąciła Heather. Odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć, za co Charles był jej wdzięczny.

-Kilka dni temu miałem spięcie w Chicago -wyjaśnił Charles.

-Będziesz musiał się uleczyć -wyszeptał Jack.

Charles zaprzeczył.

-Nie wtedy, gdy na wolności jest wilk, który poluje na ludzi. – Spojrzał na Heather. – Atak nie był sprowokowany?

Tylko potrząsnęła głową.

-Nie wiem na pewno. On... po prostu wyskoczył z kryjówki i zaatakował. Istnieje mnóstwo powodów, dla których dziki wilk mógł to zrobić. Być może chodziło o jego terytorium, albo to przez coś, czego pilnuje. Jednak tylko go

drasnęłam, a uciekł.

-Tak więc mógł polować -podsumował Charles. – Nie stać nas na to, by znalazł kogoś innego do zabicia.

W poszukiwaniu wuja Heather, Taga, Anna podążyła za Charlesem na parter. Schody kończyły się wąskim korytarzem pełnym stalowych drzwi, po każdej stronie których wisiały żelazne kraty gotowe, by w każdej chwili je zamknąć. Jedne z nich rzeczywiście były w użyciu. Ktokolwiek znajdował się w pomieszczeniu za nimi, czynił ogromny hałas. Kiedy jednak wkroczyli do hallu, zapadła całkowita cisza. Anna czuła, jak osobnik ten uważnie nasłuchuje, gdy przechodzili obok.

Mogła spytać o to Charlesa, lecz jego twarz nie zachęcała do zadawania pytań. Nie potrafiła stwierdzić czy był na nią zły, czy po prostu się zamyślił. W każdym bądź razie, nie chciała go denerwować – i tak wystarczająco go dziś zirytowała. Mogła mu powiedzieć, że nigdzie nie pojedzie.

To jednak znaczyło by, że wyruszyłby sam, ranny, by zmierzyć się z jakimś nieznanym dzikim wilkiem. Jego ojciec wydawał się myśleć, że Charles sam o siebie zadba, lecz nie widział, że wczoraj Charles cierpiał tak bardzo, że nie mógł się nawet poruszać samemu. Jednak co ona robi, jeśli Charles zdecyduje, że jej nie chce?

Na końcu korytarza znajdowały się przyjaźniej wyglądające drzwi – bez żadnych zamków i krat. Kiedy się do nich zbliżyli, usłyszała dźwięk eksplozji.

-Wow – powiedział ktoś głośno i z wyraźnym podziwem.

Charles bez pukania otworzył drzwi.

Anna rozejrzała się szybko i dostrzegła ogromny ekran telewizora podłączony do czarnych i eleganckich pudełek i głośników pajęczyną czerwonych kabli. Jednak jej wzrok przyciągnął ogromny mężczyzna rozpierający się na kanapie niczym gigantyczny, domowy kot. A „gigantyczny” było tu kluczem.

Charles był wysokim mężczyzną. Jednak Anna była gotowa się założyć, że Colin Taggart był od niego o kilkanaście centymetrów wyższy i o wiele szerszy w barkach. Pomimo zimna, na swoich dużych stopach nosił sandały oraz grube, wełniane skarpety – znoszone i wyblakłe, ale czyste. Farbowana koszulka zwieszała się mu do ud, częściowo zakrywając szerokie spodnie khaki. Jego włosy miały wyjątkowo intensywny, marchewkowy odcień i były grube niczym końska grzywa. Zmierzwiłone zwijały się i plątały, jak gdyby Tag zamierzał zrobić sobie dredy, albo jakby w ogóle mu na nich nie zależało. Zebrał całą ich masę z twarzy i przewiązał poplamioną atramentem gumką.

Nie było go na pogrzebie, pomyślała. W innym wypadku zapamiętałaby go. Ale też pewnie wtedy ratował swoją siostrzenicę.

Miał bladą skórę, typową dla Celtów, z mnóstwem piegów rozsianych na policzkach. Z takimi barwami i ostrymi rysami równie dobrze mógł mieć na czole wytatuowane „Irlandczyk”. Pachniał jakimś dziwnym zapachem, który nakładał się na przyjemny, ziemisty aromat, którego jednak nie potrafiła umiejscowić. Wyglądał na dziesięć, a nawet piętnaście lat młodszego od Heather, a jedyna rzecz, która ich łączyła, to szare, odważne spojrzenie.

Kiedy weszli do pokoju, Tag zerknął na Charlesa, po czym ponownie zwrócił się w stronę telewizora, by zobaczyć koniec eksplozji. Wtedy sięgnął po pilota i zatrzymał film.

-No – powiedział zaskakująco wysokim głosem. – Nie śmierdzisz śmiercią.

Nie mówił sopranem, lecz mężczyzna o jego posturze powinien dudnić jak kontrabas. On jednak bardziej przypominał klarnet. Amerykański klarnet: miał doskonały akcent prezentera w telewizji.

-Jeśli przyjaciel Heather potrafi trzymać buzię na kłódkę, będzie wystarczająco bezpieczna -odparł Charles. – Z samego rana ruszamy na polowanie. Byłbym wdzięczny, gdybyś zrobił dla mnie kilka rzeczy.

Zrelaksowana poza drugiego wilkołaka była tylko pozorna, zdała sobie sprawę Anna widząc, jak mężczyzna ześlizguje się na siedzeniu, a potem wstaje i prostuje się na całą swą imponującą wysokość. Robił to celowo powoli, zdając sobie sprawę, iż w pełnej okazałości wydawał się zajmować większą część pokoju.

Anna cofnęła się, jednak mężczyźni zdawali się tego nie zauważyć. Tag uśmiechnął się, lecz nie spuszczał wzroku z Charlesa.

-W porządku. Dopóki nie zabijesz mojego przyjaciela, z chęcią ci pomogę.

-Potrzebuję, byś razem z Heather spróbowali określić, gdzie dokładnie się znajdowali, gdy wilk ich zaatakował. Najlepiej zaznaczcie to na mapie. Zobacz też czy potrafi wskazać miejsce, gdzie znaleziono martwego myśliwego, a również to, w którym zaatakowany został student. -Charles szybko i obojętnie obrzucając Annę spojrzeniem, po czym ponownie spojrzął na Taga. – Potem wpadnij do Jenny i zobacz czy ma jakieś brudne ubrania. Najlepiej takie, w których się pociła.

Wilk zmrużył oczy.

-Zamierzasz zrobić tę sztuczkę z zapachem? Jenny Harrisona jest mniej więcej twojej postury. Chcesz, żebyśmy забраł jakieś ubrania dla ciebie?

-Było by świetnie. Za kilka godzin przyjedź do mnie z mapą i ubraniami.

-Bran naprawdę nie zamierza zabić człowieka Heather. – Było to stwierdzenie, lecz w głosie Taga zabrzmiała nutka niepewności.

Charles wzruszył ramionami.

-W każdym razie nie teraz. Nie, dopóki facet nie zdecyduje się zrobić czegoś głupiego.

Dla Anny nie zabrzmiało to jak pocieszenie, lecz Tag wydawał się właśnie tak to pojmować.

-W takim razie dobrze – powiedział i skinął głową. – Do zobaczenia za kilka godzin.

Charles zaparkował Humvee przed domem. Prawdopodobnie zrobił tak dlatego, że samochód ojca nie zmieścił by się w garażu. Poruszał się sztywno i wyraźnie kulał, lecz kiedy Anna chciała zabrać pakunki z zakupami, które zrobili w sklepie, rzucił jej wiele mówiące spojrzenie. W geście poddania uniosła dłonie do góry i pozwoliła mu wszystko wnieść do domu samemu. Od chwili, gdy wyszli z gabinetu jego ojca nie odezwał się do niej.

-Może powinieneś zabrać ze sobą kogoś innego – powiedziała w końcu, szybko zamykając za sobą drzwi, by nie wpuścić do domu zimna. – Jeszcze jeden wilk z pewnością by się przydał.

Charles odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Nie odrywając od niej wzroku powoli ściągnął rękawice. W nikłym świetle jego oczy wydawały się niemal całkiem czarne. Przez sekundę lub dwie wpatrywała się w nie, po czym spuściła wzrok.

-Nie lubię sprowadzać pomocy, gdy muszę zabić – odezwał się po chwili. – Większa ilość wilków ma zwyczaj paprać sprawy. -Zdjął z siebie kurtkę i celowo przerzucił ją przez oparcie sofy. – To jest wilkołak, który poluje na ludzi. To może być jakiś szpieg, ktoś kto chce pokrzyżować plany ojca co do ujawnienia nas światu. Jednak trochę nad tym myślałem i nie sądzę, żeby o to chodziło. Tylko desperat poszedłby w te lasy zimą, kiedy te w Missouli lub Kalispell są dużo bardziej przyjazne – i z pewnością łatwiej tam przyciągnąć czyjąś uwagę. Wałowanie się po tej dziczy jest zbyt trudne, jak na zaplanowany atak lub dla kontraktowego zabójcy. Sądzę, że mamy do czynienia z dzikim wilkiem. Kimś,

kto nie wie zbyt dużo i stara się trzymać w ukryciu. I niebezpiecznym, co umiejętnie nam już pokazał, lecz nikim, z kim miałbym sobie nie poradzić.

-Będę robić to, co mi każesz – powiedziała w stronę podłogi. Czowała się głupio musząc prosić, by ją zabrał i zraniona, że nie chciał mieć jej ze sobą. – Postaram się nie wchodzić ci w drogę.

-Gdyby nie upór ojca, nie rozważałbym nawet, by cię ze sobą zabrać – powiedział powoli. – I popełniłbym błąd.

Jego słowa całkowicie ją zaskoczyły. Podejrzewając, że źle go zrozumiała, podniosła wzrok i ujrzała jego zażenowany uśmiech.

-Myślę – powiedział – że nawet dziki wilk zasługuje na szansę, prawda? Ten wilk jest raczej zdesperowany i istnieje duże prawdopodobieństwo, że – podobnie jak ten martwy myśliwy lub Jack -sam jest ofiarą. Jednak gdybym był sam i nawet wiedział, że jest po prostu pod wpływem księżyca – szalony, choć nie ze swojej własnej woli – pewnie i tak musiałbym go zabić. Ale zobacz co zrobiłaś dziś rano z Asilem. Jeśli pójdziesz ze mną, możemy równie dobrze dać temu wilkowi szansę.

Ważyla jego słowa, lecz wydawały się poważne.

-Nie jesteś zły? Nie żałujesz, że nie trzymałam buzi na kłódkę?

Szybko pokonał dzielący ich dystans i pocałował ją. Kiedy się odsunął, jej serce biło jak oszalałe... i to nie ze strachu. Widziała puls na jego szyi i czuła jego świeży, zimowy zapach.

-Nie -mruknął. – Nie chcę, żebyś siedziała cicho. – Leciutko przesunął palcem po krawędzi jej twarzy. -Tag będzie tu za chwilę. Pozwól, że zanim się zjawi, przygotuję coś do jedzenia.

Chociaż wciąż był obolały i twierdził, że żaden z niego kucharz, nastawił gulasz, który ona zaczęła robić kiedy zadzwonił Bran. Wysłał ją jednak po ziemniaki -które ukrył pod schodami, w wielkim jutowym worku -lecz ogólnie wydawał się bardzo zadowolony, że robi wszystko sam.

Patrzyła, jak gotuje, a euforia wywołana pocałunkiem zbladła. To był mężczyzna nawykły do samotnego życia i przyzwyczajony do tego, że polega jedynie na sobie. Nie potrzebował jej, jednak ona była całkowicie zależna od niego.

Kiedy czekali, aż gulasz się zagotuje, Charles włączył w jadalni mały telewizor – jedyny, jaki widziała w tym domu – i Anna usłyszała wesoły głos

prezenterki mówiącej, że następnego dnia będzie jeszcze większy mróz. Charles usiadł, a ona podeszła do stołu i zajęła miejsce na przeciwko niego.

-Jedyna lokalna telewizja – powiedział Charles, gdy oboje oglądali prognozę. -Missoula i Kalispell.

Nie była pewna, dlaczego po prostu nie pozwoliła telewizji wypełnić czasu.

-Twój ojciec powiedział mi, że powinnam porozmawiać z tobą o skontaktowaniu się z moją rodziną -powiedziała Anna, podczas gdy kolejna kobieta przedstawiała dane dotyczące świątecznej sprzedaży podczas weekendu: handel detaliczny był niższy niż w ubiegłym roku, natomiast sprzedaż internetowa wzrosła.

-Jest z nimi jakiś problem?

-Nie wiem. Wkrótce po mojej Przemianie zerwałam z nimi kontakt.

-Nie rozmawiałaś ze swoją rodziną od trzech lat? – Spojrzał na nią i zmarszczył brwi. Po chwili jednak na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. – Nie pozwolił ci.

Przez chwilę Anna przyglądała mu się.

-Leo powiedział, że zostanie zabity każdy człowiek, który będzie nawet podejrzewał, czym jesteśmy. A każdy dłuższy kontakt z moją rodziną będzie równał się jej eliminacji. Kiedy się o tym dowiedziałam, obraziłam się na coś, co powiedziała moja szwagierka i od tamtej chwili się do nich nie odzywałam.

-Idiota -rzucił Charles, po czym potrząsnął do niej głową. – Nie ty, Leo. Dlaczego miałby... Przypuszczam, że bał się, że twoja rodzina będzie protestować przeciwko temu, jak cię traktują i narobi hałasu – i mam nadzieję, że miał rację. Jeśli chciałabyś teraz do nich zadzwonić, to proszę bardzo, nie krępuj się. Albo, jeśli chcesz, po powrocie możemy polecieć i ich odwiedzić. Niektóre rzeczy najlepiej wyjaśniać osobiście.

Anna poczuła, jak ściskanie w gardle i zamrugała gwałtownie, starając się powstrzymać napływające jej do oczu łzy.

-Przepraszam – wykrztusiła.

Pochylił się w jej stronę, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, usłyszeli dźwięk zbliżającego się samochodu.

Bez pukania, niczym ciepła zadymka, Tag wtargnął do domu, trzymając w rękach papierową torbę oraz mapę.

-Trzymajcie – powiedział, po czym zamilkł i z uznaniem powąchał w powietrzu. – Powiedzcie, że wystarczy dla kogoś trzeciego. Latałem dla was na posyłki i nie miałem czasu zatopić w czymś zębów.

-Czuj się jak u siebie -powiedział Charles suchym tonem, gdyż Tag odłożył swoje pakunki i już był w kuchni.

Anna słyszała, jak przez chwilę rozbijał się garnkami. Po chwili olbrzym wszedł do jadalni, w swoich dużych dłoniach niosąc trzy pełne miski. Jedną z nich postawił przed Anną, jedną przed Charlesem, a jedną na wolnym miejscu między nimi. Ponownie zniknął i po sekundzie przyniósł wysokie szklanki z pićm. Z podawaniem do stołu radził sobie tak dobrze, że Anna zaczęła podejrzewać, że pracował już kiedyś jako kelner.

Siadając, Tag nie spuszczał z Charlesa wzroku i nagle Anna zdała sobie sprawę z czegoś, co jej podświadomość zanotowała już dość dawno. Pomimo swojego swobodnego zachowania, Tag bał się Charlesa. Podobnie jak Sage, mimo wszystkich tych jej „Charliech”.

Z jakiegoś konkretnego powodu, pomyślała Anna, Leah przyszła w momencie, kiedy Charles zajęty był gdzieś indziej i była zupełnie niezaznajomiona z domem. Anna rozpoznała strach Heather, lecz ona była człowiekiem. Wszyscy pozostali byli wilkołakami, a ich reakcje zdradzały jedynie subtelny język ich ciała.

Tag siorbiąc połknął kilka łyżek gulaszu, za co matka Anny trzepnęłaby go po łapach, po czym odezwał się do Charlesa.

-Trzeba ją nakarmić. Leo nigdy nie dbał o dary, które otrzymywał.

-Anna nie była mu dana -odparł Charles. – Zapolował na nią.

Twarz Taga skamieniała.

-Zmienił Omegę siłą? -W jego głosie był szok i niedowierzanie.

-Nie -powiedział Charles. – Zapolował na nią. Kiedy zaś już ją znalazł, wysłał do niej oszalałego wilka.

-Tylko jakiś zwariowany łajdak zaatakowałby Omegę. Zabiłeś go? – Swoboda, z jaką to powiedział była zbyt wystudiowana, by była prawdziwa.
-Tak.

-Leo też?

-Tak.

-Dobrze. – Tag nie patrząc jej w oczy obrzucił ją wzrokiem, po czym ponownie zaczął jeść.

-Wtedy nie byłam Omegą -wtrąciła Anna. – Byłam po prostu człowiekiem. Charles rzucił jej szybki uśmiech i również wrócił do jedzenia.

-Urodziłaś się Omegą. Tak samo jak mój ojciec od początku był dominujący i niebezpieczny, bez względu na to, że był człowiekiem. Bycie wilkołakiem tylko wydobywa te cechy, a wiek je wygładza.

-Ona tego nie wie? -spytał Tag.

-Leo zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby trwała w niewiedzy – wyjaśnił mu Charles.

Tag spojrział na nią i uniósł swoją krzaczastą, rudą brew.

-Nigdy nie lubiłem Leo. Zawsze myślałem, że był cholernie podstępny. Jeśli jest przy zdrowych zmysłach, trudno jest dominującemu wilkowi skrzywdzić uległego – nasz instynkt każe nam je chronić. Omega jest poza tym. Kiedy byłaś człowiekiem, byłaś pewnie jeszcze bardziej krucha niż teraz – i jeszcze wzmocniałabyś ten instynkt. Ludzka Omega jest czymś takim, że trzeba wilka oszalałego na punkcie zabijania, by ją zaatakował.

Obaj mężczyźni wrócili do posiłku, lecz po chwili Anna zdecydowała się podważyć jego słowa.

-Żaden z wilków w stadzie Leo nie miał trudności z krzywdzeniem mnie. Oczy Taga napotkały wzrok Charlesa, co przypomniało Annie, że pod zuchwałą swobodą krył się wilk.

-Powinni je mieć – powiedział szorstko Charles. – Gdyby Leo ich nie naciskał, pewnie zostawiliby cię w spokoju.

-Żaden z nich nie przeciwstawił mu się? -spytał Tag.

-Zdążył już wyeliminować tych silniejszych -odparł Charles. – Pozostałych miał pod kontrolą. Skakali na każdy jego rozkaz.

-Na pewno go zabiłeś? – zapytał ponownie Tag.

-Tak.

Olbrzym ponownie na nią spojrział.

-To dobrze.

Gdy tylko wszyscy skończyli jeść, Tag sięgnął po mapę, którą ze sobą przywiózł i rozłożył ją na stole. Anna zebrała brudne naczynia i posprzątała po

obiedzie, podczas gdy Charles i Tag mamrotali coś nad mapą.

-Wszystkie ataki miały miejsce kilka kilometrów od Baree Lake – mówił właśnie Tag, kiedy podeszła do nich i zerknęła Charlesowi przez ramię. – Słyszałem, że w lesie jest stary szałas, lecz nigdy go nie widziałem.

-Wiem gdzie to jest. To dobra myśl. -Charles popukał palcem w mapę. – Jest tutaj, niedaleko miejsca ataków. Nie byłem w okolicach Baree Lake w zimie od ponad piętnastu lat. Czy to wciąż najlepsza droga?

-Właśnie tamtędy dzisiaj jechałem. Radziłbym skorzystać z tej niewielkiej drogi. – Wskazał coś na mapie, lecz Anna nie dostrzegła tam żadnego traktu.

-Racja -powiedział Charles. – Potem przejdziemy przez Przełęcz Silver Butte.

-Pierwszy atak miał miejsce mniej-więcej tutaj. – Wskazał na miejsce nieco na lewo od Baree Lake. – Dokładnie na szlaku, którym chodziłeś latem. To zaledwie kilka kilometrów od Baree Lake. Martwego myśliwego odnaleziono tutaj, około kilometra od jeziora. Prawdopodobnie pokonał Przełęcz Silver Butte, jak wy zrobicie jutro. Pod koniec października spadło tu mnóstwo śniegu. Przed sezonem polowań tamta droga z pewnością będzie nieprzejezdna. Heather i Jacka zaatakowano tutaj, jakieś sześć kilometrów od ich ciężarówki. Udało mi

się pojechać jakieś kilkaset metrów dalej, lecz wam uda się dotrzeć jeszcze dalej, jeśli weźmiecie Humvee.

Charles zamyślił się, po czym westchnął.

-Mogło być o wiele gorzej. Mogliśmy próbować dotrzeć do Vimy Ridge.

Tag roześmiał się krótko.

-Gdzie właśnie się ukryjecie. Nie chciałbym być wilkiem, który zaatakuje cię w tym miejscu latem, a co dopiero w środku zimy. Na szczęście jednak, Baree Lake w całych tych lasach najbardziej przypomina niedzielną wspinaczkę. – Spojrzał na Annę. – Co nie znaczy, że jest łatwa. Zapamiętaj to. Jednak jest możliwa. Jedyne rozwiązanie, jak się dostać do Vimy Ridge, to helikopter. W wyższych partiach gór pokrywa śnieżna może sięgać nawet czterech metrów. Sama zobaczysz to w górach w niektórych częściach Baree. Pójdź z tym starym wilkiem i słuchaj go, bo inaczej – wilkołak czy nie – będziemy szukać twojego ciała.

-Nie ma potrzeby jej straszyć – powiedział Charles.

Tag oparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął się.

-Ona się nie boi. A ty, gołąbeczku? – W jego ostatnich słowach wychwyciła resztki śpiewnego, irlandzkiego akcentu. A może to był angielski Cockney. Może i miała dobre ucho, ale żeby to stwierdzić, musiała usłyszeć więcej niż trzy słowa.

Tag spojrział na Charlesa.

-Heather musiała wspiąć się naprawdę wysoko, żeby do mnie zadzwonić. W większości połaci tej dziczy wciąż nie ma zasięgu. Zaparkowałem tutaj – popukał palcem w mapę – i trochę pokręciłem się w koło, żeby znaleźć jakieś połączenie. Sugeruję, żebyście zostawili samochód tutaj i zostawili w nim komórki.

Charles spojrział na niego ostro.

-Na wypadek, gdyby to nie był samotny dziki?

-Ty i Bran nie jesteście jedynymi, którzy potrafią dodać da do dwóch powiedział Tag. – Jeśli to jest jakiegoś rodzaju atak, naprawdę nie chcesz, żeby

te dranie namierzyły cię przez jeden z tych dziwnych lokalizatorów zamontowanych w dzisiejszych telefonach.

-Nie zamierzałem ich ze sobą brać -powiedział Charles i ponownie pochylił się nad blatem. – Sądząc po samych atakach, wygląda na to, że Baree jest w centrum jego terytorium, ale...

-Kiedy już spadnie śnieg, na wschodzie i zachodzie jeziora nie spotkasz zbyt wielu ludzi – powiedział zdecydowanym głosem Tag. -Baree Lake równie dobrze może być centrum, jak i na peryferiach jego terytorium.

Charles zmarszczył brwi.

-Nie sądzę, że znajdziemy go na wschodzie. Gdyby był w tej wielkiej dolinie po drugiej stronie stoku, w pobliżu Baree, naturalne ukształtowanie terenu oznaczyło by krańce jego terytorium przez środek doliny, do Buck Lake, a nawet Wanless, jednak nie poza stoki. Taka wspinaczka do Baree jest niemożliwa, nawet dla nas.

-W takim razie zachód.

Charles przesunął palcem od Baree do kilku mniejszych jezior.

-Myślę, że zaczniemy od Baree i skierujemy się na zachód, przez Bear

Lakes, aż do Iron Meadows i z powrotem, aż do Vee. Gdybyśmy do tego momentu nie natknęli się na niego, to sądzę, że dobrze by było zwołać całe stado.

-Będziesz musiał uważać. Przy Bears jest mnóstwo śniegu grożącego lawiną -powiedział Tag, lecz Anna słyszała w jego głosie pochwałę.

Trochę czasu zeszło im na planowaniu wyprawy, która zajmie im dobre cztery dni. Kiedy skończyli, Tag musnął dłonią czoło, jakby dotykał krawędzi niewidzialnego kapelusza.

-Miło mi było panią poznać, Anno – powiedział, po czym, nie dając jej szansy na jakąkolwiek odpowiedź, wypadł z domu tak samo gwałtownie, jak do niego wszedł.

ROZDZIAŁ 6

- Lubi cię - powiedział Charles składając mapę.

- Skąd wiesz? – spytała Anna.

- Nie rozmawia z tymi, których nie lubi. – Zaczął mówić coś jeszcze, lecz zaraz zamilkł i ze zmarszczonymi brwiami spojrzał w kierunku drzwi. – A on czego on chce?

Kiedy już zwrócił na to jej uwagę, również usłyszała zbliżający się samochód.

- Kto? – spytała. Charles jednak nie odpowiedział, tylko wyszedł z salonu. Anna podążyła za nim niepewnie.

Charles szarpnięciem otworzył drzwi, za którymi stał wilk z pogrzebu, Asil. Jedną dłoń miał uniesioną, gotowy właśnie zapukać do drzwi. W drugiej zaś trzymał bukiet kwiatów, głównie żółtych róż, między którymi prześwitywały też purpurowe, podobne do stokrotek.

Przybysz bez trudu dostosował się do sytuacji - wyciągnął w stronę dziewczyny bukiet i uśmiechnął się ujmująco, jednocześnie unikając wzroku Charlesa. Mogła to być odpowiednia i prawidłowa nawet reakcja zirytowanego, bardziej dominującego wilka, tylko że jego oczy były śmiało utkwione w twarzy Anny.

- Przybyłem z przeprosinami - zaczął. - Dla damy.

Anna zauważyła, że był niemal trzydzieści centymetrów niższy od Charlesa i zaledwie parę centymetrów wyższy od niej. Kiedy przybysz stanął obok Charlesa, dostrzegła ich podobną kolorystykę. Obaj mieli śniadą skórę, ciemne włosy i oczy, które w sztucznym świetle wydawały się czarne. Jednak odcień ich skóry był inny, a rysy Asila były ostrzejsze, bliskowschodnie w odróżnieniu od rdzenno amerykańskich Charlesa.

- Dla mojej damy - warknął cicho Charles.

Na twarzy Asila pojawił się olśniewający uśmiech, za którym – zanim

zbladł - na chwilę pokazał się wilk.

- Dla twojej pani, oczywiście. Oczywiście. – Podał kwiaty Charlesowi, po czym dodał swobodnie. – Nie nosi twojego zapachu. To dlatego też popełniłem ten błąd. – Skierował żartobliwy wzrok na Charlesa i ponownie się uśmiechnął. W następnej sekundzie odwrócił się na pięcie i szybko wrócił do swojego auta, które wciąż chodziło na jałowym biegu.

Anna poczuła wściekłość budzącą się w Charlesie i objęła się ramionami. Nie rozumiała, co takiego w ostatnich słowach Asila wywołało w nim ten gniew.

Charles zatrzasnął drzwi i w milczeniu podał jej kwiaty. W jego napięte barki oraz języku ciała była dzikość, która sprawiła, że założyła ręce za siebie i cofnęła się. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, skoro wywoływały w nim taką furję. Wtedy w końcu spojrzał na nią, a nie przez nią, a jego twarz niemal całkowicie mieniła się w kamień.

- Anno, nie jestem Leo albo Justinem. Kwiaty są twoje. Są śliczne i ładnie pachną. Lepiej nawet niż większość kwiatów. Asil ma szklarnię i rzadko kiedy ścina pąki ze swych roślin. Był wdzięczny za twoją pomoc rano - inaczej by tego nie zrobił. A to, że ten gest nieźle mnie wkurzył, sprawiło tylko, że poczuł się szczęśliwszy. Powinnaś się nimi cieszyć.

Jego słowa nie zamaskowały furii której zapach czuła. A mimo tego, że uważał, że nie umie zbyt dobrze wykorzystywać własnego nosa, nauczyła się wierzyć bardziej jemu niż własnym uszom.

Nie zdołała spojrzeć mu w oczy. Wzięła jednak bukiet i poszła do kuchni, gdzie stanęła jak wryta. Nie miała pojęcia, gdzie mogłaby znaleźć wazon. Usłyszała za sobą hałas i zobaczyła, że Charles postawił na ladzie jedną z ceramicznych waz stojących w salonie.

- To powinno być odpowiedniej wielkości - powiedział. Anna jednak nadal tylko stała. Podeszedł więc do kranu i nalał do naczynia wody. Powoli – tak, by jej nie przestraszyć - wyjął jej z dłoni kwiaty, przyciął końcówki łodyg i ustawił je w wodzie.

- Przepraszam - odezwała się. Żołądek miała ściśnięty tak bardzo, że niemal nie była w stanie oddychać. - Nie wiem dlaczego zachowuję się tak głupio.

Zamarł, wkładając ostatni kwiatek, fioletowy. Powoli, dając jej dużo czasu by mogła się odsunąć, zbliżył się i dłonią lekko uniósł jej głowę.

- Znasz mnie mniej niż tydzień - powiedział spokojnie. – Bez względu na to, jak nam się wydaje. To niezbyt dużo czasu, by nauczyć się ufać. Wszystko w porządku, Anno. Jestem cierpliwy. I jeśli to będzie zależało ode mnie, nigdy cię nie skrzywdzę.

Spojrzała w górę, spodziewając się ujrzeć ciemne oczy. Zamiast tych jednak ujrzała złote. Pomimo tego, jak blisko był jego wilk, dłoń, którą ją trzymał, nadal była bardzo delikatna.

- To ja muszę cię przeprosić - ciągnął. Przepraszał, pomyślała, zarówno za wilka, jak i za ten krótki pokaz swojego temperamentu. – Dla mnie również to wszystko jest nowe. - Uśmiechnął się do niej na moment, lecz zaraz na jego twarz powróciła powaga. Jednak ten dziwny, chłopięcy wyraz sprawił, że przez chwilę wydawał jej się bardzo zakłopotany. - Nie jestem przyzwyczajony do bycia zazdrosnym czy posiadania nad sobą tak niewielkiej kontroli. To nie tylko wina ran postrzałowych, chociaż one wcale nie pomagają.

Stali tak jeszcze przez chwilę, a Charles nie odrywał dłoni od jej twarzy. Z obawy, że mogłaby obudzić wściekłość wilka, patrzącego jego oczami lub zranić go w jakiś inny sposób, Anna bała się nawet poruszyć. Nie wiedziała na co on czeka.

W końcu odezwał się.

- Ojciec powiedział, że coś cię martwiło, gdy wyszłaś rano z kościoła. Czy to Asil? A może coś innego?

Zrobiła krok w bok. Pozwolił jej odsunąć się, lecz tylko przesunął dłoń na jej ramię. Nie mogła zmusić się, by zrobić kolejny ruch i zerwać ten słaby kontakt. Jeśli nie weźmie się w garść, Charles niedługo pomyśli, że jest neurotyczną idiotką.

- Nic mnie nie martwiło. Nic mi nie jest.

- Osiem słów i dwa kłamstwa, Anno – powiedział z westchnieniem. - Muszę nauczyć cię rozpoznawać jak wyczuć kłamstwo. Wtedy nie będziesz ich ze mną próbowała. - Zabrał dłoń, a dziewczyna niemal krzyknęła z powodu tej utraty, mimo że część niej nie chciała mieć z nim nic wspólnego. - Możesz po prostu powiedzieć, że nie chcesz o tym rozmawiać.

Zmęczona sama sobą, Anna przetarła twarz, wydeła policzki, poczym głośno westchnęła. W końcu uniosła swój wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Jestem w rozsypce. Głównie chodzi o to, że sama nie wiem co czuję i

dłaczego... o reszcie powodów nie chcę na razie mówić. - Albo nigdy. Z nikim. Była głupim tchórzem i wkopała się w sytuację, w której była bezsilna. Kiedy wróca z gór, znajdzie sobie pracę. Mając pieniądze w banku i robiąc coś konstruktywnego będzie mogła stanąć w pełni na nogach.

Przechylił głowę w bok.

- Mogę to zrozumieć. Zostałaś zabrana od wszystkiego co bliskie, wrzucona pomiędzy obcych, a wszystkie zasady które do tej pory znałaś nagle przestały obowiązywać. Jeśli masz jakiegokolwiek pytanie, po prostu pytaj. Jeśli nie chcesz rozmawiać ze mną, możesz złapać mojego ojca albo... Sage? Lubisz Sage, prawda?

- Lubię ją. - Czy miała jakieś pytania? Jej irytacja na niego wzrosła, mimo że wiedziała, że nie miał zamiaru traktować jej jak dziecka. Nie chciał jej pouczać - chciał tylko pomóc. Nie jego wina, że jego kojący głos sprawiał, że zgrzytała zębami. Zwłaszcza, że czuła, iż nadal jest na coś zły. Czy lubiła Sage? Mówił, jakby miał zamiar wyjść i sam znaleźć dla niej przyjaciół.

Była już zmęczona byciem przestraszoną i wiecznie niepewną. Chciał, by pytała. Nauczono ją nie zadawać pytań. Wilkołaki strzegły swych sekretów niczym złota w skarbcu. No dobra.

- Co takiego powiedział Asil, że twoja irytacja zmieniła się w gniew?

- Zagroził, że mi ciebie odbierze – odparł natychmiast.

W myślach powtórzyła całą rozmowę, lecz nigdzie nie dostrzegła tego, o czym mówił.

- Kiedy?

- Potrzeba czegoś więcej niż tylko zainteresowania sobą nawzajem, by ta więź w pełni nas połączyła. Kiedy powiedział, że nie nosisz mojego zapachu, zasugerował, że wie, że nie ukończyliśmy tworzenia naszej więzi... i że rozważa swoje szanse.

Zmarszczyła brwi.

- Nie kochaliśmy się - wyjaśnił widząc, że nie zrozumiała. – A podczas pełni księżyca jest jeszcze ceremonia, która zacieśni tę więź - ślub. Bez tego Asil może próbować cię zdobyć i nie obawiać się zemsty.

Jeszcze jedna rzecz, o której nigdy wcześniej nie słyszała.

- Czy jest jakiś podręcznik? - spytała napastliwie. - Rzecz, z której mogłabym poznać wszystkie te rzeczy?

- Mogłabyś taki napisać - zasugerował. Gdyby nie obserwowała uważnie jego ust, nie dostrzegłaby jego rozbawienia. Myślał, że jest zabawna.

- Może to zrobię - odpowiedziała ponuro i odwróciła się na pięcie... jednak nie miała dokąd pójść. Do jego sypialni?

Zamknęła się w łazience i odkręciła wodę z prysznicą, by ukryć wszystkie dźwięki jakie wydała. Swego rodzaju kolejna bariera, gdyby okazało się, że drzwi, które za sobą zamknęła, nie wystarczą.

Zapatrzyła się na siebie w lustrze, które powoli coraz bardziej zasnuwała warstwa pary. Jej powoli zacierające się odbicie jeszcze bardziej wzmacniało wrażenie, że patrzy na kogoś całkiem obcego. Na kogoś, kim pogardzała za jego tchórzostwo. Kto nie nadawał się do niczego innego, jak wycieranie stołów. Ale to nic nowego. Czowała do siebie nienawiść od chwili, kiedy zmieniono ją w tego... potwora. Żalosego potwora, jeśli o tym już mowa.

Miała podkrążone oczy i blade policzki. Pamiętała, z jaką paniką wycofała się, gdy Charles ukazał na moment swój temperament, i jak bezradnie przeproszała za zmuszenie go do znoszenia jej towarzystwa w tej wyprawie. I wtedy gardziła sobą jeszcze bardziej. Nie powinna taka być.

To nie była wina Charlesa. Czemu więc była na niego taka zła?

Ze złością zdjęła z siebie ubranie i weszła pod zaparowany prysznic, czując ulgę gdy zbyt gorąca woda zmywała z niej opary głupich, targających nią emocji.

I nagle, z całą jasnością zrozumiała, czemu pod koniec pogrzebu była tak zdenerwowana i czemu denerwował ją zwłaszcza Charles. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała być znowu człowiekiem. Wiedziała, że to niemożliwe, że nic nie cofnie magii, która siłą ją zmieniła. Ale nie znaczyło to, że tego nie chciała.

Od trzech lat żyła z potworami i była jednym z nich. I wtedy pojawił się Charles. Był od nich taki odmienny... Dał jej nadzieję.

Ale to nie było fair. To nie jego wina, że podjęła decyzję nie tylko o opuszczeniu stada, ale pozostawiła za sobą potwory.

Nigdy jej nie okłamał. Powiedział, że był egzekutorem swojego ojca i

nie wątpiła w te słowa. Widziała jak Charles walczył, widziała jak zabijał. Mimo to przekonała samą siebie, że w Montanie będzie inaczej. Że będzie mogła być normalna, każdego dnia - z wyjątkiem pełni księżyca - będzie człowiekiem, ale nawet to będzie inne. Tutaj będzie mogła ukryć się, by nikogo nie zranić.

Powinna wiedzieć lepiej. Ona wiedziała lepiej.

To nie była wina Charlesa, że on też był potworem.

Łatwo było zrzucić winę za zniszczenie celi chicagowskiego stada na zatrucie srebrem. Jednak dziś, w trakcie konfrontacji z Asilem, zobaczyła, że nie różnił się niczym od innych samców wilkołaków. Był agresywny, zaborczy i niebezpieczny.

Pozwoliła sobie uwierzyć, że tacy byli tylko członkowie chicagowskiej grupy. Bałagan, który zrobił Leo i jego partnerka, musiał zaowocować tym koszmarem, w jaki zmieniło się stado.

Ona pragnęła rycerza w lśniącej zbroi. Głosu rozsądku w obliczu szaleństwa. Charles właśnie to jej dawał. Czy wiedział, że dokładnie tego szukała? Zachował się tak celowo?

Gdy woda splatała jej włosy i spływała po policzkach niczym łzy, jej ostatnie pytanie nagle znalazło odpowiedź na jej największy strach.

Oczywiście, że Charles nawet przez chwilę celowo nie udawał, że jest rycerzem. On po prostu taki był.

Był wilkołakiem dostatecznie dominującym by pokonać Alfę, bez wsparcia, z którego ten Alfa mógłby czerpać. Był zabójcą swojego ojca, przed którym drżeli nawet członkowie jego własnego stada. Mógłby być jak Justin - drapieżny i okrutny. Zamiast tego rozumiał ich szaleństwo i udało mu się je pokonać. Starał się robić coś lepszego, dobrego. Nagle przypomniała sobie jego piękne dłonie delikatne układające w wazonie kruche kwiaty, mimo że wilk w nim pragnął najgorszego rodzaju przemocy.

Charles był potworem. Zabójcą na usługach swojego ojca. Anna pozwalała sobie ponownie uwierzyć w kłamstwa. Gdyby Bran mu rozkazał, Charles zabiłby Jacka. Zrobiłby to pomimo faktu, że mężczyzna był tylko przypadkową ofiarą i że prawdopodobnie był dobrym człowiekiem. Jednak to nie wykonałby polecenia chętnie. Wyraźnie dostrzegła ulgę, jaką poczuł, gdy jego ojciec znalazł inne rozwiązanie.

Jej mężczyzna był zabójcą, lecz nie lubił swojej pracy. Widząc to tak

wyraźnie poczuła podziw, że udawało mu się być tak cywilizowanym i wciąż sprostać wymaganiom, które mu stawiano.

Woda zaczęła się ochładzać.

Wtarła szampon we włosy ciesząc się, że płyn tak dobrze się spłukuje. Poczowała zapach mięty i ziół, którym pachniały też włosy Charlesa. Do tego czasu woda zdążyła się zrobić nieprzyjemnie zimna.

Wyszła spod prysznica, wzięła szczotkę i nie patrząc w lustro zaczęła rozczesywać splątane włosy. Koncentrowała się, by nic nie czuć. Była w tym doskonała. Przez ostatnie trzy lata nabrała dużej wprawy. Kiedy ponownie stanie naprzeciwko Charlesa nie chciała wyglądać jak przestraszony strach na wróble. Musiała opanować swój lęk.

Znała na to sposób. To było oszustwo, ale obiecała sobie w duchu, że to tylko na dzisiejszą noc. I tak, chowając się w łazience, zrobiła już z siebie wystarczającą idiotkę.

Spojrzała na siebie w lustrze i obserwowała, jak jej brązowe oczy bledną, stając się srebrnoszare, po czym na powrót ciemnieją. Tak dużo, a zarazem tak niewiele. Spłynęły na nią siła i brak strachu wilka, dając jej spokój, którego potrzebowała. Cokolwiek się stanie, ona przetrwa. Tak jak wcześniej.

Skoro Charles był potworem, to z konieczności raczej niż z wyboru.

Ubrała się w żółtą koszulkę i jeansy, po czym powoli uchylila drzwi.

Charles opierał się o ścianę naprzeciwko drzwi, a jego oczy nadal lśniły złotem. Wbrew temu, co mówił jego wzrok, wydawał się zrelaksowany i spokojny, jednak Anna wiedziała, by wierzyć jego oczom. Swoje własne sprawdziła sekundę wcześniej, gdy już wychodziła z zaporowanego pomieszczenia.

- Zdecydowałem, że musisz wiedzieć o Asilu - odezwał się, jakby nie było przerwy w ich wcześniejszej rozmowie.

- Dobrze. - Stała w przejściu, a ciepła para ogrzewała jej plecy.

Wilkołak mówił powoli i wyraźnie, jakby na siłę wrywał słowa pomiędzy warg.

- Asil to nie jest jego prawdziwe imię, chociaż większość osób tak się do niego zwraca. Nazywają go również Maurem.

Zesztywniała. Mogła nie wiedzieć wiele o swoim nowym gatunku, ale nawet ona słyszała o Maurze. Nie był to wilk, z którym się zadziera.

Dostrzegł jej reakcję i zmrużył oczy.

- Jeśli jest na świecie wilk, który może być starszy od mojego ojca, to może być to właśnie on.

Wyglądał, jakby czekał na jej reakcję, w końcu więc się odezwała.

- Nie wiesz ile lat ma Asil?

- Wiem. Urodził się przed Karolem Młotem, dziadkiem Karola Wielkiego. Młot pokonał Maurów w bitwie pod Tours.

Musiał poznać, że nie zrozumiała.

- Ósmy wiek naszej ery.

- To sprawia, że...

- Że ma ponad trzynaście wieków.

Sama również oparła się o ścianę. Widziała ciężące na nim brzemię lat, ale nie zdawała sobie sprawę jak wielu.

- Tak więc tym, co do którego nie masz pewności jest twój ojciec? - Tysiąc trzysta lat to kawał czasu.

Wzruszył ramionami, jakby odpowiedź nie była dla niego zbyt istotna.

- Tata jest stary – powiedział i odwrócił od niej swoje bursztynowe spojrzenie. - Asil przybył tutaj jakieś czternaście, piętnaście lat temu i poprosił ojca, by ten go zabił. Osiadł tutaj w zamian za obietnicę śmierci... która nastąpi tak szybko, jak tylko mój ojciec stwierdzi, że on naprawdę jest szalony. - Posłał w jej stronę lekki uśmiech. - Asil nie ma żadnego problemu z moim ojcem jako jego Alfą. Ale ma problem ze mną, będącym bardziej dominującym. Dlatego też wydaje mi się, że ojciec jest od niego starszy. Jednak moja relatywna młodość wydaje się być cierniem w jego łapie.

Anna zastanawiała się nad jego słowami.

- Czy on nie wspominał o jego Alfie z Europy? Jednak nie pamiętam,

by w jakiegokolwiek historii on sam był Alfą. - Było wiele historii o Maurze. Był niemal ludowym bohaterem - albo złoczyńcą - wśród wilków.

- Bycie Alfą nie jest proste. To wielka odpowiedzialność i dużo pracy. Niektóre starsze wilki są cholernie dobre w ukrywaniu przed innymi swojej prawdziwej natury. Dlatego większość Alf nie lubi, gdy wiekowe wilkołaki dołączają do ich stad. Poza tym Asil jest bardzo dominujący. - Uśmiechnął się ponownie, chociaż tym razem bardziej to przypominało obnażenie zębów. - Był z nami już od kilku miesięcy, gdy stanąłem pomiędzy nim, a pewnym naszym nie-wilczym mieszkańcem. Nie był zbyt rozbawiony, gdy odkrył, że jestem bardziej dominujący od niego.

- Może słuchać twojego ojca, bo jest on od niego starszy. Mógł słuchać też innych Alf - ponieważ tak naprawdę im nie ulegał. Ale konieczność podporządkowania się tobie, który jesteś od niego dużo młodszy i nie jesteś nawet Alfą...

Charles przytaknął twierdząco.

- On mnie wkurza, a ja go ignoruję. Wtedy on naciska na mnie jeszcze mocniej.

- To właśnie zrobił dzisiejszego wieczoru? Użył mnie, by odegrać się na tobie.

Charles pochylił głowę w geście, który był bardziej wilczy niż ludzki.

- Nie do końca. Moore miał partnerkę, którą stracił kilkaset lat temu. Umarła jeszcze zanim się urodziłem, więc nigdy nawet jej nie spotkałem, ale ona najprawdopodobniej - tak jak i ty - była Omegą. - Wzruszył ramionami. - Nigdy nie powiedział tego mi, czy mojemu ojcu. Istnieje wiele opowieści o Maurze i dopóki na pogrzebie nie zobaczyłem jego reakcji na twoją osobę, nie przypuszczałem, że jedna z tych legend okaże się być prawdziwa.

Ciepło wywołane prysznicem zniknęło, a chłód kropelek wody osiadłej na jej skórze obudził w niej dreszcz. A może to była tylko reakcja na wspomnienie wzroku starego wilka w kościele.

- Dlaczego jego reakcja skłoniła cię do tego wniosku?

Charles skinął głową, co powiedziało jej, że zadała właściwe pytanie.

- Ponieważ, gdy zdał sobie sprawę kim jesteś, przestał cię zaczepiać by dotrzeć do mnie... i sam zaczął się tobą interesować. - Wziął głęboki wdech. - To dlatego przyniósł ci kwiaty. I dlatego gdy zagroził, że mi cię odbierze,

przeżyłem ciężkie chwile próbując się opanować. Wiedziałem, że poważnie ma taki zamiar.

Zdecydowała się przemyśleć tę kwestię później i - póki co - utrzymać uwagę na rozmowie, tak by przypadkiem go nie zdenerwować.

- Czemu mi o nim opowiadasz? Czy to ma być ostrzeżenie?

Odwrócił wzrok, a jego twarz wyglądała jak nieruchoma, beznamiętna maska.

- Nie. - Zawahał się, po czym dodał bardziej miękko. - Myślę, że nie. Czy czujesz, jakbym ci je dawał?

- Nie - odpowiedziała w końcu. Skąpo udzielane informacje wpędzały ją we frustrację. Przekazywały coś, co ona mogła niemal wyczuć... coś, co trzymało jego wilka blisko.

Zanim zdołała spytać, co go martwi, ponownie zaczął mówić, odwracając przy tym twarz.

- Chciał byś wiedziała, że jeśli do najbliższej pełni księżyca zdecydujesz się jednak nie być ze mną, będziesz mogła wybrać jego. - Nawet, gdy miał odwróconą od niej głowę, widziała zarys gorzkiego uśmiechu na jego wargach. - I wiedział, że może zmusić mnie, bym ci to powiedział.

- I dlaczego powiedziałeś? - spytała miękko.

Odwrócił się do niej plecami.

- Masz prawo wiedzieć, że mimo że coś nas łączy, nadal masz prawo mi odmówić.

- A ty masz prawo mi odmówić? Odrzucić mnie?

- Nie wiem. Nigdy nie słyszałem o więzi wyglądającej jak nasza. Brat Wilk cię wybrał, wybrał twojego wilka i pozwolił mi za nim podążać. Ale to nieistotne. Nie chcę cię do niczego zmuszać.

Wilk wyjaśnił jej wiele spraw, ale jej wilczyca wybrała tego mężczyznę i nie krępować się pokazać co myśli o wyborze kogoś innego. Zmusiła się, by zepchnąć ją trochę na bok, by móc samodzielnie myśleć i zrozumieć co on próbuje jej przekazać.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

Czy chciał, by go odrzuciła?

Poczuła suchość w gardle. Ona, tak wilk jak i człowiek, pragnęła go jak narkomanka, spragniona wszystkiego co zdawał się obiecywać:

bezpieczeństwa, miłości, nadziei i miejsca, gdzie mogłaby należeć. Potarła nerwowo dłońmi uda, jakby samym dotykiem mogła usunąć napięcie ciała.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz niczego takiego - szepnął. - Ale musisz znać wszystkie dostępne ci opcje. - Zacisnął dłonie w pięści.

Poczuła, że w jego zapachu pojawiła się jakaś ostra nuta. Coś, czego nie było wcześniej. Cholerny Leo. Przez niego krępowała ją jej niewiedza. Chciała wiedzieć co Charles czuje, wiedzieć kiedy mówi prawdę... i kiedy stara się po prostu jej nie skrzywdzić.

Czekał na jej odpowiedź, ale ona nie wiedziała co powiedzieć.

- Opcje? - spróbowała neutralnie spytać. Czego on od niej chciał?

Widocznie nie neutralności. Ponownie zacisnął pięści. Skrzydełka jego nosa drżały, gdy wbił w nią złoty wzrok.

- Opcje – warknął głosem tak niskim, że odgłos ten zagrzmiął wręcz w jego piersi. - Asil rozpuści wieści i zasypią cię wilki, które z przyjemnością zaryzykują, by tylko dostać szansę być twoim partnerem.

Całe jego ciało trzęsło się i jeszcze mocniej oparł się o ścianę, jakby lękał się, że zaraz się na nią rzuci.

Obserwowała go. Tracił kontrolę nad sobą, a ona mu nie pomagała... nie wiedziała jak mogłaby pomóc. Wzięła kolejny głęboki oddech i próbowała zrzucić z siebie wszystkie obawy. To nie był facet, który był gotów zrezygnować ze swojej partnerki. To był mężczyzna, który gotowy był zachować się honorowo - i dać jej szansę wyboru, bez względu na koszty. To było właściwe, a wiedza ta pozwoliła jej się opanować. Mogła znów wezwać wilka, dającego jej pewność siebie, której tak potrzebowała.

Dla niej trząsł się jak alkoholik spragniony swojego ginu, gdyż czuł, że ona potrzebuje znać dostępne jej opcje. I nieważne, co czuł jego wilk na myśl o stracie swojej partnerki. Naprawdę był jej rycerzem.

Jej wilkowi nie podobał się widok go nieszczęśliwego. Chciał przywiązać go do siebie - do nich - łańcuchami i miłością, dopóki Charles nie

przestanie myśleć o opuszczeniu ich.

- Dobrze więc - powiedziała tak energicznie jak tylko mogła, mimo wagi objawienia, które na nią spłynęło, a dzięki któremu czuła się teraz ciepło i bezpiecznie. W oczach czuła zbierające się łzy. Jednak jej głos brzmiał dość lekko. – To dobrze, że możemy coś zrobić, by naprawić teraz to niedopatrzenie.

Zapatrzył się na nią, jakby zrozumienie jej słów zajęło mu dłuższą chwilę. Jego źrenice rozszerzyły się, a skrzydełka nosa zadrżały.

Nagle odepchnął się od ściany i był już na niej, a jego potężne ciało wgniotło ją we framugę drzwi. Ustami gorączkowo zaczął całować jej szyję. Jego dotyk sprawił, że po kręgosłupie przeszedł jej dreszcz i poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

Jego skóra pachniała intensywnym, piżmowym aromatem. Charles porwał ją w ramiona mocnym, nieskoordynowanym ruchem i niechcący uderzył jednym z jej ramion w drewnianą framugę. Nie ruszała się, gdy przenosił się z nią w dół korytarza. Widziała już wcześniej wilka w rui i wiedziała, że lepiej po prostu być uległą.

Poza jednym... Nie mogła powstrzymać się przed dotykaniem jego twarzy, by sprawdzić czy skóra tam była cieplejsza niż w innych miejscach jego ciała. Potem przesunęła palce w dół, do kącika jego ust, gdzie zwykle rodził mu się na wargach delikatny, zwykle szybko ukrywany uśmiech.

Charles przesunął lekko głowę i złapał zębami jej palec, wystarczająco mocno, by to poczuła, ale nie dość mocno, by ją zabolalo. Może - zastanawiała się mgliście dziewczyna, gdy puścił go i przeniósł uwagę na jej ucho, je również lekko przygryzając - ona też jest podniecona. Zdecydowanie nigdy wcześniej nie czuła się w ten sposób.

Mimo, że oprócz nich dom był pusty, Charles zatrzasnął stopą drzwi do sypialni, zamykając ich w ciemnej i ciepłej przestrzeni.

Ich sypialni.

Nie tyle położył ją na łóżku, co opadł na nie razem z nią. Wydał przy tym z siebie dźwięk, który był bardziej wilczy niż ludzki. A może to była ona?

Zerwał z niej dzinsy, a ona oddała mu tę samą przysługę. Anna czuła wielką satysfakcję czując, jak gruby materiał rozrywa się pod jej palcami. Jednak satysfakcja ta była jeszcze większa, kiedy poczuła pod palcami jego nagą, jedwabistą skórę.

Czuła, jak szorstkie były jego dłonie. Chociaż było oczywiste, że robił co mógł by być delikatnym, czasami zderzyli się, kiedy – wciąż na niej leżąc – starał się ją przesunąć. Z obudzonym w sobie wilkiem nawet nie myślała, by się go bać. Wiedziała, że bestia w nim nigdy jej nie skrzywdzi.

Rozumiała jego pasję, ponieważ czuła to samo co on. Jakby nie było nic ważniejszego od dotyku jego skóry i jakby miała umrzeć, gdyby tylko przestał jej dotykać. Jej strach i nienawiść do seksu odeszły daleko w niepamięć. Ten wilk nie był dość bestialski, by zrobić jej coś więcej niż tamci.

- Tak - powiedział jej. - Wkrótce.

- Teraz - rozkazała mu ostro, chociaż nie była całkiem pewna co chce, żeby zrobił.

Roześmiał się, a Anna poczuła, jak ten śmiech zadudnił w jego piersi.

- Cierpliwości.

Rozerwał jej koszulę, a za nią stanik. Teraz nagą skórą ocierała się o jego flanelową koszulę. Gorączkowo szarpała ją i ciągnęła, odrywając guziki i niemal go dusząc, zanim ją z niego zdjęła. Jej zapał tylko mocniej go rozpałił. Dłoni natychmiast chwycił jej biodra i ustawił je w odpowiedniej pozycji.

Syknęła, kiedy wsunął się w nią ostrożnie i zdecydowanie zbyt wolno. Za tę ostrożność ugryzła go w ramię. Warknął coś, co mogło być słowami... albo i nie. Jednak dopiero, gdy poczuł satysfakcję, że była na niego naprawdę gotowa, pozwolił sobie stracić kontrolę, którą ledwie utrzymywał od czasu wizyty Asila.

Pierwszy raz był szybki i mocny, jednak nie za szybki dla niej. Ledwie skończyli, a on ponownie zaczął się w niej poruszać. Tym razem to on nadał tempo i obejmował jej plecy, gdy próbowała zmusić go, by przyspieszył. Nigdy nie czuła czegoś takiego, jak i takiego spokoju, dzięki któremu zapadła w sen. Mogła do czegoś takiego przywyknąć.

*

W środku nocy obudził ją nieznajomy dźwięk przełączającego się

pieca.

W pewnej chwili podczas snu odsunęła się od niego. Leżał po drugiej stronie łóżka, a na twarzy malowało mu się odprężenie. Chrapał lekko, niemal mruczając, co wywołało uśmiech na jej twarzy.

Wyciągnęła do niego dłoń... i zamarła. Co jeśli go obudzi, a on będzie na nią zły, że przeszkadza mu spać?

Dobrze wiedziała, że nie będzie się tym przejmował. Ale wilk, który wcześniej pozwolił jej śmiało zrobić wszystkie te rzeczy również spał. Anna przesunęła się na swoją stronę łóżka, układając się do niego plecami. Jej niepokój musiał go obudzić, gdyż nagle poczuła, jak otacza ją silne ramię, przyciągając ją do jego ciepłego ciała. Ostry alarm jaki rozbrzmiał w dziewczęcej głowie obudził jej wilka.

Charles lekko zacisnął ramię na jej talii.

- Śpij.

Z broniącym jej wilkiem zmusiła się, by się rozluźnić i spokojnie zaakceptować za sobą jego gorące, nagie ciało. Położyła rękę na jego dłoni i przycisnęła ją mocniej do swojego brzucha, po czym znów zapadła w sen.

On jest jej.

*

Gdy ją obudził, za oknem wciąż było ciemno.

- Dzień dobry - mruknął cicho do jej ucha. Było jej tak dobrze, że udawała, że nadal śpi.

Otoczył ją ramionami i dwa razy przeturlał się z nią po łóżku. Pisnęła cicho, kiedy zaczęli się z niego zsuwać. Wylądowała na nim, z biodrami tuż nad jego brzuchem, który drżał od jego cichego śmiechu.

- Tak dobry jak to, prawda? – wymruczała. Zanim przypomniała sobie o jego ranie, położyła dłonie tuż obok niej i połaskotała go.

- Przestań – warknął cicho i chwycił ją za rękę, by nie mogła go znów

łaskotać. W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie, więc chyba nie sprawiła mu bólu. – Kobieto, mamy zadanie do wykonania, a ty nasz spowalniasz.

- Ha ha - rzuciła cicho, po czym poruszyła sugestywnie biodrami. Była pewna, że nie będzie miał nic przeciwko takiego małego opóźnieniu. Poruszyła się na nim raz jeszcze, po czym wykorzystała jego rozproszenie i uciekła z jego ramion.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem. - Czas się ruszyć. - I całkowicie naga wyszła z pokoju, kierując się do łazienki.

*

Charles obserwował ją z zadowoleniem. Czuł, jak iskry szczęścia rozświetlają jego duszę. Dzisiejszego ranka nie wyglądała na przybitą, a jej krótki taniec bioder zasugerował mu, że czuła się całkiem nieźle.

To on sprawił, że tak się czuła. Ile to już czasu minęło, od kiedy był przyczyną czyjegoś szczęścia?

Położył się na plecach na podłodze, by jeszcze chwilę rozkoszować się swoim samopoczuciem. Jednak szybko odezwało się jego sumienie. Im szybciej dostaną się do lasu, tym prędzej wrócą do domu i będą mogli dalej się bawić.

W tym celu sprawdził stan swoich ran i swoją zdolność do walki. Nadal go bolało i był trochę wolniejszy niż normalnie, ale – tak, jak obiecał Samuel - czuł się znacznie lepiej. I to nie tylko z powodu Anny.

Ubrany, zaczął wyciągać z szafy zimowe akcesoria. Musiał znaleźć na nie inne miejsce, by dziewczyna mogła powiesić tu swoje ubrania. Wtedy wróciła do pokoju. Była owinięta ręcznikiem i widać było, że cała jej poranna odwaga gdzieś zniknęła.

Zdecydował się dać jej trochę przestrzeni.

- Przygotuję jakieś śniadanie, gdy będziesz się ubierała.

- Dobrze. – Przechodząc obok niego wbiła wzrok w podłogę. Gdyby nie miał dobrego słuchu, nie usłyszałby nerwowości w jej odpowiedzi.

Jednak nic nie ukryło przed nim zapachu strachu promieniującego z jej ciała. Zamarł w miejscu i spojrzał na dziewczynę, gdy klękła przy swoim kartonie z ubraniami.

Próbował stworzyć między nimi więź... Ale nie była ona ani trochę silniejsza niż wczorajszego poranka czy w dniu, gdy się poznali.

Nigdy wcześniej nie był związany z partnerką, ale wiedział jak to powinno wyglądać. Miłość i seks były w stanie związać człowieka z człowiekiem. Wtedy wilk decydował się na drugą osobę, albo nie. Jako, że ich wilki już wcześniej się zaakceptowały, był pewien, że ich nocne kochanie się tylko zacieśni łączące ich więzi.

Spojrzał na nią. Dostrzegł wyraźnie wystające kręgi kręgosłupa i ostro zarysowane ramiona - widoczne znaki utraty wagi, spowodowanej cierpieniami jakich doświadczyła w stadzie Leo. Najgorsze blizny były niewidoczne. Wilkołaki rzadko noszą na skórze blizny.

Otworzył usta by coś powiedzieć, ale przerwał. Zanim będzie wiedział o co zapytać, musiał przemyśleć kilka rzeczy. Albo dowiedzieć się, do kogo skierować pytania.

*

Nakarmił ją śniadaniem, czując że jest niewiele bliżej odpowiedzi, których szukał. Ale nawet rozproszony i zamyślony czerpał wiele satysfakcji z patrzenia, jak Anna je. Nawet, jeśli nie chciała na niego spojrzeć.

- Zaczniemy trochę później niż planowałem - powiedział nagle, zabierając naczynia i ustawiając je w zlewie. - Mam kilka rzeczy, które chciałbym, żeby Heather zrobiła. I jest jeszcze ktoś, kogo chciałbym zobaczyć.

Była nadal w jadalni, ale jej milczenie mówiło za nią. Była jeszcze zbyt onieśmielona albo nim, albo ostatnią nocą, by go pytać o cokolwiek. Był za to teraz wdzięczny. Nie chciał jej okłamywać... ale nie chciał również mówić jej z kim idzie porozmawiać.

- W takim razie skończę zmywanie - zaproponowała.

- Dobrze. - Wytarł ręce i zatrzymał się, by pocałować ją w czubek

głowy. Był to szybki, beznamiętny całus który nie powinien obudzić w niej napięcia, ale który usatysfakcjonował Brata Wilka, że Anna wie, do kogo on należy. Był jej - czy go chciała, czy nie.

Heather była nadal w domu jego ojca, śpiąc przy łóżku swojego przyjaciela. Z zamglonymi od snu oczami i padająca ze zmęczenia, wykonała kilka telefonów i zaaranżowała sprawy zgodnie z jego oczekiwaniami.

Wtedy została mu jeszcze tylko jedna osobę do wyśledzenia. Na szczęście odkrył, że większość ludzi łatwo zlokalizować o piątej trzydzieści rano.

ROZDZIAŁ 7

Asil śnił o rodzinnym domu: małym i solidnym, dostosowanym do ciepłego klimatu, ze starannie wypielęgnowanymi, stojącymi przy drzwiach drzewami pomarańczowymi. W czasie, kiedy słońce było w najwyższym punkcie nieba, zatrzymał się obok ławki ocienionej przez największe z nich. Przesuwając palcem między dwoma częściami tworzącymi filtr nieregularnego skręta, marzył nadaremnie, że ma dość czasu, żeby to naprawić.

Nawet wiedząc co się wydarzy, nie mógł zmusić się do pozostania obok ławki. Nie wtedy, kiedy Sarai była w domu. Nie miał żadnych jej zdjęć ani portretów. Próbował je nawet malować, by oddać jej sprawiedliwość, jednak jego talent artystyczny był w najlepszym razie plebejski. Widział ją jedynie w swoich snach.

Zrobił tylko krok i znalazł się w głównym pomieszczeniu. W połowie sklep, połowie kuchnia, pomieszczenie powinno być funkcjonalne, ale Sarai powiesiła kosze z roślinami i namalowała kwiaty na płytkach rozłożonych na podłodze, sprawiając, że wyglądało to zapraszająco. Na blacie ustawionym niemal na końcu pomieszczenia, jego partnerka szybkimi i fachowymi rękoma na drobny proszek mieliła laskę cynamonu.

Wciągnął powietrze, by delektować się jej zapachem, często przesyconym przyprawami, nad którymi pracowała. Jego ulubionym aromatem był zapach Sarai zmieszany z wanilią. Musiał jednak przyznać, że woń Sarai pomieszana z zapachem cynamonu była niemal równie dobra.

Była dla niego przepiękna, nawet jeśli wiedział, że inni tak nie uważają. Jej zakończone tępo przyciętymi paznokciami dłonie były spracowane i silne.

Krótkie rękawy sukni ukazywały mięśnie zdobyte zarówno od pracy jak i podczas biegania na pustkowiach okolicznych wzgórz w postaci wilka. Nos, z powodu którego rozpaczała, był długi i wyraźnie zaakcentowany, z zachwycającym małym grzbietem na końcu.

Wyciągnął przed siebie rękę, ale nie mógł jej dotknąć.

- Sarai ?

Kiedy nie odwróciła się do niego, wiedział, że to będzie ten zły sen. Walczył, by się od niego uwolnić tak samo zaciekle, jak walczyłby jeden z jego wilczych kuzynów złapany za nogę we wnyki. Jednak nie mógł odgryźć sobie nogi ani użyć siły, by uwolnić się z pułapki, w której właśnie tkwił. Tak więc

jedyne co mu pozostało, to przyglądać się bezradnie jak wydarzy się to kolejny raz.

Na bruku rozbrzmiał odgłos łap wilka, który położył się za drzwiami, by nie pobrudzić podłogi błotem. Sarai lekko cmoknęła z niezadowoleniem – niecierpiała, gdy ktoś przerywał jej w trakcie rozrabiania leków.

Mimo to, odłożyła na bok móżdziej i tłuczek i strzepnęła fartuch. Zirytowana czy nie, wiedział, że nigdy nie pokręciłaby nosem na interesy. Pieniędźmi nikt nie gardził, zwłaszcza w tych czasach. A dla Sarai żaden z gości nie stanowił zagrożenia.

Ludzki żołnierz nie był niebezpieczny dla kobiety, która była również wilkołakiem, a dojście do władzy Napoleona powstrzymało inne, bardziej niebezpieczne wojny. Kilka rodzin „czystej krwi” z rodów czarownic, które pozostały w Europie, w końcu przestały się nawzajem zabijać, zmuszone do obrony przed niszczącymi skutkami bardziej przyziemnych walk. Nie miała więc powodów do żartów i nie chciała już słuchać ciągłych gorączkowych starań Asila, by ją ostrzec.

Otworzyła drzwi i przez chwilę Asil zobaczył to samo, co Sarai.

Stojąca w drzwiach kobieta była zwiewna i delikatna. Jej ciemne włosy, zazwyczaj niesforne i kręcone, zostały ujarzmione i ułożone w kok. Jednak ten surowy styl sprawił, że wyglądała jeszcze młodziej. Miała szesnaście lat. Podobnie do Sarai, była czarnowłosa i czarnooka, ale w przeciwieństwie do jej przybranej matki, jej rysy twarzy były wyrafinowane i arystokratyczne.

- Mariposa, dziecko ! – zawołała Sarai. - Co ty tu robisz, jadąc tak daleko samotnie na koniu? Żołnierze są wszędzie! Jeśli chciałaś nas odwiedzić, trzeba było mi powiedzieć, a posłałabym po Ciebie Hussana, żebyś była bezpieczna.

Minęło już dwieście lat odkąd ktoś nazywał go tamtym imieniem, a jego brzmienie wciąż wbijało się cierniem w jego serce.

Mariposa zacisnęła lekko usta.

- Nie chciałam was kłopotać. Jestem wystarczająco bezpieczna.

Nawet we śnie wiedział, że jej głos brzmiał dziwnie, zupełnie do niej niepodobnie. Po prostu zimno. Jego Mariposa, jego mały motylek, była niezwykle emocjonalna, raz gniewna, raz przygnębiona, a zaraz radosna jak słoneczko. Wszystkie te emocje następowały po sobie tak szybko, że ledwie zdołał złapać oddech.

Sarai zmarszczyła brwi.

- Nikt nie jest wystarczająco bezpieczny. Nie w tych czasach. - Ale nawet jeśli skarciła dziewczynę, którą wychowywała jak własną córkę, wzięła ją w objęcia. – Urosłaś dziecko. Pozwól mi na Ciebie spojrzeć. - Zrobiła dwa kroki do tyłu i potrząsnęła głową. - Nie wyglądasz najlepiej. Dobrze się czujesz? Linnea obiecała mi, że będzie o Ciebie dbać ... ale nastały ciężkie czasy.

- Wszystko ze mną w porządku – powiedziała Mariposa, ale jej głos temu przeczył. Był matowy i zdecydowany. Co więcej, dziewczyna kłamała.

Sarai spojrzała na nią z ukosa i oparła ręce na biodrach.

- Znasz mnie na tyle dobrze, że nie powinnaś kłamać. Czy ktoś Cię skrzywdził?

- Nie – odpowiedziała cicho Mariposa.

Asil wyczuł gromadzącą się wokół niej moc, zupełnie inną niż ta, którą znał, gdy po raz pierwszy wysłali ją na swoistego rodzaju szkolenie. Jej magia była dzika i gorąca, ale moc rozchodząca się w powietrzu była tak ciemna i zimna, jak jej głos.

Uśmiechnęła się. Przez chwilę znów zobaczył w niej dziecko, którym niegdyś była, a nie czarownicę, którą się stała.

- Wiele dowiedziałam się od Linnei. Nauczyła mnie jak się upewnić, że nikt już nigdy nie będzie mógł mnie zranić. Ale potrzebuję twojej pomocy.

Dzwonek do drzwi obudził Asila tuż przed tym, jak kolejny raz zobaczył śmierć Sarai. Leżał w pustym łóżku i wyczuł, że jest przesiąknięty zapachem terroru i rozpacz. Jego własnym.

CHARLES rozgościł się na werandowej huśtawce starego wilka starając się odnaleźć w strefie czasowej stanu Indiana. Był na to pewien sposób, którego nigdy nie udało mu się dość dobrze opanować – jego dziadek zawsze narzekał, że duch jego ojca jest wewnątrz niego zbyt silny.

Wiedział, że Asil usłyszał dzwonek do drzwi. Słyszał rozpryskującą się wodę z prysznica - jednak nigdy nie oczekiwał, że Asil wysili się dla niego na uprzejmość szybkiego pojawienia się w drzwiach. Zwłaszcza, że jego wizyta przypadła na tak bezbożnie wczesną poranną godzinę. Wraz z Anną zaczęła z małym opóźnieniem, ale ich łupem nie miała być ryba, którą wcześniej czy

później da się złapać o świcie w strumieniu. A to było dla niego ważniejsze niż łapanie bandyty, nawet jeśli ten zabijał ludzi.

Po rozmowie z Heather o mało co nie poszedł do ojca, a nie do Asila,. Ale gdy tylko wyczuł zapach jego macochy, powstrzymał się przed zapukaniem do drzwi sypialni Brana. Tego ranka Charles nie miał ochoty stanąć z nią do „tańca”, czego Leah będzie tego od niego oczekiwać. Kiedy sprawiała, że musiał być w stosunku do niej ordynarny (a to był jej cel), jego ojciec interweniował. Nikt, nawet żaden z jego synów, nie mógł pozwolić sobie na brak szacunku względem partnerki Marroka. Wtedy w grę nie wchodziła żadna dyskusja.

Jedyne co mu pozostało, to przyjść do drugiej - a zarazem jedynej - osoby, która mogła rozumieć co się działo i dlaczego więź między nim i Anną nie była kompletna. To był Asil, którego kobietą była Omega. Asil, który nie lubił go prawie tak bardzo jak Leah, chociaż z zupełnie innych powodów.

Brat Wilk uważał, że może być sporo ubawu w tej porannej rozmowie. Ubawu albo walki – a wilk rozkoszował się jednym i drugim.

Charles westchnął i obserwował jak kłębek pary wydobywający się z jego ust znika w zimnym powietrzu. Być może to daremny wysiłek. Część jego chciała jeszcze trochę z tym poczekać. Właśnie dlatego, że dłuższa i wolniejsza część procesu łączenia się wilków w pary, kiedy to wilk akceptował wilka, została zakończona prawie tak szybko, gdy po raz pierwszy ją zobaczył. Nie oznacza to jednak, że druga połowa całego procesu będzie przebiegała z taką samą szybkością.

Coś mu jednak mówiło, że nie wszystko jest w tym tak, jak powinno być i że czas sam tego nie rozwiąże. A mężczyzna, który miał ojca wilkołaka i matkę szamanek wie, kiedy powinien słuchać swojej intuicji.

Nagle otworzyły się drzwi.

Charles dalej kołysał się tam i z powrotem na werandowej ławce. Spotkania z Asilem zwykle zaczynały się od pewnego rodzaju próby mocy.

Po kilku minutach Asil skierował się za ławkę, w stronę metalowej balustrady otaczającej werandę. Skoczył na nią, z jedną stopą postawioną płasko na poręczy i zgiętą nogą, drugą stopę ostrożnie stawiając obok. Miał na sobie jeansy i nic poza tym, a na jego wilgotnych włosach - w miejscach gdzie nie dotykały skóry - od zimna zaczął tworzyć się szron, komponując się ze srebrnymi śladami rysującymi się na jego plecach. Asil był jednym z nielicznych wilkołaków, u których Charles widział szramy. Ślady, które były pamiątką po

ataku innego wilkołaka, ciągnęły się wzdłuż tylnych żeber. Charles zorientował się, że znajdowały się prawie w tym samym miejscu, gdzie przebiegały jego własne rany. Jednak blizny Asila były zadane przez zwierzęce pazury, a rany Charlesa przez srebrne naboje.

Często przybierał jakąś pozę, podobnie Asil. Charles nigdy nie był pewien czy to było zamierzone, czy to tylko stare przyzwyczajenie.

Asil wpatrywał się raczej w znajdujące się za jego domem, ciągle schowane w cieniu wczesnego poranka drzewa niż na Charlesa. Mimo że wcześniej brał prysznic, Charles wyczuwał w nim woń strachu i cierpienia. I wtedy przypomniał sobie co Asil powiedział na pogrzebie: że znowu ma te sny.

- Czasami mojemu ojcu udaje się odegnać złe sny – mruknął Charles.

Asil wydał z siebie chropowaty śmiech, pochylił głowę i ścisnął nos.

- Nie w przypadku tych. Już za późno. A teraz powiedz mi dlaczego czekasz tu na mnie tego pięknego ranka? – Zrobił pretensjonalny gest, jednym ruchem ręki ogarniając zimową porę roku, zimno i porę dnia.

- Chciałbym, żebyś opowiedział mi o wilczycach Omega – powiedział Charles.

Oczy Asila rozszerzyły się w komicznym przesadnym zaskoczeniu.

- Już problemy, szczeniaku?

Charles tylko kiwnął.

- Anna ledwo co wie o byciu wilkołakiem. Dużo by to pomogło, gdyby przynajmniej jedno z nas wiedziało coś o aspekcie bycia Omega.

Asil przyglądał mu się przez chwilę, a udawane rozbawienie znikło z jego twarzy.

- To może być długa rozmowa - powiedział w końcu. – Może wejdiesz i napijesz się herbaty?

Charles usiadł przy małym stoliku i patrzył jak Asil zajął się parzeniem herbaty. Wyglądał, jakby wcielił się w japońską gejszę, gdzie każdy ruch był ważny i precyzyjny. Jakikolwiek był jego sen, musiał zdecydowanie pozbawić Asila ochoty do zwykłego mu odgrywania szalonego wilkołaka. To, że Charles widział go w takim stanie, pozwoliło mu właśnie zrozumieć jak wiele z

większości zachowań Asila było udawanych. Kiedy Asil był naprawdę niespokojny, miał nadmiernie precyzyjne ruchy, urządzał awanturę o bzdury i nic nie znaczące sprawy.

To nie powodowało jednak, że był w mniejszym stopniu szalony czy niebezpieczny. Jednak Charles zrozumiał wreszcie powód, dla którego ojciec, ku powszechnemu nieszczęściu, nie uśmiercił jeszcze Asila.

- Tutaj herbata nigdy nie smakuje w pełni tak dobrze - powiedział Maur stawiając kruchą, chińską, zakończoną złotą obwódką filiżankę naprzeciw Charlesa. – Wysokość nie pozwala wodzie dostatecznie się zagotować. Najlepsza herbata jest parzona na poziomie morza.

Charles uniósł filiżankę i upił łyczek czekając, aż Asil się usadowi.

- Zatem - powiedział drugi wilkołak, zajmując miejsce naprzeciwko Charlesa – co właściwie chciałbyś wiedzieć na temat Omeg?

- Nie jestem pewien – Charles przebiegł palcem po obrzeżu filiżanki. Teraz, gdy tu był, nie miał zbytnej ochoty ujawniać problemu z Anną człowiekowi, który chciał być jego wrogiem. W końcu zdecydował się. - Może powiedziałbyś mi najpierw dokładnie pod jakim względem różnią się one od uległych wilków.

Asil uniósł brwi

- W porządku. Jeśli nadal uważasz, że twoja kobieta jest uległym wilkiem, masz przed sobą prawdziwie niemiłe zaskoczenie.

Charles jedynie się na to uśmiechnął.

- Tak, właśnie to wywnioskowałem.

- My dominujące wilki mamy zwyczaj myśleć o tym aspekcie bycia wilkołakiem jako o randze: kto jest do przestrzegania, a kto to wydawania rozkazów. Dominujący wilk i uległy wilk. Ale jest też drugi aspekt bycia wilkołakiem: kto ma chronić, a kto jest chroniony. Uległy wilk jest zdolny do tego, by sam się ochronić. Potrafi walczyć i zabić tak łatwo jak każdy inny wilk. Jednakże uległy wilk nie czuje potrzeby walki – nie w sposób w jaki odczuwa to wilk dominujący. Są skarbem sfory. Źródłem celu i równowagi. Jaka rola jest w tym wszystkim dominującego wilka? By chronić tych, którzy mu podlegają. Jednak chronienie uległego wilka jest o wiele cenniejsze, ponieważ uległy nigdy nie będzie czekał, aż będziesz ranny lub odwrócisz się do niego plecami, by sprawdzić czy naprawdę jesteś dla niego dominujący. Uległym wilkom można zaufać. I łączą sforę w celu zapewnienia jej bezpieczeństwa i dbania o nią.

Upił herbatę i prychnął.

- Mówienie o tym w twoim języku brzmi tak, jakbym mówił o relacjach seksualnych. Zabawne.

- Jeśli lepiej ci będzie mówić po hiszpańsku, to śmiało – zaproponował Charles.

Asil wzruszył ramionami.

- To nie ma znaczenia. Wszystko to wiesz. Mamy tutaj nasze uległe wilki. Wiesz jaka jest ich rola.

- Gdy spotkałem Annę, mój wilk po raz pierwszy w moim życiu spał.

Cała obojętność znikła, Asil podniósł wzrok ze swojej herbaty, by spojrzeć na Charlesa.

- Tak – wyszeptał. – Właśnie. Potrafią pozwolić twojemu wilkowi odpocząć. Sprawić, by czuł się spokojny.

- Nie zawsze czuję się tak przy niej.

Asil zaśmiał się, parszkając herbatą w filiżankę. Na ten widok zrobił ponurą minę, po czym odłożył filiżankę na bok.

- Mam nadzieję, że nie. Nie, jeśli jesteś jej wilczym partnerem. Dlaczego chcesz być przy kimś, kto w ten sposób przez cały czas cię osłabia? Zmienić cię z dominującego w uległego przez jej odczuwalną obecność. Nie. Nie zmusi cię do bycia potulnym przez cały czas.

Wytań usta szmacianą serwetką, którą złożył i położył obok filiżanki.

- Jak długo jest wilkołakiem?

- Trzy lata

- W takim razie zdaje się, że w tej chwili kieruje nią tylko instynkt. Co oznacza, że jeśli nie czujesz efektów jej działania przez cały czas to albo czuje się przy tobie bardzo bezpiecznie, albo jest zbyt niespokojna i nie ma w sobie na tyle spokoju, by się nim dzielić. - Wyszczrzył się wilczym uśmiechem. – Jak myślisz, która z tych reakcji jej dotyczy? Jak wielu ludzi nawet w pewnym stopniu się ciebie nie obawia ?

- To właśnie ciebie drażni? – spytał Charles, szczerze zaciekawiony. – Nie obawiasz się mnie.

- Oczywiście, że tak – powiedział spokojnie Asil.

- Nie masz dobrego zmysłu, jeśli się mnie obawiasz. – Charles pokręcił głową i wrócił do swoich pytań. – Omegi służą bardzo podobnym celom w sforze co uległe wilki, ale jednak mają ich więcej, zgadza się?

Asil zaśmiał się tym razem szczerze.

- Zatem czy powinienem teraz bronić siebie mówiąc „Oczywiście, mam na tyle rozwinięty zmysł, by się obawiać”?

Zmęczony gierkami Charles po prostu westchnął.

- Jest różnica między uległym wilkiem a Omegą. Czuję to, ale nie wiem co to znaczy. Nie chce słuchać żadnych rozkazów, od nikogo. Rozumiem to.

- Omega posiada wszystkie instynkty obronne Alfy i żadnej skłonności do przemocy - powiedział Asil w wyraźnie złym humorze przez powrót do tematu. –

Twoja Anna prowadzi Cię do niepotrzebnej straty czasu, upewniając się, że każdy w jej sforze jest szczęśliwy i szczelnie ukryty przed wszystkim, co mogło by ich skrzywdzić.

To właśnie było to. Mógł niemal połączyć wszystkie sznurki. Wilk Anny nie był agresywny ... po prostu był silny i opiekuńczy. Jak zatem przystosowywanie się Anny do bycia wilkołakiem – i jej systematyczne gnębienie – wpłynęło na wilka?

Myśląc na głos, powiedział:

- Ból sprawia, że dominujący wilk jest bardziej brutalny, podczas gdy u uległego wilka przedstawia się to właśnie inaczej. Co przytrafia się Omedze, która jest torturowana? – Gdyby myślał raczej o Asilu niż o Annie, nigdy nie ująłby tego w tych słowach.

Twarz Maura zbladła i jego zapach zmienił się gwałtownie. Skoczył na nogi przewracając krzesło i rzucając stołem, który wirując uderzył najdalszą ścianę i roztrzaskał się przy niej na kawałki.

Charles wstał wolno i położył filiżankę herbaty na pobliskim barku.

- Wybacz Asil. Nie miałem zamiaru przypominać ci o sprawach, które na

dobrze zostały już zapomniane.

Asil stał dłużej niż chwilę, na granicy ataku. Nagle jednak wszystkie napięte mięśnie rozluźniły się i wyglądał na do głębi duszy zmęczonego. Bez słowa opuścił pomieszczenie.

Charles wypłukał filiżankę i położył na zlewie dnem do góry. Nie był zazwyczaj tak nieostrożny. Kobieta Asila zmarła, torturowana na śmierć przez wiedźmę, która użyła jej bólu i śmierci, by zyskać moc. Przez to wszystko uważał Asila za irytującego – zwłaszcza jego ostatnią i najefektywniejszą metodą dręczenia: Annę. Nigdy umyślnie nie użył śmierci kobiety Asila, by go dręczyć. Ale kolejne przeprosiny niczego już nie zmieniają.

Wymamrotał lekkie zaklęcie na błogosławieństwo dla domu, jak uczył go brat matki, i wyszedł.

ANNA była zadowolona, że tym razem prowadzi Charles. Wydawał się być całkowicie spokojny, mimo że samochodem zarzucało na oblodzonej drodze. Dziewczyna musiała chwycić rączkę od drzwi, dogodnie umiejscowioną powyżej okna.

Tego ranka, od czasu kiedy wrócił z narady ze strażnikiem leśnym, nie mówił do niej zbyt wiele. Nieobecny wzrokiem wpatrywał się w dal i miała wrażenie, jakby dowcipny, łagodny mężczyzna, u którego boku się obudziła zniknął.

Z jej winy.

Nie spodziewała się czuć tak dużo po tym, gdy biorąc prysznic uspiła swojego wilka. Oboje potrzebowali przerwy po utrzymaniu tej doskonałej równowagi, a jedyne czego oczekiwała, to że wilk zabierze ze sobą tę skręcającą jej trzewia potrzebę. Anna nigdy nie czuła się tak przy żadnym mężczyźnie. Było to zarazem żenujące i straszne.

Bardzo długo była pod prysznicem, ale to nie odeszło. Wszystko było by w porządku, gdyby nie był wesoły tego ranka... ale wątpiła w to. Tak silne uczucia sprawiały, że stawała się bardziej podatna na zranienia i obawiała się, że nie potrafi tego ukryć.

Kiedy musiała już wyjść, tak bardzo martwiła się, by nie pokazać mu jak się czuje, że nie zauważyła jak jej nieporadna nieśmiałość... i strach... na niego wpłynęły. Wyciągnął z tego swoje własne wnioski i obawiała się, że wszystkie co do jednego, złe.

Zerknęła na jego nieprzeniknioną twarz. Nie miała pojęcia, jak to

wszystko poukładać. Ruch przybliżył jej twarz do pożyczonych ubrań. Podniosła ramię, obwąchała rękaw założonej koszuli i zmarszczyła nos.

Nie sądziła, by odwrócił wzrok od drogi, ale powiedział:

- Nie pachniesz brzydko.

- Po prostu dziwnie jest pachnieć człowiekiem – powiedziała do niego. – Nie myślisz zbyt dużo o swoim zapachu, dopóki się nie zmieni.

Zanim wyszli, wziął ubrania, które przyniósł Tag i kazał założyć jej brudną koszulkę i na to podobnie brudną bluzę. Następnie w dość bezosobowy sposób przesunął nad nią ręce, intonując pieśń w nosowym i śpiewnym języku, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Kiedy skończył, pachniała jak ludzka kobieta, której koszulę miała na sobie, a on pachniał jak ludzki mężczyzna.

Powiedział jej, że dysponował pewną magią, którą oddziedziczył po matce. Zastanawiała się, co jeszcze potrafił robić, jednak czuła, że niegrzecznie było by pytać. Nigdy wcześniej nie spotkała kogokolwiek, kto w tych czasach zajmował się magią, przez czuła do niego jeszcze większy podziw niż dotychczas. W stadzie z Chicago krążyły historie o ludziach zajmujących się magią, jednak nigdy nie poświęcała im zbyt dużo uwagi. Musiała więcej niż tylko pogodzić się z byciem wilkołakiem.

Przebiegła palcami po udach i rozprostowała je.

- Przestań się martwić – powiedział Charles dość miłym głosem. Jego ton jednak nie wskazywał, by mówił do niej, a nie kogoś, kogo właśnie spotkał na ulicy. Dopiero tego ranka, kiedy przestał się odzywać, zorientowała się, że mówi do niej w inny sposób.

Śnieg pokrywał góry, wyższe od wieżowca Sears Tower*, które wznosiły się po drugiej stronie drogi. Były tak samo zimne i solidne, jak mężczyzna siedzący obok niej. Zastanawiała się czy to właśnie z jego pokerową maską ma teraz do czynienia. Może zamknął się w sobie, by - chroniąc swoje stado - przygotować się do zabicia kogoś, kogo nie znał. Może to nie była jej wina.

* Sears Tower to wieżowiec w centrum Chicago, w stanie Illinois. Ma 110 pięter i 443 metry wysokości.

ANNA czuła się nieswojo, przestraszona – i starała się to ukryć. Asil powiedział mu, że wszyscy się go bali. Pragnął wiedzieć, co mógłby powiedzieć, aby to naprawić. Aby naprawić coś, cokolwiek.

Po wyjściu z domu Asila, problem ciągle krążył po jego głowie – tak naprawdę to problemy, chociaż zaczynał wierzyć, że były dwa aspekty jednej, kłopotliwej kwestii. Pierwszym był jej strach przed nim tego ranka – lub może strach przed tym, co poprzedniej nocy robili z taką przyjemnością. Miał dość doświadczenia, by być pewnym, że jej się podobało. Nie wydawało się jej to niepokoić zanim poszła pod prysznic. Z uwagi na brak potworów czyhających w domu (poza nim), był pewien, że to coś w Annie się zmieniło.

Jednym z niepokojących znaków, które można było zaobserwować u nowych wilkołaków była nagła zmiana osobowości lub nastroju, następująca bez wyraźnej przyczyny. Był to znak, że bestia zdobywa kontrolę nad człowiekiem. Jeśli Anna nie byłaby przez te ostatnie trzy lata jednocześnie wilkołakiem i Omegą, pomyślałby, że jej bestia zaczęła ją kierować.

Być może jednak prawdą było coś zupełnie przeciwnego. Jak twierdził Asil, Omegi mają wszystkie obronne instynkty Alfy. Czy ostatniej nocy jej wilk mógł przejąć nad nią kontrolę?

Ojciec uczył młode wilczyce, że siedząca w nich bestia jest ich częścią, a należy kontrolować jedynie szereg pragnień. Wydawało się to pomagać większości z nich w fazie transformacji. Przerazanie ich twierdzeniem, że noszą w sobie potwora z pewnością nie pomagało w zdobyciu kontroli niezbędnej, by pozwolić im wyjść w dziki świat.

To była przydatna historia, która - o ile Charles mógł zobaczyć - czasami okazywała się być prawdziwa. Jego ojciec, na przykład, wydawał się bez problemu połączyć wilka z człowiekiem i na odwrót. Jednak większość wilków, które przetrwały, czasami odnosiły się do swoich bestii jak do odrębnych istot.

Charles nie przypominał sobie, żeby nie wiedział, iż były w nim dwie dusze, dzięki którym jego serce biło. Brat Wilk i on przez większość czasu żyli

razem w zgodzie, wykorzystując swoje specjalne zdolności, kiedy chcieli osiągnąć swoje cele. To Brat Wilk polował. Jednak jeśli zdobyczą był człowiek lub wilkołak, to Charles był zawsze tym, który wykonywał śmiertelny cios.

W przeciągu tych wszystkich lat zauważył, że wilkołaki, u których człowiek i wilk byli niemal całkowicie rozdzieleni – jak w przypadku doktora Wallace'a – zazwyczaj długo nie przetrwały. Albo atakowały kogoś starszego i silniejszego od siebie, albo przez brak kontroli nad swoim wilkiem Charles zmuszony był ich zabić.

Wilkołak, który przetrwał, uczył się połączyć człowieka i wilka tak, by to człowiek w większości miał kontrolę. Wyjątek stanowiły sytuacje, gdy wzywał go

księżyc, kiedy był bardzo rozdrażniony ... lub zraniony.

Dzięki opiekuńczym instynktom Alfy i braku odruchów agresji... ale i trzem latom maltretowania, być może wilk Anny sam odkrył sposób by ją chronić. To mogło by tłumaczyć, dlaczego Leo nigdy nie udało się jej złamać.

Może kiedy ostatniej nocy jego agresja ją wystraszyła, jej wilk wkroczył do gry. I może dlatego ich ludzkie dusze nie mogą się związać, tak jak związały się dusze ich wilków.

Tyle, że to nie może być prawda. Zauważyłby, gdyby wilk nad nią dominował. Nawet, jeśli jakoś przeoczył zmianę jej oczu z brązowych do jasnoniebieskich, nigdy nie przeoczyłby zmiany w jej zapachu.

Charles był całkiem pewny, że źródłem jego obecnych kłopotów było coś, co zrobił jej Leo lub ktoś inny.

Złość nie rozwiąże problemu z Anną, tego mógł być pewny. Odsunął więc myśli od różnych sposobów, na jakie mógłby torturować ją Leo. On nie żył. Musiał postarać się wymyśleć własny sposób rozwiązania tego problemu.

Charles był lepszy w straszaniu ludzi niż w usuwaniu ich strachu. Nie był pewien jak poruszyć rano temat zeszłej nocy, by sposób ich kojarzenia nie został zakończony bez pogorszenia tych spraw.

Gdyby sytuacji nie udało się poprawić, pójdzie po radę do ojca... lub niech Niebo pomoże, znowu do Asila. Gdyby wyjaśnił wszystko w prostych słowach, Asil mógłby się z niego śmiać, jednak był zbyt dużym gentlemanem, by zostawić Annę z problemem.

To pozostawiało mu do rozwiązania jeszcze jedno zadanie. Anna powinna wiedzieć, że inne samce mogą nadal chcieć się zaoferować na jej partnera. Gdyby ktoś tego spróbował, mogło by to być bardzo niebezpieczne dla niej i każdego wokół niego. Miała prawo wiedzieć, że może być w stanie przyjąć jednego z tych innych mężczyzn - przynajmniej wydawało się, że tak myślał Asil. Charles uważał, że jeśli tylko ich wilki połączyły się, to na zawsze. Nie znał jednak nikogo, u kogo stało by się to przed połączeniem ich ludzkich dusz. Może Anna mogłaby znaleźć kogoś, kto by jej nie przerażał, jak to prawdopodobnie robił on.

HUMVEE było, według Anny, sztuczną oazą. Podgrzewane skórzane fotele i klimatyzowana kabina wydawała się być z dala od miejsca niekończącej się przestrzeni stale zamrożonego lasu.

Ciemne, niemal czarne skupiska wiecznie zielonych drzew wyraźnie kontrastowały ze śniegiem. Od czasu do czasu drogi, odróżniające się bardziej przez sposób w jaki rosły drzewa niż ślady, jakie pozostawił jakiś pojazd, zbaczały od autostrady, którą jechali. Gdy tylko ich droga zmieniła się w białą szramę między stromymi zboczami pnącymi się po obu jej stronach, zaczęła się zastanawiać czy słowo „szosa” z pewnością tu pasowało.

- Nasza więź nie zawiązała się wczorajszej nocy – powiedział ni stąd, ni z owąd.

Wpatrzyła się w niego czując znajomy przyływ paniki. Co to oznacza? Czy zrobiła coś nie tak?

- Powiedziałeś, że wszystko co potrzebowaliśmy zrobić to... – Poczuła, że nie jest nawet w stanie wypowiedzieć tych kilku następnych słów. W zimnym świetle dnia brzmiały tak prymitywnie.

- Najwyraźniej byłem w błędzie – powiedział. - Wyszedłem z założenia, że skoro udało nam się po drodze przejść najtrudniejszą część kojarzenia, wszystko, czego potrzebowaliśmy to konsumpcja.

Nie wiedziała, co na to powiedzieć.

- Może to i lepiej - powiedział nagle.

- Dlaczego? – Nie wiedziała czy jest w stanie wydusić z siebie słowo, jednak – według niej - brzmiała jedynie na zaciekawioną. Po usłyszeniu jego słów nie czuła żadnej obezwładniającej paniki, i nie była ona słyszalna w jej głosie.

Ale nie doszła nawet tak blisko do bezinteresownej neutralności jaką można było usłyszeć w jego głosie.

- Głównym powodem dla którego nie chciałem zabierać cię dzisiaj ze sobą było to, że nie chciałem, byś tak szybko widziała, jak kolejny raz zabijam. Jednak już od stu pięćdziesięciu lat jestem zabójcą na usługach mego ojca i nie wydaje mi się, żeby coś miało się zmienić. Słuszne jest jedynie to, że zanim mnie wybierzesz, powinnaś zobaczyć mnie takim, jakim jestem. W trakcie polowania.

Kierownica skrzyknęła pod siłą jego uścisku, ale głos miał nadal spokojny, prawie bezosobowy.

- W stadzie ojca jest kilka wilków, które czciłyby ziemię, po której

stąpasz. Są to wilki, które nie są zabójcami. – Wciągnął trochę powietrza i starał się posłać jej pocieszający uśmiech. Powstrzymał się jednak i wszystko co ukazał, to mocne, białe zęby. – Nie wszystkie są szalone.

Ponownie starał się dać jej coś do zrozumienia.

Spojrzała na jego zbieleiałe dłonie... i nagle znowu mogła oddychać. Gdy to mówił dostrzegła, że sam się katował, burząc ten dziwny spokój, który podtrzymywał od śniadania. Pomyślała o jego zaborczej wściekłości w nocy i poczuła jak poczucie zaufania uspokaja jej serce. Chciał ją mieć – bez względu na to jak głupio zachowała się dziś rano. Mogła nad tym popracować. Nie powinna być dłużej zażenowana tym, jak bardzo pragnęła być z nim na zawsze, prawda? Tydzień lub dwa i powinna dojść z tym do porządku. A rok lub nawet później i siła jej uczuć również nie będzie jej tak bardzo przerażać.

Czując się lepiej, Anna rozluźniła się w przestronnym siedzeniu Vee, tak, by mogła dobrze mu się przyglądać. O czym to on mówił zanim zaproponował jej zrezygnowanie z tego związku?

O byciu zabójcą.

- Znam zabójców – powiedziała. – W stadzie Leo był Justin. Pamiętasz go, prawda? On był zabójcą. – Próbowwała znaleźć sposób, by wyraźnie zarysować różnicę. – Ty natomiast wymierzasz sprawiedliwość. - Nie tak to miało wyjść, a wszystko zabrzmiało głupio.

- „Róża pod inną nazwą ...” † - powiedział, odwracając gwałtownie od niej twarz. Wzięła głęboki wdech, by sprawdzić czy nos może pomóc jej wyczuć jego emocje, jednak wszystko co czuła, to zapach dwóch obcych, którzy oddali im swoje ubrania. Może po prostu nie potrafi wykorzystać dobrze swojego węchu lub może on był lepszy w samokontroli niż większość ludzi.

† cytat z Szekspira ze sztuki „Romeo i Julia”, pełny cytat: „Czym jest nazwa? To, co zwiemy różą, pod inną nazwą równie by pachniało ».

Charles był ostrożnym człowiekiem. Ostrożnym w słowach i ostrożnym na ludzi wokół niego. Jedna noc w jego łóżku i mogła to stwierdzić. Był opiekuńczy. Dbał o nią, o ojca, nawet o Jacka Hearthera. Jej żołądek rozluźnił się jak tylko zebrała szczegóły i czyny w spójny obraz. Jak ciężko, pomyślała, musi być mężczyźnie, któremu tak bardzo na wszystkich zależało, nauczyć się zabijać bez względu na to, jaka była konieczność.

- Nie - powiedziała pewnym głosem.

Przed nimi, po prawej stronie, seria widowiskowych wierzchołków gór strzelała wyzywająco prosto w niebo. Szczyty pokryte były śniegiem, nieskrępowane przez drzewa lub roślinność, iskrząc się w słońcu tak mocno, że nawet przez przyciemnione szyby oślepiały oczy i wzywały jej wilka. To było miejsce, w którym wilkołak mógł pozwolić sobie na bieg.

- Zabójca to po prostu morderca – ciągnęła. – Natomiast ty stosujesz się do reguł. Wypełniasz prawo i... starasz nie nienawidzić się za dobre wykonywanie swojej pracy.

Ocena Anny, po klęsce poniesionej ostatniej nocy, całkowicie go zaskoczyła. Spojrzał na nią, ale przymknęła oczy i zsunęła się w fotelu, by podrzemać. Jego Anna, która niecałe pięć minut temu była przez niego przerażona. Sen nie był zwykłą reakcją ludzi, kiedy mówili mu, że zabijał ludzi.

Droga, którą teraz przemierzali miała na sobie więcej śladów niż zazwyczaj o tej porze roku – prawdopodobnie z powodu ekip poszukiwawczo-ratowniczych. Miał nadzieję, że on i Anna nie natkną się w biegu na żadną z nich.

Poranne telefoniczne rozmowy z Heather powinny doprowadzić przynajmniej do zmniejszenia liczby niedoświadczonych ochotników i amatorów chodzących po lesie. Chciał do maksimum ograniczyć straty, które mógł spowodować dziki wilk.

Na jego prośbę Heather zwróciła uwagę, że człowiek, którego szukali był zaginiony przez zbyt długi czas. Byli tam prawdopodobnie tylko po to, by szukać ciała, więc nie było sensu ryzykować kolejnych istnień. Powiedziała im o Jacku - chociaż obwiniła pumę – i zwrócił uwagę, że nadciągał front burzowy.

Kilku pozostałych poszukiwaczy skoncentrowało swoje wysiłki około dwudziestu mil na zachód od miejsca spotkania Jacka z ich dzikim wilkiem – w pobliżu pojazdu zostawionego przez zaginionego mężczyznę. Było to z dala od

miejsc, w których to pojawiał się dziki wilkołak. Charles i Anna nie powinni w ogóle napotkać poszukiwaczy.

Wjeżdżali coraz wyżej. Gdy brnęli w coraz głębsze pokłady śniegu, opony Humvee powodowały ciągły skrzypiący i jęczący dźwięk. Od czasu do czasu zerkał na zamrznięty wąski potok po lewej, który najczęściej jednak schowany był przez gęste zarośla zapełniające dno doliny. Po prawej stronie, między surowymi metalowymi wieżami, przebiegały przewody wysokiego napięcia,

torując sobie jałową drogę w dół przez las. Te druty, jak i przelotna potrzeba by je potrzymać, były jedynym powodem, dla którego jechali tą odludną boczną drogą.

Ciepłe powietrze wydostawało się z nadmuchu Vee. Ciepło z wnętrza pojazdu sprawiło, że ziemie zatrzymane w zimowej porze roku, poprzez które przejeżdżali, wydawały się prawie surrealistyczne, jakby zupełnie mu obce. I o ile zwykle nienawidził tego szczególnego efektu, na koniu lub pieszo spędził zbyt wiele czasu na śniegu i zimnie, by odrzucać zalety jazdy tak daleko, jak tylko mogli.

Wjazd na górę zaczął być stromy i Charles mocno zwolnił, gdy odbijali się i omijali skały i dziury ukryte w śniegu. Koła zaczęły się ślizgać, więc jeszcze bardziej zwolnił i wcisnął przycisk, by zablokować osie kół. Spowodowany hałas przestraszył i obudził Annę.

Czasami dodatkowa szerokość Humvee nie była tak użyteczna jak mogłaby być. Został zmuszony do wprowadzenia jego lewej opony na brzeg, by zachować swoją prawą stronę na drodze, tak jak było wcześniej. Wynikające z tego nachylenie pojazdu sprawiło, że Anna zerknęła szybko na jej okno i wzdrzając się w swoim fotelu zamknęła oczy.

- Jeśli się stoczmy, to prawdopodobnie nie zginiesz – stwierdził.

- Racja – powiedziała opryskliwie, co sprawiło mu przyjemność ze względu na brak lęku. Przynajmniej lęku przed nim. Pragnął móc powiedzieć jak wiele było w tym wilka, a jak wiele Anny.

- Nie powinnam martwić się o kilka złamanych lub zgniecionych kości, bo prawdopodobnie nie zginę.

- Może powinienem wziąć starego Land Rovera Taga – powiedział. – Jest niemal tak samo dobry na wyboistym terenie, a do tego jest o wiele węższy. Ale ciężko się nim jeździ, niewiarygodnie dużo pali i nie dość szybko nabiera prędkości na drodze.

- Myślałam, że mieliśmy wybrać się na dzikie tereny - powiedziała nadal szczerze zamykając oczy. - Czy pojazdy zmotoryzowane mają zakaz wjazdu?

- Tak, ale jesteśmy na drodze, więc wszystko jest w porządku.

- To jest droga?

Roześmiał się słysząc jej lekko drwiący ton, a ona pokazała w jego stronę niesalony gest.

Znajdowali się na wzniesieniu. Udało mu się przesuwać poprzez drzewa jeszcze kilka kilometrów zanim teren stał się zbyt wyboisty, by kontynuować jazdę. Ktoś przejeżdżał tu śnieżnymi skuterami – prawdopodobnie ekipy poszukiwawczo-ratownicze – ale większość śladów pojazdów zniknęło jakieś dwa kilometry wcześniej. Ostatnich kilka skończyło się trzy metry od miejsca, w którym się zatrzymali. Były więc to ślady Taga, stwierdził.

- Jak długo będziemy na zewnątrz? - spytała Anna, poprawiając plecak, kiedy zostawiali samochód.

- To zależy od naszej zwierzyny – odpowiedział. – Spakowałem nas na cztery dni. Będziemy iść pętlą, która doprowadzi nas z powrotem tutaj. Jeśli do tego czasu nas nie znajdzie, przestaniemy starać się być ludźmi i zapolujemy na niego. - Wzruszył ramionami. – Ten łańcuch górski obejmuje ponad dwa tysiące kilometrów kwadratowych, więc jeśli spróbuje się ukrywać, znalezienie go może zabrać nam to trochę czasu. Jeśli kontroluje swoje terytorium i myśli, że jesteśmy ludzkimi intruzami, zapoluje na nas i zaoszczędzi nam sporo czasu i wysiłku.

Kiedy dorastała Anna była na kilku kempingowych wycieczkach z rodziną w Wisconsin, ale nie na tak odludnych jak ta. Powietrze zmrażało jej nozdrza razem, gdy zbyt mocno oddychała, a końce uszu zmarzły zanim Charles naciągnął mocniej kapelusza w dół jej głowy.

Kochała to.

- Musimy zwolnić - powiedział Charles. – W ten sposób będziemy wyglądać na tak ludzkich jak pachniemy.

Ale narzucone przez niego tempo wydawało jej się całkiem szybkie. Poruszanie się w rakietach śnieżnych było tak złe jak oczekiwała. Kiedy zacisnął jej ramię w zadowalającym stopniu, powiedział jej, że stare dobre ogony bobrów czy niedźwiedzie łapy są prawie tak kłopotliwe co użyteczne. Nowe rakietki śnieżne były jednym z niewielu wynalazków współczesności, które zdawał się całkowicie popierać.

Musiła wspinać się trochę szybciej, by za nim nadążyć. Jeśli to było wolne tempo, zastanawiała się czy normalnie biegał, kiedy był w lesie, nawet w ludzkiej postaci. Żadna z jego ran nie wydawała się zbyt go kłopotać, a do tego dziś rano nie było świeżej krwi na jego opasce.

Odciągnęła myśli od tego, dlaczego miała tak dobry widok na opaski tego ranka. Mimo tego, nie mogła nic poradzić, że spojrzała na niego i uśmiechnęła się - jeśli nie tylko odrobin - do siebie. Gdy weszła w śnieg, pokryta warstwami

odzieży i płaszczy, czuła się oddzielona od panicznego strachu przed intymnością i mogła bardziej docenić dobre części.

A Charles posiadał wiele dobrych części ciała. Wiedziała dokładnie jak szerokie są jego ramiona schowane pod płaszczem i jak jego skóra ciemnieje odrobinę za uszami. Wiedziała, że jego zapach narzucał jej sercu szybsze bicie, a także, że jego ciężar bardziej zakotwicza się w niej niż więzi ją pod sobą.

Idąc za nim - bezpieczna od tego przenikliwego spojrzenia, które zawsze widziało więcej niż by chciała - mogła wyglądać na spełnioną.

Był pełen wdzięku, nawet w raketach śnieżnych. Zatrzymywał się od czasu do czasu i wpatrywał w drzewa, a każdy jego ruch mówił, że był nie na miejscu. W lesie, wilk był bliżej powierzchni. Widziała go w sposobie w jaki używał swego nosa zatrzymując się czasami z zamkniętymi oczami, by zaczerpnąć i przytrzymać oddech. Oraz w sposobie komunikowania się z nią, bardziej za pomocą gestów niż słów.

- Więcej takich zachowań zobaczymy tu na dole, nie później, gdy będziemy w wyższych partiach góry – powiedział wskazując kozła, który obserwował ich ostrożnie zza ciężkich kniei. – Większość dużych zwierząt pozostaje na dole, gdzie nie jest tak zimno i jest więcej pożywienia oraz mniej śniegu.

I to wszystko co powiedział przez długi czas, nawet wtedy, gdy zatrzymał się i dał jej trochę czegoś oczekując, że to zje, bez słowa podając porwaną lub małą paczuszkę zimnych suszonych jabłek. Gdy odmówiła drugiej ich garści, schował je do jej kieszeni.

Chociaż zwykle czuła się bardziej komfortowo podczas rozmowy niż podczas ciszy, nie czuła przemożonej chęci do przerwania słowami odgłosów lasu. Było tu coś co domagało się szacunku – a po za tym, trudno byłoby mówić i dyszeć w tym samym czasie.

Po chwili zaczęła odczuwać trochę upiorną atmosferę. Było to całkowicie śmieszne, biorąc pod uwagę fakt, że była wilkołakiem. Nie spodziewała się tak zaciemnionych drzew - a cień góry sprawiał, że godzina wydawała się znacznie późniejsza niż była naprawdę.

Czasami odczuwała małe deja-vu. Zajął jej chwilę, by to odtworzyć, ale nagle uświadomiła sobie, że wrażenie było podobne do chodzenia po Chicago Loop‡. Chociaż góry były wyższe od wieżowców, miała te same dziwne poczucie klaustrofobii, gdy niebo pochłaniało góry.

‡ Chicago Loop - dzielnica administracyjno-handlowa z licznymi wieżowcami i

domami towarowymi znajdująca się w centrum Chicago.

Duży, jasnożółty plecak Charlesa, wybrany ze względu na maksymalną widoczność, jak i jej własny neonowo różowy plecak, były w jakiś sposób uspokajające. Nie tylko wnosiły ślad cywilizacji, ale mężczyzna, który go niósł był tak zadowolony tu na zewnątrz, jak ona w jego apartamencie.

Czarny matowy karabin nie był tak przyjazny. Potrafiła utrzymać pistolet, jej ojciec miał zwyczaj zabierania jej do strzelnicy, ale ten karabin był tak odległy od 38 jej ojca, jak wilk od pudła.

Po raz pierwszy wspinali się po stromych odcinkach. Trochę czasu zajęło jej, by wymyślić najlepszy sposób, by zgrać go z rakietami śnieżnymi. Szła coraz wolniej i zaczęła zmuszać uda do zwiększonego wysiłku. Charles pozostał przy niej całą drogę do góry. Wspinali się w ten sposób przez ponad godzinę, ale było warto.

Kiedy znaleźli się na grzbiecie góry i na krótką chwilę stanęli powyżej drzew, Anna zamarła, wpatrując się na teren poniżej. Dolina przez którą się wspinali, ozdobiona była bielą i gorzką zielenią, przepływając daleko od nich. To było wspaniałe ... i samotne.

- Czy takie widoki są tutaj wszędzie? - spytała przyciszonym głosem.

Charles, który był przed nią, bo zatrzymał się po tym jak ona to zrobiła, rozejrzał się po pustkowiu.

- Nie wszędzie – powiedział. – Busz zawsze wyglądał jak busz. Wiosną tego roku zabiorę Cię do Missions i poświęcimy trochę czasu na małą techniczną wspinaczkę. Jeśli to sprawiło ci przyjemność, pokochasz to.

Obserwował ją, również, gdyby wiedział jak wiele radości z tego miała, pomyślała Anna.

- Missions są nawet bardziej spektakularne niż te, chociaż są prawdziwym piekłem, jeśli naprawdę próbujesz je przejść. W górę, prosto w dół i niewiele pośrodku. Ale te również nie są łatwe do pokonania. Do czasu kiedy

zaczęli rezerwować obszary dzikiej przyrody, jedyny pozostały dziki kraj był całkowicie dziki.

Włożył ręce do kieszeni i wyciągnął herbatniki z płatków owsianych.

- Zjedz to. - Patrzył, dopóki nie ściągnęła rękawicy, by rozerwać paczkę i

ugryźć na tabliczkę w polewie przed rozpoczęciem jednej samemu.

- Jesteś trochę jak matka-kwoka - powiedziała do niego, niepewna czy ma być wkurzona, czy nie.

- Gdybyś był człowiekiem, czułabyś to zimno - mruknął w odpowiedzi. - To tylko niewiele poniżej minus siedemnastu stopni, ale nie lekceważ pogody. Spalasz mnóstwo energii zachowując ciepło, a nie mogłabyś brać udziału w walkach w kategorii wagowej. Zatem utkniesz ze mną tu, wpychającym w ciebie jedzenie tak szybko, jak potrafię w trakcie tej wycieczki – równie dobrze do tego przywyknij.

ROZDZIAŁ 8

- Zaczęliśmy później niż myślałem - odezwał się Charles do Anny. - Ale i tak mamy dobry czas. Barea Lake jest jakąś milę stąd, ale przed zmrokiem rozbijemy tutaj obóz. Wiatr zdmuchnął większość śniegu z drzew, więc gałęzie ochronią nas przed wszelkimi opadami.

Anna z powątpiewaniem w oczach rozejrzała się wokół. Na widok jej twarzy Charles roześmiał się.

- Zaufaj mi. Wieczorem będzie ci wygodnie. Tylko poranne wstawanie może się trochę przeciągnąć.

Wydawało się, że zaakceptowała jego słowa, co sprawiło mu przyjemność.

- Kiedy pójdziemy do miejsca, gdzie zaatakowano Heather i Jacka?

- Nie pójdziemy tam. Nie chcę zostawiać naszego zapachu nigdzie w pobliżu tego miejsca. Chcę byśmy wyglądali na drapieżników, a nie na jakiś oficjalnych śledczych.

- Myślisz, że on dostrzeże różnicę między jednym a drugim?

Charles zdjął z siebie plecak i postawił go na wielkim ośnieżonym kamieniu, który wyglądał niczym wieloryb wyłaniający się z fal.

- Jeśli on naprawdę jest dzikim wilkiem broniącym swojego terytorium, to nie. Jeśli to on jest przyczyną kłopotów mojego ojca, nie zaatakuje ludzi mogących ujawnić jego działania światu.

Poszła za jego przykładem i postawiła plecak na śniegu. Charles wyciągnął z kieszeni ostatnią paczkę rodzynek z myślą, że rano muszą uzupełnić zapasy. Z westchnieniem wzięła od niego opakowanie, po czym rozerwała folię i zaczęła bez entuzjazmu jeść.

Kiedy Anna jadła, Charles rozejrzał się po obozowisku. Niedaleko jeziora znajdowało się lepsze. Chciał dotrzeć tam przed południem, by Anna mogła porządnie odpocząć. Pierwszy dzień nie będzie dla niej najgorszy – kilka razy zabierał już nowicjuszy na wędrowkę i wiedział, że będzie to trzeci

lub czwarty. Jednak pierwsza zasada chodzenia po lasach, to przede wszystkim być elastycznym. Mogliby dotrzeć do pierwszego szczytu jeszcze przed zmrokiem, ale był zdania, że odpoczynek dla Anny po jej pierwszej wyprawie był o wiele ważniejszy.

Spał tutaj wcześniej i skała nie zmieniła się zbyt od czasów, gdy był chłopcem. Po raz ostatni... Pomyślał nad tym przez chwilę, jednak nie potrafił umiejscowić tego w czasie. Wcześniej obok głązów nie rosły krzaki, ale nadal dostrzegał pień starej jodły Douglasa, która ostatnim razem chroniła go od wschodu. Nacisnął na pień i patrzył jak spróchniałe drewno kruszy mu się w dłoni. Tak, minęło jakieś pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt lat.

Rozścielił na ziemi pled, jednak nie miał zamiaru rozkładać namiotu. Tak długo jak pogoda się utrzyma, nie miał zamiaru narażać ich na potencjalny atak. Jeśli nie musiał, rzadko zabierał ze sobą namiot. Nigdy natomiast nie brał go ze sobą, gdy polował na coś, co mogło zaatakować i jego. Namiot zasłaniał mu widok, tłumiał dźwięki i maskował zapachy. Teraz wziął go dla Anny, lecz zamierzał wyciągnąć go tylko w razie konieczności.

Stara jodła była zbyt mokra by mogła się dobrze palić, ale w pobliżu było dużo powalonych drzew. W ciągu pół godziny udało mu się zebrać spore naręczne suchych gałęzi, które oderwał od kilku najstarszych drzew. Gdy wrócił, Anna siedziała na dużym kamieniu obok jego plecaka, a jej rakiety oparte były o podstawę siedziska. Charles zdjął własny sprzęt ze stóp i zajął się budową małego ogniska, świadomy jej spojrzenia śledzącego każdy jego ruch.

- Myślałam, że Indianie rozpalają ogień pocierając o siebie drewnienka - powiedziała, gdy wyciągnął podpałkę w płynie i zapalniczkę.

- Mógłby to zrobić - wyjaśnił. - Ale chciałbym jeszcze dzisiaj coś zjeść. Podpałka i zapalniczka są znacznie skuteczniejsze i o wiele szybsze w obsłudze. - Znow wszystko było dobrze, pomyślał. Poczul zachodzącą w niej zmianę w chwili, kiedy usnęła w samochodzie. Potem, w trakcie wędrówki, stawała się przy nim coraz bardziej zrelaksowana. Nawet w ciągu ostatnich kilometrów sama kilkakrotnie złapała go za płaszcz, gdy zauważyła różne rzeczy - a to ślad rosomaka na śniegu, a to kruka obserwującego ich z najwyższej gałęzi sosny, a to królika w białym, zimowym futerku.

- Co chciałabyś zjeść? - zapytał ją, gdy ogień płonął już równym płomieniem. Charles postawił na nim napełniony śniegiem garnek.

- Żadnej suszonej wołowiny. Szczęka odpada mi już od zucia.

- Co powiesz na kurczaka w sosie słodko-kwaśnym? - spytał.

*

Sięgnął do plecaka i podał jej dużą foliową torebkę. Anna popatrzyła nieufnie na jej zawartość.

- To nie wygląda jak kurczak słodko-kwaśny.

- Musisz zwracać większą uwagę na to, co ci mówi nos - napomniął ją i zjadł trochę gulaszu ze swojej torby. Nie było to tak pyszne jak ich wczorajsza kolacja, ale zaspokoi jego głód. – Przynajmniej ten kurczak nie wygląda jak karma dla psów.

Pochyliła się i zerknęła do jego torby.

- Fuj. Dlaczego tak to podają?

- Są w stanie mrozić tylko małe kawałki mięsa - wyjaśnił osuwając jedzenie, zanim zdążyła zamoczyć w nim końcówki włosów. - Jedz.

- Tak więc... - spytała, podejmując jeden z wcześniejszych wątków. - Jak długo uda nam się ukrywać nasz zapach?

Był zadowolony widząc, że po tym jak przemogła się i wzięła pierwszy kęs jedzenia, rzuciła się na nie jak wygłodniały drwal.

- To nie ma znaczenia - powiedział zabierając się szybko za swój posiłek. - Tak długo jak rozmawiamy głośno o tym co robimy, każdy wilk w pobliżu może nas usłyszeć.

Przestała jeść i otworzyła usta, by go przeprosić... ale zrezygnowała. Zastanawiał się czy może się uśmiechnąć, by pokazać jej, że tylko z niej żartował. Jednak po jej minie poznał, że sama to zrozumiała. Pogroziła mu widelcem.

- Gdyby w zasięgu słuchu był jakiś wilkołak, już byś o tym wiedział. Odpowiedz na moje pytanie.

Rzadko mówił komuś o swojej magii. Zwykle był to ojciec, bo Brat Wilk powiedział mu, że im mniej osób o tym wie, tym lepsza jest z niej broń.

Ale Brat Wilk nie miał żadnych obiekcji, by odpowiadać Annie na każde jej pytanie.

Jadł więc kolejne kęsy wołowego gulaszu i zaczął tłumaczyć.

- Nie wiem. Tak długo, jak będziemy tego potrzebować. Chyba, że ziryтуjemy duchy, które wtedy zdecydują się wydać nas naszym wrogom.

Ponownie przerwała jedzenie i wbiła w niego wzrok.

- Tym razem nie żartujesz sobie ze mnie?

Wzruszył ramionami.

- Nie. Nie jestem czarownikiem, który może naginać świat do swojej woli. Jedyne co mogę robić, to prosić. Jeśli wypełniam ich kaprysy, duchy mi pomagają.

Wzięła do ust kawałek mięsa i musiała szybko przełknąć, by móc zadać kolejne pytanie.

- Jesteś chrześcijaninem? Albo...

Skinął głową.

- Jak oślica Balaama. Pewnie, że jestem. Poza tym, jako wilkołak wiesz, że istnieją na świecie i inne byty – demony, wampiry, upiory i tym podobne. Gdy raz zorientujesz się, że istnieją obok ciebie, musisz uznać obecność Boga. To jedyne wyjaśnienie, dlaczego zło nie przejęło jeszcze władzy nad światem i nie zniewoliło ludzi. Bóg pilnuje, by zło pozostało ukryte i pilnowane. - Skończył swoją porcję i odłożył na bok widelec.

- Oślica Balaama? - Mruknęła do siebie, po czym głośno złapała oddech. - Ona zobaczyła anioła. Chcesz mi powiedzieć, że i ty jakiegoś widziałeś?

Uśmiechnął się.

- Tylko raz. I nie był mną zainteresowany... ale to nadal zostaje w tobie. – Tak naprawdę, w najgorszych dla niego chwilach dawało mu nadzieję. – Fakt istnienia Boga nie znaczy, że wśród lasów nie mieszkają duchy.

- Czczysz duchy?

- Czemu miałbym to robić? - Nie był głupi ani szalony, a tylko tacy ludzie wyruszali na poszukiwanie dusz. - Tylko przysporzyło by mi to więcej pracy, a ojciec i tak daje mi jej wystarczająco dużo.

Zobaczył, że na te słowa zmarszczyła brwi, postanowił więc jej wyjaśnić.

- Czasami duchy decydują się mi pomagać, jednak zwykle wynika to z tego, że same czegoś chcą. Nie ma zbyt wielu ludzi, którzy są w stanie je usłyszeć i spełnić ich prośby. Przez to my, którzy to potrafimy, mamy bardzo dużo pracy. Mój ojciec daje mi tyle roboty, że starczyło by jej dla trzech osób. Gdybym jeszcze szukał duchów, by z nimi pokonwersować, nie miałbym nawet czasu na zawiązanie sobie butów. Samuel poświęca naprawdę dużo czasu na to, by domyśleć się gdzie w chrześcijańskim światopoglądzie umieścić te dusze. Ja się nad tym zbytnio nie zastanawiam.

Już myślał, że będzie musiał jej znów przypomnieć, aby zaczęła jeść, gdy spuściła wzrok na potrawę i wzięła kolejną porcję mięsa.

- Co robisz, gdy one proszą cię o coś złego?

Potrząsnął przecząco głową.

- Większość duchów jest bardziej przyjazna lub nieprzyjazna niż zła czy dobra. - Przypomniawszy sobie jednak o czymś, więc niezwłocznie dodał. - Za wyjątkiem wysysających mózgi dusz, które żyją w niektórych lasach i czekają, aż pod ich drzewami będzie przechodził jakiś zbłąkany turysta. Ale nie martw się - będę je trzymał z daleka od ciebie.

- Palant - powiedziała do swojej potrawki z kurczaka, lecz nie przejęła się tym zbytnio.

Gdzieś w ciemnościach zawył wilk. Była to długa, samotna pieśń. Dwadzieścia lat temu nie było tutaj żadnych wilków, jednak w ciągu ostatniej dekady wróciły one na te tereny z Kanady. Odgłos ten wywołał uśmiech na twarzy Charlesa. Jego ojciec obawiał się, że na ziemi nie było już dzikich miejsc dla drapieżników. Skoro jednak ludzie zgodzili się, by wilki wróciły na swoje pierwotne tereny łowieckie, jest szansa, że z czasem i przyzwyczają się z czasem i do wilkołaków.

*

Walter znalazł martwego mężczyznę w pomarańczowym stroju myśliwego, opartego o drzewo. Sugerując się wyglądem ciała, musiał spaść z pobliskiego urwiska. Jedną nogę miał złamaną i zapewne zdążył przeczołgać się zaledwie kilka metrów do drzewa. Najpewniej kilka dni temu zmarł z zimna.

Musiał być przy okazji przyczyną pojawienia się grup poszukiwawczych, które kręciły się od jakiegoś czasu po lesie. Myśliwy najwyraźniej zszedł ze szlaku, idąc za jakimś zwierzęciem albo czymś innym. Był bardzo daleko od miejsca, gdzie go szukano, więc szanse, że ktoś znajdzie jego ciało, były minimalne. Na wiosnę z kolei nie zostanie już nic do odszukania.

Pomyślał, by pochować zwłoki, ale musiałby najpierw przekopać się przez ponad metrową powłokę śniegu, a następnie jeszcze drugie tyle w głęb twardej, zmarzniętej ziemi. Poza tym nie miał łopaty. Nieboszczyk miał ten sam rozmiar stopy co on, Walter zdjął więc z niego buty, rękawiczki i kurtkę, pozostawiając jednak na zwłokach pomarańczową kamizelkę. Dłuższą chwilę zastanawiał się nad zabraniem również broni, jednak uznał, że nie ma to sensu. Wolał nie zostawiać śladów z broni palnej. Poza tym, gdzie znalazłby później amunicję?

Pochylił głowę i rozpoczął modlitwę. Nie była ona zapewne najlepsza, ponieważ jedyną jaką pamiętał to taka, którą odmawiał przed pójściem spać jako dziecko. Skupił się jednak na jej słowach, gdyż pozwalało mu to ignorować siedzące w nim zwierzę, które patrzyło na ciało myśliwego jak na mięso. Bestia była głodna i było jej wszystko jedno skąd ono pochodzi.

Kończył już modlitwę, gdy usłyszał wycie demona. Poczul wzbierający mu się w piersi ryk, jakby wyzwanie dla przeciwnika. Ale udało mu się stłumić ten dźwięk. Wiedział naprawdę wiele o prześladowaniu przez zło... Przez chwilę znów był na wojnie, z Jimmym u boku. Przesuwali się od cienia do cienia, aż dotarli do namiotu dowódcy. Płacz wiejskiej dziewczyny zamaskował odgłosy ich skradania się. Przez chwilę Walter widział obok siebie twarz Jimmy'ego, jak gdyby stał obok niego ponownie... Gdy się ocknął odkrył, że stoi nad ciałem zmarzniętego człowieka, na którego szyi widniały ślady po jego nożu. Na ciele tamtego dowódcy dostrzegł identyczne rany...

Dziewczynka nigdy nikomu nie powiedziała co zrobili, chociaż on i Jimmy kolejne tygodnie przeżyli jak na szpilkach. Mogli zabić małą, jednak wtedy byliby równie źli jak ich przełożony.

Oficjalnie ogłoszono, że został zabity przez snajpera. Gdy to usłyszeli, razem z Jimmym niemal parsknęli śmiechem. Żaden snajper nie używał noża.

Walter pochylił się i dźwignął zwłoki. Nie mógł pozwolić, by ktokolwiek znalazł ciało ze śladami ran zadanych nożem. Przeniesie zmarłego kawałek dalej, w miejsce jeszcze trudniej dostępne.

Nióśł zwłoki jakiś kilometr, aż w końcu zostawił je w gąszczu winorośli oregońskiej. Oblizął wargi i poczuł krew. Zaskoczony spojrzął na trupa i zauważył, że rana na jego szyi została oczyszczona, lecz skóra wokół niej lśni od śliny. Natychmiast chwycił garść śniegu i natarł nim usta, rozdarty między głodem a niesmakiem. Wiedział, że nie mógł połknąć zbyt wiele, bo większość krwi zdążyła zamarznąć.

Odszedł stamtąd tak szybko jak tylko mógł udając, że wcale nie biegnie.

*

- Anno? - Charles do końca spał ze sobą oba śpiwory.

Nie odpowiedziała mu. Zdjęła z siebie płaszcz i buty, po czym ponownie wspięła się na skałę. Stała na niej boso, trzymając w dłoni wełniane skarpetki.

Gdyby byli w jakimkolwiek innym miejscu pomyślałby, że podziwia widoki. Byli jednak otoczeni przez drzewa, a ze skały mogła widzieć tylko... więcej drzew. Wpatrywała się w dal tylko po to, by uniknąć patrzenia na niego i śpiwory. Gdy tylko skończyli jeść, znów zaczęła się na niego zamykać.

Po zachodzie słońca temperatura spadła o dziesięć stopni i nie było dla niej zbyt zdrowo stać na bosaka i bez płaszcza. Mogła sobie i być wilkołakiem, ale odmrożenia nadal będą ją bolały jak diabli.

Nie zamierzał jednak zmuszać jej siłą do położenia się. Zdjął buty i włożył skarpetki do plecaka. Wyjął też ostatnią parę świeżych i włożyła do śpiwora, by rano były ciepłe. Na podróż zapakował dodatkowy koc, który teraz wyciągnął i owinął nim swoje ramiona. Podeszedł do niej i wskoczył lekko na kamień obok niej. Nie było tam dużo miejsca, lecz udało mu się stanąć z nią ramię w ramię.

- Moi kuzyni zalecali się do swoich kobiet przy pomocy koca – powiedział nie patrząc na nią. Nie odezwała się, tylko podkuliła palce, by było jej ciepłej.

- Nazywało się to zalotnym kocem - powiedział. – Podchodzili do dziewcząt, które chcieli pojąć za żony, powoli wyciągali ramię... - Złapał za róg pledu i objął ją ramieniem. – I otulali je kocem. Jeśli się nie odsuwała, przysuwał ją bliżej siebie. – Przyciągnął ją do siebie. Anna postąpiła krok w jego stronę, aż znalazła się w jego ramionach i oboje schowani byli pod kocem.

- Zalotny koc? – W jej głosie brzmiało rozbawienie, lecz wciąż była sztywna.

Wilk, pomyślał, ale nie do końca. Gdyby nie był tak bardzo uważny, nie wyczułby woni jej wilczycy przebijającej spod zapachu perfum dziewczyny.

- Mój brat Samuel jest w tym nawet lepszy niż ja - wyjaśnił jej przesuając się odrobinę, by mogła postawić swoje zimne stopy na jego nogach.

Zrobiła głęboki wdech, po czym wypuściła powietrze z płuc. Czuł, że jej ciało powoli się rozluźnia.

- Opowiedz mi o nawiązywaniu więzi.

Zacieśnił ramiona wokół niej.

- Sam dopiero się o tym dowiaduję.

- Nigdy wcześniej nie miałeś partnerki?

- Nie. - Wziął głęboki oddech i rozkoszował się zapachem jej ciała, który go przeniknął. – Opowiadałem ci już trochę o tym. W każdym razie, w głównej mierze zaloty wyglądają tak jak u ludzi. Potem ślub i – ewentualnie – co ma zwykle miejsce, jego wilk akceptuje jej wilka jako swoją życiową partnerkę.

- Co jeśli to się nie zdarza?

- To tego zwyczajnie nie ma. - Nie był wcale takim optymistą na jakiego brzmiał. - Gdy spotkałem ciebie, już niemal całkiem zrezygnowałem z poszukiwania mojej drugiej połówki. - Na wspomnienie swojego

oszołomienia, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Brat Wilk wybrał ciebie na moją partnerkę w chwili, gdy jego oczy spoczęły na tobie, a ja mogłem tylko przyklasnąć jego zdrowemu rozsądkowi.

- Co by się stało, gdybyś mnie znienawidził?

Westchnął w jej włosy.

- Wtedy by nas tu nie było. Nie chciałbym skończyć jak mój ojciec i Leah.

- On jej nienawidzi?

Charles wzruszył ramionami.

- Nie. Nie do końca. Nie wiem. - Jak udało im się skończyć na tym temacie? - Nigdy nie powiedział nawet słowa w tej kwestii, ale sprawy między nimi nie są w porządku. Powiedział mi raz, dawno temu, że jego wilk uznał, iż potrzebuje partnerki, która zastąpiłaby mu moją matkę.

- Co więc poszło nie tak? - zapytała, a jej ciało jeszcze bardziej się rozluźniło.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie mam śmiałości zwrócić się z tym pytaniem do Marroka i sugeruję ci, byś również tego nie robiła.

Pomyślała nagle o czymś jeszcze.

- Mówiłeś mi o ceremonii pełni księżyca.

- Właśnie. To ceremonia, mająca miejsce pod tarczą księżyca, która uświęca naszą więź. Coś jak ślub, tylko że to jest prywatna uroczystość. Wtedy też zostaniesz włączona do stada mojego ojca. - Czuł jej niechęć. Ceremonia stada, która obejmowała między innymi wymianę krwi i ciała z Alfą - i to dosłownie - była z deka przerażająca dla osób, które nie były do tego przygotowane. Podejrzywał, że Leo w tej kwestii również się nie popisał. Dlaczego miałby, skoro tyle innych rzeczy zrobił źle? Ale zdecydował, że poruszą ten temat innym razem, gdy nie będzie próbował jej odprężyć i przekonać do pójścia spać z nim w jednym śpiworze. - Jeśli będziesz chciała, wyprawimy też osobną uroczystość w kościele. Będziesz mogła zaprosić swoją rodzinę.

Obróciła się, żeby móc spojrzeć w jego twarz.

- Skąd możesz wiedzieć, że nie jesteśmy związani?

- To niemal jak magia stada - wyjaśnił. - Niektóre wilki po prostu to czują. Magia stada pozwala Alfie czerpać z jego wilków zdolność szybszego poruszania się, albo skuteczniejszego gojenia się ran. Poza tym magia ta daje Alfie kontrolę nad stadem i w razie potrzeby pozwala mu odszukać każdego z jego członków.

- Albo pozwala mu karmić ich wściekłość? Myślę, że Isabella to robiła. Lubiła, gdy stado walczyło między sobą.

- Zgadza się - zgodził się Charles. - Chociaż nigdy nie widziałem, by mój ojciec to robił. Ale rozumiesz o co mi chodzi?

- Tak. Połączenie to coś takiego?

- Na mniejszą skalę. Wszystko rozgrywa się pomiędzy parą. Czasami sprowadza się to tylko do tego, że jesteś w stanie powiedzieć gdzie jest twój partner. Mój ojciec mówi, że to wszystko łączy jego i Leah. Czasami to coś dużo więcej. Jeden z wilków z Oklahomy jest połączony z niewidomą kobietą. Ona jest w stanie widzieć, gdy jej partner znajduje się z nią w tym samym pomieszczeniu. Większość par może dzielić się z sobą siłą albo jakąś inną rzeczą, którą Alfa jest w stanie czerpać ze stada.

Zamilkł i czekał na kolejne pytania.

- Moje palce zamarzają - odezwał się po chwili.

- Przepraszam - powiedziała, a on tylko potarł kciukiem jej policzek.

Dotyk był czymś, czego zwykle starał się unikać. Pozwalał innym zbliżyć się do niego na zbyt bliską odległość – bliskość, której musiał unikać, jeśli miał nadal wykonywać dobrze rolę egzekutora swego ojca. To sprawiało, że Brat Wilk był go tylko bardziej spragniony. Z Anną odrzucał wszystkie swoje wcześniejsze skrupuły. Były tego jasne powody - ona była jego partnerką nie mógłby jej skrzywdzić. Nawet dla Marroka. Była Omegą i istniała nikła szansa, że mogło by do tego dojść. Ale prawdziwym powodem – do czego się przyznawał – było to, że nie mógł oprzeć się dotykowi jej skóry pod opuszkami palców.

- Nie od razu Rzym zbudowano - stwierdził. - Chodź spać. - Kiedy poczuł jak jej ciało zeszywniało, dodał. - Jest zbyt zimno, by robić coś bardziej interesującego.

Odprężyła się lekko.

- To było kłamstwo, prawda?

Trącił zimnym nosem jej szyję i cicho roześmiał się tuż przy jej uchu.

- Stajesz się coraz lepsza. A co jeśli ci powiem, że jesteś na to zbyt zmęczona?

Zdjął koc i owinął go wokół jej ramion. Potem wziął ją w ramiona i zeskoczył ze skały, przy lądowaniu lekko uginając kolana. Zapomniał o swoich ranach. Gdy układał ją w śpiworze, jego łydki bardzo bolały. Zignorował jednak ból. Jego klatka piersiowa też nie była w najlepszej kondycji, ale mając ją w śpiworze tuż przy swoim boku nie mógł być nieszczęśliwy.

Zasnęła dużo prędzej, niż on.

*

Zatrzymali się nad Baree Lake. Jedyнным śladem, że ktoś był w pobliżu, był ślad na zamrożonej powierzchni jeziora, gdzie ktoś przemieścił się skuterem. To były dzikie tereny, jednak wciąż była to Montana. Skutery śnieżne nie przeszkadzały mu tak bardzo jak brudne motory, bo nie szkodziły tak ziemi. Biegł kiedyś za parą motocyklistów i poprowadził ich ku jeziorze Wanless, jakieś 35 kilometrów od najbliższej drogi. Zaparkowali nad brzegiem wody i poszli popływać. Zastanawiał się ile czasu zajął im powrót na maszynach bez świateł zapłonowych.

Zimą nie było zbyt łatwo dostać się z Baree do Baree Lake. On i Tag

wyzaczyli na mapie coś, co miało być przejezdną drogą. Gdyby jednak trasa ta stała się zbyt ciężka, znalazłby inną drogę. Wszystko czego chciał, to żeby dziki wilk zobaczył ich i zapolował.

Zastanawiał się nad tymi śladami skuterów. Większość terenów leśnych była tutaj dla nich zbyt dzika. Jeśli jednak ktoś chciał jedynie dotrzeć do jeziora i wrócić, pomyślał – powiedzmy, by znaleźć kilka ofiar albo zasięgnąć informacji o morderczym wilkołaku - wtedy takie pojazdy były jak znalazł.

Zorganizowane stado renegatów, które chciały zmusić Brana do nieujawniania publicznie faktu istnienia wilkołaków, wymagała odmiennego traktowania niż pojedynczy łobuz. Miał zamiar zakodować w pamięci kwestię skuterów i w razie potrzeby być gotowym do stawienia czoła wielu przeciwnikom.

Anna była spokojnym towarzystwem. Od rana była wyraźnie zadowolona, za wyjątkiem krótkiej chwili napięcia z rana. Nie narzekała, że trasa zrobiła się trudniejsza i trzeba było się wspinać, a przez to bardziej wykorzystywać mięśnie. Dzięki temu, że nie wiele mówiła, Charles mógł skupić się na wsłuchiwanie w las. Czasami lubił ciszę i był zadowolony, że jego partnerka potrafi milczeć. Anna obudziła się wesoła i zadowolona, i pozostawała w takim stanie do chwili, gdy znaleźli się w pewnej małej dolinie.

Wyczuwał jej rosnącą nerwowość, gdy zmniejszyła jeszcze bardziej odległość między nimi. Kiedy wreszcie przemówiła, była tak blisko niego, że przypadkiem nadepnęła jego raketę śnieżną. - Przepraszam.

Potykając się podrażnił ranną nogę, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

- Nic się nie stało. Wszystko z tobą w porządku?

Widział, że chciała rzucić jakieś grzeczne kłamstwo, ale ostatecznie zrezygnowała.

- Jest tutaj trochę przerażająco - powiedziała w końcu.

Charles zgodził się z nią. Na tych terenach było wiele miejsc, w których czuć było taką atmosferę. Nie miał pewności, ale wydawało mu się że ta dolina była dużo gorsza niż większość jej podobnych - na pewno była gorsza niż tereny, przez które szli wczoraj.

Jej spostrzeżenie zmusiło go do dokładniejszego przeanalizowania okolicy, na wypadek gdyby dostrzegła coś, co on przegapił. Ale nie było nic takiego. Nic, z wyjątkiem brzegu urwiska unoszącego się wysoko nad nimi i rzucającego cień na dolinę, oraz olbrzymiej ilości czarnozielonych, napierających ze wszystkich stron drzew. Jednak nie zarejestrował działania innych sił.

Duchy tych gór nigdy nie były przyjemne, nie tak jak w Bitterroots czy Pintelers. Nienawidziły intruzów.

Mogło być tak, że duchy były po prostu bardziej aktywne w tej

dolinie, albo że coś się tutaj stało. Im więcej o tym myślał, tym jaśniejsze się stawało, że to nie była tylko kwestia niezadowolonych dusz. Czy stało się to przed tygodniem czy sto lat temu - ale coś złego i mrocznego znajdowało się pod śniegiem.

- Jesteś wilkołakiem - rzucił do Anny. - Przeróżające rzeczy nie powinny cię niepokoić.

Parsknęła.

- Nigdy nie bałam się potworów. Przynajmniej dopóki nie stałam się jednym z nich. Teraz lękam się własnego cienia.

Usłyszał uzalenie się i szyderstwo nad samą sobą i parsknął w odpowiedzi.

- Bzdury. Ja... - Poczł jakiś dziki zapach i zatrzymał się, odwracając nos pod wiatr by ponownie chwycić trop.

Anna zamarła, obserwując go. Czekał, aż zapach się trochę wzmocni. Śledzący ich cień nie martwił się, że mogliby go rozpoznać.

- Co czujesz? - spytał ją cicho.

Wciągnęła głęboko powietrze i przymknęła oczy.

- Drzewa i osobę od której ukradłeś te ciuchy i... - jeszcze raz poruszyła nosem i poczuła w końcu to co on. - Kot. Jakiś gatunek kota. Czy to pantera?

- Blisko – powiedział. – Ryś, tak mi się wydaje. Paskudny charakterek, ale żadne niebezpieczeństwo dla nas.

- Super - rzuciła ironicznie dziewczyna. - Co za... - Tym razem nadeszła jej pora, by nagle urwać w pół słowa. - Co to jest?

- Martwy królik - wyjaśnił zadowolony. - Zaczynasz coraz bardziej zwracać uwagę na to, co mówi ci twój nos. - Wciągnął kolejny haust powietrza. - To mogłaby być myszka, ale to był najpewniej królik. To jest powód dla którego ryś jest w dalszym ciągu w pobliżu. Przeszkodził mi w posiłku. - Był jednak zdziwiony, że natrafili tutaj na tego kota. Zwykle trzymały się one z dala od podobnych miejsc. Może zapędziły go tu większe drapieżniki?

Anna zrobiła się zielona na twarzy.

- Naprawdę nienawidzę tego, że część mnie zawsze robi się głodna, gdy poczuje zapach surowego mięsa.

Nie przeszkadzało jej to jednak wachać krwi Jacka. Ale on nie karmił jej od godzin, a ona była głodna. Jej ciało potrzebowało kalorii, by pozostać ciepłe. Jednak głodna czy nie, to nie była pora by dać jej prawdziwy posiłek. Musiał wydostać się z tego małego impasu. Rzucił więc jej paczkę krakersów z masłem orzechowym i ponownie ruszył w drogę. Masło orzechowe dało mu pewność, że napije się później, bo nie był pewien czy piła dostatecznie dużo.

Szli, aż nie zostawili dolinki za sobą, a wraz z nią ciemne uczucia. Potwierdziło to tylko podejrzenia Charlesa, że to nie była sprawka duchów.

- Czas na lunch - obwieścił, dając towarzyszcze batonik z musli i pasek suszonej wieprzowiny.

Wzięła podane jej jedzenie, po czym otrzepała ze śniegu pień leżącego obok drzewa. Usiadła wygodnie i podjęła wątek.

- Wszystko było ze mną dobrze, dopóki nie dotarliśmy do doliny. Teraz jestem zmęczona i przemarznięta, a jest dopiero trzynasta. Jak ludzie mogą to robić?

Usiadł obok niej, zajadając się swoim mięsem. Smakowało dużo lepiej niż baton proteinowy, chociaż nie było by takie pożywne gdyby nie ten cały tłuszcz.

- Większość z nich nie chodzi po szlaku. Nie o tej porze roku. Poza tym trochę nas popędzałem, gdy szliśmy przez tą dolinę, więc pewnie dlatego czujesz się taka zmarnowana. - Zmarszczył brwi. - Nie spociałaś się? Masz suche skarpety? W razie co mam dla ciebie parę na zmianę. Wilgoć oznacza odmrożenie, a odmrożenie oznacza stratę palców u stóp.

Pomachała nogami obutymi w rakiety.

- Myślałam, że bycie wilkołakiem oznacza, że jestem niezniszczalna. Niemal nieśmiertelna.

Coś w jej twarzy powiedziało mu, że wspomina jak biciem próbowano zmienić ją w coś, czym nie była.

- Mogłyby odrosnąć - powiedział kojąc przy okazji Brata Wilka, który nie lubił, gdy Anna była smutna. - Ale to nie byłaby żadna zabawa.

- Super - Zamyśliła i odezwała dopiero po chwili. - Moje skarpetki są suche.

- Daj mi znać jeśli to się zmieni.

*

Śnieżne rakiety ciążyły jej u stóp. Posłała Charlesowi urażone spojrzenie, co było w tym momencie bezpieczne, bo był do niej zwrócony plecami. Mimo dziur po kulach i innych rzeczy wydawało się, że nie ma żadnych problemów. Gdy tak szli pod kolejną górę ledwo widać było, że utyka. Trochę zwolnił, ale nie na tyle, na ile miała nadzieję. Gdyby nie obiecał jej rozbicia obozu na najbliższym wzniesieniu, prawdopodobnie padłaby tam gdzie stała.

- Już niedaleko - powiedział, nie oglądając się nawet za siebie. Niewątpliwie jej głośnie dyszenie powiedziało mu wszystko a'propos stanu jej zmęczenia. - Część twojego stanu związana jest z wysokością. Jesteś przyzwyczajona do większej ilości tlenu w powietrzu i dlatego musisz szybciej oddychać, by nadrobić różnicę.

Wyszukiwał wymówki dla jej stanu, na co tylko się najeżyła. Wejdzie na górę, chodźby miała paść trupem. Podniosła nogę z rakieta śnieżną celem zrobienia kolejnego kroku, gdy nagle dzikie wycie rozbrzmiało głośno pomiędzy drzewami, podnosząc jej włoski na karku i odbijając się echem od gór.

- Co to jest? - spytała.

Charles posłał jej przez ramię ponure spojrzenie.

- Wilkołak.

- Możesz określić skąd dobiega ten dźwięk?

- Ze wschodu. Biorąc pod uwagę jak brzmi to wycie, wilkołak musi być kilka kilometrów stąd.

Zadrzała lekko, chociaż pomyślała że nie ma czego się bać. Przecież sama była wilkołakiem, prawda? I widziała jak Charles wytarł podłogę jej byłym Alfą, mimo że został kilkakrotnie postrzelony.

- On cię nie zrani - obiecał jej towarzysz.

Nic nie odpowiedziała, ale gdy spojrzał na jej twarz, jego spojrzenie złagodniało.

- Jeśli naprawdę nie chcesz, bym wykorzystywał w stosunku do ciebie mój węch, powinnaś zacząć używać perfum. To świetnie działa.

Anna powąchała powietrze i wyczuła tylko woń ludzi, od których Charles pożyczył ubrania.

- Ty nie używasz żadnych perfum.

Uśmiechnął się szeroko, a jego zęby błysnęły bielą na tle ogorzałej twarzy.

- Zbyt dziewczęce jak dla mnie. Musiałem nauczyć się kontrolować emocje, zamiast się psikać. – Jego kolejne słowa sprawiły, że ugięły się pod nią kolana. - Dopóki nie poznałem ciebie.

Zaczął dalej wspinać się pod górę, pozostawiając ją za sobą wstrząśniętą. Kim była, że potrafiła tak działać na tego faceta? Dlaczego ona? Czy działo się tak dlatego że była Omegą? Z jakiegoś powodu wątpiła w to. Nie, gdy czuła tę dzikość w powietrzu.

On był jej.

Na wszelki wypadek zaczęła wyliczać pewne rzeczy na palcach. Jeszcze w zeszłym tygodniu czyściła stoły w knajpie, nigdy nie słyszała o Charlesie czy o chodzeniu w raketach śnieżnych po śniegu. Nie marzyła, że całowanie się z mężczyzną może jej jeszcze kiedykolwiek przynieść radość. Teraz szła przez śnieg, wokół była temperatura poniżej zera, a ona miała na twarzy głupi, radosny uśmiech i polowała na wilkołaka. Lub raczej szła za Charlesem, który polował na wilkołaka. Dziwne. Ale raczej miłe. I były niezaprzeczone zalety przebywania w pobliżu Charlesa - nie licząc chociażby samego jego wyglądu.

- Czy ty chichoczesz? - spytał Charles swoim głosem Pana Zrównoważonego.

Spojrzał na nią, a następnie wykonał dziwny manewr raketami, by móc stanąć do niej przodem. Ściągnął z dłoni rękawiczkę i dotknął chłodnymi palcami nasady jej nosa, gdzie zebrały się jej piegi. Palce zsunęły się niżej, aż dotarły do dołeczka na jej lewym policzku.

- Lubię widzieć cię szczęśliwą - powiedział.

Jego poważny wzrok powstrzymał jej śmiech, ale nie odebrał ciepłego trzepotania w brzuchu.

- Tak? - spytała figlarnie. - W takim razie powiedz mi, że to już naprawdę ostatni szczyt, na który się wspinamy, a na górze jest wygodne płaskie miejsce gdzie rozbijemy obóz. I że nie będę musiała nigdzie już dzisiaj chodzić.

*

Stała przed nim radosna jak kot, który najadł się śmietanki, a on nie miał bladego pojęcia skąd ta radość się u niej wzięła. Nie był do tego przyzwyczajony. Do cholery, był przecież bardzo dobry w osądzaniu ludzi. Miał dużo praktyki, a przede wszystkim Brata Wilka i wiele empatii. I wciąż nie miał pojęcia czemu Anna stoi tuż przed nim i przygląda mu się z uśmiechem tańczącym w jej oczach.

Pochylił się ku niej, aż w końcu przytulił czoło do jej wełnianej czapki. Następnie zamknął oczy i wciągnął jej zapach, ciesząc się ciepłem rozprzestrzeniającym się po jego ciele. Jej zapach rozkuwał wszelkie kajdany, którymi się krępował i działał na niego jak dym z fajki wodnej. Wokół nich nie było żadnego innego zapachu, ale zapatrzony w nią nie mógł oczyścić umysłu.

Ale powinien był to usłyszeć. Wyczuć. Cokolwiek.

W jednej chwili stał obok Anny, a w drugiej leżał już twarzą w śniegu, z bezbronną, rozciągniętą pod nim Anną. Jak podpowiedział mu nos, na plecach siedział mu wilkołak.

Zęby napastnika rozerwały materiał jego kurtki i dotarły do pleców. Dla dobra Anny zignorował atak wilkołaka i zmusił się do podniesienia siebie (i drugiego wilkołaka na plecach) tak, by dziewczyna mogła się spod niego wydostać i uciec. Przeczuwał jednak, że być może jest to fatalna decyzja.

Anna wypęzła spod niego szybko, lecz nie posłuchała go i nie rzuciła się do ucieczki. Atakujący wilk wydawał się jej nie dostrzegać. Był tak zajęty próbą rozszarpania pleców Charlesa, że na nic innego nie zwracał uwagi. Dziki, pomyślał Charles, i całkowicie bez kontroli.

Ludzka postać Charlesa była odrobinę drobniejsza od ciała atakującego wilkołaka, ale był niemal tak samo silny jak on. Bez uwięzionej pod nim Anny, zajęło mu chwilę pozbycie się ze stóp rakiet śnieżnych.

Srebrne tworzywo poleciało w obie strony niczym konfetti. Samuel niewątpliwie wymyśliłby jakiś zabawny komentarz do tej sytuacji, jak na przykład: Spójrzcie, kto zaraz skończy jako mrożonka na kolację.

Sapiąc z wysiłku Charles zerwał się na nogi z taką siłą i prędkością, że w połączeniu z wagą napastnika jego kurtka i plecak zostały rozerwane. Trzymając się tylko materiału i niczego innego przerzucił wilka przez plecy, po czym kopnął... Bestia odleciała na odległość dobrych trzech metrów. Nie za daleko, lecz wystarczająco, by zapewnić im pole manewru. Znajdowała się teraz pomiędzy Charlesem i Anną... i miał bliżej do dziewczyny.

Mimo, że Charles gorączkowo zerwał z siebie resztki plecaka – bezlitośnie szarpiąc wszystko, co przyczepiło się do niego – zdał sobie sprawę, jak dziwny był to atak. Nawet oszalałego dzikiego wilka nie powstrzymałby zwykły plecak. Co prawda w jego ciało wbił się jakiś kieł czy pazur, lecz poza tym Charles nie poniósł żadnych obrażeń.

Wilk poderwał się na równe nogi, lecz nie zaatakował ponownie. Był przerażony. Zapach strachu unosił się w powietrzu, gdy nieznajomy wbił w Charlesa wyzywające spojrzenie.

I został tam gdzie stał, pomiędzy Charlesem i Anną, tak jakby chronił dziewczynę.

Charles zmrużył oczy i próbował rozpoznać tego wilkołaka. Poznał ich w życiu tak wiele. Całkowicie szary drapieжник nie był wcale tak częstym widokiem. Jego zwierzęca forma była odrobinę mniejsza od Anny, gdy zmieniała się w wilka. Jego zapach nie wydawał się być znajomy, podobnie jak wydawało mu się, że nie ma żadnego stada. Pachniał ziemią, drzewem cedrowym i granitem, jak gdyby jego ciała nigdy nie dotknął szampon, mydło bądź inne wynalazki współczesnego świata.

- Kim jesteś? - spytał nieznajomego.

- Kim jesteś? - powtórzyła za nim Anna i wilk spojrzał na nią. Tak jak i Charles. Kiedy dziewczyna używała tego głosu, mogła wymusić na innych wilkach swoją wolę, podobnie jak Bran. Anna sprawiała, że miałeś ochotę zwinąć się u jej stóp i wygrzewać się w spokoju.

Charles dostrzegł moment, w którym wilk zrozumiał, że osoba, którą chronił wcale nie była człowiekiem. Wyczuł zapach gniewu i złości obcego, po

czym rzucił się w stronę Anny. Wyminął ją jednak i uciekł.

- Wszystko z tobą w porządku? - spytał Charles, gdy zostali sami. Zaczął zajmować się swoimi poszarpanymi ubraniami i ranami. Mógł użyć magii do naprawy kurtki, ale z nieznanym wilkiem w okolicy wolał nie zużywać energii bez potrzeby. Bandaż wokół jego żeber był mocno zaciśnięty i po tej przygodzie wbił się mocniej w jego ciało.

- Tak, wszystko dobrze.

- Zostań tu - rozkazał i pozwolił przejąć kontrolę Bratu Wilkowi. Drgnął lekko, gdy zmienił kształt, gotowy do polowania. Wiedział, że musi się spieszyć, bo z każdą chwilą tamten uciekał coraz dalej.

- Będę tutaj - odpowiedziała uspokajająco Anna. Gdy stanął przed nią w pełnej wilczej formie dodała. - Nie skrzywdź go.

Pokiwał łbem, po czym zniknął w lesie. Nie miał zamiaru nikogo zabijać w trakcie tej wycieczki. Z pomocą Anny miał zamiar pomóc temu dzikiemu wilkowi. Oswoić go.

Gdy tylko Charles zniknął, Anna zaczęła drżeć. Czowała się tak, jakby ktoś zdjął z niej płaszcz i kazał stać nagiej na śniegu i lodzie. Rozejrzała się niespokojnie wokół, zastanawiając się czemu nagle cienie drzew wydają się być dłuższe. Jodły, które przed chwilą były zwykłymi drzewami, nagle nabrały złowieszczonego wyrazu.

- Jestem potworem, do diabła - powiedziała do siebie na głos.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa, wiatr zamarł i zapadła cisza. Ciężkie milczenie, które zdawało się być żywe, a którego nikt nie ośmielał się zakłócić. Nawet małe, niedawno świergoczące ptaki zamilkły.

Wbiła wzrok w drzewa i to trochę pomogło. Ale wrażenie, że coś ją obserwuje tylko się wzmagало. Jej nos mówił, że nikogo tam nie ma. Z drugiej jednak strony mówił to przed chwilą, gdy zostali napadnięci. Teraz, gdy wilk zaatakował, jej system obronny był nagle w pełni sprawny.

Rzeczywiście, użyteczne...

Myślenie o obcym przypomniało jej o dziwnym wrażeniu, które odniosła kilka chwil temu. Czowała się, jakby była w stanie przeniknąć przez skórę wilkołaka, wyczuć jego cierpienie, jego potrzeby. Wyciągnęła do niego dłoń i spytała kim on jest, a część niej była pewna, że podejdzie do niej i udzieli jej odpowiedzi. Kiedy jednak zamiast tego uciekł, otrząsnęła się z tego

dziwnego transu. Nie dałaby sobie ręki uciąć w kwestii uczuć obcego wilka, ale nagle poczuła się jak niewidomy, który po raz pierwszy w życiu zobaczył wszystkie kolory. Mogłaby przysiąc, że nieznajomy zaatakował, by ją ochronić i że próbował zrobić wszystko co w jego mocy, by nie zranić Charlesa.

Coś ją obserwowało. Powąchała powietrze, ale czuła tylko zapach lasu.

Przeszła wzdłuż obrzeży zalesionej granicy, jednak ani jej oczy, uszy czy nos nie wykryły niczego podejrzanego. Przeszła tą samą trasę drugi raz, z tym samym rezultatem. Musiała się uspokoić, albo zaraz zacznie spanikowana biec za Charlesem. Tak, to na pewno zrobiłoby na nim piorunujące wrażenie.

Nie żeby kiedykolwiek zrobiła cokolwiek, co mogłoby zrobić na nim wrażenie.

Zaplotła ręce wokół brzucha, który zaczął ją boleć, ściskany przez jakieś nieznane jej uczucie. To mogła być wściekłość. Przetrwiała przez trzy lata, ponieważ nieważne jak bardzo było źle, potrzebowała stada. Były rzeczy, których jej wilk nie mógł bez niego zrobić. Pozwoliła więc im obedrzyć się z dumy, pozwoliła Leo przejąć kontrolę nad jej ciałem i rozdawać je na prawo i lewo, jakby była dziwką, którą miał na własność.

Przez chwilę znów czuła na twarzy oddech Justina, poczuć ciężar jego ciała na jej własnym, ból nadgarstków i nosa, który złamał wcześniej w pełni kontrolowanym uderzeniem.

Krew spłynęła przez jej wargi, na nowy płaszcz, a potem na śnieg. Zaskoczona uniosła dłoń do nosa, ale wszystko było z nim w porządku. Był tylko lekko skrzywiony, jak zawsze od tej nocy gdy Justin go złamał.

Ale krew nadal się z niego sączyła.

Pochyliła się i wzięła garść śniegu, po czym przycisnęła ją do nosa, aż poczuła, że z zimna aż ją pali. Przyłożyła dłoń do nosa i zobaczyła, że krwawienie ustało. Pytanie brzmiało, czemu nagle pojawiła się krew? I czemu pomyślała znienacka o Justinie?

Krwawienie z nosa mogło pojawić się z powodu wysokości, pomyślała. Charles będzie to wiedział. Wzięła czysty śnieg i wytarła nim twarz. Potem ponownie przesunęła dłonią po nosie, ale nie pojawiły się więcej czerwone krople. Niezależnie od przyczyny, krwotok ustał. Potarła szkarłatne plamy na kurtce, chcąc je zetrzeć, lecz jedynie rozmazała ją dookoła.

Z westchnieniem rozejrzała się wkoło. Dostrzegła foliowe reklamówki z porcjami ich jedzenia, rozproszone w fantazyjny wzór wokół strzępków plecaka Charlesa.

Typowy facet, pomyślała rozzłoszczona, pozostawił kobiecie cały bałagan do sprzątnięcia.

Zebrała ubrania kochanka i otrzepała je ze śniegu. Spakowała je do swojego plecaka, po czym zaczęła na wierzchu układać jedzenie. Dzięki dobrej organizacji była w stanie spakować u siebie większość rzezy, ale nie było sposobu by pomieścić wszystko. Rzuciła sfrustrowane spojrzenie w kierunku szczątków plecaka, śpiwora i śnieżnych rakiet.

Nie przeszkadzało by jej to tak mocno, gdyby nie to, że byli w środku dzikiego buszu i nie mogli niczego zostawić. Uważnie obejrzała plecak mężczyzny, jednak był on rozszarpany w drobny mak. Broń również została uszkodzona. Nie wiedziała wiele o karabinach, ale podejrzewała, że do tego, by działać sprawnie, potrzebowały prostej lufy.

Okazało się jednak, że trafiła w dziesiątkę. Okazało się bowiem, że jeden z fragmentów plecaka był śpiworem, pod którym wczoraj spali. Gdy uklękła, by rozłożyć grubą tkaninę, poczuła jakiś zapach. Starła się nie reagować na niego, zbierając porozrzucane resztki i rzucając je na środek materiału. Zrobiła tak ze wszystkim oprócz broni. Pomimo wygięcia wciąż wyglądała solidnie.

Ktokolwiek to był, stał absolutnie nieruchomo i obserwował ją - człowieka, nie wilkołaka.

Związując razem rogi tkaniny, wykonała schludny węzełek, który mogła nieść. Przenosząc prowizoryczny pakunek w pobliże swojego plecaka usłyszała, jak podglądacz wychodzi spomiędzy drzew.

- Wygląda na to, że masz tutaj lekki bałagan - odezwał się ktoś. - Uciekałaś przed niedźwiedziem?

Głos brzmiał bardzo przyjaźnie. Anna odwróciła się i wbiła wzrok w kobietę, która wysunęła się z lasu. Ukrywała się tam jednak zbyt długo, by można było jej w pełni zaufać.

Podobnie jak Anna, miała na nogach rakiety śnieżne, a do tego w dłoniach kijki. Dół twarzy zakrywała wełniana chustka, a spod czapki wyglądały brązowe oczy oraz ciemnobrązowe, sięgające ramion loki.

Anna odetchnęła głęboko, ale jej nos powiedział jej, że nieznajoma jest człowiekiem. Czyżby ludzki słuch był tak fatalny, że wziął odgłos dwóch walczących wilkołaków za atak niedźwiedzia? Diabli, jeśli wiedziała.

- Niedźwiedź. Tak. - Anna posłała kobiecie uśmiech, który jak miała nadzieję, zatuszował ilość czasu, jaką zabrało jej wymyślenie odpowiedzi. - Przepraszam, ale czuję się nieco dziwnie. Jestem dziewczyną z miasta, nie jestem przyzwyczajona do kontaktów z matką naturą w pełni jej glorii. Tak, to był niedźwiedź. Wystraszyliśmy go, ale odkryliśmy, że zabrał jeden z naszych... - Zastanowiła się przez chwilę, co mogło być tak ważnego, że przekonało człowieka do pościgu za niedźwiedziem. - ...plecaków. Z naszą jedyną zapalniczką.

Obca odrzuciła głowę w tył i roześmiała się.

- To zawsze tak działa, prawda? Jestem Mary Alvarado. Co robisz tutaj w środku zimy, skoro nie jesteś przyzwyczajona do dzikiej natury?

- Jestem Anna... Cornick. - Jakoś wydało jej się słuszne użyć nazwiska Charlesa. Posłała Mary kolejny wymuszony uśmiech. - Nie jesteśmy zbyt długo po ślubie. Nie przyzwyczaiłam się jeszcze do nowego nazwiska. Musisz być jedną z osób, które szukają myśliwego. Myśleliśmy, że nikt nie ruszy tak daleko. Może jestem w tym całkiem zielona, ale mój mąż zna się na wędrownictwie i ratownictwie.

- Jestem z ekipy poszukiwawczo-ratowniczej - przyznała Mary.

- Czy nie powinniście chodzić parami? - spytała Anna. Nie była tego pewna, ale wydawało jej się to logiczne. Heather i Jack polowali razem.

Brązowowłosa dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Moja partnerka gdzieś się tu kręci. Pokłóciłyśmy się i poszła gdzieś się poobrażać. Wkrótce pewnie zwolni i pozwoli mi się dogonić - uśmiechnęła się niefrasobliwie. - Ona jest nieco nerwowa.

Kobieta zrobiła krok w stronę Anny. Nagle jednak zamarła i rozejrzała się na boki. Anna również coś wyczuła, jakby wielki mroczny cień przeszedł przez drzewa.

Coś warknęło.

Rozdział 9

W swojej cieplarni, Asil przycinał zwiędłe kwiaty ze swoich róż. Nie były tak wspaniałe jak te, które miał w Hiszpanii, ale były o wiele lepsze niż te kwiaty od których zaczynał. Jego hiszpańskie róże były wynikiem ostrożnego hodowania przez wieki. Wtedy nie martwił się, że je zostawia, ale teraz żałował ich straty.

Nie tak strasznie jak żałuje straty Sarai.

Miał nadzieję, że ktoś zajął się nimi, ale z całą pewnością w rejonie gdzie zostawił swoją posiadłość jego kwiaty umarły zanim ktokolwiek odnalazł jego majątek. Wciąż miał nadzieję, że odnaleźli je jacyś miłośnicy róż. Gdzieś tam na świecie są prawdopodobnie potomkowie jego róż. Może jeśli Bran sprawi, że on pożyje jeszcze parę lat, wyjedzie aby ich szukać.

Ktoś uderzył dziarsko w jego drzwi na zewnątrz i otworzył bez czekania na odpowiedź. On nawet nie raczył spojrzeć w górę. Sage nachodziła jego cieplarnię, prawie od dnia gdy ją zbudował. On już dawno temu wyrzucił wszystkich, którzy przerywali jego samotność. Wyrzucanie Sage było tak samo skuteczne jak bicie szczytów: to nie przynosiło żadnych efektów, tyle że sprawiało, że on czuł się podle.

- Hello, Hello? - krzyknęła chociaż jej nos na pewno powiedział jej dokładnie gdzie był.

To było jej zwykłe pozdrowienie - pomyślał, że to miało upewnić ją, że nie czuł się morderczo

osamotniony tego dnia. Kiedy ona pierwszy raz pokazała się, zastanawiał się czy Marrok nie wysyłał jej by upewnić się, że on jest wciąż wystarczająco zdrowy psychicznie by być żywym. Ale jeśli by tak było, to jej wizyty skończyły by się dawno temu.

-Jestem tu - powiedział jej, nie fatygując się by podnieść głos. Usłyszała by go nawet gdyby szepnęła, więc przestał udawać że jest bardziej ludzki.

Nie odrywał wzroku od swojej pracy gdy weszła po schodach za nim. Jego standardy piękna rozszerzyły się przez ostatnie lata, ale nawet jeżeli by tak nie było, Sage

trafiłaby na jego listę piękności.

Sarai często waliła go w głowę za patrzenie się na inne kobiety, jednak ona wiedziała, że nigdy nie zbłądził by. Gdy odeszła, on rzadko nawet patrzył. Flirtowanie nie sprawiało, że czuł się nielojalny wobec jego zmarłej partnerki, ale stwierdził, że to źle na niego działa. Oczywiście,

mając okazję by drażnić Charlesa, radośnie korzystał ze wspomnień.

- Hej, Sil. Uśmiechasz się - ktoś umarł? - Oczywiście nie oczekiwało, że on odpowie, więc

Kontynuowała -Masz coś, co mogę zrobić?

- Obrywam zwiędnięte kwiaty - powiedział jej chociaż widziała to sama.

Czasami nie miał cierpliwości do tych wszystkich tak zwanych pustych rozmów, które odbywał tysiąc razy. Właśnie kiedy zmęczył z ludzi, którzy musieli ćwiczyć tak samo

kwestie w kółko.

Zastanawiał się jak Bran utrzymywał swoją minę speszonego interesu przy błahych problemach swoich ludzi. *Wciąż, z nicią gorzkiego rozbawienia Asil myślał, Nie mogę być tak zmęczony życiem, skoro złożyłem Branowi ofertę a on zignorował ją, czyż nie?*

Sage zignorowała jego zwięzłość niepohamowanym okrzykiem. To była jedna z rzeczy, które lubił w niej, że nie musiał ciągle przeproszać za jego zmienne huśtawki nastrojów.

Zdjęła swój płaszcz i zabrała się do pracy po jego prawej stronie, więc wiedział że była w odpowiednim nastroju do rozmowy. W innym wypadku, zaczęłaby na drugim brzegu za

krzaki, gdzie nie przeszkadzała by mu w jego pracy.

- Więc, co myślisz o partnerce Charliego?- zapytała.

Burknął. To było podle z jego strony dokuczać chłopcu Brana, ale nie był w stanie się powstrzymać, nie zdarzało się często by Charles był pozbawiony opanowania. A Anna przypominała mu tak bardzo jego własną Sarai, nie z wyglądu - Sarai była prawie tak ciemna jak on był - ale obydwie miały taki sam wewnętrzny spokój.

- No cóż, ja ją lubię - Sage powiedziała - Ona ma więcej siły niż można by pomyśleć po tym jak poprzedni Alfa znęcał się nad nią.

To wstrząsnęło nim – Znęcał się nad Omegą?

Kiwnęła głową - Przez lata. Zgaduję, że Leo po części robił to sam albo pozwalał jego

szalonym kolegom to robić. Nawet rozkazał jednemu ze swoich wilków siłą zmienić Annę. Ja nie

rozumiem dlaczego Charles nie wybił całej sfory - żaden z nich nie zrobił niczego by ją chronić. Jak trudno jest podnieść telefon i zadzwonić do Brana?

- Jeśli Leo rozkazał im by tego nie robili, to nie mogli zadzwonić - Asil powiedział z roztargnieniem. Znał Leo, chicagowskiego Alfa i lubił go – Chyba gdyby byli niemal tak dominujący jak Leo — co jest mało prawdopodobne.

Leo był silną Alfą i przysięgłby, że honorowym człowiekiem. Może Sage była w błędzie. Asil przystrzygł kilka róż i wtedy zapytał - Wiesz dlaczego Leo zrobił te rzeczy?

Popatrzyła na niego - Zgaduję, że jego partnerka oszalała. Zabiła wszystkie kobiety w stadzie z zazdrości, wtedy wyszła na zewnątrz i przemieniła kilku przystojnych mężczyzn, tak dla żartu. Najwyraźniej Leo miał nadzieję, że posiadanie Omegi takiej jak Anna w stadzie utrzyma jego partnerkę stabilną. To działało, mniej lub bardziej. Miał Annę, potraktował ją brutalnie, mając nadzieję, że to pozwoli trzymać ją pod kontrolą.

Asil przerwał, zimny chłód przebiegł wzdłuż jego grzbietu. Mówiąc o samotnym kobietach w stadzie, „potraktował brutalnie” było strasznym słowem, znacznie gorszym niż „znęcać się”.

- Jak potraktował brutalnie ? - zapytał ochryple, nagle pamiętając rzadką wściekłość Charlesa

gdy przyniósł kwiaty Annie. Miał krótkie mignięcie obrazu Anny ponad ramieniem Charlesa. Bała się? Cholernie jego zamiłowanie do sprawiania kłopot. Co on zrobił?

Sage wbiła swoje palce w brud, bez wątplenia przeżywała ponownie jej własną brutalną napaść, która miała miejsce parę laty przed tym jak tu przybyła. On

powinien przeprosić za przypomnienie jej tego . *Niezdarny, niezdarny, Asil.*

- Jak myślisz, że co jej zrobili? - powiedziała w końcu, ciemność uchwyciła się jej głosu.

- Na Allaha - powiedział łagodnie - nigdy nie udało mu się doprowadzić Charlesa takiego stanu. A on wyszedł stąd, myśląc, że żadna Omega nie może uspokoić swojego partnera. On nie zdawał sobie sprawy, że ona została już wcześniej skrzywdzona. Naprawdę powinien zmusić Brana do zabicia go dawno temu.

- Co jest?

- Muszę pójść pomówić z Charlsem - powiedział, wyrzucając nóż i stając na nogi. Robił się coraz starszy i za bardzo zadowolony z siebie, zbyt gotowy by sądzić, że jest wszechwiedzący. Myślał, że chłopak czekał aż jego rany zostaną wyleczone zanim dopełni ich przywiązania - za to on był prawie pewny, że on próbował dać czas dziewczynie.

To, że Charles przyszedł dziś rano pytać o Omegę , oznaczało że coś poszło źle... i zdał sobie sprawę, że Charles nie pytał o Sarai, gdy zapytał co dzieje się gdy Omega jest torturowana. Pytał o Annę.

- Rozmowa z Charlesem może być trudna - Sage powiedziała sucho – On zabrał Annę i ścigają

jakiegoś szaleńca w górach. Nie mają żadnego telefonu komórkowego.

- W górach? - Spojrzał z marsową miną na nią, pamiętając, że jak słaby Charles był wczoraj w kościele. Dziś rano wyglądał trochę lepiej, ale Asil wciąż mógł zobaczyć, że jest sztywny - On był ranny.

- Umm - kiwnęła głową - Słyszałam, że został postrzelony w Chicago, srebrnymi kulami. Ale jest jakiś dziki wilkołak, atakujący ludzi. Zabił jednego i zranił innego w ciągu tygodnia - Heather Morrell's partner był jednym z rannych. Na razie będziemy trzymać te informacje tylko dla siebie, ale ten samotnik musi być zlikwidowany jak najszybciej, aby nie mógł zadać bólu nikomu więcej. A kogo innego Bran mógł wysłać za nim? Samuela jest nie odpowiedni, nawet gdyby nie był w drodze powrotnej do Waszyngtonu. Plotka mówi, że Bran jest zmartwiony, że to może być

wybieg części Europejskich wilków, którzy chcą sprawdzić czy oni mogą wywoływać dość kłopotów, które zmuszą Brana do ponownego rozważenia pomysłu ujawnienia naszego gatunku. Więc on potrzebował dominującego wilka.

Już dawno Asila wprawiało w osłupienie, skąd Sage wiedziała tak dużo o wszystkim co się działo w stadzie Marroka.

- Mógł wysłać mnie - powiedział Asil, niespecjalnie zwracając uwagę na jego własne słowa. Dobrą wiadomością było, że Anna poszła z Charlesem? Oczywiście to oznaczało, że nie zrobił jej żadnej stałej krzywdy przekomarzaniem się z nią.

Sage patrzyła na niego – Wysłać Ciebie? Mógł, naprawdę? Widziałam cię wczoraj w kościele.

- Mógł wysłać mnie - Asil powtórzył. Wiedział, że Sage zaczynała podejrzewać, że jego

szaleństwo było udawane. Bran prawdopodobnie myślały tak również, skoro nie zabił go, mimo że Asil prosił go o to ciągle - piętnaście lat. Wielka szkoda że obydwoje Sage i Bran byli w błędzie. Jego szaleństwo było subtelniejszą rzeczą i to może zabić ich wszystkich. Asil był niebezpieczeństwem dla każdego wokół niego, a jeśli on nie był by takim tchórzem zmusił by Brana to zajęcia się tym problemem od razu gdy tu przybył.

Mógł przynajmniej zlikwidować samotnego wilka - był winny Branowi aż tyle.

- Nie sądzę, że Charles był zraniony aż tak bardzo - powiedziała w pojednawczym tonem.

Więc Charles zdołał ukrywać jego rany przed Sage, ale on wiedział lepiej.

Asil zrobił głęboki wdech. Charles był nieustępliwy i znał góry jak nikt inny. Mimo, że ranny, jeden samotny wilk nie mógłby się z nim równać. Wszystko było w porządku. Właśnie podjął decyzję, że przeprosi ich oboje, gdy zobaczy ich następnym razem – i ma nadzieja, że nie spowodował żadnego uszkodzenia, którego nie można by było naprawić. On po prostu był tak zazdrosny. Spokój, który Anna na niego przyniosła sprawił, że on przypomniał...

Ach, Sarai, jesteś mną taka rozczarowana.

- Wszystko w porządku?

Uklęknął znowu i podniósł nożyce – Tak wszystko w porządku.

Ale dlaczego Europejczycy wysłaliby samotnego wilka? Może to nie oni. Może Charles potrzebuj wsparcia.

Westchnął. Był winny chłopakowi przeprosiny, które nie powinny czekać. Gdyby wiedział gdzie zaczęli, mógłby wytropić Charlesa i mógłby upewnić się, że nie zrobił jakiegokolwiek poważnego uszkodzenia więzi między nim i jego partnerką.

- Muszę porozmawiać z Branem - powiedział. Rzucił w dół nożyce i wyszedł zamaszystym krokiem, zamykając za sobą drzwi szklarni.

Gdy opuścił swoją twierdzę, chłód owinał go jak peleryna królowej lodu. Kontrast między tym a sztucznym ciepłem i wilgotnym powietrzem jego szklarni był tak potężny, że zasapał się zanim jego płuca przystosowały się. Sage poszła za nim, wciągając jej płaszcz, ale nie poczekał na nią.

- Nie wiem czy to są Europejczycy - Bran powiedział mu spokojnie, po tym jak Asil wyraził swoją opinię na temat wysyłania zranionego Charlesa za nieznanym wrogiem

- Bardziej prawdopodobne, że to jest po prostu samotnik. Góry są odległe i może ktoś próbuje od tego kim został. Nawet jeżeli to są Europejczycy, to jest to tylko jeden wilk. Gdyby były dwa wilki, Heather nie mogłaby odjechać stamtąd po tym jak ich zaatakował.

Przerwał ale Asil skrzyżował swoje ramiona na piersi i pokazał mu przez mowę ciała, że wciąż myśli, że Bran był głupi.

Bran uśmiechnął się i oparł stopy na biurku - Nie wysłałem Charlesa w pojedynek. Nawet jeżeli są dwa albo trzy wilkołaki, Charles i Anna między nimi powinni zapanować nad nimi. Więcej niż dwa albo trzy ja wyczuł bym, kiedy przechodzili tak blisko Aspen Creek.

To miało sens. Więc dlaczego wrastający strach nappełniał jego duszę? Dlaczego każdy instynkt mówił mu że wysyłanie Charlesa za tym samotnikiem było głupią rzeczą? A kiedy przestał

martwić się o Charlesa to zaczął martwić się o to co gonili? O wilkołaka, którego oni gonili.

- Jak ten wilk wyglądał? – kołysał się wolno z jednej stopy na drugą, nie kontrolując się. Był zbyt zajęty myśleniem.

- Jak owczarek niemiecki - Bran powiedział – Jasnobrazowy z ciemnymi punktami i białymi plamami na łapach. Obydwoje, student który uciekł i Heather opisali go tak samo.

Drzwi do gabinetu Brana otworzyły się i Sage wpadła do środka - Czy... widzę, że dotarł tu. Co się stało?

- Nic – Bran powiedział łagodnie - Asil, idź do domu. Chcę byś odpoczął dziś w domu. Dam ci znać gdy tylko coś będę wiedział.

Asil potknął się przez Sage, już nie martwił się o Charlesa. To ubarwienie mogło być wspólne z psem pasterskim - ale rzadko spotykane u wilkołaków.

Sarai wyglądała w ten sposób, jasnobrazowa z ciemnobrazowymi łatami. Jej lewa przednia łapa była biała.

Zapomniał o swojej sile, urwał klamkę swojego samochodu i musiał wsuwać się do środka

od strony pasażera. Nie zapomniał pojechaniu do swojego domu, ale potrzeba by ukrycia się była potężniejsza niż konieczność przestrzegania słów jego Alfya.

Nie zawracał sobie głowy wprowadzaniem do garażu samochodu, dziś wieczorem mógł stać przed domem. Poszedł do swojej sypialni i otworzył szafę wnękową. Wziął swoją ulubioną koszulę, wystrzępioną przez czas. Nawet swoim nosem już nie czuł zapachu Sarai, ale to dotykało jej ciała i to było wszystko, co miał po niej. Położył ją na swoją poduszkę i położył się na łóżko, pocierając jego policzek o koszulę.

To zdarzyło się w końcu, pomyślał. Oszalałem.

To nie może być jego Sarai. Najważniejsza, ona nigdy nie zabiłaby nikogo bez powodu. Po drugie, ona nie żyje. Znalazł ją, kilka dni po tym jak umarła. Wziął jej biedne ciało i umył je do

czysta. Spalił z solą i wodą święconą. Wiedząc kto zabił ją, nie było żadnego sposobu by wskrzesić ją.

Nie. To nie była Sarai.

Żołądek go bolał, gardło bolało, a jego oczy piekły od łez – z powodu starej wściekłości na siebie. Powinien był zabić czarownicę ale był zmuszony do ucieczki.

Uciekał, podczas gdy

zabójca jego żony żył, ponieważ wiedział czym Mariposa stała się.

Dopiero gdy nie mógł znieść już uciekania, gdy to było oczywiste, że nie wykorzystał okazji do

zabicia jej tak jak powinien, przyszedł tu – by umrzeć i dołączyć do jego ukochanej.

Ale pozwolił Marrokowi... a później, jego róże przekonywały go by poczekać.

I nie znalazła go tu. Może moc Marroka chroniła go, tak jak chroniła resztę stada.

Gdy tak leżał dysząc na jego łóżku, nabrał przekonania że nadszedł czas na jego śmierć. Odłożył

koszulę z ogromną miłością na miejsce i przeszedł z powrotem do jego drzwi.

Przekona Bana że nadszedł czas.

Ale nie mógł otworzyć drzwi, nie mógł zmusić ręki do dotknięcia klamki. Wrzeszczał gniewnie, ale to nie zmieniło niczego. Nie mógł, nie posłuchać Bana. Był tak zasmucony że

nie zauważył, że Bran wydał mu prawdziwe polecenie: do jutra musi zostać tu, w tym domu gdzie żył przez te wszystkie lata w pojedynkę, ukrywając się przed mordercą jego samicy.

Więc jutro. Uspokoił się tą myślą. Ale najpierw naprawi co uszkodził.

Jutro pomoże Charlesowi przy samotniku, powie mu wszystko, co może być przydatne dla niego aby dogadać się z Omegą - a wtedy to będzie już koniec. Poczul ogromną ulgę więc się uśmiechnął. Jeśli Bran nie zabije go, Charles na pewno ucieszy się jeśli będzie mógł to zrobić.

Był spokojny ponieważ wspiał się z powrotem do swojego łóżka. Dotknął koszuli ręką i udał, że Sarai jest obok niego.

Stopniowo, ból zelżał, osłabiony przez wiedzę, że niedługo będzie zastąpiony przez spokój i ciemność. Ale teraz była tylko pustka. Mógł spać, ale ciekawość, jego główny grzech, sprawiła, że myślał o wilku, który zabijał innych tak blisko

terytorium Marroka.

Asil wziął głęboki oddech i usiadł.

Tak blisko terytorium Marroka. To zabijało, wyglądając jak jego miłość. Tak blisko terytorium Marroka, lub blisko Asila?

A po za tym były jego sny... jego sny zawsze stawały się silniejsze gdy czarownica była blisko.

Sarai polowała na ludzi? Potarł swoje oczy. Sarai ledwie polowała podczas pełni księżyca. Ponadto, Sarai nie żyje.

Pomimo przerażenia, że czarownica jest tak blisko, odkrył, że jest nadzieja w jego sercu. Ale

wiedział, że Sarai nie żyje, tak samo jak wiedział, że Mariposa jakoś ukradła więź między nim a jego partnerką.

To powinno być poza nią, poza jakąkolwiek czarownicą. Wilki trzymają swoje sekrety w tajemnicy przed innymi. Gdyby jakaś rodzina odkryła jak ukraść więź między wilkołakami,

zrobiliby to więcej niż tamten raz i słyszałby już o tym. To prawdopodobnie było wypadkiem, efektem ubocznym czegoś innego - ale przez te wszystkie lata uciekał, nigdy nie odgadł co, nieśmiertelna Mariposa zyskała zaraz po śmierci Sarai.

Chociaż trzymał to zamknięty jak mocno jak tylko mógł, wciąż czasami czuł jakieś skrawki więzi. Jakby Mariposa próbowała użyć tego jak pierwszego dnia, zanim zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

Myślał, że to Sarai. Wiedział, że coś jest nie w porządku, ale odległość między nimi powstrzymywała go przed zrozumieniem dokładnie o co chodzi. Wtedy obudził się w środku nocy, łzy płynęły z jego oczu, chociaż nie pamiętał o czym był sen.

Przebiegł resztę drogi do domu, dwa pełne dni. A kiedy zauważył Sarai martwą i poczuł zapach czarów i Mariposa, wiedział co się zdarzyło.

Dwa miesiące później, czarownica zaczęła go szukać go; nigdy nie dowiedział się co dokładnie ona chciała.

Skoro zabrała Sarai, nie mógł zagwarantować, że nie zabierze jego. Był za stary, zbyt potężny by być narzędziem w rękach czarownicy, nie ważne martwy czy żywy.

I jego Sarai nie żyła. Utracił jakąkolwiek nadzieję pozostającą w jego sercu. Nie żyła, ale może Mariposa poznała jakiś sposób by użyć formy jej wilka, złudzenie może.

To miało sens. Trzy ataki i dwa razy ofiara uciekła. Ludzie nie zbyt często uciekają przed atakiem wilkołaka.

Był nieobeznany z czarną magią. Jego partnerka była zielarką - to ona nauczyła go uprawiać rośliny w szklarni. Sprzedała swoje zioła czarownicom. Złudzenia były wśród nich podstawowym narzędziem. Takie złudzenia mogły sprawić ból albo nawet zabić kogoś... nigdy nie słyszał o tym. Ale jego podejrzenie, że Mariposa stała za atakami stawały się coraz bardziej realne, z tego powodu on znajdzie Charlesa i powie mu czemu się przeciwstawia.

Ponadto, nie mógł pozwolić innej osobie toczyć jego bitwy - a jeśli to była Mariposa, w takim razie poszukiwała jego.

Zamknął oczy ale otworzył je prawie natychmiast.

Bran mówił o wilkołaku w formie męskiej? To był samotnik. Pozwalał jego własnym strachom koloryzować fakty.

Ale to nie był wilkołak którego widziano jako samotnika, cichy głos wytoczył argumenty. Czy dwójka ludzi mogła zauważyć, że wilkołak był kobietą?

Żeńskie wilkołaki nie są zbyt pospolite; Bran mógł przypuszczać, że to jest męski wilkołak.

Nie widział czarownicy od prawie półwiecza, nie złapał jej zapachu od tej pory gdy uciekł z kontynentu. Zatuszował swoje ślady i poprosił Brana by utrzymał jego obecność w tajemnicy.

A jeśli ona była tu i chciała go, dlaczego właściwie nie przyszła i nie zabrała go?

To nie była ona... czekał aż ulga zaleje go. To prawdopodobnie nie ona.

Sarai była dla niego przeszłością. Zmarła prawie dwa wieki temu; pochował ją samodzielnie. Nigdy nie słyszał o złudzeniu, które mogło skrzywdzić ludzi.

Może złudzenie było ciałem które spalił... *Odpocznij* Bran tak mu powiedział i poczuł jak jego

ciało staje się niemrawe pomimo niepohamowanego wrzenia jego umysłu. Włączył swój rzadko używany budzik na 24:01. Bran mógł rozkazać mu by został tu do

poranka, ale Asil mógł zinterpretować "poranek" tak jak mu się podobało. I rano, pójdzie i znajdzie odpowiedzi.

Anna poruszyła się zanim miała czas pomyśleć. Mary wyciągnęła swoją rękę i skończyła z garścią włosów Anny gdy zerwała się by stanąć pomiędzy człowiekiem a tym co było w lesie. To zabrzmiało dla niej jak wilkołak, ale wiatr nie współpracował i nie przynosił jej jego zapachu.

Czy wilk Charles zdążył zawrócić pościg?

Ale potwór, który wyszedł z cienia zarośli był większy niż ten, którego gonił Charles. To wyglądało prawie jak owczarek niemiecki tyle tylko że to ważyło o wiele więcej, miało dłuższe zęby.

Były dwa wilkołaki.

Co jeśli jest więcej z nich? Co jeśli Charles poszedł na polowanie sam i został otoczony?

Wilkołak zignorował inną kobietę, skupiając się całkowicie na Annie. Ponieważ to skoczyło do przodu, Anna również podeszła do przodu.

Trzy kroki i chwyciła złamaną strzelbę Charlesa leżącą na ziemi. Zapierając się obydwoma

stopami, zamachnęła się nią na atakującego potwora z czteroletnim doświadczeniem gry w softball i z siłą wilkołaka.

To było oczywiste, że tamten wilk nie spodziewał się takiej siły u Anny. Nie próbował nawet zrobić uniku. Nikt nie zamierzał wystrzelić ze strzelby kiedykolwiek, ale Anna uderzyła wilka i usłyszała pęknięcie, które powiedziało jej, że złamała mu kość. Potoczył się pod wpływem uderzenia, ale wypuszczając okrzyk bólu, wrócił na cztery łapy.

Coś zaskwierczało za Anną i wilk krzyknął jeszcze raz ponieważ krew pojawiła się na jego biodrze. Mały kamień spadł na ziemię. Wilk zaglądał Annie przez ramię, następnie, z ostatnim warknięciem, uciekł między drzewa. Anna nie próbowała iść za nim, ale patrzyła na las, gdzie zniknął wilk.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Brzmienie umiarkowanego głosu Charlesa sprawiło, że poczuła ogromną ulgę. Miała nadzieję, że to był on, który rzucił kamieniem, ale to mógł być także zaginiony partner Mary. Upuściła pozostałości strzelby na ziemię i pobiegła do niego.

- Hej - powiedział, biorąc ją w ramiona - To był tylko pies - cholernie duży pies. Ale już wszystko w porządku - chociaż on wyraźnie próbował zachowywać się jak zwykły człowiek, to jego ramiona były strasznie opiekuńcze, gdy okrywał ją kurtką.

To była dobra rzecz, że mógł ubierać się gdy się zmieniał. Inaczej, mieliby problem wyjaśnić dlaczego biegł za niedźwiedziem na golasa.

-Kto nauczył Cie tak rzucać kamieniem? - mruzczała do niego, tłumiąc niestosowny chichot.

Zrobiła to, pomyślała. Obroniła siebie przed potworem i wygrała. Bezpieczna w ramionach Charlesa, radosne podniecenie szybko zasłoniło wszystko co czuła do tej pory. Nie tylko stawiała czoło swoim strachom, ale też obroniła kogoś jeszcze.

- Stare umiejętności -powiedział jej -Moi wujowie nauczyli mnie kiedy dorastałem. Mogę robić to lepiej, gdy strzelam z procy. Jakakolwiek broń działająca na odległość lepiej sobie radzi niż próbowanie odpędzenia żarłocznej bestii rozbitą strzelbą. Kim jest twoja znajoma?

Wzięła ostatni oczyszczający oddech, a następnie oddaliła się od jego ciepła. Kobieta kuciała, z wybałuszonymi oczami - Mary, to jest mój mąż, Charles. Charles, to jest Mary...?

- Alvarado - powiedziała kobieta - Madre de Dios, co to było?

Anna oczywiście sądziła, że kobieta jest tylko turystką. Krew Anny poplamiała jej kurtkę, ale to wyglądało jak małe krwawienie, prawdopodobnie spowodowane wysokością.

Charles oczyścił twarz Anny swoją ręką i pozwolił sobie, jak to Samuel nazywał, przejąć obowiązki dobrego gospodarza.

- Miło mi panią poznać.- Charles pozwolił swojemu uśmiechowi zagościć na twarzy do czasu gdy patrzył na kobietę.

Była opatulona przed chłodem więc nie mógł przyjrzeć się jej dobrze - ale to nie

miało znaczenia. Jego pamięć do zapachu była lepsza od pamiętania twarzy, a jego nos powiedział mu, że nigdy nie widział jej wcześniej.

Pamiętał że są dwa wilkołaki gdzieś blisko, ale najpierw musi się rozprawić z potworem którego ma pod ręką.

Puścił swoją partnerkę i zrobił dwa długie kroki do przodu, dwa kroki, które tak nawiasem mówiąc pozwoliły znaleźć się między Anną a kobietą – Przepraszam, ale goniłem tego głupiego... - przeklął jego zachwianie spokoju - nie chciał przyznać się do gonienia wilkołaka. Nie żeby ta kobieta nie wiedziała co to było co zaatakowała Anna, a jeśli ona nie wiedziała, że on i Anna są wilkołakami, również nie pragnął jej tego uświadamiać. A jeśli wiedziała to, w takim razie nie chciał by wiedziała, że on już wie, że jest czymś nadnaturalnym – kimś kto używa czarów. Jego pauza była bardzo długa, więc Anna skończyła jego zdanie za niego.

- tego głupiego niedźwiedzia - Anna udzieliła mu karcącego spojrzenia, jakby myślała, że przerwał ponieważ miał ochotę powiedzieć prawdę. Nie spodziewał się, że będzie taka szybka – Znalazłeś nasz plecak z zapalnikami?

Czy to było tym co niby robił? Potrząsnął swoją głową - Wiesz co mówią o ganiu niedźwiedzia? Oni mają rację. Moje rakiety śnieżne porwały się i musiałem brnąć przez śnieg.

Ten wilk był tak mądry jak żadna ofiara jaką kiedykolwiek gonił. Nie słyszał tego, ani nie zobaczył przed tym jak ich zaatakowało i zniknął jakby go nigdy tam nie było. Może to Anna rozproszyła go, więc nie usłyszał jak to się zbliżyło - chociaż nigdy nie zdarzyło mu się to wcześniej. Ale z pewnością było coś osobliwego w sposobie zniknięcia wilka.

Gdy tylko zdał sobie sprawę, że zgubił trop, Charles nie zmarnował czasu próbującego uchwycić go jeszcze raz.

Biegł szybko z powrotem, nie chciał dać szansy wilkowi ponownego ataku na Annę. Więc zawrócił - w samą porę, jak się okazało.

Maria Alvarado wyprostowała się, wtedy potknęła się do przodu, jakby straciła równowagę. Ruch postawił ją tuż przed nim, oparła swoją rękę o jego klatkę piersiową. Czuł, splot jej czarów jak próbuje prześliznąć się przez jego bariery

ochronne.

Zapach furii Anny prawie zapalił las - ona była zazdrosna? To było zbyt niebezpieczna

sytuacja by pozwolić sobie na rozproszenie... ale, czy Anna nie wiedziała, że nie interesuje się nikim poza nią?

- Nie ma niedźwiedzi tu w górze o tej porze roku - powiedziała kobieta, brzmiąc na wstrząśniętą. On nie mógł zdecydować czy wiedziała czym on był czy nie.

- Niedźwiedzie nie śpią przez całą zimę - Charles powiedział, spuszczać wzrok na niej jakby

nie zwracał uwagę na jej rękę na swojej klatce piersiowej. Nie jest duchem ani ghulem - obydwaj z nich spotkał tu w górze. Coś ludzkiego. Nie czarnoksiężnik, jednak jego wilk zareagował na nią jak na coś złego – Nawet podczas prawdziwego snu zimowego, oni wstają od czasu do czasu. To nie jest zwyczajne, ale można je zobaczyć czasami nawet w środku zimy. Nasz pech, że wpadliśmy na jednego. Ale ten pies, który zaatakował was był naprawdę dziwny.

Czarna magia, było to co poczuł na niej. Czarownica, czarnoskóra czarownica. Cholera. On by raczej wolał stawić czoło tuzinowi ghuli niż czarnoskórej czarownicy.

- Czy to nie psy dingo? - Anna zapytała ostro - Myślałam, że czasami oni zakładają stada jak wilki.

- To było całkiem odległe od tego - Charles odpowiedział jej, nie odrywając wzroku od czarownicy.

- Czasami można zobaczyć psa luzem - ale większość zwierząt domowych nie może ocaleć podczas zimy w Montanie bez pomocy.

Coś poruszyło się za kobietą i pozwolił swoim oczom oderwać się od niej by zobaczyć co to było. Cień wilka pokazał mu swoje zęby, wtedy odszedł - jakby chciał bardziej ostrzec go niż jego nos by mógł zobaczyć to coś niebezpiecznego co jest w tej kobiecie.

Może nadszedł czas by wyjaśnić pewne rzeczy - zanim Anna zostanie zraniona bezpodstawną zazdrością.

Pozwolił swojej masce ulotnić się i uśmiechnął się łagodnie do Mary. Nie była

wystarczająco spostrzegawcza by zobaczyć jego Brata Wilka - albo to albo ona lubiła trochę niebezpieczeństwa ponieważ oparła się na swojej ręce podczas gdy spojrzała w górę na niego.

- Ale mówienie, że zwierzę domowe nie przetrwałoby zimy w górach nie ma znaczenia, prawda

Mary Alvarado? Ponieważ dobrze wiesz, że to był wilkołak.

Pozbawione wyrazu spojrzenie zagościło na twarzy kobiety. Gdyby nie wiedział czym jest, może mógłby pomylić to z konsternacją - Co? Nic takiego nie istnieje jak wilkołak.

Jej gra rozpadała się gdy spróbowała popatrzeć mu w oczy - unikała tego. Ale kobieta która

była przyzwyczajony do używania odbicia swoich oczu na ludziach, czasami zapomniała nie robić tego z wilkołakiem.

- Nie? W takim razie nie ma też czegoś takiego jak czarownice? - głos Charlesa był jeszcze cichszy.

Pozwoliła swojej ręce opaść - Kim jesteś?

- Nie - potrząsnął swoją głową – Powinnaś pierwsza odpowiedzieć na moje pytanie. Kim jesteś?

- Szukam zaginionego myśliwego - powiedziała.

To była prawda. Spojrzał z marsową miną na nią, próbując znaleźć jakąś drogę aby odkryć półprawdę – Po to by go uratować? - mruczał. Albo wykorzystać dla swoich czarów?

Posłała mu ubolewający uśmiech - Wątpię, że jest jeszcze taka potrzeba. Zgubił się w lesie

z samotnym wilkołakiem. Jak myślisz jakie jest prawdopodobieństwo, że on wciąż żyje?

- Więc wiedziałaś o wilkołaku?

Podniosła swoją brodę. - Wilkołak jest powodem dlaczego tu jestem – Prawda - Kim jesteś? I skąd wiesz o czarownicach i wilkołakach?

To było możliwe, że była dokładnie tym kim się przedstawiła. Wiedział, że są

czarownice

kto regularnie pracują dla różnych agencji przymusu.

Czarownice często wynajmowały sobie - i czasami, nawet jeżeli to tylko przypadek, czarnoskóra czarownica mogła znaleźć się u boku aniołów.

Uważała na swoje odpowiedzi, jednak nie pominął co duchy powiedziały mu. Ona nie był żadnym jego sojusznikiem. Spirytystyczny wilk był zazwyczaj jego przewodnikiem - chociaż zawsze myślał, że to było by bardziej ironiczne gdyby to był jeleń albo królik. Ten pokaz kłów nie musiał oznaczać, że była wrogiem, ale to wskazywało, że nie żyje w przyjaźni.

- Możesz teraz zostawić nam wilkołaka - powiedział jej - To nie twój biznes.

- To jest mój biznes - powiedziała spokojnie.

Prawda. Cała prawda tym razem. Jakie to bardzo interesujący że czarownica sądziłaby, że wilkołak jest jej biznesem.

- Nie chcesz wchodzić mi w drogę - powiedziała mu łagodnie, jej oddech owiał jego twarz.

- Nie - powiedział, zrobił krok do tyłu - ale nie wiedział na co się zgodził.

- Teraz moja kolej na przesłuchiwanie.

Gdyby potrafił, przekląłby jego własną arogancję, która zatrzymała go przed złapaniem Anny i szybką ucieczką jak tylko zdał sobie sprawę czym była. Wszystko, co mógł teraz zrobić, to czekać na pytania czarownicy.

Czarownica, nazwał ją tak - i nie zaprzeczyła temu. Bez wątplenia to oznaczało coś, ale Anna

nie miała pojęcia co. Czarownica szła za nimi? Czy wilkołaki?

Czymkolwiek była, gdyby nie zdjęła swojej ręki z Charlesa, całkiem cholernie niedługo, Anna zadała by jej ból.

Gwałtowne pragnienie złapało ją przez niespodziankę, ale zawahała się wystarczająco długo by Charles odsunął się z dala od czarownicy. Coś się wydarzyło, jakaś równowaga przesunęła się. Powietrze zapachniało słabo ozonem, jakby, pomimo pory roku, piorun był gotowy by uderzyć.

Włosy stanęły Annie na karku - jakby chciała jakichkolwiek dalszych dowodów, że coś było nie w porządku.

- Szukam człowieka - powiedziała Mary, jej głos brzmiał dziwnie jak u cheerleaderki. - On ma na imię Hussan chociaż on również mówi o sobie Asil albo Mauro.

- Znam go - odpowiedział Charles, jego głos był gruby i niechętny.

- Ach - uśmiechnęła się - Jesteś wilkołakiem. Jesteś jednym z ludzi Marroka? Asil również jest w Aspen Creek? On jest jednym z wilków Marroka?

Anna spojrzała z marsową miną na Charlesa, ale on nie wydawał się sprzeciwiać pytaniom czarownicy.

Właśnie kiwnął głową ciężko i powiedział – Tak - jakby słowo zostało wyciągnięte z niego.

Coś było bardzo złego. Anna zrobiła krok w bok w kierunku pozostałości strzelby.

Czarownica wymamrotała jakieś słowo i cisnęła je pod adresem Anny szybkim ruchem jej palców, zostawiając Annę w bezruchu.

Charles warknął.

- Cicho, nie zadałam jej bólu - czarownica powiedziała mu – Nie mam zamiaru stanąć przeciwko Marrokowi, przez skrzywdzenie jednego z jego wilków. Ona jest też wilkołakiem, przypuszczam. To wyjaśniłoby dlaczego była zdolna aby uszkodzić mojego strażnika. Powiedz mi, jak myślisz jaki jest najlepszy sposób by zmusić Asila do przyjścia tu?

-Asil nie opuszcza Aspen Creek - powiedział jej, jego głos był szorstki z wściekłości.

Anna ukryła swój gniew, lepsze to, niż panika co jest jakąś alternatywą.

Anna nie wiedziała nic na temat czarów, nawet o czarach, które znała były częścią istnienia każdego stada. Lee powiedział jej, że nie musi wiedzieć i nie odważyła się pytać znowu. Nie wiedziała co Charles mógł zrobić, albo czego nie mógł - ale ona była pewna, że nie stali by tutaj z Charlesem odpowiadającym na pytania czarownicy gdyby mógł coś z tym zrobić. Obawiała się, że jej niewiedza i głupota będą ich oboje drogo kosztować.

Gdy jej wilk poprosił by przejąć kontrolę, Anna pozwoliła mu. Gdyby nic nie mogła

zrobić z tym w ludzkiej postaci, może wilk mógłby zrobić to lepiej.

Chociaż nie zaczęła zmieniać się, wizja świata zmieniła się. Ona mogła widzieć dalej i wyraźniej, ale piękno i intensywność kolorów zmętniały. Nie było tak cicho jak myślała. Były ptaki na drzewach - mogła słyszeć delikatny odgłos jak oni przestawiają swoje stopy po korze gałęzi drzewa.

Ale ciekawsze, zobaczyła, jak pajęczyna światła przykrywała Charlesa. Nie mogła zobaczyć pajęczyny, która trzymała ją w ramionach. Ale wrażliwość jej skóry pozwoliła jej czuć, jak świetlne kosmyki lizały jej ciało.

Gdyby jedynie ona była w niebezpieczeństwie, Anna była całkiem pewna, że stałaby w tym miejscu do odwilży wiosennej. Ale jej partner był w tarapatkach. Ryk gniewu ukrył się pod jej przeponą, utrudniając jej oddychanie - ale zmysły powiedziały jej, że musi czekać na odpowiednią okazję.

- Gdybyś umarł, kogo Marrok by wysłał? - czarownica zapytała.

Ukryta groźba przyniosła ryczenie w uszach Anny, które przyciszyły odpowiedź Charlesa.

- Przyszędłby sam.

Czarownica zacisnęła usta, jakby próbowała zdecydować czy to było coś, czego chciała albo i nie. Anna nie mogła poruszyć swoimi stopami ale z jej wilkiem mogła poruszyć swoją ręką. Złapała jeden koniec siatki, która trzymała ją w ramionach. Okręciła to wokół jej dłoni, wtedy przeniosła to do drugiej ręki.

Nie musiała szukać długo kosmyków, które ją trzymały bo sieć czarownicy cięła jej rękę, więc wiedziała gdzie były.

Umieściła swoją wolną rękę na kablu od siatki, która trzymała ją w ramionach i pociągnęła obydwoma rękami. Oczekiwała, że to rozerwie się jak kabel, ale zauważyła że w tej siatce robi się dziura w miarę jak to ciągnie.

Gdyby czarownica patrzyła na nią, mogła by zobaczyć co Anna robiła. Ale czarownica zwracała uwagę tylko na Charlesa.

Dominujący, Anna pomyślała z wdzięcznością, było czymś więcej niż tylko stopniem w stadzie. Obecność Charlesa w pokoju, oznaczała że każdy patrzył na niego. Ten efekt zwiększało posiadanie przez Anne kruchego wyglądu i kompletnego braku

dominacji.

Zgubiła watek rozmowy. Wszystko w niej było skupione na jej zadaniu. Pajęczyna przerzedziła się i rozbiła w pewnym momencie.

Anna zamarła gdy kabel rozpuścił się do nicości, ale czarownica nie wydała się zauważyć, że nie ma już kontroli nad Anną.

Co teraz?

Skupiła się na siatce, która trzymała w ramionach Charlesa.

Musiałyby być szybka.

Wilkołaki są bardzo szybkie.

Rzuciła się między nich, łapiąc kable oburącz. Zakłęcie, które czarownica użyła na Charlesa było dużo silniejsze i to bolało, gdy dotykała kosmyków. Ból promieniował od jej skóry do jej kości, kierując się do jej szczęki z ostrym, pulsującym bólem. Mogła poczuć zapach palącego się ciała, ale nie było czasu by ocenić szkody - agresywne pociągnięcie i zakłęcie roztrzaskało się.

Anna szła dalej. Złapała rozbitą strzelbę ze śniegu i rzuciła nią tak mocno jak ona tylko mogła. To uderzyło czarownicę w twarz ze słyszalnym trzaskiem.

Zebrała się w sobie do ataku ale Charles złapał ją za ramię i popchnął go przed siebie.

- Biegnij – warknął – Zejdźmy jej z linii wzroku.

Rozdział 10

Nie zabrało Annie zbyt wiele czasu odkrycie, że bieganie w rakietach śnieżnych było do bani. Łapali kamienie, upadła przez nie na kolana dwa razy i jedynie ręka Charlesa na jej łokciu powstrzymywała ją przed spadnięciem całkowicie w dół stoku. Przeskakując powalone drzewa było... ciekawie trudne. Jednakże, Charles, bez rakieta śnieżnych, zatapiał się aż po kolana i głębiej z każdym krokiem - więc była bardzo wdzięczna że ma je na nogach.

Nie można było powiedzieć, że byli powolni. To zdumiało Annę co przerażenie mogło zrobić dla jej prędkości. Po pierwszej, niesamowitej zjeżdżalni w dół dużego nachylenia, spędzili godziny na wspinaczce, straciła z oczu czas i kierunek. Trzymała swoje oczy na czerwonym płaszczu Charlesa i trzymała się za nim. Kiedy Charles ześliznął się w dół, zostali sami jak palec w lesie.

Jeszcze nie zatrzymali się. Wybrał ich drogę ostrożnie, nie wybrał miejsc gdzie śnieg był płytszy i jego brak rakieta śnieżnych nie przeszkadzał by im.

Nie powiedział, nawet słowo po jego rozkazie by uciekać - ale ona myślała, że to może było ponieważ on nie mógł i to nie było zaklęcie jakiegokolwiek czarownicy.

Jego oczy były jaskrawo żółte, a jego zęby były obnażone. On musi mieć wystarczający powód dla zostawania w ludzkiej formie, ale to kosztowało go wiele wysiłku. Jej własny wilk wycofał się po początkowej panice, ale Charlesa był na krawędzi przejmowania kontroli.

Miała całą masę pytań. Na przykład czy czarownica mogła dopasować się do ich prędkości? Czy Mary mogłaby użyć swoich czarów by ich znaleźć? Inne dotyczyły innych kwestii. Jak domyśliła się, że ona była czarownicą? Dlaczego tylko ona mogła zobaczyć

Czary, które ich opętały? Czy był łatwiejszy sposób by rozbić zaklęcie czarownicy?

Nawet

godzinę później jej ręce piekły i bolały.

- Myślę ... - powiedział Charlesa w końcu. Jej zmęczone nogi dziękowały Bogu, że zabrzmiał bez tchu, także — że Asil musi udzielić nam kilku odpowiedzi.

- Myślisz, że on ją zna? Dlaczego ona go poszukuje? - Anna zapytała. Spędziła kawał czasu

przypuszczając, że wilkołaki (poza sobą) były na wierzchu łańcucha pokarmowego, ale

porażka Charlesa w rękach czarownicy wstrząsnęła jej światem. Była skłonna by sądzić, że

każdy pobiegłby od tej czarownicy.

- Nie wiem czy Asil zna ją. Nie widziałem jej w Aspen Creek. Jeśli jednak ona szuka go, on prawdopodobnie wie dlaczego.

Wszystko to powiedział jednocześnie walcząc aby złapać oddech.

- Nie powinna móc zrobić to. Uczynić mnie drętwym u swoich stóp jak szczenię.- jego głos

był prawie warknięciem.

- Ona nie powinna móc panować nad tobą swoją magią? - zapytała Annę - Myślałam, że czarownice mogą robić temu podobne rzeczy?

- Z ludźmi tak. Jediną osobą, która powinna mieć ten rodzaj kontroli nad wilkami jest ich

Alfa.- zacisnął w pięści swoje ręce, wtedy powiedziec ostrym głosem niepodobnym do jego własnego - Nawet mój ojciec nie ma takiej władzy na de mną. On może zatrzymywać mnie, ale on nie może zmusić mnie do zrobienia czegoś czego nie chcę. Wessał wolny oddech - Może to nie ona, może to ja. Nie słyszałem wcale pierwszego wilkołaka. Myślałem o tym i nie wierzę, że to było z powodu wiatru. Powinienem go usłyszeć, albo poczuć jego zapach i on nie powinien móc uciec mi tak łatwo.

Jej pierwsza reakcją było uspokoić go jakoś, ale powstrzymała się od tego. Przewyższał ją wiedzą o czarach i tropieniu. Za to, spróbowała szukać powodów. Wstępnie, ona zaryzykowała - Byłeś postrzelony zaledwie kilka dni temu.

Potrząsnął głową - To nie to. Byłem raniony wcześniej. Nigdy nie powstrzymało mnie to przed robieniem tego co chciałem robić - i zazwyczaj jeśli jestem ranny to czyni mnie bardziej świadomym, a nie mniej.

- Czy wilkołaki były jakoś połączeni z czarownicami? - Anna zapytała - To znaczy,

jeśli ona

zapanowała nad tobą, może ona może panować nad nimi, również. Może zrobiła coś takiego, że ty nie wyczuwasz ich?

Wzruszył ramionami ale mogła stwierdzić, że to martwi go. I był ranny. Patrząc na niego blisko, ona wiedziała, że to było coś więcej niż noga, która mu dokuczała. Całe to bieganie musiało być trudne dla jego klatki piersiowej i dla ramienia.

- Potrzebujesz nowych bandaży?- zapytała.

- Może – powiedział – Mogła byś to sprawdzić, ale nie mamy niczego by naprawić sytuację. Jest dobra apteczka w samochodzie i właśnie tam idziemy.

Była dwa kroki za nim, więc nie zobaczył jej zdziwienia.

Dominujące wilki nie ustępowały zbyt często - Nie ścigasz jej?

- Złapała mnie raz – powiedział – I Niewinem jak to zrobiła. Zazwyczaj moje własne czary mogłyby pozwolić mi rzucić na nią zaklęcie. Tym razem nie zadziałało. Miałem do czynienia z trzema innymi czarownicami, które tego próbowały wcześniej. Bez wiedzy jak to zrobiła, to jest niewarte by próbować walczyć z nią i ryzykować jej zwyciężanie nas. Wilki, obaj z nich, są tacy niespokojni, ponieważ ona jest w pobliżu. Bran potrzebuje wiedzieć co się dzieje - i może Asil może rzucić jakieś światło na to kim ona jest i czego chce.

Było coś co ją martwiło - Dlaczego tu? To znaczy, wiem, że szukała Asila — i wyglądało, że miała pewnego rodzaju informacje wskazujące, że jest w Aspen Creek. Zauważyłeś jej radosne podniecenie kiedy powiedziałeś jej, że jest tu? Nie była pewna. Więc co ona robi tu, a nie jest w Aspen Creek?

- Zakłada przynętę na pułapkę - powiedział ponuro - Mój ojciec miał rację, ale nie co do tego kto to zrobił albo dlaczego. Wszystko było po to by zabić kilku ludzi i sprawić, żeby to wyglądało jakby to zrobił wilkołak, a Marrok byłby zmuszony wysłać kogoś aby to załatwić. Wtedy mogła złapać tego kogoś i przesłuchać go. To znacznie bezpieczniejszy niż wjeżdżanie do Aspen Creek i spotkanie z moim ojcem.

- Myślisz, że obydwie wilki są jej? - Zapytała go o to wcześniej... ale to martwiło ją. Zrobiła połączenie jakiegoś rodzaju z pierwszym wilkiem, tym którego Charles gonił. Ona nie chciała by miał konszachty z czarownicą.

Zapytała go, ale Charles wzruszył ramionami i skrzywił się kiedy to sprawiło mu ból, wtedy powiedział – Nie wiem nic więcej niż Ty. – szli powoli - To wydaje się prawdopodobne. Wilk, który zaatakował cię pierwszy na pewno był.

Zatrzymał się nagle. Stał spokojnie – Uciekamy tą samą drogą jak wilk który zaatakował cię.

Musiała pomyśleć o tym ale on miał rację – Tam była droga w lesie.

- Widziałaś jakieś ślady? Jakąkolwiek krew? Rozciąłaś jej ramię strzelbą i ona nieźle krwawiła.

- Ja... - czy zauważyła? Pomyślała ostrożnie o ich ucieczce, Charles popychający ją przed sobą - Tam była krew na śniegu gdzie ją uderzyłam ją i to popchnęło ją w kierunku drzew. Ona musiała pójść inną trasą.

Charles obrócił się i stanął naprzeciw niej. Kąciki jego ust były zaciśnięte w wąską kreskę z bólu i była całkiem pewna, że w środku był w dużo bardziej kiepskim stanie niż chciał jej to pokazać.

- Ona? - powiedział łagodnie.

- Ona. Stałam blisko. Zaufaj mi.

- Ona. –powtórzył - To czyni sytuację bardziej interesującą. Jej ubarwienie było niezwykle.

- Nie - Anna spojrzała z marsową miną na niego - Ona wyglądała jak owczarek niemiecki.

- To nie jest niezwykle dla owczarka niemieckiego - zgodził się – Ale nigdy nie widziałem wilkołaka który wyglądałby w ten sposób. Jednak słyszałem o jednym.

- Kto?

- Partnerka Asila.

- Partnerka Asila nie żyje prawda? -powiedziała Anna - Więc myślisz, że ona jednak żyje i

współpracuje z czarownicą? Czy to dlatego szukają Asila?

- Asil powiedział mojemu ojcu, że ona nie żyje i że spalił jej ciało i rozsypał popioły.

Po namyśle, powiedział - Nie jeden okłamuje mojego ojca. Nawet Asil. Ale to robi nieobecność śladów całkiem interesującym.

- Co Ty mówisz? Nie była duchem. Strzelba uderzyła w coś. Jeśli partnerka Asila jest martwa, w takim razie jej podobieństwo musi być przypadkowe.

Potrząsnął swoją głową - Nie wiem co to było. Ale nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Myślałam, że większość czarownic jest ludźmi.

- Tak.

- W takim razie oni nie są nieśmiertelni. Powiedziałeś mi, że partnerka Asila umarła kilka wieków temu. A ta czarownica nie jest dużo starsza ode mnie. Myślisz, że może wilk rządzi?

- Nie wiem - powiedział, zatrzymując gałąź drzewa tak by nie uderzyła jej - To dobre pytanie.

Zamilkł znowu ponieważ zaprowadził ją w górę na kolejne wniesienie. Góry wyglądały tak proste z odległości. Rzeczywistość była serią wspinaczki i zejścia, które wydawały się trwać kawał drogi a mimo to prowadziły nigdzie.

- Charles?

- Mmm?

- Myślę, że moje skarpetki są trochę mokre. Nie czuję swoich palców u nogi.- Nie powiedział niczego, a ona zmartwiła się, że on może myślał, że skarżyła się - Ale w porządku. Wciąż mogę iść dalej jeszcze trochę. Ile nam zejdzie dotarcie do samochodu?

- Nie dziś wieczorem – powiedział - Nie jeśli twoje palce są zdrętwiałe. Znajdę gdzieś, dla nas schronienie - burza nadejdzie dziś wieczorem.

Anna zadrżała trochę mocniej na myśl o tym. Jej zęby zaczęły szczekać.

Charles położył rękę na jej ramieniu - Burza będzie dobra. Usłyszałem, jak kość poszła gdy uderzasz tego wilka. Jeśli to nie było urojenie jakiegoś rodzaju, to trochę potrwa zanim się uleczy. Gęsty śnieg i dobry wiatr powstrzyma ich przed trafianiem na nasz szlak.

Była zbyt zmęczona by robić cokolwiek ale zmusiła się do kiwnięcia głową podczas gdy brnął przez drzewa do czasu gdy znalazł coś co mu się spodobało - olbrzymie drzewo podparte przez inne, obydwie opierające się o garb na ziemi, stwarzając jaskinię z niezbyt zachęcającą podłogą ze śniegu.

- Nie mamy jedzenia - Charles powiedział ponuro – A Ty potrzebujesz jedzenia by walczyć z zimnem.

- Mogę iść na polowanie - zaproponowała. Charles nie mógł. Kulał od dłuższego czasu.

Była tak zmęczona, że mogła zasnąć na stojąco i było jej chłodno. Ale w środku wciąż była w

lepszym stanie niż on.

Charles potrząsnął głową - Będę potępiony jeśli wyślę cię samą w tym kraju z burzą czekająca by się rozpocząć - nie mówić już o czarownicy i dwóch wilkołakach czając się wokoło.

Podniósł głowę i wciągnął powietrze – Jeśli mowa o diable - powiedział łagodnie.

Anna wciągnęła powietrze, także, ale ona nie poczuła nic. Tylko drzewa, zima i wilk.

Spróbowała jeszcze raz.

- Możesz już wyjść - Charles warknął do ciemności - Wiem że tam jesteś.

Anna odwróciła się ale nie zobaczyła niczego w tym miejscu. Wtedy usłyszała dźwięk butów

na śniegu. Człowiek wyszedł zza drzew jakieś dziesięć jardów w dół góry. Gdyby nie ruszał się, prawdopodobnie nie zobaczyłaby go.

Pierwszą rzeczą jaką zauważyła były włosy. Nie nosił kapelusza, a jego włosy były czerwone i złote, które były zebrane w niedopracowany warkocz.

Nosił dziwne połączenie zwierzęcej skóry, szmat i nowych butów i rękawiczek. W jednej ręce

miął paczkę zrobioną z rzeczy, które były w plecaku Charlesa, a jej jasno różowy plecak miał przewieszony przez ramię.

Rzucił obydwie w kierunku Charlesa i paczki wylądowały w połowie drogi pomiędzy nimi.

- Twoje rzeczy - powiedział, jego głos był zachrypnięty z akcentem z Tennessee albo Kentucky - Widziałem jak nasłała na Ciebie bestię - co robi cię jej wrogiem. A to oznacza, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Pomyślałem, że przyniosę ci twoje rzeczy, wtedy będziemy mogli porozmawiać.

To nie był zapach człowieka, który naprowadził Charlesa na odkrycie, że byli śledzeni, ale to

było mnóstwo mniejszych rzeczy: lecący ptak, krztyna dźwięku i uczucie jakby byli podglądani.

Jak tylko nieznajomy wyszedł z drzew, Charles mógł poczuć dobrze jego zapach. Wilkołak.

Chociaż przyniósł gest pojednawczy i powiedział, że chce rozmawiać, jego mowa ciała powiedziała Charlesowi, że był gotowy do ucieczki.

Ostrożny nie patrząc prosto na niego i nie wykonując żadnego ruchu, który w jakiś sposób mógłby go odstraszyć, Charles zostawił Annę tam gdzie była i zszedł w dół aby zabrać Anny plecak i ich pakunek który składał się z rzeczy, które były w jego plecaku. Nie odzywając się, obrócił się plecami do nieznajomego i zaczął wspinać się w górę.

To nie było zbyt niemądre ponieważ Charles patrzył na Annę i wyczekiwał na jej twarzy

jakikolwiek oznak ataku. Wtedy rozmyślnie wyczyścił śnieg niedaleko szczytu tworząc polanę i usiadł na niej.

Zobaczył, że człowiek szedł za nim do czasu gdy stanął tam gdzie były wcześniej paczki, ale nie podszedł dalej.

- Myślę, że to dobry pomysł aby porozmawiać - Charles powiedział - Chciał byś dołączyć do nas na posiłek? – Odnalazł spojrzeniem oczy człowieka, pozwalając mu poczuć rangę zaproszenia, które nie miało zabrzmieć jak rozkaz.

Człowiek przeniósł swój ciężar z jednej stopy do drugą, jakby gotowy by biec - Pachniesz w ten sam sposób jak ten demoniczny wilk - zazgrzytał. Wtedy skierował na Annę nieśmiałe spojrzenie - Ta rzecz zabija i zabija tu w górze. Jelenie i łosie, ludzi, a nawet grizli.

- Wiem - Charles powiedział - Zostałem wysłany tu by zająć się tym wilkiem.

Człowiek spuścił oczy jakby nie mógł wytrzymać spojrzenia Charlesa - To jest..

to jest... to miało mnie, również. Zainfekowało mnie jego złem. - Zrobił krok do tyłu, ostrożnie jak stary jelen.

- Od jak dawna jesteś wilkołakiem? - Anna zapytała – Bo ja od trzech lat.

Człowiek przechylił głowę słuchając głosu Anny jakby słuchał muzyki. I na moment jego niepokój zelżał.

- Dwa miesiące – Charles zaryzykował, gdy to stało się oczywiste że ten człowiek był zbyt zaabsorbowany głosem Anny by mówić. Rozumiał to uczucie. Nagły spokój Barta Wilka był tak zadziwiający, że nawet uzależniający. Gdyby nigdy nie poczuł tego wcześniej, wątpił czy sam byłby w stanie mówić - Stałeś między wilkołakiem a studentem. Właśnie tak jak stałeś między Anną a mną gdy pomyślałeś, że mogę zadać jej ból.

To pasowało, chociaż to komplikowało sprawę czym był ten inny wilkołak. Jedynie inny wilkołak mógł przemienić człowieka. Ale był pewny, że ślady bestii zatrzymują się tak

szybko jakby były niewidoczne.

Brzmienie głosu Charlesa miało sprawić, że człowiek odwróci swoje spojrzenie od Anny. On

wiedział kto tu był niebezpieczny.

- Zamierzałem pozwolić mu umrzeć. Studentowi, mam na myśli - powiedział, potwierdzając Charlesa teorię na temat tego kim był – Zbliżała się burza i to prawdopodobnie zabiło by go jeśli on byłby tutaj gdyby uderzyła. Góry wymagają szacunku, albo przyjmą cię na lunch.

Przerwał – Teraz też burza nadejdzie niedługo.

- Więc dlaczego nie pozwoliłeś wilkołakowi zabić go? - Anna zapytała.

- No cóż - powiedział, wpatrując się w stopy, a nie patrząc na Annę - Zabicie przez burzę, albo z powodu ataku niedźwiedzia, te rzeczy po prostu zdarzają się.- Zamilkł, wyraźnie mając trudności

Ze znalezieniem odpowiednich słów.

- Ale wilkołak nie należy tu - powiedział Charlesa, z nagłym przecuciem, co do tego, dlaczego ten wilk był tak trudny do wyczucia oraz dlaczego nie otrzymał żadnego ostrzeżenia o jego ataku. Z powodu ubrań, które nosił, wyglądały jakby żył tu od bardzo dawna.

- To jest zło. I to zamieniło mnie w potwora, właśnie w takiego jak on - człowiek szepnął.

Gdyby Charles był o ułamek sekundy szybszy, nie pozwolił by Annie zbliżyć się do niego. Ale był zmęczony i skupił się na drugim wilku. Zanim zareagował, Anna ześliznęła się i zjechała w dół stoku.

Charles zmusił się do pozostania na miejscu ponieważ człowiek złapał jego partnerkę za łokieć i uratował ją przed zjechaniem dalej w dół stoku. Był prawie pewny, że ten człowiek nie jest dla niej żadnym zagrożeniem .

Charlesowi udało się przekonać Brata Wilka do ustąpienia i dania sposobności Annie by rozwinęła swoje zdolności i oswoiła samotnika, to był powód dlaczego jego ojciec wysłał ją razem z nim.

- Oh, Ty nie jesteś zły - Anna powiedziała.

Człowiek zamarł, z ręką wciąż na jej rękawie. Wtedy słowa wylały się z niego jakby on nie mógł ich zatrzymać - Wiem o złu. Walczyłem z tym i przeciwko temu do czasu gdy krew polalała się jak deszcz. Ja wciąż dostrzegam ich twarze i słyszę ich krzyki, jakby to zdarzyło się teraz, a nie czterdzieści lat temu.- ale napięcie w jego głosie rozluźniło się w trakcie mówienia.

Uwolnił łokieć Anny - Kim jesteś? - Opadł na swoje kolana przy niej, jakby jego nogi już nie mogły utrzymać go - Kim jesteś?

Ruszył się tak szybko, że nawet nie zdążył pomyśleć jego Brat Wilk miał dość. Tak szybki jak myśl, Charles był przy Annie, nie atakując samotnika tylko dlatego, że efekt działania Omegi dosięgnął i jego.

- Ona jest pogromczynią - Charles powiedział innemu człowiekowi. Nawet Anna nie mogła trzymać zaborczego gniewu całkowicie z dala od jego głosu. – Przynosi pokój.

- Anna Cornick - Anna powiedziała. Lubił sposób, w jaki to wypowiadała. Wiedziała, że jest jego i dzięki temu jego Brat Wilk usadowił się z zadowoleniem.

Więc nie złapał jej ręki gdy dotknęła nieznajomemu ramienia i powiedziała - To jest mój partner, Charles. A Ty kim jesteś?

- Walter. Walter Rice - ignorując Charlesa, jakby nie był żadnym niebezpieczeństwem, Walter zamknął oczy i zakołysał się trochę na kolanach w

śniegu - Nie czułem się w ten sposób od tej pory... od czasów przed wojną, tak myślę. Mógłbym spać. Myślę, że mógłbym spać wiecznie bez złych snów.

Charles podał swoją rękę – Dlaczego na początek nie przyjdiesz zjeść z nami?

Walter zawahał się i spojrzał na Annę przed podaniem ręki Charlesowi i wstał na nogi.

Człowiek, który przedstawił się jako Walter jadł jakby on był zagłodzony.

Co jakiś czas, jednak, przestawał jeść by spojrzeć z respektem na Annę.

Siedząc między nimi, Charles stłumił uśmiech - co było czymś, co robił częściej niż kiedykolwiek pamiętał, od tej pory kiedy znalazł swoją Annę. Przyglądając się, jak wiła się pod wpływem uwielbienie Waltera było całkiem zabawne. Miał nadzieję, że nie patrzy na nią w ten sposób - przy najmniej nie w miejscach publicznych.

- To jest nie jest coś co ja robię - mamrotała do swojego mięsa duszonego z jarzynami z marchwią - Nie poprosiłam by być Omegą. To jest jak posiadanie brązowych włosów.

Była w błędzie, ale pomyślał, że jest i tak już dość wprawiona w zakłopotanie bez jego sprzecznania się z nią o coś czego nie był całkowicie pewny, a co znał tylko ze słyszenia. Albo przynajmniej była częściowo w błędzie. Dominacja, tak jak bycie Omegą jest przeważnie częścią charakteru. I jak to często mawiał jego ojciec, tożsamość jest częściowo spadkiem, a częściowo wychowaniem, ale przeważnie sam dokonujesz życiowego wyboru.

Anna niosła pokój i spokój wszędzie gdzie szła - przy najmniej gdy nie bała się, nie była krzywdzona, albo nie martwiła się. Jakaś z jej mocy zależała od tego, że jest wilkołakiem, który powiększał efekt jej czarów. Ale większa część tego była podstawą jej charakteru, która robiła dobre rzeczy bez względu na okoliczności w jakich zdarzyło się jej być. Okazała współczucie Asilowi, kiedy próbował straszyć ją, oraz nie mogła pominąć biednego Waltera w chłodzie. To były świadome decyzje. Człowiek staje się Alfą, a nie jest nim w skutek narodzin. To samo jest z Omegą.

- Raz - powiedział Walter cicho, przerywając jedzenie - tuż po bardzo złym tygodniu, spędziłem

popołudnie przyczajony w drzewach, patrząc na wieś. Nie mogę przypomnieć sobie

czy byliśmy

tam by chronić ich czy szpiegować. Ta dziewczyna wyszła by zawiesić pranie tuż pod moim drzewem. Miała osiemnaście albo dziewiętnaście lat, tak przypuszczam i była zbyt chuda.- Jego oczy poruszały się od Anny do Charlesa i z powrotem do jego jedzenia.

Tak, pomyślał Charles Ja wiem, że ona jest wciąż chuda, ale miałem mniej niż tydzień by ją podkarmić.

- W każdym razie - stary weteran kontynuował - patrząc na nią, to było jak obserwowanie czarów. Z kosza ubrania ubywały w bardzo szybkim tempie i wszystkie wisiały na sznurku. Jej nadgarstki były wąskie, ale silne, a jej palce szybkie. Te koszule nie ośmielały się nie słuchać jej. Gdy odeszła, prawie zapukałem do jej drzwi by podziękować jej. Przypomniała mi, że był świat codziennych obowiązków gdzie ubranie było wyprane i wszystko było w porządku.

Spojrzał jeszcze raz na Annę - Ona prawdopodobnie przeraziła by się na widok brudnego amerykańskiego żołnierza stojącego jej drzwiach - i najprawdopodobniej nie wiedziała by za co jej dziękowałem, gdyby nawet zrozumiała co mówiłem. Była w trakcie robienia tego co zawsze robiła.- przerwał - ale ja powinienem podziękować jej w każdym razie. Pomogła przetrwać mi zły czas i kilka złych czasów od tej pory.

Byli wszyscy cicho po tym. Charles nie wiedział czy Anna zrozumiała tę historię, ale on zrozumiał.

Anna była jak tamta kobieta. Przypomniała mu o zimach spędzonych przed ogniem podczas gdy jego ojciec grał na skrzypcach. Czasy gdy wiedział, że każdy jest spełniony i szczęśliwy, gdy świat był bezpieczny i uporządkowany. To nie jest zbyt częste, ale należało pamiętać, że tak mogło by być.

- Więc - powiedział Charlesa ponieważ Walter zjadł ostatni z jego trzeciego liofilizowanego obiadu - Żyjesz tu w górach od dłuższego czasu?

Walter patrzył na Charlesa podejrzliwie. Wtedy prychnął i potrząsnął głową - To nie jest tak ważne, prawda? Stare wiadomości.

Zjadł kolejny kęs, przełknął i powiedział - Kiedy wrócił z wojny, wszystko było nieźle przez chwilę. Miałem krótki zapalnik, pewnie, ale nie dość krótki by

wybuchnąć. Do czasu gdy to pogorszyło się.- Zaczął mówić coś ale ugryzł kolejny kęs - Ta część liczy się nawet mniej, teraz, tak przypuszczam. W każdym razie, zacząłem przeżywać to wszystko ponownie - jakbym wciąż był na wojnie. Mogłem to słyszeć, czuć smak tego, czuć tego zapach - ale to okazywało się, że to był tylko gaźnik samochodowy - albo sąsiad rąbiący drzewo. Coś w tym stylu. Wyprowadziłem się zanim zadałbym ból swojej rodzinie bardziej niż ja już to zrobiłem. Wtedy pewnego dnia

żołnierz nieprzyjacielski stanął za mną. To był tylko mundur wiesz? Zadałem mu ból, może zabiłem go. ..

To ostatnie stwierdzenie, którym ten człowiek się zachłysnął było kłamstwem.

Walter patrzył na swoje stopy, powąchał, obrócił głowę i popatrzył Charlesowi w oczy. A kiedy mówił dalej, jego głos był zimny i kontrolowany, głos człowieka, który zrobił wiele złego, tak jak Charles - Zabiłem go. Gdy już nie żył zdałem sobie sprawę, że nie jest jednym z Viet Cong, on po prostu był listonoszem. Wtedy pomyślałem, że nikt nie jest bezpieczny wokół mnie. Pomyślałem, że oddam się w ręce policji, ale posterunek policji... tam policjanci noszą mundury, więc oni też byli w niebezpieczeństwie? Zajeżdżnia autobusowa była zaraz koło dworca i skończyłem w autobusie do Montany. Przyjeżdżałem tu obozować z moim ojcem raz albo dwa, więc wiedziałem, że mogę być tu w górze z daleka od ludzi. Nie było tu nikogo abym mógł go zranić.

- Zostałeś w górach przez wszystkie te lata? - Anna położyła brodę na swojej ręce i Charles

zauważył, że dwa z jej paznokci są złamane i rozglądał się do czasu gdy zobaczył jej rękawiczki leżące przy niej.

Walter kiwnął głową - Bóg wie, że wiem jak polować. Nie miałem broni palnej - ale do diabła, przez większość czasu broń palna nie była używana w dżungli.

Zamierzył się nożem niemal na długość swojego przedramienia i wyważył go. Charles próbował zorientować się jak on to zrobił. Nie było w rzeczywistości aż tak wielu ludzi którzy mogli poruszać się tak szybko, wilkołak czy też nie.

Walter popatrzył w bok na Annę, wtedy przeniósł wzrok na nóż, ale Charles wiedział,

że zobaczył współczucie na twarzy Anny, ponieważ próbował bagatelizować swoje przetrwanie - To nie był tak źle, naprawdę. Zimy mogą stawać się szorstkie, ale jest stara chata, w której zostają od czasu do czasu jeśli warunki stają się zbyt złe.

Walter nie był jedynym, który uciekł w góry, Charles pomyślał. Było niewiele miejsc, dwadzieścia lat temu, gdzie całe społeczności rozbitych ludzi zaszywały się w środowiska naturalne. Większość starych wojaków wyleczyła się i wyruszyła przed laty - albo umarła.

Przed tą podróżą nie sądził, że ktoś tu jest; góry mają mało łagodność dla serc ludzi. Charles zawsze jak tu przychodził, czuł stare miejsca, które wypychały go ze swojej drogi. Nie były one przeznaczone dla człowieka – nawet dla takiego, który ma Brata Wilka. Nawet w dawnych czasach traperzy i myśliwi omijali ten obszar kierując się do takiego z łagodniejszą naturą.

Człowiek, który żył tu przez trzydzieści lat, nie mógł być już intruzem. On może być zaakceptowany jako część gór.

Charles spojrział w nocne, ciemne niebo i pomyślał, że człowiek, który przetrwał tu tak długo, został ukochanym tych duchów.

Walter wytarł miskę w śniegu i zwrócił ją Charlesowi - Dziękuję. Nie jadłem w ten sposób od... bardzo dawno.

Wtedy, jak gdyby jego słowa właśnie wyczerpały się, zamknął oczy i oparł się o najbliższe drzewo.

- Co wiesz o wilkołaku, który zaatakował cię? - Charles zapytał.

Walter wzruszył ramionami bez otwarcia oczu - Oni wypadli z pojazdu czterokołowego i dotarli do mojej chaty. Potem to zmieniło mnie... . Chciałbym zobaczyć to wcześniej zanim stanęło twarzą w twarz z tym chłopcem. Gdybym był trochę szybszy tego dnia, mogłem to zabić - gdybym był trochę wolniejszy, to zabiło by mnie. Dobra rzecz to srebro, jest bardzo niezdrowe dla wilkołaków. - Walter głośno westchnął, otworzył oczy i wyciągnął długie ostrze z pochwy na przedramieniu. Tym razem Charles zobaczył jak to zrobił.

- Ten mój stary nóż pali moją rękę teraz gdy go czyszczę - Popatrzył na swoje ręce,

albo może

na nóż – Myślałem, że nie żyje. Zadałem ból temu demonowi zły tym starym ostrzem. Ale potwór otworzył mój brzuch zanim uciekł.

- Jeśli atak wilkołaka prawie zabija cię, zostajesz jednym z nich - Anna powiedziała cicho.

Czy wciąż żałowała tego? Charles był ogarnięty dzikim pragnieniem by zabić ich wszystkich jeszcze raz, Leo i jego partnerkę, całą chicagowskie stado - ale jednocześnie był wdzięczny za to, że jego partnerka jest wilkołakiem, który nie zestarzeje się i nie umrze jak żona Samuela.

Brat Wilk opanował się, tak jak Walter.

- Wilk, który zaatakował cię nie wrócił do ciebie, potem zmieniłeś się? - Charles zapytał.

Zazwyczaj gdy wilk zmienił kogoś, to pilnował nowego wilkołaka przez chwilę.

Przeważnie, Samuel teoretyzował, że to jakiś genetyczny nakaz, wrodzony, żeby niekontrolowany wilkołak nie przyciągnął zbyt dużo niechcianej uwagi.

Walter potrząsnął głową - Jak powiedziałem, wytropiłem ją po pierwszej pełni - ją i tą kobietę. Jeśli nią jest każdym razie? Ona do cholery jest całkiem nie ludzka – przepraszam panią - nie po tym jak ją zobaczyłem co robiła. Próbowwała wezwać mnie do siebie pierwszy raz jak się zmieniłem. Nie wiedziałem czym ona była, tylko poczułem zapach zła - tak jak bestia. Pomyślałem przez chwilę, że ona i bestia są tą samą istotą, ale przecież zobaczyłem ich razem.

Zaczęło prószyć łagodnie godzinę temu, ale teraz duże płatki zacinały z większą intensywnością,

przyklejając się do rzęs i włosów. Trochę więcej z jego napięcia opadło; śnieg ukryje ich.

- Kiedykolwiek widziałeś wilka w jej ludzkiej formie? - Charles nie wiedział jak Asila partnerka wyglądała w jej ludzkiej formie, ale opis może być przydatny.

Walter potrząsnął głową - Nie. Może ona nie ma ludzkiej formy?

- Może nie.- Charles nie wiedział dlaczego był tego tak pewny, że inny wilkołak nie był tym czym się wydawał. Biegli, to było możliwe zgubić jej ślady. Ale miał

skłonności do wierzenia

swoim instynktom.

Skierował swoją uwagę na Waltera. Dwa miesiące i był w stanie dziś po południu zatrzymać się i

nie zaatakować go, gdy tylko zdał sobie sprawę, że Anna jest wilkołakiem a nie ofiarą. To było więcej kontroli niż najnowsze wilki miały kiedykolwiek.

- Twoja kontrola jest bardzo dobra jak na kogoś, kto został dopiero co zmieniony – szczególnie ktoś kto nie miał pomocy - Charles zauważył.

Walter udzielił mu ponurego spojrzenia, wtedy wzruszył ramionami - Panuję nad bestią we mnie od czasu wojny. Tyle tylko że teraz rosną mi kły i pazury, to wcale nie jest takie inne. Muszę być ostrożnym - tak jak gdy ścigałem cię. Kiedy jestem wilkiem, lubię smak krwi. Jeśli ja bym uszkodził twoją skórę zamiast rozdarcia twojego plecaka... wtedy moja kontrola nie była by taka dobra – spojrzał znowu na Annę, jakby martwił się co pomyślała o nim.

Anna udzieliła Charlesowi pełnego niepokoju spojrzenia. Martwiła się o Waltera?

Myśl, że ona może próbować bronić innego mężczyzny przed nim spowodowała warknięcie z jego klatki piersiowej, które nigdy nie wydobyło się z jego ust. Poczekał aż jego Brat Wilk uspokoił się, wtedy powiedział - Dla kogoś kto jest wilkiem od kilku miesięcy bez żadnej pomocy taka słaba kontrola nie jest niezwykła.

Patrzył wprost na Waltera, a ten opuścił swoje oczy. Był dominujący, Charles osądził, ale nie dość by być w stanie zdominować Charlesa — większość wilków nie była w stanie tego zrobić. – Pomyślałeś, że Anna jest w niebezpieczeństwie, prawda? - powiedział łagodnie.

Wychudzony człowiek wzruszył ramionami – Nie wiedziałem, że jest również wilkołakiem. Dopóki nie znalazłem się między wami.

- Ale ty wiedziałeś, że ja jestem.

Człowiek kiwnął głową - Tak. To ten zapach, to mówi do mnie.- wzruszył ramionami - żyłem samotnie przez wszystkie te lata, ale teraz jest trudniej.

- Wilki potrzebują stada - Charles powiedział mu. To nigdy nie martwiło go potrzebować innych wilków, ale były jakieś wilki, które nigdy nie dostosowały się do

tego.

- Jeśli chcesz – powiedział do Waltera - możesz iść do domu z nami.

Człowiek ucichł, wciąż patrzył na swoje stopy, ale druga jego część skupiła się na Charlesie – Ja nie czuję się zbyt dobrze wokół ludzi, wokół hałasu – powiedział - I wciąż... tu to nie liczy się jeśli czasami ja zapomnę się, to jest las i nie dżungla.

- Och, na pewno się dostosujesz - powiedziała Anna sucho.

Walter szarpnął swoje spojrzenie do jej twarzy i uśmiechnęła się ciepło do niego, więc Charles zauważył jak jego uchy czerwienią się.

- Stado ojca Charlesa ma wielu ludzi, którzy nie całkiem się dostosowali - powiedziała mu.

- Stado mojego ojca jest bezpieczne - powiedział Charlesa – On tego pilnuje. Ale Anna ma rację, on ma więcej niż niewiele wilków, które nie mogłyby żyć gdzie indziej. Jeśli będziesz chciał potem przenieść się do innego stada, on stwierdzi czy jesteś na to gotowy. Jeśli nie, będziesz mógł wrócić tu jako samotnik - potem zajmiemy się czarownicą i jej ulubionym wilkołakiem.

Walter rzucił okiem w górę - Czarownica?

- Witamy w naszym świecie.- Anna westchnęła- Czarownice, wilkołaki i rzeczy, które żyją nocą.

- Więc co zrobisz z nią?

- Czarownica powiedziała nam, że szuka Asila, który jest bardzo starym wilkiem, który należy do stada mojego ojca. Więc pomyśleliśmy, że jak wyjdziemy z tych gór, wtedy będziemy mieć długą rozmowę z Asilem - Charles powiedział do niego.

- A w międzyczasie? - Walter złapał się za swoje przedramię, gdzie był jego nóż.

- Musisz przyjść i spotykać się z moim ojcem - Charles powiedział mu – Jeśli tego nie zrobisz, on wyśle mnie by odszukać cię i przyprowadzić, chętnego albo nie.

- Myślisz, że możesz zmusić mnie do pójścia z tobą do stada twojego ojca? - głos człowieka był cichy.

- Och, ale narobiłeś - Anna parsknęła, oczywiście zdenerwowana na niego, chociaż Charles nie wiedział co jej zrobił. Jego ojciec nie tolerowałby samotnika tak blisko

swojego stada.

Ale Anna już skierowała swoją uwagę na Waltera - Co chcesz zrobić? Zostać tu w górach całkiem sam? Albo pójdziesz z nami, gdzie uzyskasz pomoc - i wrócisz tu znowu rozprawić się z tym wilkołakiem i czarownicą?

Charles uniósł brew, ona także podniosła swoją - Ten wilk skrzywdził go. My jesteśmy tu w interesach - dla Waltera to jest osobiste. – spojrzała na człowieka - prawda?

- Zło musi być zniszczone – powiedział - Albo to opanuje wszystko, czego się dotknie.

Kiwnęła głową jakby wygłosił doskonałą mądrość - Dokładnie tak.

Zasypiali jako wilki dziś wieczorem, Charles zdecydował. Anna nie protestowała, chociaż

jej żołądek zacisnął się na samą myśl o tym.

Przyzwyczaiła się do sypiania z Charlesem, ale inny wilk niepokoił ją, nie ważne z jakim szacunkiem potraktował ją. Ale gdy tylko słońce zaszło, temperatura spadła o dziesięć stopni. Z jedynym śpiworem, wiedziała, że Charles ma rację, i nie było żadnego wyboru.

Zmieniła się sto jardów od mężczyzn, drząc boso w śniegu pod dużą jodłą.

Chłód uczynił ból z powodu zmiany cięższym. Próbowwała sapać cicho, łzy popłynęły po jej policzkach jak jej stawy i kości zmieniały, a jej skóra dzieliła się by stać się futrem.

To zajęło bardzo dużo czasu.

Potem, leżała zdyszana i nieszczęśliwa na krystalicznym śniegu, zbyt zmęczona by ruszyć się.

Nawet na zimnie, odkryła, że ma węż.

Stopniowo, ponieważ jej ból przygasł, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy wczoraj wieczorem, kiedy Charles przytulił się do niej i objął ją swoim ciepłem, poczuła się bezpieczna.

Gdy pierwsze męki przeminęły, rozciągnęła się, sprawiając, że jej pazury rozwinęły się i przedłużyły jak u dużego kota. Nie chciała wracać i zwinęła się w kłębek. Wilk

nie był

wystraszony z powodu męskich osobników. Wiedziała, że nie ma dużych szans by zachowywać się jak inni. Ale nie podobał jej się pomysł dotykania nikogo poza Charlesem.

Blisko ale poza zasięgiem wzroku, wilk, Charles, wydał cichy dźwięk, nie całkiem warknięcie ani jęk. Chwiejąc się jak nowo narodzone źrebię, stanął na swoich łapach. Zatrzymała się by strząsnąć śnieg z jej skóry i dać sobie moment przywyknięcia do czterech łap zanim zacznie wracać, ubranie miała w pysku. Charles puścił się klusem do niej, wtedy złapał jej rękawiczkę, wepchnął w buty i eskortował ją do ich łóżka.

Walter czekał na nich tuż poza ich wybranym schronieniem. Gdy tylko mogła zobaczyć go, wiedziała że nie była jedyną, która nie była zbyt podekscytowana co do spania nosem przy ogonie z nieznajomymi.

Walter miał wygląd nieszczęśnika, garbił się z jego ogonem trzymanym nisko.

Charles polecił Walterowi by położył się pod osłoną, którą im znalazł.

Walter wszedł tam, a teraz była kolej Anny. Charles wcisnął ją za Waltera, umieścił jej buty tam gdzie nie napełniliby się śniegiem, wtedy położył się przed nimi gdzie mógł ich chronić. Tam

nie było dużo miejsca, chociaż Walter położył się tak blisko drzew jak tylko mógł.

Jak Anna usadowiła się naprzeciwko niego, Walter zadrżał ze stresu. Biedactwo, pomyślała. Być

w pojedynkę tak długo, a następnie oczekiwać, że natychmiast dostosuje się do zachowania stada. Jego cierpienie miało dziwne konsekwencje dla jej własnej niewygody. Zaniepokojona nim, wyciągnęła się i ukryła swój nos w sierści Charlesa. Sprawilo to, że się odprężyła, miała nadzieję, że to pomoże Walterowi zrobić tak samo.

To jest stado, pomyślała ponieważ ciepło objęło ją od obu wilków. Ufała Charlesowi, że będzie ich strzegł z jego lepiej wyszkolonymi zmysłami. Wiedząc, że oba wilki dowiodły gotowości by stanąć między nią a niebezpieczeństwem, bezpiecznie było spać. To było lepsze, znacznie lepsze niż jej pierwsze stado.

To był kawał czasu zanim Walter zrzucił brzemień posągu kamiennego i zrelaksował

się. Gdy położył swój nos na swoim biodrze z westchnieniem pozwoliła sobie zapaść w sen.

Rozdział 11

Ból obudził Charlesa podczas gdy jego partnerka i samotnik spali. Jego noga i klatka piersiowa zdążyły by się całkiem oczyścić, gdyby tak nie naciskał. Jeśli nie będzie ostrożny, nie będzie w stanie zejść z góry

Nigdy nie czuł się w ten sposób, posłuszeństwo owinęło go tak, że mógł tylko odpowiadać gdy go zapytała. Był zbyt dominujący co nie pozwalało nawet jego ojcu mieć nad nim takiej kontroli – ale słyszał o tym. Opisy jednak przedstawiały krótkie próby. Jak przerażające jest, gdy ktoś ma ten rodzaj wpływu na ciebie, nawet gdybyś mu ufał. Jego szacunek dla męstwa z pełną uległością w stadzie jego ojca, rósł z każdym połączonym nacięciem.

Gdyby Anna nie rozproszyła czarownicy i sprawiła, że czar przysł... złapał surowy oddech, a Anna

wydała jakiś dźwięk z jej gardła, pocieszając go, nawet we śnie.

Nie czuł takiej paniki od dawna - albo nawet nigdy - miał czas by pomyśleć w jaki sposób zaklęcie podziałało na niego. I wciąż nie miał pojęcia jak czarownica mogła użyć jego... stada jego ojca by się z nim związać.

Jego ojciec musi wiedzieć, że czarownica może przełamać czary stada.

Z tego co wiedział, nic takiego nie zdarzyło się do tej pory. Tylko jego ból i ograniczenia jego ciała, powstrzymały go przed dalszą drogą. Musi ostrzec swojego ojca.

Gdyby Anna nie była tam... i skąd wiedziała, co zrobić?

Większość wilków nie znała zbyt wiele czarów - i przysięgłby, że Anna nie była wyjątkiem. Znał jej zapach bardzo dobrze i na pewno nie pachniała czarami. Gdyby ich połączenie było zakończone, wtedy mogła by wykorzystać jego...

Podniósł swoją głowę i uśmiechnął się. Anna nie połączyła się jeszcze z nim, ale jej wilk tak. Poczuł jak wzywa swojego wilka, kiedy czarownica rzuciła na nią czar, ale nie sądził, że to coś pomoże. Guzik wiedział. Wilk użył swoich czarów by rozbić zaklęcie czarownicy. I Anna jeszcze nie była zaakceptowana w stadzie Marroka, więc przenikanie czarownicy przez więzi stada nie pozwoliło jej zapanować nad Anną tak

jak zapanowała nad nim.

Delikatny odgłos wśród wycia wiatru rozbił bieg jego myśli; coś chodziło między drzewami. Chociaż to była bezpieczna odległość to miejsca gdzie spali, słuchał i czekał aż nieprzewidywalny wiatr przesunie się i przyniesie mu zapach. Gdyby to była czarownica, zebrałby swoich podopiecznych i biegł, nawet z bolącą klatką piersiową i nogą otępiełą z bólu.

Ale to był ktoś inny, kto wyszedł spośród drzew i zatrzymał się tak, że miał na niego dobry widok. Asil. Wolno Charles wypełznął spod drzewa. Anna westchnęła i ułożyła się w nowej pozycji - wyczerpanie czyniło jej trudności w obudzeniu się. Starał się stać spokojnie, do czasu aż usłyszał jej miarowy oddech.

Wtedy skierował się w kierunku intruza.

Odkąd Asil dołączył do Marroka, Charles nigdy nie zobaczył go poza Aspen Creek; nie podobało się mu, że wyszedł po raz pierwszy właśnie tu. To powiedziało mu, że cokolwiek Asil wie, to nie uczyni jego życie łatwiejszym. Nie podobało mu się, że nie może ukryć utykania.

Charles rzadko popisывał się swoimi umiejętnościami, ale zrobił to tym razem. Wezwał czary i pozwolił im przeniknąć przez jego ciało, zmieniając się jak szedł. To zaszkodziło mu, ale wiedział, że to nie odzwierciedli się na jego twarzy ani nie pogorszy utykania. Gdyby był zdrowszy, nawet byłby zdolny wyczarować nową parę rakiet śnieżnych zamiast brodzić po kolana w śniegu.

Asil uśmiechnął się jakby rozpoznał rozwiązanie siłowe Charlesa, ale opuścił wzrok. Charles nauczył się by nie ufać jego uległości.

Charles mówił cicho – Jak nas znalazłeś?

To było ważne pytanie. Byli z dala od miejsca w którym mieli obozować, jeśli on i Anna pojechali by według zamierzeń ustalonych przed wyjazdem. Czyżby robił coś głupiego, że czarownica również ich znalazła? Osobliwości minionych dwudziestu czterech godzin źle wpłynęły na jego zaufanie – po za tym połowa jego okaleczonego ciała, czyniły go bardziej zbikowanym niż zwykle.

Asil trzymał swoje ramiona rozluźnione pod grubym płaszczem, który nosił - Z wiekiem, wszyscy zyskujemy zdolności, prawda? Twój ojciec może rozmawiać ze

swoimi wilkami w ich głowach, jakkolwiek daleko oni są. Ja mogę zawsze wytropić moich kolegów ze stada. Gdybyś nie zwał jak wystraszony królik, wpadłbym na ciebie godziny temu.

- Dlaczego tu jesteś? - Charles nie zdenerwował się komentarzem o wystraszonym króliku.

Bo nie był wystraszony.

Rozzłoszczenie się na Asila nigdy było dobrym pomysłem. Pochłonięty sobą, arogancki Maur wykorzystał by ten gniew z powrotem ze zdrową dawką upokorzenia. Charles nigdy nie padł ofiarą przynęty Asila, ale widział wielu który mu ulegli.

- Przyszedłem przeprosić - Asil powiedział, podnosząc oczy tak aby Charles mógł odczytać w nich szczerłość.

- Sage powiedziała mi kilka rzeczy jakie Anna musiała znosić. Gdybym wiedział z czym musisz się zmierzyć, ja nigdy nie namieszał bym między tobą a twoją partnerką.

- Nie namieszałeś między nami - powiedział Charles. Niemożliwe, żeby Asil myślał to co powiedział.

- To dobrze. I ofiaruję ci każdą radę by pomóc tobie i twojej partnerce - popatrzył w kierunku polany, gdzie Anna i Walter zostali ukryci – I w przypiływie skruchy, przyszło mi do głowy, że

mogę być jakoś pomocy w sprawie twojego samotnika. Ale, wygląda na to, że wszystko pod

kontrolą.

Charles uniósł brwi. Pod kontrolą było niezupełnie stwierdzeniem jakim opisałby ostatni

dzień. – Przejdźmy do rzeczy. Czy wiesz dlaczego czarownica szukała cię?

Twarz Asila pobladła – Czarownica?

- Pytała wyraźnie o ciebie – Potarł czoło ponieważ w zdradziłby się przed Asilem z bólem jeśli

potarłby swoją bolącą klatkę piersiową – Albo w jaki sposób mogła przeniknąć do

więzi stada mojego ojca i objąć nade mną większą kontrolę niż mój ojciec kiedykolwiek był w stanie osiągnąć?

- Czarownica - Asil powiedział- Tutaj?

Charles kiwnął głową szorstko - Jeśli nie wiesz niczego o niej, to może wiesz coś o żeńskim wilkołaku, który wydaje się mieć związek z nią? Jej ubarwienie pasuje do twojej partnerki.

Jego głos oddalił się ponieważ Asil z twarzą dziwnie pustą, upadł na kolana; nie tak jak by

klękał przed Charlesem, ale bardziej jak gdyby stawy przestały go podtrzymywać. To przypomniało Charlesowi, sposób w jaki wcześniej zrobił to Walter, ale tym razem to nie było spowodowane obecnością Anny.

Zapach gwałtownych uczuć Asila spłynął po nim, niemożliwe było wyłapać coś określonego

z burzy tych uczuć z wyjątkiem bólu i przerażenia, które były dominujące.

-Więc to jest ona - Asil szepnął - Miałem nadzieję, że umarła i odeszła na wieki. Gdy dowiedziałem się jak wyglądał samotnik, miałem nadzieję, że to jest ktoś inny.

To był powód dlaczego Charles nie wierzył w zbiegi okoliczności - Znasz czarownicę?

Maur patrzył na swoje ręce, wtedy schował je w śniegu. Zamknął oczy i zadrżał. Gdy otworzył je, skrzyły się na złoto - To ona. Ukradła to, i teraz ona już nie może ukryć się przede mną jeśli będę ją szukał, tak samo ja nie mogę ukryć się tutaj przed nią.

Charles zrobił głęboki wdech i zmusił się do cierpliwości – Co ona ukradła? I kto to jest

ona?

- Wiesz to - Asil powiedział - Ta która zabiła moją Sarai. – podniósł swoje pokryte śniegiem ręce

i wyszorować nimi swoje czoło. Wtedy dodał bolesną część – Ona ukradła moją więź do partnerki, gdy to zrobiła.

Charles wiedział - jak każdy, kto słyszał historie Maura - że więź Asila i jego żony przyniosła ze sobą niezwykle dar, zrozumienie.

Nie zrobił nic głupiego, jak zapytanie Asila czy jest pewny - jednak on nigdy w życiu nie słyszał

takiej rzeczy. I wieź z czarownicą, czarnoskórą czarownica, było najgorszą rzeczą jaką kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić. Nic dziwnego , że Asil poprosił jego ojca by zabił go.

- Ta czarownica wygląda bardzo młodo. Sarai umarła dwa wieki temu.

Asil pochylił swoją głowę i wyszeptał - Przysięgam ci, nie spodziewałem się, że ona znajdzie mnie. Zabezpieczenia twojego ojca trzymały ją z daleka przez cały ten czas - jeśli one nie zadziałały by, zmusiłbym go do zabicia mnie pierwszego dnia gdy przyszedłem do Aspen Creek – przełknął ślinę – I nie powinienem pozwolić mu zrobić mnie

jednym ze stada. Jeśli przeszła przez więzi stada, jedynie mogła osiągnąć to dzięki mnie, przez naszą więź.

Zziębnięty, Charles wpatrywał się w Maura i zastanawiał się czy może on jest tak szalony jak on zawsze twierdził . Bo gdyby nie był, ta czarownica byłaby większym problemem niż Charles myślał.

Krystaliczne oczy wilka wpatrywały się w górę na niego - Powiedz mi o wilku, który wyglądał jak moja Sarai. – zabrzmiał zdesperowany i zrozpaczony głos starego wilka.

- Nigdy nie spotkałem twojej partnerki – głos Charlesa przygasł - Ale wilk z czarownicą jest duży, tak jak wilkołak. Ona ma kolor jak owczarek niemiecki. Ma białe łaty na przednich łapach.

- Pierwsze dwa palce u nogi - Asil wypluł, stając na nogi ze wściekłością, która była niezaprzeczalnie prawdziwa – Jak ona ośmiela się wykorzystywać formę Sarai dla jej złudzeń?

Charles skrzyżował ramiona. Zamierzał usiąść niedługo, ból osłabiał go.

- To nie jest złudzenie, Asil. Chyba że złudzenie może przekazywać wilkołactwo. Samotnik, który jest z nami, jest jej pierwszą ofiarą. Zaatakowała go, a przy najbliższej pełni księżyca przemienił się.

Asil ucichł - Co?

Charles kiwnął głową - Jest coś dziwnego w tym wilku. Ona jest tylko stała czasami.

Anna

Sprawiła jej ból, a wtedy uciekła, ale gdy tylko była niewidoczna, jej ślady i krew właśnie także zniknęły.

Asil zaczerpnął powietrza.

- Wiesz coś?

- Wszyscy byli martwi - szepnął.

- Kto?

- Wszystkie czarownice, które wiedziały... ale wszyscy nie doceniliśmy Mariposa.

- Mariposa? Jak motyl?

Oczy Asil były czarne jak noc - Nie jestem czarownicą.

Trochę dziwna odpowiedź na jego pytanie. Charles miał jednak wzgląd na jego wzburzenie - Ale

żyjesz już bardzo długo. - Charles zasugerował - A Sarai była zielarzem, uzdrowicielem, prawda?

Na pewno wiesz coś o czarach. Wiesz czym jest ten wilk?

- Mariposa jest czarownicą. Wychowaliśmy ją, Sarai i ja - powiedział Asil wyraźnie - Ona pochodziła z rodziny czarownic, które znaleźliśmy - moja partnerka była zielarzem. Znała większość czarownic w tej części Hiszpanii, zaopatrywała je w co chciały. Pewnego dnia druciarz podszedł do naszych drzwi z Mary; miała osiem albo dziewięć lat. Z tego co dowiedzieliśmy się później, matka Mariposa miała po prostu dość władza tylko na to by uchronić jej najmłodszą córkę przed atakiem innego klanu czarownic. Jej rodzice, dziadkowie, bracia, siostry, wszyscy byli zmartwi. Druciarz znalazł ją, jak przechadzała się przez spalone resztki swojego domu i pomyślał, że moja żona zajmie się nią, ponieważ wiedział, że ona robiła znaczący handel z tą rodziną.?

Westchnął i odwrócił się, schodząc na wąską, ciemną dolinę pod nimi - To był zły czas dla wszystkich nas w Europie. Inkwizycja wzięła straszną opłatę kilka wieków wcześniej - a kiedy to skończyło się, czarownice zaczęły walczyć o moce.

- Znam historię - Charles powiedział mu. Tylko Zachodnio europejskie czarownice

przeżyły walkę o władzę, była to linia Torvalis, która była skrzyżowała z Cyganami. Czarownice wciąż rodziły się tu i tam, ale rzadko miały nawet jedną dziesiątą mocy starej rodziny.

- Chronili swoje zaklęcia przed sobą - Asil powiedział mu - Więc każda rodzina przejawiała tendencję do specjalizowania się. Rodzina Mariposa była jedną z największych rodzin czarownic - zawahał się - ale ona była jedynym dzieckiem, a to był ich największe zaklęcie. Nie mogę uwierzyć, że poświęcili ją dlatego.

- Co to było?

- Jej rodzinie kazali mieć strażników na ich terenach, wielkie bestie, które patrolowały i zabiły

dla nich – ale nigdy nie potrzebowały jedzenia albo picia. Rzekome zrobili ich z żyjących

istot żywych – mieli całą menażerię – westchnął – Tak potężne zaklęcia, jak wiadomo,

nigdy nie zadziałają bez krwi i śmierci.

- Myślisz, że twój motyl użył takiego zaklęcia na twojej partnerce?

Asil wzruszył ramionami – Nie wiem tego. Wszystko, co mogę robić to spekulować.-
zaczerpną powietrza - Ona powiedziała mi, zanim wysłaliśmy ją innej czarownicy na naukę, że jedynym miejscem, gdzie ona naprawdę czuła się bezpieczna było z Sarai i ze mną.

Przerwał, wtedy powiedział ponuro - Byłem w Rumunii gdy to się zdarzyło. Śniłem, że Sarai jest

torturowana i konsumowana. Jej serce przestało bić, jej płuca nie mogły wciągnąć powietrza, ale ona żyła i spalała się z bólem i mocą. Śniłem, że Mariposa konsumuje moją miłość do czasu gdy nie była jej już więcej. Zabrało jej sporo czasu zanim umarła, ale nie tak długo jak moja podróż z Rumunii do Hiszpanii. Gdy przekroczyłem próg naszego domu, Sarai już nie żyła.

Patrzył w stronę lasu, ale jego oczy były niewidome, widział coś, co zdarzyło się dawno temu - Spaliłem jej zwłoki i rozsypałem popioły. Spałem w naszym łóżku, a kiedy zbudziłem się,

Mariposa czekała na mnie - w mojej głowie gdzie tylko Sarai powinna należeć.

Westchnął, zgarnąć garść śniegu i zrzucił - Nie byłem Sarai, zaślepiiony dzieckiem, którym niby była. Ponadto, mogłem poczuć jej szaleństwo. Wiedziałem kiedy Mariposa postanowiła, że pragnie mnie, więc uciekłem. Przez ten cały czas gdy uciekałem, odkryłem że gdy była zbyt blisko, mogła sprawić, że robiłem cokolwiek, co tylko chciała - otworzył usta i dyszał kilkakrotnie jakby był w formie wilka. – Czekałem wiele lat, pewny, że umarła. Ale nigdy nie zrobiła tego. - Asil wtedy przekreślił się i stanął naprzeciw Charlesa - Myślę, że to musi być jakiś efekt uboczny tego co zrobiła Sarai, że ukradła nieśmiertelność Sarai ponieważ ukradła naszą więź. Nie mogłem za nic zrozumieć dlaczego zrobiła coś takiego – chyba, że jej zamiarem było stworzyć taką istotę żywą jaką miała jej rodzina. .. to wszystko ma sens. Widziała swoją całą rodzinę zamordowaną, przyglądała się, jak jej matka umierała chroniąc ją.

Charles słyszał współczucie w głosie innego człowieka i przeciwdziałał temu prawdą - Więc zabiła twoją żonę, która przygarnęła ją, chroniła i strzegła. Zadręczyła ją na śmierć, aby

dostarczać sobie coś, co mogło by ją ochronić - Czarna czarownica, jego instynkty mówiły, że

czarnoskóre czarownice były okropnym zjawiskiem, wszystko razem. – A teraz ona pragnie ciebie – prawdopodobnie w tym samym celu.

- Tak - wyszeptał Asil – Ja uciekam od dłuższego czasu.

Charles potarł swoje czoło jeszcze raz, ale tym razem dlatego, że poczuł ból głowy.

- A teraz zdecydowałeś się przyjść tutaj i wystawić się jej jak prezent.

Asil wydał zduszony śmiech – Przypuszczam, że tak to właśnie wygląda. Do czasu gdy nie powiedziałeś mi, że ona jest tu, byłem wciąż przekonany, że moje podejrzenia są bezpodstawne.- jego twarz straciła nutkę rozbawienia i powiedział - Cieszę się, że jestem tu. Jeśli ona ma jakąś część mojej Sarai, muszę zatrzymać ją.

- Zastanawiałem się nad wezwaniem Brana - Charles powiedział do Asila - Ale zaczynam sądzić, że to nie byłby najmądrzejszy ruch.

Asil zmarszczył brwi.

- Który z nas jest bardziej dominujący? - Charles zapytał go - Ty czy ja?

Oczy Asila spochmurniały podczas tej rozmowy, ale przy pytaniu Charlesa rozjaśniły się gwałtownie - Ty. Przecież wiesz to.

- Więc - powiedział Charles, zmuszając do odwrócenia wzroku przeciwnika - Jak czarownica, użyła twojej więzi z partnerką i twojej więzi ze stadem, aby panować nade mną?

Gdy tylko Charles wyszedł by porozmawiać z Asilem, Anna zaczęła swoją przemianę. Musiała ubić interes z tym wilkiem językiem a nie kłębem i pazurem. Był zbyt dobry również w denerwowania jej partnera – i Charles był wciąż wzburzony po swoim spotkaniu z czarownicą.

Nie przejęła się Walterem przez ten czas gdy była naga i zdyszana zimnym powietrzem nocnym. Ona miała trzy lata, aby przyzwyczaić się do bycia nago przy ludziach, których nie знаła zbyt dobrze, ale on nie.

Rzuciła okiem na niego ale miał odwróconą głowę od niej i wpatrywać się uważnie w pień znajdujący się obok, dżentelmen w każdym calu.

Porzuciła martwienie się o niego i szybko założyła swoje chłodne ubranie i buty ponieważ mogła wyczuć wzrastającą wściekłość Charlesa przy Asilu; Asil naraził Marroka i jego stado na ryzyko. Ale bardziej niż o to, martwiła się, że ani Charles ani Asil nie zdają sobie sprawy jak bliski Charles był wybuchu. Uważała to za ciekawe że ona to wiedziała.

Założyła szybko buty i płaszcz. Nie przejęła się rakietami śnieżnymi - to była wciąż wczesna noc. Rzuciła okiem na księżyc; tylko jeszcze parę dni do pełni. Po raz pierwszy to nie czyni jej chorej z niepokoju. Z Walterem w formie wilka przy jej noce powędrowała do miejsca gdzie Charles i Asil czekali.

To był zły znak, pomyślała że ani Charles ani Asil nie wydawali się słyszeć jej nadejścia.

- Mogłaby wykorzystać moc Marroka, tak jak Leah robi? - Anna zapytała.

Obaj odwrócili się by spojrzeć na Waltera i na nią, Charles wyraźnie nieszczęśliwy że nie zauważył ich podejścia. Asil, z nogawkami jego dzinsów całkowicie

przemoczonymi, wydawał się bardziej zainteresowany Walterem, który pokazywał zęby.

Anna położyła swoją rękę na szyi Waltera ponieważ dokonała prezentacji - Asil, to jest Walter.

Walter, to jest Asil — wilk, o którym ci mówiliśmy.

Asil zmarszczył brwi z powodu czarnego wilka, który wpatrywał się w niego i podniósł swoje wargi prezentując kły.

- Przestań - powiedziała Walterowi, mając nadzieję, że usłucha jej. To czego nie potrzebowali w tej chwili była walka o dominację. To zawsze trochę trwało dla nowego wilka znalezienie jego miejsce w stadzie. Interesujące, że Walter natychmiast nie przypuścił, że Asil jest wyższy rangą - Potrzebujemy każdego w walce.

- Walter ocalił kogoś od ataku wilka, podległego czarownicy i skończył przemieniony

- Charles powiedział – On zgodził się nam pomóc.

Mógł wyrazić to inaczej, Anna pomyślała. Jej ręka dotknęła troskliwie głowy Waltera. Zamiast odrzucić nowego wilka Charles wyraźnie zaznaczył, że wilk jest pod jego ochroną i nieocenionym uczestnikiem ich próby, która miała powstrzymać czarownicę.

Ponieważ nie chciała by Charles i Asil walczyli, więc powiedziała jeszcze raz - Mogła Mari...

Mariposa wykorzystywać moc Marroka przez więź stada?

Charles zmarszczył brwi z powodu Asila i powiedział - Na pewno poczułem coś na kształt mocy mojego ojca. Ale mój ojciec nie może kontrolować mnie w ten sposób.

Asil wyglądał ponuro - Dostatecznie silna czarownica może panować nad każdym wilkołakiem, który nie ma stada aby chronić go. To jest zakazane przez prawo czarownic, ale to jest możliwe. Jednym z problemów jaki Sarai i ja mieliśmy z Mariposa, było to że sprawiała, że ludzie robili różne rzeczy - tak jak zabijanie zwierząt. I miała czas stać się jeszcze potężniejszą. Myślę, że ponieważ ona jest, dzięki mnie, faktycznie członkiem stada - jej mogło udać się połączyć moce twojego ojca z tymi posiadanymi przez nią.

Anna nie była pewna implikacji ale Charles usychał z żalu oczywiście.

- Nadal idziemy na dół by pomówić z Marrokiem? - Anna zapytała – Nawet jeśli on nie może przyjść tutaj, nie powinniśmy go ostrzec?

Charles stał bardzo spokojny.

- Co myślisz, że twój ojciec zrobiłby gdybyśmy powiedzieli mu to wszystko? - Asil zapytał.

Charles nie odpowiedział.

- Tak - Asil zgodził się – Też tak myślę. Byłby tutaj - po tym jakby zmusił nas wszystkich do pójścia do domu. Nieważne jak głupia to była by rzecz. On chroni swoich ludzi i ma tak duże zaufanie do swojej niezniszczalności jako każdy inny. Zabójstwo Doktora Wallace sprawiło mu ból - i on nie zaryzykuje utracenie jeszcze kogoś w najbliższym czasie. Na pewno nie swojego syn.

- Żadna czarownica nie mogłaby zapanować nad moim ojcem - Charles powiedział. Ale Anna mogła słyszeć wątpliwość w jego głosie.

Może on również je dostrzegł, ponieważ obrócił głowę i powiedział łagodniej – No cóż musimy ścigać ich sami.

Asil nagle podniósł swoją twarz do wiatru i zamknął oczy. Wtedy stał się bardzo spokojny.

Charles przekreślił się w kierunku ich schronienia - Anna odwróciła się by też popatrzeć , ale nie zobaczyła niczego.

Nie początkowo.

Wydawało się, że powstała z wiatru i śniegu. Jej futro zaśniło srebrem, złotem i cieniem.

Wszyscy zamarli, wpatrując się w nią ponieważ ona wpatrywała się w Asila. Po kilku sekundach, wilk zeskoczył z pnia i zaczął iść wolnym krokiem do przodu, wyjąc. Jej ogon poruszył się trochę.

Asil ruszył w kierunku wilka ale Charles złapał go, powstrzymując.

- Sarai? - Asil powiedział ochryple, utykając w uchwycie Charlesa.

Wilk spuścił swoją głowę i podrzucił jej ogon w klasycznej uległej pozie. Zajęczała jeszcze raz.

Przy Annie, Walter rzucił się i stanął między nią i drugim wilkiem. Ale wilkołak

czarownicy patrzył tylko dla Asila.

Wilk wydał błagalny, rozpaczający dźwięk. Wtedy obróciła się i pobiegła. Anna patrzyła na nią, tak że nie zobaczyła co Asil zrobił, tylko że był nagle wolny od uścisku Charlesa i biegła za wilkiem, który sprawiał wrażenie jego partnerki.

Charles nie ruszył w pościg. Popatrzył jak tych dwoje zniknęło w ciemności.

- Niedobrze prawda? - Anna mruczała.

- Tak - głos Charlesa był ponury.

- Co zrobimy? Powinniśmy tropić ich?

- Nie - Charles patrzył na Waltera - Ale myślę, że nie musimy tego robić, prawda? Czarownica wciąż przebywa przy tej starej chacie?

Walter skinął na zgodę.

- Nie powiemy Marrokowi? - wiatr podniósł się jeszcze raz, i Anna zadrżała - Jesteś pewny, że to rozsądne? Czy twój ojciec ma jakąś czarownicę na swoich usługach, która mogłaby pomóc? Moje stare stado dzieliło jedną z innym chicagowskim stadem.

- Czarownica Asila znalazła sposób by panować nad wilkołakiem, który ma ochronę stada - Charles powiedział - Nigdy nie słyszałem o czymś takim - więc nie sądzę, że ktoś tu pomoże.

Jeśli jednak ona jest jedyną czarownicą, która wie jak to zrobić musimy trzymać to w tajemnicy. Nie możemy zatrudnić czarownicy do tego.

Wciąż obserwował miejsce gdzie ulubieniec czarownicy zniknął w ciemności.

- Co z twoim ojcem?

- Asil ma rację. Chciałby poradzić sobie z czarownicą na jego własny sposób.

- Mógł to zrobić?

Charles zaczął wzruszać ramionami, ale zatrzymał się w pół drogi jakby to zaszkodziło mu - On nie miało jakichkolwiek kłopotów ze mną. To nie oznacza że mój ojciec nie mógłby walczyć z nią - jeśli jednak nie... mój ojciec panuje nad wszystkimi wilkołakami w Ameryce Północnej, Anno. Wszystkimi. Gdyby ona zabrała go, mogłaby mieć ich wszystkich.

- To jest to co ona chce?

Charles zakolysał się trochę – Nie wiem. Szukała Asila przez długi czas - ale mój ojciec jest całkiem dobrą nagrodą.

Anna zrobiła krok bliższej Charlesa i owinęła do swoim ramieniem wokół pasa by przytrzymać go – Jesteśmy bezpieczni tu przez resztę nocy? Czy ona przyjdzie po nas?

Spuścił wzrok na nią i westchnął - Bezpieczni jak nigdzie. Ona ma Asila by ją zają. Biedny

stary Maur. Jeśli byłbym w lepszym stanie, ścigałbym ich. Ale on dziś wieczorem musi sobie radzić sam.

Bez humoru powiedział - Nie mamy żadnego wyboru jak tylko spędzić tu resztę nocy. Ja potrzebuję jedzenia i wypoczynku, aby być zdolnym do dalszej podróży.

Posadziła go na jednym z powalonych drzew, w miejscu nieco osłoniętym przez wiatr i rozpałała ognisko. Podczas gdy woda zagrzewała się, Anna ponownie zabandażowała zebra Charlesa pasami czystej koszuli. Potulny jako dziecko, pozwolił jej to zrobić. Nakarmiła go dwoma z liofilizowanych posiłków, jeden dała Walterowi, a jeden zjadł sama. Gdy skończyli, kopnęła stertę śniegu na ogień do czasu aż zgasł całkowicie, wtedy zaprowadziła Charlesa z powrotem do ich schronienia. Była zbyt zmęczona do zmienić się jeszcze raz i Charles był w bardzo kiepskim stanie. Walter zwinął się przed nimi, skutecznie blokując wiatr i śnieg.

Anna otworzyła oczy w ciemnościach, pewna że coś ją obudziło. Podniosła głowę z ciepłej, słodko pachnącej skóry Charlesa i obejrzała się. Waltera nigdzie nie było, a w nocy, ona i Charles zmienili pozycje więc leżał między nią a niebezpieczeństwem.

Wiatr i śnieg ustały, zostawiając las cichy i czekający.

- *Me transmittite sursum, Caledoni* -mruczała. Źle, że nie było Scottiego z nimi. Było coś ciężkiego w atmosferze, która przerażała.

Słuchała mocno ale nie słyszała niczego. Wyważona cisza dźwięczała w jej uszach.

Jej bicie serca, jej oddech były jedyną rzeczą, którą mogła słyszeć.

- Charles? - szepnęła, dotykając jego ramienia. Gdy nie odpowiedział, potrząsnęła go. Jego ciało odpadło z niej. Leżał na swojej stronie, ale potoczył się bezwładnie na zewnątrz spod

ich skąpego schronienia na śnieg. Światło księżycy oświetliło go prawie tak jak dzień. Jej oddech ugrzązł w jej klatce piersiowej, poczuła strumień bólu, który doprowadził ją do łez; krew przemoczyła całkowicie jego kurtkę. Czarna zalśniła na jej palcach: krew, jego krew.

- Nie – poderwała się, uderzając się głową o zwiędłe drzewo pod którym spali, ale zignorowała ból i wyciągnąć rękę do niego - Charles!

Bran usiadł na łóżku, serce waliło mu mocno i oddychał szybko. Chłodne powietrze w jego

sypialni osuszyło jego spocone ciało. *Czarownica.*

- Co się stało? - Leah przewróciła się i podparł brodę na jej rękach.

- Nie wiem. – Zrobił głęboki wdech ale nie było żadnych nieznanym w jego pokoju. Jednak jego głowa oczyściła się szybko, wspomnienie jego snu wymknęło się mu. Wszystko z wyjątkiem tego jedno słowo: czarownica.

Jego telefon komórkowy zadzwonił.

- Co się stało tato? - Samuela głos był obudzony – Dlaczego mnie wzywałeś?

Zabrało Branowi moment aby rozumieć, że Samuel nie rozmawiał o rozmowie telefonicznej. Potarł swoją twarz i spróbował sobie przypomnieć. Czarownica. Z jakiegoś powodu słowo to wysyłało zimny chłód w dół jego kręgosłupa.

Może śnił o przeszłości. Nie robił tego często. A kiedy zrobił, to nie były one o czarownicy - to było o wszystkich ludziach, którzy umarli pod jego kłami.

Nie, to nie było jak wspomnienia. To było jak ostrzeżenie. Gdy tylko pomyślał, on poczuł pilną potrzebę, która obudziła go. Coś było nie w porządku.

- Co powiedziałem? - jego głos brzmiał tylko spokojnie i ciekawie.

- Obudź się - Samuel powiedział sucho.

- Nie zbyt pomocne - Bran przebiegł swoimi palcami przez swoje włosy – Przepraszam, że przeszkodziłem ci, ale ja spałem.

Głos Samuela przygasł – Co to był za koszmar?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, Bran zobaczył obraz - *część jego snu?* - Charles

w środku

kłopotów.

- Z powodu samotnika? - Samuel mówił z uprzejmym niedowierzaniem - Nigdy nie widziałem, żeby samotnik, który mógłby spowodować Charlesowi kłopoty.

Czarownica.

Ale nie jego czarownica, nie czarownica, która zamieniła go w potwora tak dawno temu.

Inna czarownica.

- Tato?

- Poczekaj niech pomyślę.

Po chwili powiedział - Charles i Anna wyszli za samotnikiem dwa dni temu - czasami mówienie rzeczy głośno pomagało mu przypomnieć sobie o czym śnił.

- Asil przyszedł przed wieczorem. Był zły na mnie za wysyłanie Charlesa tak szybko po tym jak on był ranny - Bran powiedział.

- Asil martwił się o Charlesa? - Samuel zabrzmiał sceptyczny.

- Dokładnie tak samo zareagowałem. Wprawił mnie w osłupienie. Chociaż martwił się do czasu -

- Co?

Bran potarł czoło – Jestem zbyt stary. Zapomniałem. Co za głupia rzecz... Cóż, to wszystko wyjaśnia.

- Tato?

Śmiał się - Przepraszam. Asil zniknął wczoraj rano, przypuszczalnie poszedł za Charlesem, ale właśnie zrozumiałem dlaczego. Opis samotnika pasuje do wilka Sarai – Asila partnerki.

- Ale ona nie żyje od dawna.

- Od dwustu lat. Asil powiedział mi, że spalił jej ciało i rozsypał popioły. I mimo, że jest tak stary, on wciąż nie może kłamać mi. Ona nie żyje.

Leah wyszła z jego łóżka i pozbierała swoją odzież. Nie patrząc na niego, wyszła z jego sypialni do swojej. Usłyszał, jak zamknęła swoje drzwi za sobą i wiedział, że zadał jej ból

jej odbycie tej rozmowy z Samuelem, zamiast ze swoją partnerką.

Ale nie miał czasu przeprosić - właśnie dostał dziwne ostrzeżenie.

Czarownica.

- Samuel –powiedział - Dlaczego chciałbyś spalić ciało?

- Aby ukryć tożsamość. Ponieważ to jest zbyt zimne by zasypać ciało. Ponieważ ich religia wymaga tego. Aby nie dopuść do rozprzestrzeniania się choroby. Ponieważ jest zbyt wiele ciał. Idę dobrym tropem?

Był zbyt zmartwiony by być rozbawionym. - Dlaczego Asil spalił ciało Sarai w Hiszpanii podczas napoleońskie wojny?

-Czarownica.

Czarownica.

- Śniłem o czarownicy - Bran powiedział, faktycznie teraz to było prawdziwe.

- Partnerka Maura była dręczona na śmierć przez wiele dni - Samuel powiedział refleksyjnie - Zawsze przypuszczałem, że to był wampir. Czarownica nigdy nie potrafiłaby trzymać wilkołaka przez tyle dni – zabić go owszem. Ale nie torturować.

- Znam jedną która mogła.

- Babka nie żyła od dłuższego czasu, tato - Samuel powiedział ostrożnie.

- Zabił i zjadł - Bran powiedział niecierpliwie - Jedynie zwróciłem uwagę, że wiemy o jednym wyjątku. Gdzie jest jeden, mogą być inni.

- Sarai była partnerką Maura i byli częścią stada. To nie było tak jak z nami. I Sarai została zabita dwieście lata temu. Czarownice żyją ludzką długością życia.

- Asil powiedział mi, że śnił ostatnio. O niej. Przypuszczałem, że ma na myśli Sarai.

Było tylko milczenie na ten temat na drugim końcu telefonu. Samuel wiedział o tych snach, również.

- Nie wiem nic - powiedział Bran - Może Sarai została zabity przez wampira, a wilk wyglądający jak ona jest tylko zbiegiem okoliczności. Może Asil spalił ciało Sarai ponieważ nie mógł znieść myśli o jej gniciu w grobie. Może mój sen był tak po prostu, a Charles wraca już z naszym samotnikiem.

- Wiesz - powiedział Samuela refleksyjnie - właśnie dowiodłeś swojego punktu widzenia lepiej przez przytaczanie argumenty przeciw temu niż świadcząc za tym.

Zastanawiam się czy to mówi coś o tym jak twój umysł pracuje.

- Albo twój - powiedział Bran, uśmiechając się wbrew sobie – Jadę aby sprawdzić co z Charlesem.

- Dobrze - powiedział Samuela - Chcesz bym wrócił?

- Nie. Zostań z Adamem albo Mercy.

- Jestem twoim synem - powiedział zadowolony z siebie pomimo niepokoju – Z Mercy oczywiście.

Bran uśmiechnął się, gdyż odłożył słuchawkę. Wtedy wstał i ubrał się do jazdy.

Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami Leah, ale co był nie w porządku między nimi nie mogło być zmienione. Nawet nie chciał by to zmieniło się, tylko żałować, że ona jest tak często raniona.

Nie zostawił wiadomości; nie będzie obchodziło ją gdzie szedł albo dlaczego.

Gardło Anny bolało z płaczu ponieważ leżała nad stygnącym ciałem Charlesa. Jej twarz była mokra od łzy i krwi, która zamarzła w przejmującym chłodzie.

Nie żył i to było jej winą. Powinna zdać sobie sprawę, że krwawienie jest gorsze niż na to wyglądało. Miała go tylko kilka dni.

Siedziała po turecku na zimnym terenie, studiując jego egzotyczną i ładną twarz. Żył dwieście lat albo więcej a ona знаła tak mało z tego czasu. Ona chciała poznać wszystkie historie. Jak to było dorastać jako wilkołak? Nawet nie znała jego ulubionego koloru. Czy to był zielony, jak jego sypialnia?

- Czerwony. To jest czerwony.- jego głos szepnął w jej ucho, zaskakując ją.

Ale to było niemożliwe, prawda?

Wyciągnęła rękę by dotknąć ciała Charlesa, ale nie zdążyła mrugnąć raz i leżała pod Charlesem, który był bardzo żywy, chociaż lewa strona jego twarzy wyglądała jakby jakaś bestia podrapała go.

Dyszała, a jej ręce bolały ponieważ wolno zmieniały się z powrotem w ludzki. *To była ona, która go zraniła?* Miała wrażenie, że jej serce przestało bić.

- Charles?

Jego twarz nie ruszyła się, ale zobaczyła jego ulgę i poczuła to w odprężaniu się jego

uchwytu.

Krótko mówiąc położył swoją twarz na jej szyi i odetchnął tuż przy jej uchu. Gdy wycofał się,

spadł z niej i powiedział –Wszystko co miałaś do roboty to pytać.

Była słaba i zdezorientowana - Pytać?

- O mój ulubiony kolor.

Wpatrywała się w niego. Robił sobie żarty z tego – Ty nie żyłeś - powiedziała mu - Obudziłem się i wszędzie była krew a ty nie oddychałeś. Nie żyłeś.

Warknięcie z tyłu zaskoczyło ją; całkowicie zapomniała o Walterze.

- Czuję zapach tego, to wilk - Charles powiedział.

- Urok. Czarownica nie wzięła niczego od ciebie, Anno? Skóra, krew, albo włosy?

Gdy wilk pojawił się, Mary złapała ją za włosy.

- Włosy – jej głos był tak zachrypnięty, że prawie go nie rozpoznała.

- Gdy są czarownice w pobliżu, to dobrze jest trzymać je na odległość – powiedział - Twoje włosy pozwoliły jej narzucać Ci twoje sny. Gdybyś umarł w nich, umarłabyś rzeczywiście.

Wiedziała, że to będzie ważne za minutę, ale nie natychmiast. Trochę jak oszalała ona rozpięła jego kurtkę. Chwycił jej ręce i powiedział – Co Ty chcesz? Mogę pomóc?

Jego ręce były tak ciepłe - Muszę zobaczyć twoje plecy.

Uwolnił ją, rozebrany z kurtki, a mimo to klękając, przekreślił się tak by mogła zobaczyć, że pasy z koszuli zawinięte wokół jego tułowia były wolne od krwi.

Położyła swoją głowę na jego ramię i wciągnęła w płuca jego zapach. Mogła poczuć zapach starej krwi i cierpkiego zapachu leczenia ran.

Złapała jego koszulę oburącz i spróbowała się pozbierać.

- To był tylko koszmar? - powiedziała, wystraszona.

- Nie – powiedział - To było zsumowanie najgorszych twoich strachów – objął ją ramionami, otaczając jej zimne ciało jego gorącem. Szepnął do jej ucha -

Próbowaliśmy obudzić cię przez około piętnaście minut - przerwał, wtedy powiedział

- Ty nie byłaś jedyna, który była przerażona. Twoje serce zatrzymało się. Przez prawie minutę nie mogłem doprowadzić cię do oddychania... ja... podejrzewam, że

będziesz miała stłuczenia. Reanimacja jest jedną z tych całkiem trudnych rzeczy; linia jest tak cienka między wpychaniem powietrza a łamaniem żeber.

Zacieśnił uścisk i wyszeptał - Jednym z problemów posiadania brata, który jest lekarzem jest fakt że wiem jak niewielu z ludzi, którzy potrzebują reanimacji, przeżywa.

- Tak, no cóż, stawiam, że większość z nich nie jest wilkołakami.

Wycofał się po chwili i powiedział dziarsko – Jesteś zmarznięta. Myślę, że już czas na więcej jedzenia. Wciąż zostało kilka godzin do świtu.

- Jak się masz?

Uśmiechnął się - Lepiej. Dużo jedzenia, trochę odpoczynku i jestem jak nowo narodzony, prawie.

Wyciągnął kilka paczek jedzenia z plecaka – rzeczy, które nie potrzebują ciepłej wody. Bardziej liofilizowane owoce i suszone mięso.

Rozerwała kawałek suszonego mięsa zębami i żuła – Wiesz zaczynam się przyzwyczajać do takiego jedzenia .

Walter rozłożył się po jej stopami. Ponieważ był duży, szybko rozgrzał jej przemarznięte palce.

Położyli się znowu, Anna wcisnęła się pomiędzy mężczyzn, Charles objął ją.

- Jestem przerażona powrotem do snu - powiedziała. I to nie było dlatego, że powiedział jej że czarownica może zabić ją. Nie mogła stanąć znowu przed widokiem zwłok Charlesa.

Charles przytulił ją mocniej i zaczął śpiewać łagodnie. Jego piosenka była Indiańska.

Walter westchnął i ruszył się do wygodniejszej pozycji ponieważ wszyscy czekali na poranek.

Rozdział 12

Ciemność nie martwiła Brana wcale, ponieważ szedł w kierunku miejsca, które Tag i Charles wybrali na najlepszy punkt startowy. Minął subaru Asila i zawahał się - jeśli Asil podąży za Charlesem, to znaczy że zna najszybszą drogę.

Ale Charlesa kierowałby się z powrotem do samochodu gdyby coś poszło nie tak. Więc Bran kontynuował wspinaczkę.

Różne rzeczy chodziły mu ciągle po głowie. Była pewna czarownica na usługach u wilków. Nie e

jego stadzie - nie dogadywał się z czarnoskórymi czarownicami, a większość dobrych wróżek nie była wystarczająco potężna aby być przydatnymi. Ale były czarownice dostępne dla niego.

Gdyby przyjął dwustuletnią czarownicę zdolną trzymać i torturować wilkołaka przez dwa dni - nie miał żadnego zamiaru rozgłaszać i zachęcać innych czarownic by naśladowały tą jedną. Szczególnie jeśli ona, tak jak matka Brana, mogła mieć swoje umiejętności dzięki jakiegoś rodzaju więzi z wilkołakiem.

Nie. Najlepiej trzymać czarownice z daleka od tego.

Mógłby wezwać Charlesa z powrotem .

To była ciężka sprawa. Telepatia była dla niego jak łańcuch łączący go z jego matką miała. Dlaczego już nie mógł odczytać myśli innych.

Po tym jak zabił czarownicę, która była jego matką, gwałtowne rozerwanie ich więzi zabrało ten talent. Powoli odzyskiwał umiejętność rozmawiania w umyśle, ale nigdy nie mógł podsłuchać.

Jedynym przyczyną dlaczego jego matka mogła go schwytać była ta właśnie umiejętność – odnalazła jego umysł. Rzadka rzecz, nawet wśród urodzonej czarownicy. Zostałby zaskoczony gdyby była inna czarownica z tą umiejętnością w Ameryce Północnej. Ale był wciąż zbyt tchórzliwy by spróbować nawiązać połączenie, przynajmniej do czasu gdy wiedział na pewno, że jego syn był wolny od czarownicy Asila.

Ze wszystkich magicznych stworzeń na tym starym świecie, Bran gardził i bał się

czarownic ponad wszystkim. Prawdopodobnie gdyby sprawy potoczyły się inaczej, byłby jednym z nich.

Opuścił autostradę i podjechał Silver Butte. Widział przed sobą ślady pojazdu. Charles postąpił zgodnie z planem, przynajmniej do tej pory.

Dojechanie do samochodu ciężarowego Charlesa w górę drogi, było trochę trudne, mając na głowie wszystkie inne sprawy. Zaczynał myśleć, że powinien zaparkować obok samochodu Asila kiedy ominął niewidomą krzywą i prawie rozbił swój samochód, które zatrzymał się tuż przed drzewem. Wrzucił wsteczny i zaparkował między samochodem Charlesa a drzewem. Wyłączył silnik i wysiadł ostrożnie, ponieważ śnieg pokrywał wszystko i nie był pewien czy nie maskuje także jakiegoś rowu.

Nie było żadnego bezpiecznego miejsca nigdzie w odległości mili; zastanawiał się ci by zrobił, gdyby musiał całą drogę powrotną jechać do tyłu. Uśmiechnął się kwaśno do siebie; to nie będzie ważne tak bardzo jeśli nie wyjdą z tego cało.

Asil miał czas by spotkać się z Charlesem. Asil wiedział dużo o czarownicach. Na pewno jego syn i Maur mogli by załatwić wszystko na co się natknęli. Jeśli Charles trzymał się swojej trasy, Bran miał nadzieję odnaleźć ich zanim zapadnie zmrok.

Zostawił kluczyki w zapłonie. Nikt nie miał zbyt dużych szans by tu przyjść i ukraść samochód.

Nie kłopotał się by założyć kurtkę, ponieważ miał zamiar pójść wilk w postaci wilka. Rozebrał się w ciepłej kabinie, przygotował się i wyskoczył z samochodu przed zakończeniem przemiany. Otwarcie drzwi w wilczej formie było możliwe - ale zazwyczaj to pozostawiało za sobą jakieś uszkodzenie. I pomimo częstego narzekania jego syna, jak to on bardzo nie cierpi samochodów, Charles bardzo lubił swój samochód terenowy.

Bran dostosował się do równych susów, mógł utrzymać taką prędkość cały dzień.

Minęło sporo czasu, odkąd był w tych górach. Nigdy nie przepadał za polowaniami, jednak nie wiedział do końca dlaczego. Charles twierdził, że góry nie przyjmują chętnie intruzów i stwierdził, że to jest bardzo dobre wyjaśnienie jak żadne inne.

Podążanie według zaplanowanej trasy Charlesa wydawało się być najlepszym

sposobem od jakiego mógł zacząć. Ich cała pętla nie była większa niż trzydzieści mil i mógł przebiec ją całą i wrócić do samochodu tuż przed zmrokiem.

Oprócz ganeczka ze starą zieloną schodzącą farbą, chata nie zmieniła się znacznie od tej pory, gdy ją widział ostatnim razem, może było to pięćdziesiąt lat temu kiedy Charles był tu ostatnio. To nie było na co patrzeć, mała chata z bali jak setki innych w środowisku naturalnym Montany, większość z nich była zbudowana podczas Wielkiego Kryzys.

Polana była osiwiiała przed lata słońca, deszczu i śniegu. Usiadł dyskretnie między grzbietem chaty a lasem.

Charles zatrzymał Annę trzydzieści jardów wcześniej, aby uchronić ją przed wiatrem, tam gdzie drzewa wciąż zakrywały ich wystarczająco. Jak tylko zatrzymał ją, Walter przyłgął na ziemi do jej stóp, po prostu jak oddany pies... co znaczyło mniej więcej to samo co średni baribal, który potrafił narobić więcej zniszczeń.

Oddanie Waltera było tak oczywiście anty seksualne, że Charles nie mógł znaleźć w sobie powodu do obiekcji. Pamiętał żarliwe wyznanie Waltera - Myślę, że mógłbym spać - On wiedział co to znaczy być dręczonym przez wspomnienia śmierci i morderstwa. Gdyby jej udało się dać Walterowi jakiś spokój, bardzo by się ucieszył.

Charles wpatrywał się intensywnie w kierunku chaty i bardzo chciał się nie bać. Już od bardzo dawna nie lękał się w ten sposób. Był przyzwyczajony do zamartwiania się o Samuela, swojego ojca, a ostatnio o Anna, ale nigdy o siebie. Wspomnienie o tym jak czarownica Asila zmusiła go swoim zaklęciem do posłuszeństwa jakby była jego Alfą, zachwiało jego wiarę w siebie.

Pomasował Annę lekko w ramię. Wiedział, że nie jest tak słaba na jaką wygląda, żaden wilkołak

nigdy nie był tak kruchy. No i stary wojak był twardy; Charlesa podniosło to na duchu.

- Nie będę mógł pomóc bezpośrednio - Charles powiedział jej - Jeśli znajdę się na linii jej wzroku, ona znowu mną zawładnie. W stadzie dla Alfy znaczenie ma odległość, konieczny jest kontakt fizyczny.

Ani Walter ani Anna nie należeli do stada jego ojca więc nie mieli związku do Asilem.

Oprócz więzi wilka Anny z Charlesa, to powodowało, że byli tak samo nie podatni jak jakikolwiek samotnik. Ale on wiedział, że to zazwyczaj trwa tylko chwilę zanim czarownica posiadzie kontrolę nad samotnikiem - wystarczająco długo żeby mógł wziąć się za to.

Jej kontrola na niego byłaby natychmiastowa.

Nienawidził czarownic. Inni użytkownicy magicznych zdolności nie przeszkadzali mu tak bardzo. Druidzi wpływają na świat przyrody: pogoda, rośliny i jakieś zwierzęta. Czarnoksiężnicy bawią się nieżyjącymi rzeczami. A czarownice wykorzystują umysł i ciało. Umysł i ciało każdego. Bawią się rzeczami, które są żywe – albo były żywe. Dobre wróżki nie są tak złe, chociaż nie można być tego takim pewnym, ponieważ większość z nich ma mniej magicznych mocy niż on. Czarnoskóre czarownice zdobyły moc przez zabijanie albo torturowanie wszystkich: od much do ludzi.

- Dobrze - Anna powiedziała jakby stawała przeciwko czarownicom codziennie w swoim życiu - Jeśli oni są tutaj, ty zabierzesz jej wilka... i prawdopodobnie Asila. To powinno się udać nawet jeśli ty nie jesteś całkiem zdrowy.

Kilka godzin snu, które miał, dużo jedzenia i powolne oraz łatwe tempo dzisiejszego ranka zrobiło dużo aby przywrócić Charlesowi siły. To da mu sposobność odebrania zwierząt czarownicy.

Anna drżała trochę pod jego ręką, połączenie zapachu i nerwów, pomyślał. Ona zareagowała na ten sen jakby to był atak na niego raczej niż na nią, chociaż to ona była tą, która przestała oddychać.

Walter podniósł swoje oczy na Charlesa i zobaczył w nich determinację by chronić ją w każdy niezbędny sposób. To martwiło Brata Wilka, zobaczyć to w oczach innego mężczyzny, ale ze względu na okoliczności, Walter był w lepszej pozycji by ją ochronić niż Charles.

- Zrobię rozpoznanie. Na razie, chciałbym abyś tu zaczekała, dobrze?

- Poczekam - Anna powiedziała.

- Nie stawaj się zniecierpliwiona, to trochę może potrwać.

Chata stała w środku lasu, z dwadzieścia stóp od strony frontu z jednej strony las przerzedzał się. To niebyło miejsce gdzie postanowiłby ukryć się przed wilkołakami... ale przecież, ona wcale się go nie bała. Na pewno nie dał jej jakiegokolwiek powodu by miała się bać go.

Ku jego zaskoczeniu, Walter poszedł za nim, znikając w cieniu, a Charles wiedział o jego istnieniu tam dzięki jego zapachowi. Duchy tego lasu rzeczywiście traktowały Waltera jak swego i dawały mu swoją ochronę. Jego dziadek, też mógł tak zniknąć.

W odległość rzutu kamieniem do chaty, Charles widział, że była pusta. Gdy Walter pojawił się

kilka jardów przed nim, poruszanie ogona dawało mu rozwlekłą wiadomość, że ma rację. Ale wciąż czekał do czasu gdy obszedł dokoła małą strukturę i otworzył drzwi, wcześniej jednak odesłał Waltera do Anny.

W środku, było ledwie miejsce na wąskie łóżko i stoliczek, które były jedynym wyposażeniem,

nie licząc wąskiej półki nad gzymsem kominka. Łóżko było zupełnie nowe i miało jeszcze metki handlowe. Stół wyglądał jakby był stary jak chata.

Palenisko zdradzało oznaki niedawnego ognia. Zdechłe zwierzę na podłodze przed kominkiem jednoznacznie mówiło kto tu był: czarownice i martwe rzeczy pasowały do siebie. Były czarownice, które nie zabiły, ale były dużo mniej potężne niż ich ciemniejsze siostry.

Kilka desek na podłodze miało nowe świecące gwoździe i łom wskazywał na to gdzie były one oderwane i przybite z powrotem. Gdy przeszedł obok łóżka, dokładnie wiedział dlaczego poczuł wcześniej pole elektryczności. Niektóre czarownice wykorzystwały zaklęcia aby stały na straży swoich rzeczy, a niektóre aby zatrzymać moce, które mogły by się przydać na później. Skoro chata nie zatrzymała go za progiem i on nie czuł potrzeby wyjścia, tylko mógł przypuszczać, że pod podłogą jest więcej martwych zwierząt . Zrobił głęboki wdech, ale martwe zwierzę, które już wcześniej zobaczył mogło tłumaczyć zapach śmierci - i nic nie gniło. Żadne zwierze, które zabiła nie było martwe zbyt długo – albo zamarzyły w zimnym - albo zmieniała

tego wygląd by trzymać na odległość padlinożerców. Zmianie sensu tego co się widzi było jedną z głównych mocy czarownicy.

Jego ojciec powiedział, że Charles mógłby być czarownicą gdyby wybrał takie nauki. Bran nie zachęcał go do tego, ale również nie zniechęcił w żaden sposób. Ale nieznaczne czary ludzi jego matki odpowiadały Charlesowi i on nigdy nie żałował drogi, którą wybrał nawet stojąc w środku tej biednej chaty poplamionej złem.

Zapach na śpiworze na łóżku był wystarczająco świeży co świadczyło o tym, że czarownica spała tu poprzedniej nocy. Stół miał pozostałości grubego czarnego zapachu świecy krwi bardziej niż wosku i stała tam moździerz z jakimś popiołem z resztkami włosów Anny.

Coś osobistego pozwoliło jej dostać się do snów Anny.

- Co to jest? - Anna powiedziała wkładając głowę w drzwi. Poczuli się natychmiast lepiej dzięki jej obecności, jakby jakoś zmniejszyła zło, którym nasiąknęło drewno i cegły.

Kiedyś jej to powie, aby zobaczyć niedowierzanie w jej oczach; zaczynał znać ją dość dobrze by przewidzieć jej reakcję. To sprawiło mu pewne zadowolenie.

Przesunął swoje spojrzenie na pozbawione wnętrzości i obdarte ciało przed kominkiem.

- Szop pracz, myślę. Przynajmniej taki czuje zapach. - To również pachniało cierpieniem i zostawiło znak pazura na podłodze, prawdopodobnie potem to zostało przybite. Nie widział powodu aby powiedzieć Annie, że prawdopodobnie jeszcze żył gdy czarownica okaleczyła go.

- Co ona próbowała zrobić? - została w drzwiach, a Walter był tuż za nią.

Żadne z nich nie zrobiło jakiegokolwiek próby wejścia do środka.

Wzruszył ramionami - Nie mam pojęcia. Może to było zaklęcie nad którym pracowała wczoraj wieczorem, aby przynieść Ci ból i cierpienie.

Anna wyglądała na chorą – Tutaj są gorsze potwory niż wilkołak, prawda?

- Tak - zgodził się - Nie wszystkie czarownice używają takich rzeczy, ale wtedy trudniej jest być dobrą czarownicą.

Była tam szklana miska, wciąż napełniona wodą, na podłodze obok szopa pracz. We

wnętrz chaty temperatura nie była wyższa niż zewnątrz; gdyby to leżało tam dłużej, wtedy był by to lód. Nie tęsknili za czarownicą zbyt.

Nie chciał, ale dotknął zdechłego zwierzęcia by sprawdzić jak dawno robiła na nim swoje tortury. Jego ciało było wciąż...

To ruszyło się z trudem, ale szybko wyjął swój nóż i przeciął jego szyję tak szybko jak mógł. Nic nie powinno przeżyć takich tortur. Spojrzał jeszcze raz w zamyśleniu na deski podłogowe. Może nie było żadnego zapachu rozkładu, ponieważ to co było na dole, zakotwicząc jej moc, nie było martwe.

Walter warknął, a Charles zgodził się z tym odczuciem.

- Zostawiła to żywe - Anna szepnęła.

- Tak. I prawdopodobnie ona będzie wiedziała, że zabiliśmy to.- Charles wyczyścił swój nóż o śpiwór, wtedy odłożył go do pochwy.

- Więc co robimy teraz?

- Spalimy chatę - Charles powiedział - Większość czarów to mikstury i zaklęcia. Pałac to miejsce z jej mocą, okaleczymy ją trochę. - I uwolnimy wszystkie biedactwa albo rzeczy, które złapała w pułapkę pod chatą. Nie zamierzał powiedzieć o tym Annie.

Anna znalazła pół karnistra benzyny przywiązanej do pojazdu i Charles oblał łóżko a następnie zbudował ognisko pośrodku podłogi z drewna na opał. On wysłał Annę i Waltera z dala od budynku przed zapalaniem podpałki. Benzyna spaliła jego nos zanim ogień rozszerzył się na dobre. Począł aż był pewien, że rozpałiło się na tyle by spalić chatę, wtedy dopiero wyszedł.

Kłusował w kierunku Anny i Waltera, którzy zatrzymali się dość daleko. Gdy doszedł do nich,

chwycił rękę Anny i szarpnął ją dalej, kierowany swędzeniem między jego łopatkami. Jak już byli pięćdziesiąt jardów dalej, gdy chata wyleciała w powietrze, powalając ich wszystkich na ziemię.

Anna podniosła swoją twarz ze śniegu i wypluła jakiś brud z ust – Co się stało? Ona miała jakiś dynamit czy co?

Charles przewrócił się i walczył by nie pokazać, że ten upadek pogorszył jego ranę

klatki piersiowej - Nie wiem. Ale czary i ogień mają dziwny przebieg czasami. –
popatrzył na miejsce,

gdzie do niedawna stała chata i zagwizdał bezszelestnie. Została z niej zaledwie sterta kamieni, gdzie była podstawa kominka. Kawalki pojazdu i chaty zostały rozrzucone prawie do ich stóp, a drzewa najbliższej chaty zostały roztrzaskane jak wykałaczkę.

- Wow - Anna powiedziała - Wszystko w porządku, Walter?

Wilk podszedł do jej stóp i otrząsnął się, zaglądając w twarz Anny z uwielbieniem.

- Wiedziała, że będziemy jej szukać - powiedział Charles.- Próbowała ukryć to przed nami. Nie poczułem żadnego zapachu, gdy Walter i ja obeszliliśmy dokoła chatę.
A Ty Walter?

Duży wilk też nie poczuł.

- To co robimy?

? Pomimo wszystkich naszych strachów, myślę że już czas zadzwonić do mojego ojca.- uśmiechnął się do Anny - Jesteśmy nie zbyt daleko od samochodu, a on wie że coś jest źle. Obudził mnie wczoraj wieczorem - wiedział, że jesteś w tarapatkach. On nie jest głupi i zna kilka innych czarownic, które możemy poprosić o pomoc.

Bran biegł od kilku godzin lub coś w tym stylu gdy ich usłyszał.

- Mówiłem ci, że najprawdopodobniej wyśle Taga gdyby Charles potrzebował pomocy- powiedział Asil - I mówię Ci, on nie jest takim głupcem by przychodzić samemu.

Bran zasadziły całe cztery stopy i zatrzymał się gwałtownie. Asil nie mówił głośno ale wiedział, że Bran usłyszy go. Co oznaczało, że już za późno na ucieczkę.

Czarownice mogły ukryć się, gdy miały jakiś rodzaj kontroli nad tobą. A Asil wyraźnie nie rozmawiał z Charlesem, więc należał do czarownicy. I był członkiem stada Brana. To był wystarczający związek by zastosować czary wobec Brana.

Odwrócił się by stanąć przodem do Asila i znalazł go stojącego na głazie wielkości niewielkiego słonia. Obok Asila, niewielka kobieta trzymała się Asila jakby myślała, że wiatr mógł by wysadzić ją z kamienia.

- Dlaczego pomyślał, że Tag zrobiłaby cokolwiek lepiej niż ja, tego nie wiem -

kontynuował Asil lekko.

Był ogień w jego oczach ale reszta jego twarzy i mowa jego ciała pasowała do głosu.

- Podejdz tu, senior - kobieta powiedziała i ułatwiła ich spotkanie się przez zejście z głazu z niezwykłą gracją.

Mówiła z amerykańskim akcentem, chyba że powiedziała czystym hiszpańskim. Jego jedna część była zainteresowana faktem, że była tu wystarczająco długo by mieć Amerykański akcent. Jego ucho było zbyt zdrowe by dać się nabrać, który był jej językiem ojczystym - nawet gdyby nie wiedział, że szuka czarownicy, która zabiła partnerkę Asila w Hiszpanii.

Jego druga część zainteresowała się zręcznością wilka jaką okazała gdy skoczyła w dół z głazu. Żaden człowiek nie mógł zrobić tego tak dobrze, czarownica czy nie. Gdy jednak matka Brana miała uczynić go niewolnikiem, mogła poruszać się w ten sposób, także.

Byłby wstrząśnięty tyle że to już zdarzyło się: przyszedł na jej wezwanie tak jak dobrze wyszkolone zwierzę, już kiedyś tak było – dawno, dawno temu.

- Tag - czarownica powiedziała gdy go obeszła - Colin Taggart. Trochę mały... jak na wilkołaka.

On był zorientowany, ona najwyraźniej nie, z napięcia Asila wywnioskował, że tylko czeka aż ona odkryje jak wprowadził ją w błąd – Mówiłem Ci, że wysłę Taga –ale on nim nie był - Spójrz, to jest Tag - Asil próbował i Bran docenił go za to, wiedząc jak trudna była równowaga na linii, którą kroczył.

Z powodu strachu promieniującego z daleka od niego, Asil wiedział jakie mogą być konsekwencje. Nie było wielu ludzi, którzy pamiętają co zdarzyło się gdy Bran uwolnił się w końcu od swojej matki: Samuel, Asil... Nie mógł myśleć o trzecim, to było dawno temu. Prawdopodobnie czarownice same nie wiedziały dlaczego to zostało zabronione próbować

wziąć wilkołaka na zwierzę domowe - nie to, że najpotężniejsze z nich nie mały władzy by to zrobić.

Bran stał przez chwilę. Po pierwsze, czarownica mogła popełnić błąd - szczególnie jeśli ona nie

wie kogo schwytała. Po drugie, obawiał się, że tym razem nikt nie będzie mógł zabić go. To Samuel, uratował go z tego wcześniej... a Samuel nie jest już tak pewny siebie jak był kiedyś.

Kontrola, którą czarownica miała nad nim musiała zostać stworzona przez krew i ciało, a jedynie użycie ciała i krwi kogoś z tego paczki mogło do tego doprowadzić. Musiała użyć Asil by powiązać się z jego stadem - ale jak?

Podczas gdy oglądała go, próbował nawiązać połączenie z Asilem, by znaleźć coś co dotknie czarownicę. Poświęcił bardzo mało uwagi czarownicy, gdy ta mówiła do niego. Ze zręcznością spowodowaną bardzo długim życiem, Brana prześliznął się do umysłu Asila i znalazł zmarłą - to tylko mogła być partnerka Asial. To było niemożliwe.

Nikt nie mógł połączyć się przez zmarłych; wiedział, że kiedy Blue Jay Woman, Charlesa matka, umarła, próbował złapać się jej.

Ale, niemożliwości stają się możliwe gdy dodasz czarownicę do mieszanki.

Nie mógł badać dalej; kobieta nie żyła, a jej połączenie było przez Asila — ale jedyny sposób na posiadanie takiej kontroli przez czarownicę miało by sens gdyby była bardzo blisko ze zmarłą partnerką Asila.

Wtedy mogłaby przeprowadzić swoje własne czary przez to połączenie i mogła przejąć kontrolę nad każdym z wilków Brana.

Poświęcił czas na udzielenie Asilowi zimnego spojrzenia. Asil wiedział, że więź do jego zmarłej partnerki nadal funkcjonowała - i on powinien powiedzieć Branowi. Miał przeczucie że było więcej takich rzeczy, o których powinien wiedzieć.

Czarownica jakoś utrzymywała przy życiu więź łączącą tę parę po tym gdy zabiła Sarai.

Nienawidził czarownic.

- Colin Taggart – powiedziała – Jesteś teraz mój. Twoja wola jest moja.

Poczuł czary, które przeląła na niego. Trochę z tego zsunęło się z niego jak miód na ciepłym toście: zostając trochę, tu i tam. Ale zaraz przywiązały się i zespoliły ponieważ chodziła wokół szepcząc słowa zaklęcia. To nie bolało, ale sprawiło, że poczuł się klaustrofobicznie, a kiedy on spróbował ruszyć się, nie mógł.

Panika rozszerzała się i coś pobudziło się tam gdzie dawno temu pochował to. Wziął głęboki drżący oddech i próbował nie wpuścić do środka czarownicy do jego świadomości. Panika była bardzo, bardzo niebezpieczna - bardziej niebezpieczna niż ta czarownica.

Więc skierował swoją uwagę na inne sprawy.

Najpierw, próbował odciąć Asila od stada. Gdyby złamał powiązanie między nim a Asilem, mógłby mieć szansę na uwolnienie się od czarownicy. Powinien móc to zrobić, ale osobliwa więź Asila i jego partnerki, oraz sposób w jaki czarownica wykorzystwała magię stada nie pozwalały mu na to do czasu gdy nie będzie pewny, że może uwalniać Asil od kogokolwiek: Sarai, czarownicy, stada, albo Baran, nawet jeśli będzie musiał przeprowadzić ceremonię krwi.

Monotonny śpiew czarownicy zmienił się i poczuł, jak jej kontrola dociska się wokół niego do czasu aż nie mógł odetchnąć... Nie.

Wyłączył się całkowicie na czarownicę i zabrał się za minimalizowanie uszkodzeń jak najlepiej mógł.

Ograniczył związki, które miał ze swoim stadem do czasu gdy ledwie mógł je wyczuć. Gdyby miał normalne stado, mógłby zaryzykować odrzucanie więzi całkowicie - ale było wielu, którzy nie mogli być zostawieni na długo samym sobie. Ograniczenie mogłoby ukryć ich przed czarami czarownicy - i utrudni jej wykorzystanie ich gdyby próbowała.

Co prawda ma Asila, jeśli jednak będzie mógł zapobiec temu, nie będzie miała już dostępu do jego stada. Asila dał radę wmówić jej, że jest Tagiem, więc nawet nie będzie wiedziała gdzie patrzeć. Jest paru starych wilków nad, którymi kontrola stała się delikatna; te dał Samuelowi, odcinając ich od siebie całkowicie. To będzie wstrząs dla Samuela, ale wilki znają jego syna i nie będą protestować. Samuel poradzi sobie z nimi przez chwilę.

Nie wiedział czy czarownica ma jakieś atrybuty wilkołaka by rozwikłać to co zrobił, ale uczynił to tak trudnym, jak on tylko mógł. Przynajmniej to ja trochę opóźni.

Ale prawdziwy powód jego pośpiechu był taki, że kiedy... gdyby oszalał, nie pociągnie całego stada za sobą natychmiast. Ktoś - Charles był najlepszą nadzieją dla

niego, jednak Asil może zarządzić to - miałby okazję zabić go.

Skończył swoją pracę zanim czarownica skończyła swoją. Minęły wieki odkąd był tak samotny

w swojej głowie. W innych okolicznościach, mógłby to polubić.

Nie walczył z czarownicą gdy pstryknęła palcami i kazała mu iść przy nodze. Szedł z jej lewej strony, podczas gdy Asil, w ludzkiej formie, odprowadzał ją z prawej strony. Jakoś nie pomyślał, że dostrzega cień żyjątko, które szło obok Asila. Nie zauważyłby tego gdyby nie dostrzegł wgniecenia śniegu tak nieznacznego jak pod łapami wilka - ale mógł poczuć ją i jej czary.

Strażnicy, kiedyś nazywali takie rzeczy. Charyzmatyczne imię dla takich odraz, on zawsze tak

myślał. Był zadowolony gdy usłyszał, że rodzina posiadająca takie zaklęcie nareszcie została

wyeliminowana. Oczywiście jego informacje nie były całkowicie dokładne. Nawet u szczytu ich mocy, nigdy nie słyszał że stworzyli strażnika z wilkołaka.

Bram patrzył na Asila, ale nie mógł powiedzieć czy Maur wiedział, że jakaś część jego partnerki towarzyszy im - jakby została wezwana do bycia blisko tak często jak zapragnie jej twórca.

Strażnicy, przypomniawszy sobie, byli niszczeni co siedem lat, by zapobiec właśnie takim zdarzeniom. Wilk Sarai był w pobliżu przez dwieście lat - zastanawiał się ile niezależności ona

posiada.

- Powiedz mi, Asil - czarownica rozkazała, wzięła do pod ramię jakby on był jakimś zacnym

panem a ona kobietą przechadzającą się raczej przez salę balową a nie przez głęboki śnieg.

- Jak się poczułeś gdy Sarai postanowiła chronić mnie a nie zostać Ci wierną?

Był trochę prawdy w jej słowach; sądziła, że Sarai dokonała wyboru. Z wahaniami w ciągłości kroków Asila, również to usłyszał.

- To właśnie zrobiła? - zapytał.

- Kochała mnie bardziej niż ciebie - czarownica powiedziała – Ja jestem jej małym motylem i ona troszczy się o mnie.

Asil milczał przez moment, wtedy powiedział - Myślę, że już od dłuższego czasu nie jesteś motylem dla nikogo.

Czarownica zatrzymała się i zmieniła nagle język na hiszpański - Kłamca. Kłamca. Nic nie wiesz. Ona kocha mnie. Mnie! Została ze mną gdy wyjechałeś w swoją podróż. Odesłała mnie tylko z twojej winy.

- Kochała cię - zgodził się - Wtedy. Teraz ona już Cię nie kocha. Ona nie może kochać nikogo.

Zauważył kątem, że lekkie ślady łap, były blisko biodra Asila.

- Zawsze byłeś głupi - czarownica powiedziała - Sprawiliś, że ona odesłała mnie.

Trzymałaby

Mnie w domu, gdzie należałam.

- Byłaś czarownicą i nie posiadałaś żadnej kontroli nad swoimi mocami - Asil powiedział – Musiałaś się tego nauczyć.

- Nie wysłałaś mnie bym się uczyła - wykrzyknęła, łzy zalśniły w jej oczach i uwolniła się od jego ramienia – Posłałaś mnie do więzienia. I wiedziałaś. Czytałam listy, które napisałeś do niej. Wiedziałaś jakiego rodzaju szkolenia ta czarownica prowadziła. Linnea nie była nauczycielką, była strażnikiem więziennym.

Asil spojrzał w pustą twarz czarownicy – Miałem do wyboru wysłać cię do Linnea albo zabić. Linnea miała dobrą reputację, jeśli chodzi o rehabilitację.

- Rehabilitacja? Nie zrobiłam nic złego! – tupnęła nogą jakby ona była wciąż dzieckiem, a nie czarownicą o jakieś sto lat starszą niż powinna mieć kiedykolwiek.

- Nic? - ton Asila był zimny - Próbowałaś otruć Sarai, dwa razy. Mieszkańcy wsi w niewytłumaczalny sposób gubili zwierzęta. Próbowałaś udawać, że jesteś Sarai i przyszedłaś do mojego łóżka. Myślę, że Sarai wybaczyła ci wszystko z wyjątkiem tego. Czarownica wydała z siebie cichy, prawie nieludzki krzyk wściekłości - a w oddali nastąpił wybuch.

Czarownica zamarła na chwilę, wtedy pochyliła głowę o złapała się za skroń. Bran poczuł jak jej kontrola poluzowała się. W tym momencie zaatakował. Nie fizycznie.

Wciąż kontrolowała jego ciało.

Użył więzi jaką miała, rzucając jego wściekłością przez połączenie do Asila i do Sarai i jeszcze dalej.

Gdyby miał pięć minut, albo może trzy, uwolniłby się. Zrobił coś z połączeniem jakie miała z Sarai ale to nie było wystarczające.

Czarownica odzyskała w miarę szybko siły - ale to kosztowało ją wiele wysiłku. Nacisnęła go poprzez połączenie i uniemożliwiła mu zrobienie tego jeszcze raz. Gdy było po wszystkim, on wciąż był jej wilkiem - ale ona miała krew sącząca się z jej nosa.

- Powiedziałeś mi, że to jest słabszy wilk - splunęła, a gdyby nie była tak słaba, Bran pomyślał, że ona mogła by zabić Asila tu i teraz - A ja uwierzyłam ci – tak jak wierzyłam Ci, że odsyłasz mnie daleko dla mojego własnego dobra. Powinnam wiedzieć lepiej. On jest bystrzejszy niż sądziłam. Gdy zawiodłeś, ty i ten drugi wilk - Bran wysłałby tylko najlepszego. Kłamiesz i kłamiesz jakby to była prawda.

- Nie chcesz mi wierzyć - Asil powiedział - Ale możesz wyczuć prawdę. Twoje połączenie z Sarai jest dość silne. Byłaś niebezpieczeństwem dla siebie i dla nas. Zrobiliśmy to dla twojego własnego dobra. Mieliśmy do wyboru to albo zabić Cię.

Pstryknęła drżącym palcem na niego - Zamknij się.

Twarz Asila straciła swoje chłodne opanowanie i skrzywił się. A gdy kontynuował, jego głos był przesiąknięty bólem – To co zrobiłaś jest odrażające. Ta rzecz, w którą zamieniłaś Sarai, ona służy Ci, jest twoim niewolnikiem, bez możliwości jakiegokolwiek wyboru. Bran potrafi więcej

niż ty. On Cię zabije - i to będzie twoja własna wina.

- Nie umrę - krzyknęła na niego - Nie umarłam gdy Linnea próbowała mnie zabić - nie wiedziała

jak potężna byłam albo jak dużo moja matka nauczyła mnie. Zabiłam ją i jej ulubionych studentów i przestudiowałam książki, które zostawiła - miesiącami pisałam do ciebie w jej imieniu jak mi idą postępy w nauce. Ale wiedziałam, że umrę bez ochrony. Nawet moja matka umarła. Więc wzięłam Sarai jako moją strażniczkę, a ona poświęciła mi swoje długie życie ponieważ nie chciała nigdy żyć beze mnie. Nie

możesz zrobić tego komuś wbrew jego naturze. Ty nie możesz. Musiała mnie kochać, żeby to zadziało.

To nie prawda jeśli chodzi o stworzenie strażnika, pomyślał Bran, ale może pozwoliło to

Czarownicy mieć udział w nieśmiertelności wilkołaka. Może to dlatego jego matka wykorzystała go, raczej zamieniła jego i Samuela w zwierzę.

- Kochałaś ją? - Asil zapytał.

- Oczywiście, że ją kochałam !

Skrzywił się i wyszeptał – Ja poświęciłbym moje życie dla niej - i ty ukradłaś je dla siebie. Nie wiesz, czym jest miłość.

Nagle była spokojna. Wysuwając brodę do przodu, powiedziała – Będę żyła dłużej niż ty. Chodź ze mną, mam biznes do zrobienia - spuściła wzrok na Brana - Ty też, Colinie Taggart. Mamy dużo rzeczy do zrobienia.

Wysłał pytanie do Asila, nie wiedząc czy czary czarownicy pozwolą na to. *Jak ważne jest żeby ona nie wiedziała kim jestem?* Jego matka upewniła się, że jedynym umysłem, z którym mógł rozmawiać był jej. Ale ta czarownica nie była z rodziny jego matki, więc to powinno zadziałać.

Czarownica wyciągnęła władczo rękę, a Asil podał jej swoje ramię - A teraz, jak przypuszczasz, ile czasu minie zanim Bran przyjdzie - i ile wilków przyprowadzi ze sobą?

Asil spojrzał na Brana, a gdy tylko czarownica nie mogła dostrzec jego twarzy, wysłał sygnał który był odpowiedzią na pytanie Brana. To było bardzo ważne żeby ona nie wiedziała kim był.

- Niedługo - Asil powiedział czarownicy - I myślę, że nie zabierze żadnego wilka . Gdy tylko weźmiesz jego, będziesz miała wszystkich z jego stada.

To ostatnie zdanie było skierowane do niego. W takim razie, musi ochronić swoje stado najlepiej jak tylko może.

- Dobrze - czarownica powiedziała - Chodźmy załatwić sprawę z jego synem i tą mieszającą się suką, dobrze? Może przygotuję go jako prezent dla Brana — powitalny prezent. Jak myślisz, co najbardziej polubiłby? Skóra wilka czy ludzka

skóra. Skóra wilkołaka jest miękka i ciepła, ale ludzka skóra jest bardziej wstrząsająca - i więcej nieprzydatna potem. Zabierz mnie do Charlesa.

To poruszyło go. Uspokoił się trochę, wiedząc, że Charles był chytrym starym wilkiem o doświadczonej myśliwym. Skoro jeszcze go nie miała i jeśli eksplozja była jego sprawką, w takim razie Charles wie z czym walczy. Nie zaskoczy go.

Uważaj, mój synu. Czarownica poszukuje cię. Uciekaj.

Charles trochę oczekiwał, że czarownica przyjdzie, ale nie złapał żadnego znaku przez całą

drogę powrotną do Humvee.

- Czy to nie jest twój samochód ? - Anna zapytała go.

- Tak - powiedział ponuro. Otworzył drzwi i pozwolił jego nosowi sprawdzić wnętrze. Jego

ojciec przyjechał tu. Kabina była zimna. Przyszedł parę godzin temu.

Jak zapowiadał Tag, zajęło tylko trochę spaceru znalezienie miejsca, z którego mógł zadzwonić.

Dzwoniąc na komórkę Brana, spowodował włączenie się telefonu w spodniach jego ojca, które były starannie złożone na siedzeniu samochodu. Telefon do partnerki ojca pozwolił mu tylko ustalić, to co już wiedział - jego ojciec wyszedł w środku nocy i Leah nie lubiła młodszego syna Brana za jeszcze bardziej.

Samuel był bardziej pomocny, jednak Charlesowi nie spodobało się to co powiedział.

Charles skończył rozmowę telefoniczną po kilku niezadowolających minutach - Słyszałaś?

- Twój ojciec wie, że możemy szukać czarownicy, która zabiła partnerkę Asila. On wie, że

Asil przyszedł tu szukać nas. - Dotknęła jego ramienia.

Myśląc, że to pomoże ustalić co się stało z jego ojcem, Charles zebrał wszystkie czary jakie przekazała mu matka i próbował połączyć się ze stadem.

- Charles?

Zdumiał się, że wciąż stoi na nogach. Jego głowa dudniła, jakby ktoś zdzielił go i

musiał mrugnąć parę razy by znowu widzieć. Wszystko co mógł pomyśleć, było tak niewyobrażalne - Bran nie żył.

- Charles, co się stało?

Uniósł rękę ponieważ skupił swoją uwagę na jego połączeniu z ojcem. To co znalazł pozwoliło mu odetchnąć.

- Tata wyłączył więzi ze stadem - posłał Annie uśmiech - tak ponury jak czuł się w środku – On nie jest martwy; nie SA całkowicie zgubieni.

- Dlaczego to zrobił? Co to oznacza?

- Nie wiem – spojrzał na Annę – Chcę byś zabrała Waltera i pojechała do Kennewick, w Waszyngtonie, gdzie mój brat teraz jest.

Skrzyżowała ręce na piersi - Nie. I nie próbuj tego znowu. Czułam to pchnięcie. Możesz być tak dominujący jak sobie chcesz, ale pamiętaj, że to nie działa na mnie. Jeśli ona używa więzi stada, Walter i ja możemy być twoim asem w rękawie. Nie zostawię cię tu i możesz już przestać próbować robić mi to.

Spojrzał na nią gwałtownie - spojrzeniem, które zastraszało starych, potężniejszych ludzi - a ona stuknęły go palcem w pierś – To nie działa. Jeśli zostawisz mnie tutaj, to i tak pojedę za tobą.

Nie zamierzał jej związywać - i wiedział, że to byłby jedyny sposób by zatrzymać ją tutaj. Pogodzony z losem, zorganizował ich do kolejnej wędrówki w góry.

Podróżowali z niewielkim bagażem. Przepakował do plecaka Anny jedzenie, zapalki i ich garnek do grzania wody. Znalazł parę rakiet śnieżnych, które były w jego samochodzie. Całą resztę zostawił w samochodzie.

- Myślisz, że już ją znalazł ? - Anna zapytała gdy szli noga przy nodze z powrotem w góry,

Podążając za śladami jego ojca.

- Nie wiem - powiedział jej chociaż obawiał się, że tak było. Gdyby tylko Bran mógł odczytać umysł, jedyny sposób w jaki Bran mógłby dowiedzieć się, że czarownica używa czarów ich stada przeciwko nim, to gdy zobaczy to na własne oczy.

Chciał wiedzieć czy podążanie za jego ojcem było mądrzejsze niż zawrótanie samochodu i wyjechanie do południowego Meksyk. Jego jedna część chciała wierzyć

w mit niezniszczalnego Marroka, ale bystrzejsza część, część, która stanęła potulnie odpowiadając na pytania czarownicy, była zbyt świadoma, że jego ojciec jest tylko osobą, jakkolwiek stary i potężny: nie jest niezniszczalny.

Charles złapał oddech. Był bardzo zmęczony, a jego klatka piersiowa bolała tak samo jak jego noga. Gorszy niż dziś rano. Nie był tak głupi że nie wiedział dlaczego. Jego ojciec miał karmić go siłą stada. Nawet ze swoimi dodatkowymi rakietami śnieżnymi, spacerowanie było twarde. Gdyby miała Brana, Charles nie był już pewny czy mają nawet szansę na uratowanie się.

Nie powiedział tego Annie. Nie zrobił tego pomyślał to przeraziło by ją - ale ona i tak wiedziała o tym, zobaczyła to w jego oczach.

Uważaj, mój syn. Czarownica poszukuje cię. Uciekaj.

- Teraz to jest przydatne, Tao - powiedział głośno - Dlaczego nie mówisz mi gdzie jesteś, albo gdzie idziesz?

- Charles?

- Mój ojciec może rozmawiać w ludzkich głowach - powiedział jej - Ale on twierdzi, że nie może otrzymywać myśli. Co oznacza, że gdy on powie ci coś, nie możesz sprzeczać się z nim, albo nie możesz zapytać go o nic.

- Co ci powiedział?

- Czarownica ma go i ona idzie za nami. Ona ma Asila — więc może znaleźć nas. Nie udzielił mi jakichkolwiek przydatnych informacji, takich jak gdzie oni są albo coś podobnego.

- Kazał ci odejść?

- Kazał mi uciekać - Charles popatrzył spode łba na nią. Z więziami stada tak bardzo rozluźnionymi, rozkaz jego ojca brzmiał bardziej jak sugestia – Nie ma mowy, że zostawię go jej.

- Oczywiście, że nie - Anna powiedziała – Ale idziemy w złym kierunku.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że oni kierują się do chaty, którą wysadziliśmy w powietrze.

Charles zatrzymał się i patrzył na nią - Dlaczego?

- Jeśli ona prosi Asila by znalazł nas, to gdzie on pójdzie – tam gdzie może dać nam

sposobność do ucieczki - posłała mu delikatny uśmiech - Asil jest przeciwiczony w wykręcaniu się od poleceń - Słyszałam różne historie.

To zabrzmiało jak coś, co stary łajdak byłby w stanie zrobić. Gdyby nie był tak zmęczony, sam by o tym pomyślał. W każdym razie, to było lepsze niż podążanie śladami jego ojca.

Charles spuścił wzrok na Waltera - Znać najszybszą drogę do chaty ?

Właśnie wtedy gdy zawrócili i poszli za Walterem, Charles wiedział, że popełniają błąd. Jego

ojciec miał rację, oni powinni uciekać. Każdy instynkt powiedział mu to. Ale tak długo jak była szansa aby uwolnić Brana, Charles nie mógł zostawić go własnemu losowi.

Anna zrozumiała impuls, który skłonił Charlesa do próby wysłania jej i Waltera do jego brata z dala od niebezpieczeństwa. Ona czuła to samo.

Charles był coraz słabszy. Nawet z obydwojema rakietaми śnieżnymi, to szło bardzo powoli. Większa część tego, była skutkiem jego ran.

Walter, wciąż w formie wilku spacerował obok Charlesa i przytrzymywał go dyskretnie.

Gdy zobaczyła drżenie Charlesa, zatrzymała się.

- Zmiana - wiedziała, że to nie pomoże za bardzo, ale zmiana byłaby lepszym rozwiązaniem. Wilk wytworzyłby gorąco lepiej niż człowiek, a jego futro utrzymałoby to ciepło. Ona

wiedziała z jej własnego rozległego doświadczenia, że wilk może funkcjonować lepiej gdy jest ranny niż ludzka forma.

To był wskaźnik wyczerpania Charlesa, że nie zawracał sobie głowy sprzeczeniem się, ale po prostu zdjął ubranie. On schował jego rakiety śnieżne, bandaże, buty i ubranie starannie w jakichś zaroślach.

Gdy był nagi, mogła zobaczyć jego rany wyraźnie. Wyglądały potwornie, rozłaziły się ukazując doskonale mięśnie i kości.

Przykucnął aby nie stracić równowagi gdy się zmieniał. Dziura na jego plecach nie

była tak zła jak ostatnim razem, gdy ją widziała. Mimo wszystko, leczył się.

Jego zmiana wymagała prawie tyle samo wysiłku co u większości wilków.

- Będziemy musieli odpocząć i zjeść zanim dotrzemy tam - powiedziała mu - Nie pomożemy twojemu ojcu jeśli będziemy wyczerpani.

Nie odpowiedział jej, pochylił głowę i poszedł za Walterem.

Skrót Waltera był najbardziej szorstką ziemią jak do tej pory, zostawiając Annę przeklinającą jej rakiety śnieżne i zarośla, które zaczepiły się w jej włosach. Zaczęli się wspinać, kiedy obydwie wilki zatrzymały się i runęły na ziemię.

Anna poszła za przykładem i spróbowała zobaczyć co ich zaniepokoiło.

Rozdział 13

Nie powiedziała mu jak znaleźć Charlesa, więc Asil poprowadził ich z powrotem w kierunku chaty. On był ostrożny w wyjaśnieniach dla Mariposa, powiedział jej że poczuł Charlesa tam, Charles mógł zdecydować by poczekać aż oni tam przyjdą.

To było możliwe że Charles zrobił właśnie tak - więc nie kłamał jej, tak do końca.

Bran

jakoś wyłączył połączenie ze stadem, więc Asil nie mógł sprawdzić ale był całkiem pewny, że Charles jest z dala od chaty. Chłopiec był ostrożny i miał swoją słabą nową partnerkę ze sobą.

Charles powinien być w drodze powrotnej do samochodów. Asil nie znał gór aż tak dobrze, ale miał głowę do odległości. Musiałby tropić go po tym jak dojdą do chaty – albo to tego co zostało z niej - jeśli Charles był wystarczająco bystry by ruszyć z miejsca, poszukiwania czarownicy będą bezowocne.

Oczywiście, gdyby Charles dowiedział się, że jego ojciec jest tutaj, cholerny głupiec prawdopodobnie byłby w drodze powrotnej do niebezpieczeństwa; był tak miłym bohaterskim idiotą.

Jeszcze trochę potrwa zanim dojdą do chaty, więc Asil kupił Charlesowi choć tyle przewagi. Nie wiedział, co zrobić by pomóc mu bardziej.

Ponadto, chciał zobaczyć twarz Mariposa gdy zobaczy szczątki. Zniszczenie chaty było mądrym rozwiązaniem, nie myślał, że Charles będzie tak bystry.

Miał nadzieję, że Charles zabił biednego kojota złapanego w pułapkę, tak blisko śmierci ale jednak trzymanego nadal żywym przez wolę Mariposa i czary. Nigdy nie chciał spędzić nocy przy nasłuchiowaniu biednych torturowanych istot. Już nigdy nie chciałby zobaczyć jak ktoś rani żywe zwierzę. Nigdy nie więcej nie chce widzieć jak jego ukochana Sarai wypełniła się jakimś nieznanym, który patrzył na czarownicę jakby ona były jego boginią i wykonywał jej polecenia. Jego Sarai nigdy nie przyprowadziłby zwierzęcia do Mariposa aby je skrzywdzić.

Nigdy nie przyprowadziła by Asila. Zrobiła to bez jej polecenia. Mariposa nie oczekiwała go.

Strażnicy powinni być posłuszni, nieporadni w samodzielnym myśleniu. Pomyślał, że tam jest więcej wilka niż bezmyślnego strażnika Mariposa. To była taka sama głupia nadzieja, która

zaprowadziła go do tego bałaganu.

Gdyby tylko Anna Charlesa nie była Omegą, jego wściekłość uczyniła by formę Sarai nieprzydatną. Poczul tę wściekłość teraz - bezsilny drący smutek, że wilk jego Sarai został skradziony i zmieniony w tę... rzecz.

Gdyby został z Charlesem, pomógł mu zaplanować co zrobić z Mariposa, może oni mieli by jakąś szansę. Ale obecność Anny uśmierzyła jego ból i wyszła tylko wiedza że cokolwiek czarownica zrobiła Sarai, to nie rozbiła ich więzi. Kiedy wilk który wyglądał jak jego Sarai odszedł, musiał podążyć za nim.

Nie, był za stary by obarczać winą innych ludzi za swoje błędy. To nigdy nie była wina Anny, to

była jego własna wina. Jest za stary by wierzyć w szczęśliwe zakończenie. Najlepsza rzecz jaką mógł zrobić dla Sarai to upewnić się że jej wilk tym razem umrze.

Gdy Mariposa wróżyła ze szklanej miski z wodą dziś rano i odkryła, że nowy wilk nadchodzi, on

wiedział kto to. Wiedział jaka to byłaby katastrofa, gdyby miała w swoich rękach Brana. Więc kiedy zapytała go jakiego innego wilka Bran wysłałby za Charlesem, skłamał. Skłamał ale powiedział też prawdę. Następny wilk jakiego Bran wysłałby by – to Tag.

Asil nie patrzył na Brana, przemierzającego przy nich z całą swoją ostrością. Bran był zawsze zwodniczym łajdakiem, łagodnym i potulny aż do momentu gdy rozrywał twoje gardło. Miał także wiele innych świetnych kwalifikacji.

Asil był pewny, że nawet jeśli w przyływie słabości, zostawił by Brana samego, stary wilk jakoś wywinął by się z tego. Może gdyby mógł dać mu więcej ostrzeżenia?

Gdyby powiedział Branowi wszystko gdy przybył do Aspen Creek przed laty?

Za późno, o wiele za późno.

Asil nie był zmartwiony swoją nie skromnością. Znał swoje siły, które były olbrzymie - i padł jej

ofiara. Nie wiedział dlaczego był przekonany, że Bran byłby zdolny aby stawić opór jej, gdyby nawet był wolny.

Przynajmniej nie wiedziała, że to jest Bran. Narazie.

Chciał żeby to Samuel był w lasach zamiast Charlesa. Charles był zbirzem, zabójcą. On nie mówił zbyt dużo, po prostu ciał się cicho za swoim ojcem siejąc przerażenie.

Asil widział raz czy dwa Charlesa w działaniu - i on był godny podziwu, Asil musiał to mu przyznać. Charles może być silny i szybki, ale to czego tu potrzebowali to subtelność, a nie tężyzna fizyczna. Samuel był stary i przebiegły. Wykształcony. Charles był zabójcą, którego połowa była rozpraszana przez jego nową partnerkę, bezsilną i kruchą partnerkę. Nie była taka jak jego Sarai, która była wojownikiem.

Coś otarło się o jego biodro.

Rzucił okiem w dół, ale nie zobaczył niczego, nawet gdy to dotknęło go jeszcze raz. Dyskretnie, tak aby nie przyciągnąć uwagi czarownicy, opuścił swoją rękę, która upadła na futro. Mimo wszystko, wiedział czego dotknął. Głupia nadzieja urosła w jego sercu jako jego palce zamknęły się na jedwabistym płaszczu, który był bardzo znajomy.

Czarownica może zmieniać postać?

Bran jeszcze raz, ściągnął go z powrotem do rzeczywistości. Niestety Mariposa zauważyła jego wahanie.

- Jest tam coś złego? - zapytała.

- Wiele rzeczy - Asil powiedział jej. Miała rację, cieszył się że zmylił ją z prawdą na tyle na ile mógł. Nie zdobyła jeszcze wszystkich umiejętności Alfy by zadawać określone pytania. Brana było dużo trudniej oszukać.

- Moja Sarai nie żyje, a ja nie.- dyskretnie powąchał powietrze i zrelaksował się co podsunęło mu lepszą odpowiedź dla niej - I jest coś w drzewach - duży drapieжник, który nie jest niedźwiedziem. Słyszałem, że są w tym miejscu rosomaki.

Zlekceważyła drapieżnika i zwróciła uwagę na niego. Zastanawiał się czy wiedziała, że nucił ulubioną piosenkę Sarai. Zrobiła to by go dręczyć, czy może dlatego, że czerpała z tego przyjemność?

Barn zaczekał aż Mariposa zajęła się własnymi myślami, wtedy przemówił do Asila

jeszcze raz.

Czarownica ma nieśmiertelność, siłę i prędkość wilkołaka. Czy ona może również zmieniać postać? Czy tak naprawdę ona jest wilkołakiem? Tuszuje swój zapach jakoś, więc ona pachnie człowiekiem i czarownicą, ale nie wilkołakiem? Czy może ona pożycza te umiejętności od swojego stworzenia?

Asil wzruszył ramionami. Nigdy nie widział jej zmiany. Spuścił wzrok na ręką wciąż schowaną w niewidocznym futrze. Może to była okazja by dowiedzieć się więcej o Mariposa.

Przez prawie dwa wieki, gdy tylko zdał sobie sprawę, że więź parowania daje Mariposa dostęp do niego, blokował ten związek najlepiej jak mógł. Ale najgorsze co mogło się zdarzyć, tak naprawdę już się stało.

Odrzucił swoje tarcze i tylko żelazna kontrola pozwoliła mu na dalsze chodzenie ponieważ miłość Sarai zalała go jak fala oceaniczna. Przez chwilę wszystko, co mógł zrobić zostało położone na jedną stopę przed nim.

Tylko niewiele skojarzonych par mogło rozmawiać między sobą w umyśle, ale z Sarai to zawsze było uczucie. Przez lata, praktyka pozwoliła temu rozwinąć się w coś tak bardzo podobne do telepatii.

Cieszyła się, że w końcu wpuścił ją, więc mogła czerpać z jego energii, stwarzać siebie z niego, a nie Mariposa. Otworzył się dla niej, aby mogła zrobić to co chciała. Gdyby jednak to była czarownica, to byłoby śmiertelne dla niego, ale był pewny że to była jego Sarai. Sączyła tylko trochę od niego aż nauczył się od niej.

Sarai nie żyła, nigdy nie będzie miał jej z powrotem. Zrozumiał to ponieważ ta żywa część jego partnerki też to rozumiała. Gdyby zdołał zabić Mariposa, nawet ten cień, który pozostał po jego partnerce odszedł by na zawsze - jeśli nie, znalazłaby się w potrzasku na ten okres połowicznego rozpadu, który był piekłem na ziemi.

Zrozumiał ale jakaś jego część martwiła się przyszłością, że pewnego dnia obudzi się i coś boleśnie przypomni mu o niej.

Co?

Mógł poczuć frustrację Brana i zastanawiał się jak dużo on wyczuwa z tego co on i Sarai robią. Czy Bran powinien wiedzieć? Sarai myślał, że tak więc spróbował

powiedzieć mu.

- Teraz już wiem, że twój strażnik nie jest nią, ale ona czuje jak Sarai. Czasami myślę jak to miło by było porozmawiać z nią. Jeszcze raz - powiedział i otrzymał nagrodę kiedy paznokcie Mariposa zatoneły w jego rękawie.

- Ona jest tutaj; ona jest Sarai. Ale ona jest moja. - Mariposa powiedziała – Nie potrzebujesz rozmawiać z nią. Ona nie chce cię.

Ale Bran zrozumiał; Asil mógł zobaczyć to w zamyślonych oczach jego Alfy. On mógł poprzestać na tym. Ale Mariposa zgłaszała roszczenia do kogoś, kto był jego.

- Ona wciąż mnie kocha - Asil odpowiedział, wiedząc że to właśnie zrani ją – Przynajmniej jakaś część jej. Mogłem zobaczyć to w jej oczach gdy przyszła po mnie. – A to co zobaczył było rzeczywiste, wiedział to teraz. Gwałtownie, wyznał to co myśli - Przyszła do mnie sama - nie wysłałaś jej.

- Ona należy do mnie.- czarownica zabrzmiała na poruszoną – Tak jak i Ty - zatrzymała się i odkręciła do niego, skupiła się przez chwilę i znalazła coś, co zadowoliło ją. Odwróciła się do niego i posłała mu uwodzicielski uśmiech. – Ty też mnie kochasz - poczuł, jak wyciągnęła rękę do niego przez więź, którą podzielił z wilkiem Sarai i poczuł jej delikatną panikę, która była spowodowana tym, że czarownica mogłaby zobaczyć co robią. Więc postanowił rozproszyć Mariposa. To nie było wcale trudne.

Pochylił się i pocałował ją. Po chwili oszołomienia, ona przywitała go. Wiedział, przez te wszystkie lata, jaka rzeczywiście była podstawa jej obsesji na punkcie Sarai. Próbował powiedzieć Sarai kiedy tylko to zrozumiał, ale ona chciała widzieć tylko dobro w ludziach.

Myślała, że jest zbyt podejrzliwy - i próżny. Powiedziała, że to zaciemnia jego osądy, które nie są prawdziwe.

Nie uwierzyła mu gdy powiedział jej, że Mariposa zwariowała na jego punkcie, aż do tej nocy, gdy drugi raz Mariposa otruła Sarai. Dziewczyna próbowała przebrać się za jego partnerkę. To oczywiście nie powiodło się. Mogła zmienić to jak wyglądała, ale ona nie mogła mieć zapachu takiego jak jego partnerka. Gdyby Sarai była tylko człowiekiem, nie przeżyłaby tej trucizny; za to była chora przez trzy dni. Mariposa

chciała aby ona umarła.

Dopiero wtedy Sarai zgodziła się, że coś jest nie w porządku z dziewczyną. Dopiero wtedy zgodziła się odesłać Mariposa.

Całował Mariposa do czasu gdy była zdyszana, a zapach jej pobudzenie wzrósł w ogromne fale. Wtedy puścił ją, wytarł usta ręką i powiedział jej prawdę absolutną - Nie kocham cię. Nigdy Cię nie kochałem.

Słyszała to w jego głosie, poczuła to w postawi jego ciała. Na moment jej twarz była pozbawiona wyrazu z powodu wstrząsu i prawie mógł współczuć jej. Prawie. Gdyby nie pomyślał o Sarai, o tym biednym kojocie pod podłogą chaty i szopie praczu, którego pokroiła na kawałki i utrzymywała przy życiu - nie dlatego, że potrzebowała go żywego, ale dlatego że to cieszyło ją.

Wstrząs minął dość szybko. Posłała mu cyniczny uśmiech, uśmiech dziwki. – Może i nie, ale pragnęłaś mnie. Zobaczyłam to w twoich oczach. Widzę to teraz. Jestem młoda i piękna, a ona

była stary i duża jak krowa. Pragnęłaś mnie i wiedziała to. Była zazdrosna i odesłała mnie daleko.

Uniósł brew - Strasznie mieszasz swoje historie. Myślałem, że to ja byłem zazdrosny o wielką miłość Sarai do Ciebie. Myślałem, że to Cię odesłałem ponieważ Sarai kochała Ciebie. Nie tak mówiłaś wcześniej?

- *Cabrón!* - głośno tupnęła nogą - *Hijo de puta.*

Trudno uwierzyć, że miała dwa wieki, a że nie była panienką na jaką wyglądała i jak się zachowywała. Jak Piotruś Pan, nigdy nie urosła.

- Kochała mnie. Wybrała mnie w końcu. Dlatego ona jest ze mną a nie z tobą. Ale... - ona

uniosła palec - pragnęłaś mnie. Dlatego zmusiła mnie do wyjazdu. Pragnęłaś mnie i to rozgniewała ją. Byłam młoda i bezsilna, dzieckiem pod twoją opieką i pragnęłaś mnie.

- Dlaczego miałbym pragnąć cię? - zapytał ją chłodno - Miałem Sarai, który była bardziej kobieca niż Ty kiedykolwiek mogła byś być. Chciałem Sarai; dla Sarai żyłem i umarłem. Nie byłaś niczym więcej dla mnie niż zabłąkanym zwierzęciem,

którym Sarai chciała opiekować się.

Pozwolił swojej prawdzie dzwonić w jej uszach, a kiedy jej ręce uniosły się w górę, z poświatą czarów, nie zrobił nic by się obronić. Był pewny że nie zabije go – przynajmniej dopóki, nie przekona go, że ma rację. Albo do czasu gdy doprowadzi ją do prawdziwej wściekłości.

Honor wymagał, by walczyć by żyć, żeby mógł spróbować oderwać jej myśli od Marroka. Po za tym gdy koncentrowała się na nim, nie zwracała jakiegokolwiek uwagi na to co on i Sarai robią.

Ale wilk Sarai nie był tak pełny optymizmu. Chwilę przed tym jak moc czarownicy uderzyła go, pokazała mu obrazy rzeczy, jakie czarownice robią ludziom. Rzeczy, które mogły by go torturować, ale nadal byłby żywy.

Sarai wiedziała, że straszenie go nie było pomocne. Ale to przypomniało mu że gdyby nie zasłonił jej, poczułaby jego ból. I nawet mimo że jest tylko cieniem, on nie chciał by cierpieła.

Podniósł swoje tarcze odcinając od siebie Sarai chwilę wcześniej zanim czarownica uderzyła go, bardziej z furją niż finezją.

Krzyczał ponieważ nie przygotował się, ponieważ to bolało gorzej niż myślał, że to możliwe, oraz ponieważ jego wilk postanowił, że nie zamierza leżeć i pozwolić na to. Zmiana w tym momencie była tak konieczne jak i głupia. Ból zwiększył się czterokrotnie i zaskwierczał w dół zakończeń nerwowych, których w tym momencie wolałby nie mieć. Czas stanął w miejscu, sekundy stawały się godzinami do czasu gdy on istniał tylko w stanie zawieszenia. Wtedy wszystko zatrzymało się. Jego całe ciało zdrewniało jak tylko dokonał zmiany. To był tylko moment, odrobina wolności, którą Sarai kupiła dla niego ponieważ wzięła jego ból na siebie. Zostawiając go w formie wilka, stanęła dwa kroki przed Mariposa i w całości kontrolując jego ciało.

Po raz pierwszy, Mariposa wyglądała na przerażoną i zjadł ten strach jakby to były świeże, ciekące mięso. Chciał to przerwać i przejąć wszystko na siebie. Ale to dało jej czas by wykrzyknąć imię jego partnerki.

- Sarai!

I jego otwarta szczeka spotkała się z futrem zamiast skóry, z krwią Sarai a nie

Mariposa. Jak jego

kły zatonęły głęboko, ból z powodu czarów Mariposa wstrząsnął nim jeszcze raz, by przerwać się kiedy Bran zrobił ruch.

-To coś nie jest takie ohydne - Anna powiedziała Charlesowi - W rzeczywistości mogę to polubić.

Anna ledwie szepnęła podczas gdy przeżuwała liofilizowane lody. On pozornie przekonał ją, że konsumowanie kalorii jest ważne. To wielka szkoda że nakarmiła tym również Waltera i jego. Chociaż Walter wydawał się doceniać to.

Charles burknął ponieważ zmusił się do odwrócenia wzroku od doliny, na której były trzy małe figury, które podeszły na łąkę. Wiatr dmuchał sporadyczne słowa z ich rozmowy.

- Zastanawiam się dlaczego on to robi? - Anna powiedziała ponieważ Asil zmienił się w swojego wilka.

To nie wyglądało dla Charlesa na celowe - może to był jakiś rodzaj dziwacznej kary. Jeśli tak, to odniosło odwrotny skutek. Asil opadł na swoje łapy i w trakcie tego, jego ruchy stały się nagle pełne gracji i skierował się wprost na czarownicę.

Całe ich trójka - Charles, Anna, i Walter — wstali. Byli zbyt daleko by widzieć wynik, ale...

Rzecz, która wyglądała jak wilk partnerki Asila, pojawiła się nie wiadomo skąd i zatrzymała go. I

wtedy jego ojciec zrobił swój ruch. Czarownica, rozproszona przez walkę pomiędzy dwoma wilkami, prawie nie zauważyła tego.

Prawie.

Charles był również za daleko również by zmienić to co zdarzyło się.

ASIL poczuł jej frustrację, ale Sarai nie mogła zignorować głównej zasady, dla której została stworzona, by chronić Mariposa. Jeszcze nie. Nie poświęcił jej dość swojej energii. Więc walczyli ponieważ nie mogła zatrzymać się do czasu aż on będzie martwy albo czarownica zatrzyma ją. Zwykle, to nie byłaby żadna rywalizacja.

Mogła być wojownikiem, ale to Asil nauczył ją wszystkiego co wiedziała, a w tej formie przeważał ją o pięćdziesiąt funtów mięśnia. Był szybszy i silniejszy, ale walczyła by go zabić. Walczył by przeżyć bez sprawiania jej bólu.

Gdyby zabiła go, musiałaby wiecznie rozpaczać, a on nie mógł znieść tego. Poczul jak smycz czarownicy upadła z dala od niego, zobaczył, jak Sarai zawahała się.

A następnie ten moment wolności skończył się.

- Asil, siadaj - Mariposa powiedziała, jej głos był zachrypnięty, ale bat jej mocy ustawił się ponad nim i zmusił go do robienia tego co powiedziała.

- Sarai, stój - Nie zauważyła, że Sarai nie zrobiła nic by kontynuować jej atak.

Ponieważ

nie patrzyła na Sarai; wciąż patrzyła na Brana.

Asil powiódł za jej spojrzeniem.

Początkowo myślał, że Bran nie żyje. Ale Mariposa kopnęła go.

- W górę. Wstawaj.

Ciężko, wstał na swoje nogi. Ciało było wciąż Brana, wilk z białym czubkiem na jego ogonie. Gdy jednak to popatrzyło w górę na czarownicę, nie było nikogo w środku.

Asil zobaczył zombi bez żadnej osobowości. Nawet strażnik, cień jego partnerki miała więcej w środku niż to coś co zostało zrobione z Marroka.

Zadowolona, że Bran był jej posłuszny popatrzyła na Asila. - Hussan, zmień się z powrotem w człowieka.

Ach Allah, to boli. Zbyt wiele zmian w krótkim odstępie czasu, ale jej rozkazy były bezlitosne. Stanął na swoje nogi i poczul nagły pocałunek kryształów lodu na śniegu. Chłód zazwyczaj nie martwił go - mniej nawet niż większość wilkołaków. Ale poczul to teraz.

- Załóż swoje ubranie - warczała.

Było ono rozdarte i zakrwawione, ale lepsze to od stania nago zimą na wietrze. Jego ręce zadrżały, sznurując buty. Mógł znaleźć tylko jedną skarpetę, a ona była tak mokra, że nie założył jej, ewentualne pęcherze nie były zbytym zmartwieniem w tych okolicznościach.

Asil był wystraszony, przerażony. Żadna czarownica jaką kiedykolwiek spotkał, a widział dużo z nich przez te wszystkie lata, nie mogła robić czegoś w tym guście w stosunku do wilka. Popelniał błąd, uświadomił sobie to teraz. Traktowanie jej jak dziecko było błędem, jest potężna, ma dwieście lat, przez które nabyła wiedzę i moc. Ostrożnie nawiązał więź ze swoją Alfą i poczuł... nic. Naprawdę zrobiła Branowi, to samo co jego Sarai? Dwa wieki to kawał czasu by uczyć się i uczyć się. Może znalazła sposób by zrobić innego strażnika aby ją ochronił, sposób który zajął minuty zamiast czterech dni tortur.

Wtedy zdał sobie sprawę, że to Bran sam odciął się. Zrozumienie dało mu nadzieję; popatrzył na Marroka jeszcze raz, ale jednak zobaczył tylko ciemną inteligencję, która nie miała żadnego podobieństwa do człowieka którym jest Bran... którym był. Tylko by być pewnym, Asil zbadał więzi stada jeszcze raz, ale ktoś skutecznie pozamykał je. A jedyną osobą, która mogła to zrobić był Bran.

Ale nie zostały zamknięte całkowicie.

Coś wyszło z Brana i dotknęło go czarnymi zimnymi palcami, wdzierając się wolno do jego duszy. Sarai zajęczała łagodnie ponieważ zdała sobie sprawę co to oznaczało. *Berserk.*

Był w Afryce Północnej w tym czasie. Ale nawet tam słyszał tę historię. O przynoszącej śmierć. Zabijała całe wsie, od starej kobiety do jednodniowego niemowlęcia. Były piosenki i historie, większość z nich zaginęła do tego czasu.

Czarownica narzuciła zmianę jej synowi i jej wnukowi - więc mogła posłużyć się nimi. Przez

lata trzymała ich w swoich sidłach jako swoje zwierzątka, by wykonywali jej polecenia. To uczyniło z niej najniebezpieczniejszą czarownicę na Wyspach Brytyjskich. A następnie jej syn uwolnił się.

Zabił swoją matkę i zjadł ją. Wtedy zabił każdą żyjącą rzecz w pobliżu. Znalazł dom w ciemnym sercu wielkich walijskich lasów - i przez wiele lat nic nie wychodziło żywe z jego legowiska.

Wielcy myśliwi - ludzie, wilkołaki albo inni, starali się obronić swój honor albo dowieść ich odwagi - i oni umarli. Również głupcy, którzy nie rozumieli, jak

ryzykują będąc blisko potwora,
umarli również.

Ale pewnego dnia, tak słyszał, Bran wyszedł z pustkowia ze swoim synem przy boku. Nie był już

berserkerem, tylko narratorem opowieści i samotnikiem.

Asil był całkiem pewny, że był jedynym, oprócz Samuela oczywiście, który wiedział dość by zrozumieć to co czarownica zrobiła.

Myślała, że ma Marroka pod swoją kontrolą. Ale przecież, Mariposa zawsze przepisywała taką

Rzeczywistość jaka jej odpowiadała.

- . . . *him of eagum stod ligge gelicost leoht unfaefer* - Asil zacytował łagodnie.

- Co powiedziałeś? - Mariposa była biała i wyraźnie wyczerpana, ale jej smycz była silna i

nierozerwalna.

- *Beowulf* - powiedział jej - Z grubsza tłumacząc to, ja wierzę...- z jego oczu zaświeciło zgubne światło. - Nie jestem poetą by tłumaczyć wiersze.

Popatrzyła podejrzliwie na Brana, ale zobaczyła jedynie oczy, które były bardziej brązowe niż złociste.

Asil znał to ponieważ kontynuował patrzenie na siebie.

Jego oczy zaświeciły płonącym, zgubnym światłem. Ale brak inteligencji w oczach jego Alfy i chłodna czarna wściekłość płynąca wolno z Brana do każdego wilkołaka powiązanego z nim była dużo bardziej przerażająca niż te gwałtowne potwory z wiersza. Miał nadzieję, że to tylko zakaża tych członków stada, którzy są najbliżej, ale był bardzo wystraszony że to może udzielić się wszystkim z nich.

Śmierć przepływałaby przez świat jak to miało miejsce podczas czarnej dżumy, kiedy jedna trzecia Europy umarła. I nie byłoby żadnego spokoju dla wilkołaka w ziemskim padole już nigdy.

- Boisz się - powiedziała mu - Tak powinno być. Na razie pozwalam ci być sobą - jeśli jednak będziesz kontynuował przeszkadzanie mi, zrobię cię swoim zwierzęciem, tak jak zrobiłam to jemu. Zwierzęta są mniej przydatne niż Sarai, nieporadne,

wykonyją tylko bezpośrednie polecenia. Zamierzam zrobić cię strażnikiem, jak Sarai. Lepiej uważaj, nie skłonisz mnie do zmiany zdania.

Pomyślała, że boi się jej. I było tak do czasu gdy potwór, którego stworzyła nie przewyższył jej. Nie miała o tym pojęcia.

Podeszła dwa kroki w kierunku Asila, wtedy trzepnęła go mocno. Nie zrobił nic by obronić się. Ona miała utrudnione nieco zadania przez jej wzrost, ale uderzyła go używając pełnej mocy, siły Sarai.

W odpowiedzi zlizął krew ze swojej wargi.

- To za kłamanie mi na temat tego wilkołaka. To jest Marrok, nie jakiś głupi słabszy wilk. Wiedziałaś - i ty pozwoliłaś mi sądzić, że on jest kimś innym. Mógł mnie skrzywdzić. Powinieneś chronić mnie, zapomniałaś? Zatrzymałam Cię abyś mógł stworzyć bezpieczne warunki na mnie.

Ostatecznie, stare wilki odrywały się od rzeczywistości. Pierwszy kryzys był kiedy wszyscy ludzie, których znali umarli i nie został nikt kto wiedział jakimi kiedyś byli ludźmi. Drugi nastąpił, kiedy zaczęły się inne czasy dla wilków, kiedy zmiany na świecie nie zostawiły im żadnego miejsca gdzie mogli czuć się jak u siebie.

A Mariposa nigdy nie była stabilna, również zanim zabiła Sarai. Jednakże, skoro pomyślała, że on chciał ją chronić... naprawdę była szalona.

- Ale twoja zdrada tak naprawdę nie ma znaczenia - powiedziała mu - Ja mogę sama zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ten jest mój - spojrzała na Brana – Zmień się. Chcę zobaczyć twoją twarz. Nigdy nie mogłam znaleźć twojego zdjęcia, Branie Cornick.

Asil złapał się na tym, że wstrzymał oddech jako jego Alfa wykonywał polecenie. Czy ból z powodu przemiany byłby iskrą, która pozwoli potworowi uwolnić się od jej łańcuchów?

Czekali w chłodzie, Asil, cień jego partnerki i czarownica gdy zmiana zdarzyła się.

Ich

oddechy przyspieszyły, to przypomniało mu jak przed laty Bran wziął stado Marroka, wszystkie wilki, które należały tylko do niego, w wynajętym autobusie na pobyt w dużym hotelu w Yellowstone Park w środku zimy. Wynajął wszystkie pokoje więc mogli sobie pobiegać i mogli wyć przez całą noc gdy nikt ich nie widział oprócz

kilku bawołów i łosia.

- Nie możesz ukrywać się w swojej cieplarni przez cały czas – powiedział do Asila gdy ten uprzejmie poprosił by nie musiał iść - Musisz mieć nowe wspomnienia na przyszłość.

Asil zamknął oczy i pomodlił się po raz pierwszy odkąd Sarai została zabrana od niego - jednak

kiedyś był naprawdę pobożnym człowiekiem. Pomodlił się żeby Allah nie pozwolił Branowi zostać takim potworem, który zniszczy jego ostrożnie tworzony dom, schronienie dla jego wilków.

Gdy Asil otworzył w końcu czy Bran stał nagi w śniegu. Nie drżał, jakby to było kilka stopni powyżej zera, a przecież było dużo poniżej zera. Jego skóra była blada, pokazywała niebieskie żyły, które odprowadzały krew do jego serca. Było kilka blizn, jedna na jego żebrach i jedna nieco poniżej jego prawego ramienia.

- Całkiem ładne ciało - powiedziała Mariposa - Ale wy wszyscy macie takie, wy wilki. Trochę bardziej delikatne niż jak moi ludzie.- zasznurowała swoje wargi i potrząsnęła głową. - Czekałam na coś... trochę bardziej imponującego. Marrok powinien być...- patrzyła na Asila – Bardziej jak Hussan. Człowiek na widok którego inni ludzie obracają głowy by popatrzeć. Człowiek, który sprawia, że inni ludzie chodzą ostrożnie. A nie taki, który potrzebuje swojego syna by wykonać egzekucję. Widzisz, zrobiłam swoje badania. Kiedy usłyszałam to wiedziałam, że jesteś zbyt słaby by mieć kontrolę nad wszystkimi w twoim stadzie.

Próbowała sprowokować Brana, Asil pomyślał niedowierzająco. Sprawdzając swoją kontrolę i upewniając się, że nie było już więcej niezależności w jej niewolniku. Hiperwentylacja nie rozwiąże sprawy, Asil powiedział do siebie trochę rozpaczliwie. Nie zobaczyła tego potwora w środku?

Jedyna rzecz, która powstrzymywała go przed paniką była wiedza, że jej naciskanie miało duże szanse rozśmieszyć Brana niż doprowadzić go do wściekłości. Oczywiście, Bran był niezupełnie sobą.

- Może zmienisz się z powrotem? - zapytała Brana kiedy nie udzielił odpowiedzi na jej oszczerstwa - Nie mam butów dla ciebie i wolałabym nie musieć odciąć twoich

stóp z powodu odmrożenia.

- Tak. - Bran wymamrotał słowo, przeciągając ostatni dźwięk, prawie jak jakby on był pijany.

Poczekala aż zacznie, ale w końcu wydał zniecierpliwiony dźwięk i powiedziała –
Więc zrób tak.

Zanim skończył zmianę, skinęła na Sarai i wspięła się na nią jakby jej strażnik były osłem. Asil powstrzymał się od swojego gniewu, gniewu, który był zbyt duży dla małego ataku na godność Sarai, która nie jest Sarai. Rzucił okiem nerwowo na Brana i spróbował uspokoić się.

- Gdy on skończy zmianą, we dwóch dogonicie nas.

Sarai otarł się o niego, zostawiając zapach sympatii i niepokoju. Gdy tylko zniknęła mu z oczu, czuł, że podstępny gniew rośnie - jakby obecność Sarai pomagała Branowi być spokojnym, jakby ona wciąż była Omegą... niby dlaczego nie?

Upadł na jedno kolano i pochylił głowę, mając nadzieję, że kiedy drugi wilkołak powstał, wciąż był związany przez czarownicę albo jego własną wolę.

Minęło dużo czasu odkąd był dobrym muzułmaninem, ale nie mógł zapobiec impulsowi by pomodlić się - *Allaahu Akbar* — ”

Czarownica podniosła swoje ręce i właśnie wtedy, chociaż był daleko Charles mógł poczuć jej magię - uszkodzone i zaogniające się czary, ale potężne. Bardzo potężne.

Charles obejrzał upadek swojego ojca - a wtedy Bran odszedł.

Zamarł. Jego płuca nie chciały ruszyć się, ale nagle on mógł złapać oddech dzięki Bratu Wilkowi. Charles walczył i walczył by uciszyć Brata Wilka, ale miał dziwny prąd z okrutną wściekłością, taki jakiego nigdy wcześniej nie poczuł, głębszy i ciemniejszy niż zwykle, agresywne pragnienie; i on zrozumiał, albo miał nadzieję, że to zrobił.

Bran nie odszedł. Został zmieniony.

Jego ojciec przeważnie rozmawiał o obecnych czasach. O tym co było dziesięć, dwadzieścia lat temu, ale nie sto albo więcej. To było coś, co Charles starał się rozumieć bardziej, gdy sam stawał się coraz bardziej starszy.

Ale Samuel czasami opowiadał różne historie młodszemu bratu. I historia o Branie jako

berserk była jedną z jego ulubionych do czasu gdy nie stał się wystarczająco dorosły by zrozumieć, że to nie była właściwie bajka. Gdyby nie ta historia, mógłby przeoczyć sączenie się ciemności do niego, mógł pomyśleć, że Bran naprawdę zostały złamany.

Wykorzystał tę nadzieję do uspokojenia Brata Wilka.

Bran wciąż żyje.

Ale jako co?

Rozdział 14

Chociaż Charles chciał pędzić z góry tak szybko jak tylko jako czarownica odjechała, wybrał wolne, kontrolowane tępo, które Anna łatwo mogła utrzymać w swoich raketach śnieżnych.

Ponieważ podeszli bliżej, drzewa i zarośla zaciemniły miejsce gdzie Asil i jego ojciec czekali.

Ostrożnie, Charles zwolnił i zatrzymał się.

Popatrzył na nią a następnie na Waltera. Kiwnęła głową cicho i przykucnęła tam gdzie była. Walter zaaklimatyzować się tak jak stary wojak, którym był. Gdyby nie on, Charles zostałby w tam gdzie był. Nie postawił by życia Anny na przeczucie. Ale Walter opiekowałby się nią jeśli zdarzyłoby się coś, więc Charles mógł podjąć ryzyko.

Gdy Charles wyszedł na otwartą przestrzeń, Asil skończył swoją modlitwę, ale klęczał tam gdzie był, z głową opuszczoną - jakby on próbował bardzo mocno nie denerwować Marroka.

- Powoli - mruczał Asil nie patrząc w górę. – Jesteśmy skrepowani przez nią, twój ojciec i ja. Muszę robić to co czarownica mi rozkazała, jakby ona były moją Alfą.- obrócił swoją głowę i spotkał się oczami z Charlesem - Twojego ojca związała mocniej. Odkryła kim jest i wzięła jego wolną wolę i zrobiła z niego marionetkę na sznurkach.

- Mam nadzieję - Asil wyjaśnił, wciąż tym miękkim, cichym głosem - że kiedy on wyjdzie z tej zmiany to wciąż będzie zdrowy psychicznie.- potarł swoją głowę - Muszę uzbroić się w cierpliwość, ale ty nie. Musisz zabrać swoją partnerkę i uciekać na drugi koniec świata. Jeśli ona będzie trzymała go, każdy wilk, który jest winny mu lojalność będzie jej.

- Ona jest całkiem szalona - nie była zbyt zrównoważona przedtem - ale przywiązała się do zdechłego wilka Sarai. Żywy i martwy nie dzielą wspólnego łoża. Charles czekał.

Asil posłał mu niewielki uśmiech - Myśleć, że ona przecenia swoją siłę. Jeśli ona nie

będzie miała kontroli nad nim...- Spojrzał na Brana - Cóż, wtedy myślę, że lepiej jest być daleko, bardzo daleko.

Bran zachwiał się przez chwilę i stanął jak nowo narodzone źrebię, z nogami rozłożonymi tak aby nie upaść. Nie było niczego w jego oczach. Zupełnie nic.

Jeszcze jedna zmiana, Charles pomyślał, może będzie mógł zrobić jeszcze jedną później, ale to na pewno będzie piekielnie bolało. Nie po raz pierwszy chciał by odziedziczył ojca umiejętność mówienia w głowach innych ludzi. To oszczędziłoby dużo energii.

Zmienił się, mając nadzieję, że Asil mógł poczekać do czasu aż będzie mógł rozmawiać. To zajęło trochę dłużej czasu niż zwykle - i on obawiał się, że może utknąć w ludzkiej postaci na dłuższy niż zakładał.

Ale w końcu był przed nimi - nagi jak go Pan Bóg stworzył. Nie miał siły by dogadzać jego skromności.

- Jest już za późno, ona już nadchodzi – powiedział do Asila - Kiedy czarownica ma taki nacisk na kogoś, ona może widzieć przez jego oczy - jego brat powiedział mu to

- Oni są żyjącymi straceńcami dla niej.

Asil zamknął oczy – Jesteśmy straceni.

- Tracisz nadzieję zbyt łatwo - Charles powiedział. Nie mógł powiedzieć dużo o Annie albo o Walterze bo była duża szansa, że to natychmiast dotarło by do czarownicy – Nasze stado ma Omegę do pomocy. Może to wystarczy.

- Czy wiesz czym on był? - Asil zapytał.

- Tak.

Asil popatrzył na Marroka - Zabij go teraz, jeśli możesz. Jeśli kochasz go, jeśli troszczysz się o stado.

Charles patrzył na swojego ojca, który wyglądał na tak słabowitego jak tylko mógł wyglądać wilkołak.

Zaśmiał się surowo - Jeśli myślisz, że mógłbym go zabić to jesteś głupcem. On jest Marrok - i nie jest tak słaby na jakiego wygląda. Nigdy nie wierz w to co widzisz w moim ojcu.

To była prawda i Charlesowi sprawiało to ból. Nawet oddychanie sprawiało mu ból.

On powinien odejść, pomyślał Charles, ponieważ puste oczy jego ojca przeciągnęły się po nim. Już udowodnił że czarownica mogła go ovladnąć kiedy tylko chciała. Wszystko, czym mógł być to kula u nogi.

Zostań. Potrzebuję cię.

- Po co? - zapytał. Popatrzył, ale nawet z głosem jego ojca w głowie, mógł tylko zobaczyć niemą bestię w oczach Marroka.

Ponieważ jesteś jedynym, którego znam i nie zabiję.

Anna słuchała ich rozmowy i złapała się rękoma za brzuch. Wiedziała, że Charles liczył na nią - na nią i Waltera, że będą jego asem w rękawie.

Problem polegał na tym, że ona nie była asem. Może dwójką, albo jokerem, ale nie asem. Walter był żołnierzem, był lepszym atutem.

- Znasz to miejsce? Możemy stanąć gdzieś, gdzie nadal moglibyśmy ich widzieć, a mimo to pozostawać w ukryciu? - ona wyszeptała do Waltera.

Wyruszył w kierunku gdzie Charles rozmawiał z Asilem. Anna poszła za nim tak cicho jak mogła. Zabrał ją bliżej niż myślała że to możliwe, do starego drzewa, którego gałęzie były gęste by ich ukryć, ale widziała stąd doskonale jak Marrok stoi na czterech łapach i wpatruje się w syna.

Wilkołak poruszył się pod gałęziami i Anna poszła za nim na czworakach i znalazła się w wyschniętej ciemnej jaskini przykrytej grubą warstwą igieł z drzewa. Czołgała się ponad nimi i położyła się płasko na swoim brzuchu więc mogła patrzeć spod gałęzi.

Byli trochę pod górę od Charlesa i była wystraszona, że są pod wiatrem. Ona powinna się zmienić; jako wilk była silniejsza i miała pazury i kły zamiast paznokci, które były jej jedyną bronią. Wiedziała jednak, że jest za wcześnie i nie zamierzała robić zmiany. Nawet próba wywołała u niej znużenie i drżenie.

Walter usadowił się obok niej i ciepło jego dużego ciała dało znać jej jak było jej zimno.

Ściągnęła jedną ze swoich rękawiczek i włożyła rękę w futro Waltera by się ogrzać.

- On rozmawia z tobą?

Charles uniósł rękę by uciszyć Asila. Musiał pomyśleć. Jego ojciec miał plan, na tyle był wolny. Ale nie wydawał się skłoniony by się nim podzielić ... jeśli mógł.

- Czego czarownica chce ode mnie? - zapytał Charles.

- Ja nie... - zabawny grymas pojawił się na twarzy Asila.- Sarai myśli, że ona zabije cię, by złamać twojego ojca i odzyskać moc, którą straciła gdy zniszczyłeś chatę. Myślę, że zrobiła to już wcześniej, opanowała stado. Sarai brzmi jakby to był wzór. – przerwał – Jeśli dobrze rozumiem, to inni których opanował ostatecznie umarli. Nie całkiem. Przygasali do czasu gdy nie było już czego wziąć z nich.- położył swoje ręce na skroniach jakby miał ból głowy.

Ach, pomyślał Charles, jego adrenalina gwałtownie podskoczyła. Więzy miłości są bardzo silne. Może czarownica powoli traci Sarai na rzecz Asila.

Odłożył to rozważanie na później - Może ją spotkać niespodzianka jeśli ona spróbuje opanować stado mojego ojca – powiedział - Anna myśli, że jesteśmy bandą psychotyków.

Asil uśmiechnął się trochę - Wiesz o tym, że ona ma rację.

Charles podał mu rękę i Asil wstał na nogi, chwiejąc się trochę jak pijany.

- Wyglądasz trochę niepewnie. Jesteś ranny?

Asil otrzepał śnieg ze swoich kolan - Nie.

Miał kilka zadrapań. Głównie podarte ubranie. Otaksował Charlesa wzrokiem - Przynajmniej mam ubranie.

Charles był zbyt zmęczony by grać w tę głupią grę zarozumiałości - Więc czarownica zabije mnie - powiedział, patrząc na ojca i próbując rozszyfrować czym stał się stary wilk.

- Może - Asil strzepał śnieg z nogawek - Albo ona zmusi jego do zrobienia tego - albo może Sarai albo mnie. Liczy się tylko twój ból i twoja śmierć. Kto przynosi to cierpienie, nie ma znaczenia. Pod warunkiem, że ona jest tam aby zbierać moc. Ale stawiam, że ona rozkaże twojemu ojcu to zrobić. Zawsze lubiła krzywdzić ludzi.

Gdyby właśnie nie myślał o tym, że obecność Asila pozwala Sarai opierać się kontroli czarownicy, nie mógłby zrozumieć tego znaczenia.

Przebiegły stary wilk. Charles posłał podziwiające spojrzenie swojemu ojcu – Więc o to chodzi. Co zrobiła twoja matka przed laty? Rozkazała ci zabić Samuela?

Asil spojrział z marsową miną na niego, ale zanim mógł coś powiedzieć wilk wyskoczył z drzew, niosąc czarownicę. Charles poczuł, znajomy chłód, który zapanował w nim ponieważ Brat Wilk szykował się dla walki.

Jego ojciec może być wytrawnym manipulantem, ale nie był w dobrej formie i był również pod wieloma względami pozbawiony samokontroli.

Sarai zatrzymała się między czarownicą a Charlesem jak tylko czarownica zsunęła się z niej. Jej instynkt opiekuńczy wydawał się być instynktowny - tak jak u matki broniącej młody.

Czarownica – Mary jak nazywała siebie, a Asil nazwał ją Mariposa, Motyl — była mniejsza niż on zapamiętał, albo może wyglądała na mniejszą obok partnerki Asila. Nie było żadnego szala aby ukryć jej cechy tym razem. Wyglądała młodo jakby brzydota świata nigdy nie dotknęła jej.

- Charles – powiedziała - Gdzie jest twoja kobieta?

Czekał ale impuls do odpowiedzi nie ogarnął go. Przypomniawszy sobie o zduszonych więzach stada i wezbrała w nim nagła, gorąca nadzieja - jego ojciec rozwiązał ten problem.

- Ona jest wokoło - powiedział.

Uśmiechnęła się ale jej oczy były chłodne - Gdzie dokładnie? - przechylił swoją głowę – Nie tam gdzie ich zostawiłem.- Brat Wilk był tego pewny chociaż nie wiedział skąd.

Zachowała spokój, zwięzając oczy na niego - Ile wilków jest w stadzie twojego ojca?

- Wylączając Ciebie i tą Twoją kreaturę?

Jej oczy otworzyły się trochę szerzej - Mój Asil na pewno nie zmarnował czasu by nie powiedzieć Ci o tym. Tak. Jak najbardziej włączając w to nas.

- Trzydzieści dwa... może trzydzieści trzy.- nie stwarzał problemu podając jej te informacje. Właściwie to nie był pewny czy on powinien liczyć Samuela czy nie.

- Powiedz mi dlaczego powinnam pozwolić ci żyć? – powiedziała - Co możesz zrobić dla mnie, czego twój ojciec nie mógł?

Uwaga Sarai była skierowana na Asila. Przynajmniej ona, była przekonana, że czarownica miała Charlesa pod kontrolą. Mógł już nie mieć lepszej okazji.

Jedyna korzyść była taka, że nie zdradził się z przyływami adrenaliny ani z uczuciami - Powinnaś pozwolić mi żyć ponieważ to może być jedyna rzecz, która utrzyma Cie przy życiu.

- Co masz na myśli? – podniosła brew i przekrzywiła swoją głowę w taki sposób, że to prawie wyglądało jak u wilkołaka.

Zaufał kalkulacjom swojego ojca - jego ojciec stawiał na to, że mógł rozbić nacisk czarownicy gdyby rozkazała Branowi zabić go.

Były inne rzeczy, które Charles mógł spróbować. Może byłby czas gdy mógł zaatakować ją bez narażania się na to. Wszystko, czego potrzebował to sekunda by pokonać dzielącą ich odległość.

Charles spuścił wzrok jakby zrzekając się władzy na rzecz jej, wyszeptał następne słowa wolno, jednocześnie świadomie zrobiła krok do przodu - Mój oj....- I w trakcie drugiego słowa rzucił się na nią z każdą uncją prędkości jaka w nim pozostała.

- Sarai! - czarownica krzyczała kompletnie przerażona. Gdyby był w maksymalnej formie to by wystarczyło. Ale był spowolniony przez wyczerpanie i przez jego rany. Wilk, który był Sarai uderzył go jak pociąg towarowy i rzucił z dala od czarownicy zanim mógł dotknąć jej.

Miał nadzieję, że niespodzianka pozwoli mu zabić czarownicę, ale się przeliczył.

Teraz podczas walki, jego stare rany martwiły go trochę - jedna z jego nóg była wolniejsza, a jego ciosy pięścią nie byłyby tak skuteczne.

Ranny i w ludzkiej formie, większość ludzi myślała by, że drugi wilk miał przewagę. Byliby w błędzie.

Gdyby naprawdę była partnerką Asila, byłby w rozterce. Ale nie była. Charles wiedział to, nawet jeśli biedny Asil został złapany przez swoją więź łączenia się w pary, został zmylony przez umiejętność naśladowania tego. Duchy gór wiedziały, że ona nie żyje i zaśpiewały to do niego gdy oddały mu trochę jego siły.

Złapała go z pazurem wzdłuż jednego boku, ale w końcu była podobizną Omegi,

podczas gdy Charles spędził większą część swojego życia na tropieniu innych wilkołaków i zabijaniu ich.

Mimo, że ranny, był szybszy niż ona. Trzydzieści lat różnych sztuk walki dało mu przewagę nad nią.

Przedłużał walkę jak tylko mógł, ale był zmęczony, a gorsza walka była wciąż przed nim.

Anna szarpała się z wiązaniami rakiet śnieżnych by je zdjąć. Pokrywa śniegu na ziemi

między nimi a Charlesem była zbita i nie miała więcej niż sześć cali. Byłaby szybsza bez nich. Gdyby tylko mogła wyjść na zewnątrz by być przydatną.

Gdyby miała te cholerne, niezdarne rakiety śnieżne zdjęte wcześniej, wybiegła by kiedy żeński wilk zaatakował Charlesa. Ale gdy Anna rozdarła i szarpnęła jedną z nich, to szybko stało się oczywiste, że w tej walce to Charles miał przewagę. Trochę spokojniejsza, zdzierła drugą raketę śnieżną.

Niestety, nie była jedyną, która zobaczyła kto wygrywa walkę.

- Asil - powiedziała Mary - Pomóż jej.

Maur popatrzył na czarownicę przez moment, wtedy ściągnął koszulę i zrzucił na ziemię. Przystąpił do bitwy z łatwością wojownika, który rozumiał śmierć i przywitał ją. Gdyby Anna tak nie martwiła się o Charlesa, gdyby oglądała film, usiadłaby z powrotem, jedząc prażoną kukurydzę podziwiając widok. Ale krew była prawdziwa. Pochyliła się do przodu i zdała sobie sprawę, że bardzo mocno chwyciła za szyję Waltera. Poluzowała rękę i pogłaskała jego futro w ramach przeprosin.

W jednej minucie Asil podchodził do walki, a w następnej rozwinął maksymalną prędkość. Ominął Charlesa i uderzył Sarai w kark. Opadła bezwładnie i pochwycił ją w swoje ramiona i pobiegł.

- Asil! - ale czarownica nie wydała żadnego polecenia i Asil przyspieszył gwałtownie i skoczył na stromą górę. Przy prędkości jaką osiągnął, on równie dobrze mógł mieć narty.

Pomoc, Anna uświadomiła sobie, mogła mieć wiele znaczeń. Ze schronienia w

drzewach, Anna nie mogła widzieć Asila, ale mogła słyszeć coś poruszającego się bardzo szybko w dół ze zbocza, z dala od jakichkolwiek dalszych poleceń.

Cała rzecz zajęła może dwadzieścia sekund. Gdyby Anna została rozproszona, Charles nie był.

Rzucił się na czarownicę, ale zrobiła coś, co powaliło go na śnieg. Moc jego ataku spowodowała dalsze poruszanie się jego ciała w kierunku czarownicy.

- Nie! - czarownica wrzasnęła histerycznie i szybko cofnęła się od niego. Anna musiała pamiętać, że ta czarownica była stara. Tak stara jak Charles mimo, że wyglądała na piętnaście albo szesnaście lat - Ja miałam być bezpieczna. Sarai! Sarai! Anna zebrała siły by interweniować, ale Charles podniósł się w górę. Cokolwiek, co zrobiła mu zaszkodziło ale nie mogła zobaczyć tego w jego twarzy, tylko w powolności jego ruchu. Na pewno gdyby potrzebował jej, znalazłby jakiś sposób by dać jej sygnał.

Rzuciła okiem na wilkołaka przy niej, ale chociaż wzrok miał bystry i skupiony, nie wydawał się

zmartwiony. Oczywiście, nie wiedział niczego więcej o czarownicach niż ona - i on by znał Charlesa tylko przez dzień.

Anna nie była jedyna, która zauważyła jak wolno Charles rusza się. Czarownica położyła obydwie ręce na twarzy.

- Zapomniałam - wysapała, w połowie roześmiana, a następnie pokazała palcami na niego i powiedziała coś jakby po Hiszpańsku. Charles wzdrygnął się, wtedy złapał się kurczowo za klatkę piersiową - Zapomniałam. Mogę bronić się sama.

Ale Anna nie słuchała jej, patrzyła na twarz Charlesa. Nie oddychał.

Cokolwiek czarownica zrobiła mu będzie śmiertelne jeśli pozwoli je to kontynuować.

Nie wiedziała dużo o czarach i bez wątplenia większa część z tego była nie prawdą.

Ale uwolniła kiedyś Charlesa od czarownicy. Może to zadziała jeszcze raz.

Anna nie czekała na sygnał.

Wybiegła ze schronienia pośród drzew i doszła do pełnej prędkości w dwóch krokach; jej stary trener byłby dumny z niej. Zignorowała dokuczający ból swoich nie używanych ud i przenikający chłód w jej klatce piersiowej, skupiając się tylko na

czarownicy, tylko słabo świadoma obecności wilka biegnącego u jej boku.

Zobaczyła, jak czarownica opuściła ręce i skupiła się na Annie. Zobaczyła jej uśmiech i usłyszała, jak powiedziała - Bran, Marrok, Alfa Marrok, zabij dla mnie swojego syna Charlesa.

Wtedy podniosła palec i pstryknęła na Annę. Anna nie miała czasu przygotować się, gdy coś uderzyło ją z boku i powaliło na ziemię ją, usuwając ją z drogi zaklęcia.

To nadeszło w końcu, Charles pomyślał. Polecenie czarownicy rozbrzmiewało w jego uszach – które naprawdę dzwoniły po tym co mu zrobiła. To nadeszło w najgorszym możliwym czasie ponieważ był półślepy i potykał się i nie miał pojęcia jak długo potrwa by ojciec rozbij jej kontrolę nad nim.

Jeśli rozbije.

Ale nie mógł winić ojca za jego śmierć, więc zebrał swoje siły i znalazł miejsce gdzie wilk atakował, wyczuł to nosem i zmysłami, ponieważ reszta ciała nie pracowała jak należy.

Wyciągnął rękę i złapał futro tak mocno jak tylko mógł i pozwolił sile jego ojca pchnąć go na plecy, wtedy użyć swoich stóp by upewnić się, że Bran kontynuuje i siedzi na nim.

To nie było tak oczywiste. Jego ojciec był szybszy niż Sarai.

Wciąż najbardziej potężna broń jego ojca - jego umysł – był zawładnięty przez nacisk czarownicy i Charles mógł rzucić nim bez spowodowania zbyt dużych uszkodzeń.

Leworęczny rozmach wystarczył i czekał na następny atak jego ojca.

Walter był nośnością dla Anny, więc potoczyła się na bok tak łagodnie jak tylko mogła. Nawet jeśli zadała mu ból, nie pokazał tego po sobie. Jego ciało było bezwładne i przenosiło się bez oporu i mogła tylko mieć nadzieję, że nie uszkodziła go bardziej. Odepchnął ją i wziął zaklęcie czarownicy siebie.

Wstała na nogi i podeszła w kierunku czarownicy. Nie mogła pozwolić sobie na zatrzymanie się i upewnienie, że z Walterem jest wszystko w porządku do czasu gdy nie zrobi czegoś co powstrzyma czarownicę przed zrobieniem więcej krzywdy.

- Nie chcesz mnie zranić - czarownica powiedziała, poszerzając swoje czekoladowe oczy – Chcesz się zatrzymać.

Bieg Anny spowolnił aż stanęła nieruchomo, tak blisko czarownicy, że mogła poczuć zapach jej pasty do zębów. Przez moment nie miała pojęcia co robiła i dlaczego.

- Zostań tam - czarownica rozpięła swoją kurtkę i wyciągnęła broń.

Omega, Anna przypomniała sobie, to znaczyło, że nie musi słuchać poleceń- i tak łatwo jako to było możliwe ruszyła się jeszcze raz. Z precyzją, której nauczyła się od brata, który trenował boks w liceum oraz prędkością i mocą, którą zawdzięczała swojemu wilkołakowi, uderzyła pięścią czarownicę w szczękę. Słyszała trzask kości i czarownica upadła twarz na ziemię, nieprzytomna.

Zrobiła głęboki wdech i patrzyła na bitwę szalejącą między Charlesem a jego ojcem.

Przez

moment poruszali się zbyt szybko by mogła ich dostrzec, wtedy Charles stanął nieruchomo poza zasięgiem ojca, jego ciało było gotowe i zrelaksowane. Krew sączyła się z plastrów na jego ramieniu i udzie. Pojedyncze rozcięcie, biegnąc spod jego lewego ramienia przez jego brzuch aż do prawego biodra, wyglądało jak by było poważniejsze. Marrok stał spokojnie potrząsając głową wolniutko, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą.

Ona powinna zabić czarownicę i dzięki temu uwalniać Marroka.

Odwróciła się i popatrzyła na wiotkie ciało. Dziewczyna wyglądała tak niewinnie, tak młodo, a wyrzuciła taką krzywdę.

Anna zabiła już wcześniej, ale to był wypadek. Zabijanie z zimną krwią to co innego. Walter wiedział jak zabijać. Instynktownie, poszukała go ale nie poruszył się... z wyjątkiem oczu. Oczywiście były zamknięte gdy go zostawiła. Teraz były otwarte i wpatrywały się w nią martwo.

Anna uklękła przy nim nie wiedząc nawet jak się tam znalazła. Nie było żadnego pulsu, żadnego oddechu. Ten człowiek przeżył wojnę i trzydzieści lat dobrowolnej izolacji, a umarł za nią. Zaciśnęła dłonie w pięści.

Wtedy podeszła do nieprzytomnej czarownicy, złapać ją za brodę i czubek głowy i przekręciła z nadludzką siłą. To było łatwe, sprawiedliwe tak jak w filmach. Jedno

pęknięcie i czarownica była tak martwa jak Walter.

Puściła czarownicę, wstała i cofnęła się jeden krok, oddychając zbyt szybko. Było tak cicho w lesie, jakby cały świat zrobił głęboki wdech i nie wypuszczać go. Jakby tylko ona była żywym stworzeniem na całym świecie.

Tępo, odwróciła się na swoich przemarzniętych stopach by zobaczyć, jak Marrok stał nad ciałem Charlesa.

Zrobiła to za późno.

Jak słońce wolno wychodziło na niebo za ciemnymi górami, Asil trzymał w swoich ramionach Sarai, nieruchomą i nieprzytomną. Ukrył swój nos na jej szyi, wciągając w płuca znajomy zapach - nigdy nie pomyślał, że będzie czuł ten zapach jeszcze raz. Była taka piękna.

Nie byli aż tak daleko by nie mógł słyszeć walki, ale byli poza wzrokiem czarownicy, miała dzięki temu trudniejsze zadanie by zapanować nad nim.

Asil czekał. Zrobił wszystko by zapobiec walce z Charlsem. To było najlepsze co mógł zrobić.

Więc trzymał Sarai na swoich kolanach i próbował zapomnieć, że to było ostatni raz. Gdyby Mariposa osiągnęła cel, zabiłaby go. Zabrał Sarai od niej jeszcze raz i ona nie zgodzi się na to. Jeśli Charles albo Bran zdołają zabić Mariposa, jego Sarai odejdzie na dobre. Stworzenia czarownicy nie mogą przeżyć bez swojego stwórcy.

Więc trzymał ją w ramionach i wdychał jej zapach i udawał, że ten moment nigdy się nie skończy.

Udawał, że trzyma Sarai ... prawie poczuł zapach cynamonu.

Ponieważ jej zapach przeminął między jodłami i sosnami, zastanawiał się czy był zdolny aby przewidzieć przyszłość, wtedy gdy przyprowadził do domu przerażone i posiniaczone dziecko, że ona będzie miało taką siłę by ją zabić? Pochylił swoją głowę w dół na swoje kolana w ponurej rozpacz, trzymając się mocno małego, posiniaczonego skrawka futra.

Nie było w nim radości, że Mariposa nie żyje a wilk Sarai w końcu odszedł.

Było to przedwczesne świętowanie w każdym razie, ponieważ szaleństwo szerzyło

się dzięki niemu jak ogień w lesie w sierpniu. Był zbyt zmęczony, ale wściekłość go nie opuszczała i zmuszała by zmienił się. Gwałtowne wycie rozbrzmiało echem w dół stoku i Asil krzyknął w odpowiedzi.

Bestia zbudziła się. Asil otworzył swoją rękę i pozwolił wiatrowi zabrać ostatnią część Sarai zanim odpowie na wezwanie swojego mistrza.

Anna była już w drodze do Charlesa. Nie mógł nie żyć. Mogła zabić tę szaloną czarownicę dwie albo trzy minuty wcześniej. To nie mogła być jej wina, że jest martwy- to jego ojciec go zabił.

Otarła się o Marroka a jego uderzyła w nią i upadła, pośliznąwszy się na śniegu. Czołgała się ostatnie dwa kroki do Charlesa. Jego oczy były zamknięte i był pokryty krwią. Wyciągnęła rękę ale była wystraszona by go dotknąć.

Była tak pewna, że nie żył, że kiedy jego oczy otworzyły się, zabrało jej moment by to zarejestrować.

- Nie ruszaj się - szepnął, jego oczy skupiły na niej – Nie oddychaj jeśli możesz.

Charles popatrzył na wilka, który nie był już jego ojcem, szaleństwo było w jego oczach.

Bran błędnie to ocenił. Może gdyby czarownica nie umarła to rozbiła by kontrolę niespodziewanie.

Może gdyby Charles odsłonił swoje gardło na początku z walki, mając nadzieję, że jego ojciec nie mógłby zabić go, nawet pod przymusem. Może gdyby tu był Samuel, zamiast niego.

Albo może to było coś, co zdarzyłoby się choćby nie wiem co każdy zrobił, kiedyś czarownica ujarzmiła jego ojca całkowicie - droga matka Brana ujarzmiła go tak wiele wieków temu.

- Dlaczego - nie liczył się to już, ponieważ jego mądry ojciec odszedł. W jego miejscu był groźny stwór, którego noga nigdy nie powstała w tych górach.

Charles pomyślał, że jest na wykończeniu. Jego klatka piersiowa piekła i miał prawdziwe kłopoty z oddychaniem.

Jeden z tych ostrych pazurów przebił płuco – zdarzało mu się to często więc wiedział jak to jest.

Miał właśnie się poddać gdy Anna nagle pojawiła się - nie zwracając uwagi na jego ojca.

Z Anną w niebezpieczeństwie, Charles okazał się dużo bardziej bystry - chociaż jego uwaga zamieniła się w szaleńczą potrzebę by wiedzieć, że ona była bezpieczna.

Wyglądała okropnie. Jej włosy były spocone i potargane. Zacerwieniona skóry od wiatru pomalowała na czerwono jej twarz, która była brudna, ze śladami łez. Wyszeptał ostrzeżenie do niej ale uśmiechnęła się (jakby ona nie słyszała słów, które powiedział albo nie zważała na niebezpieczeństwo, które zasugerował)- ale była przerażona i na moment osłupiała

- Charles – powiedziała - Myślałam, że nie żyjesz. Nie. Nie ruszaj się - położyła swoją rękę na jego ramię by się upewnić, że tego nie zrobi - Ja...

Asil warknął i Anna odwróciła się by popatrzeć.

Asil nie był małym wilkiem. Nie był tak duży jak Samuel albo Charles ale był wystarczająco duży. Jego futro było ciemno brązowe. Jego uszy były nieruchome i miał ślinę skapująca z jego pyska.

Ale Anna nie była głupia - jej uwaga, tak jak Charlesa była skupiony na Marroku. Bran patrzył na nich jako kot, który czeka na myszy by zrobić coś ciekawe - jak np. bieg.

Wstrzymała oddech a zapach jej strachu zmusił go aby usiąść – co było głupim posunięciem - ale jego ojciec patrzył teraz na Annę i zignorował Charlesa.

Złapana w szalone spojrzenie Brana, Anna wyciągnęła instynktownie ręce i złapała Charlesa.

I stało się.

Niespodziewanie, bez zapowiedzi, więź łączenia się w pary zapanowała nad nim i przez moment nie czuł bólu, nie był zmęczony, obolały, zdezelowany, zimny, nagi i przerażony. Przez moment wściekłość jego ojca, zżerając go w cieniu, była nieistotna.

Anna zrobiła głęboki wdech i udzieliła mu zdumionego spojrzenia, które wyraźnie

powiedziało mu: *Powiedziałeś mi, że potrzebujemy seksu by to zdarzyło się. I Ty się masz za eksperta.*

A wtedy wróciła rzeczywistość.

Szarpnął nią, wpadła w poślizg i runęła na plecy, więc był między nią a dwoma rozwścieczonymi wilkami, które patrzyły na nią w kompletnym skupieniu.

Uwolniła swoją rękę łagodnie i cieszył się tym - powiedział sobie - potrzebował obu rąk aby

obronić ich. Gdyby mu udało się stać na nogi.

Mógł poczuć, jak pędziła dalej za nim, doceniał to. Wtedy dwie zimne ręce usadowiły się na jego krwawiących ramionach i ona oparła się na niego, jedna z jej piersi naciskała na jego starą ranę.

Wyrównała oddech i zaczęła śpiewać. Piosenka, którą wybrała była tą, którą jego ojciec postanowił zaśpiewać na pogrzebie Doktora Wallace - Simple Gifts.

Spokój omiółtł go jak tropikalny wiatr, taki jak wtedy gdy pierwszej raz spotkał ją. Musiała być spokojna, Asil powiedział. Nie mogła dać spokoju bo go nie miała. Więc zaśpiewała i zaczerpnęła spokój z piosenki - i dała go wilkom.

W trzeciej linijce Charles przyłączył się do niej, przez co uzupełnił jej głęboki kontralt. Zaśpiewali to dwa razy, a kiedy skończyli, Asil westchnął głęboko i usadowił się na śniegu jakby on również został pozbawiony sił by ruszyć się.

Charles pozwolił Annie wybierać piosenki. Następna była irlandzka piosenka „The Black Velvet Band”. Był całkiem pewny, że nauczyła się piosenki od słuchania irlandzkich Irish Rovers. W trakcie „The Wreck of the Edmund Fitzgerald”, jego ojciec odprowadzony zmęczonym głosem do Anny ułożył swoją głowę na jej kolanach z westchnieniem.

Następnym razem gdy zobaczy Samuela, musi powiedzieć swojemu bratu, że jego Anna uratowała Marroka kilkoma piosenkami zamiast czekać lata jak to zajęło Samuelowi.

Anna kontynuowała śpiewanie a Charles stanął na nogi – nie było to przyjemne doświadczenie, ale pazury jego ojca i kły nie były srebrne i najgorsze z nowych ran leczyły się już.

Przeszedł przez Asil, który spał głęboko i nawet nie zadrżał i podszedł do ciała. Kark czarownicy został złamany, ale czułby się lepiej gdyby spalili jej ciało na popiół. Walter nie żył, również.

Anna skończyła swoją piosenkę i powiedziała - Zrobił dla mnie.

Obejrzał się na nią.

- Czarownica rzuciła jakimś zaklęciem we mnie, a Walter dostał się między nas.

Anna była blada i miała stłuczenia wzdłuż policzka. Pomimo jedzenia, pomyślał, że straciła parę kilogramów przez ostatnie dni. Jej paznokcie były połamane, a jej prawa ręka, która łagodnie gładziła pysk jego ojca miała ciemne siniaki na knykciach jakby ona uderzyła kogoś pięścią - przypuszczalnie Mariposa.

Drżała trochę i nie mógł powiedzieć czy to było z chłodu czy ze wstrząsu, albo może obydwie te rzeczy. Właśnie wtedy gdy on myślał o tym, Bran owinał się wokół niej, dzieląc się jego ciepłem.

Walter miał rację: Charles niezbyt dobrze troszczył się o nią.

- W takim razie Walter umarł tak jak żył - powiedział swojej partnerce - Jako bohater, żołnierz, który wybrał aby ochronić to co było mu szczególnie cenne. Myślę, że gdybyś mogła zapytać go, to powiedział by że nie żałuje.

Rozdział 15

W końcu to chłód pogonił Annę. Nie mogła już dłuższej wpatrywać się w ciała: mężczyzny, który umarł za ją i kobiety, którą zabiła. Ten chłód dał jej bodziec do ruchu.

Ze znużeniem, stanęła na nogi, rozpraszając wilki, które były ułożone wokół niej i z daremnym wysiłkiem próbowały ją rozgrzewać. Popatrzyła przepaszająco na Charelesa - Wiem, że samochody są tylko parę godzin drogi stąd – możesz mi pokazać jak się tam dostać? - popatrzyła na zwłoki a następnie odwróciła się do Charelesa - Nie mogę dłużej tu zostać.

Z jękiem, Charles wstał. Bran przytrzymał go trochę gdy się zachwiał. Asil wstał razem z nimi. Tylko Bran wyglądał odpowiednio do podróży.

- Przepraszam – powiedziała - Ale nie mam tyle jedzenia by trzymać Ciepło. Inie wyobrażam sobie zmiany w wilka – Jak tylko noc zaczęła zapadać, temperatura zaczęła spadać i stawało się tylko zimniej.

Charles szedł przodem kulejąc. Bran został u jej boku tak jak to robił Walter.

Po ciemku, las powinien być upiorny, ale nie powiedziała by tego o nim, albo duchy Charles były pomocne w końcu. Znużenie utrudniło jej kroki, a jej zęby zaszczękały bezlitośnie. Podjęła nieostrożny krok i jej stopa przedarła się przez wierzchnią warstwę śniegu i wpadła w głąb śniegu, zbyt zmęczona by wycofać się.

Plecak na jej plecach zagrzechotał a następnie Asil popchnął baton pod jej rękę. Nastawiona niezbyt entuzjastycznie, rozerwała paczkę swoimi zębami i zaczęła żuć. To smakowało jak karton i ona chciała położyć się twarzą w śniegu i spać. Ale Asil warknął na nią – cichnąc natychmiast gdy Bran wydał z siebie pomruk. Charles nie zrobił jakiegokolwiek hałasu, tylko wpatrywał się w Asila żółtymi oczami. To było niebezpieczeństwo przemocy, co zmusiło ją do przelękania i przelękania aż ta okropna rzecz zniknęła całkowicie.

Walczyła ze śniegiem i próbowała trzymać się z dala od miękkiego śniegu. Nie żeby nie wpadła do zwałów jeszcze raz. Wilki miały również trudności, ale nie takie jak ona.

Gdy zobaczyła pojazdy, początkowo pomyślała, że ma halucynacje.

Samochód terenowy stał za Humvee więc poszła do niego. Szarpała się z drzwiami do czasu aż je w końcu otworzyła. Nie było miejsca dla trzech wilkołaków i dla niej, ale jakoś się upchnęli. Ona

zamknęła drzwi, zamknąć je na klucz i poczekała zdrętwiała z cierpliwością aż ciepło zacznie napelniać kabinę.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wilk siedzący na całym siedzeniu obok niej to Bran.

Charles zajął tylną kanapę, a Asil usadowił się na podłodze i zamknął oczy. Bran kłębił się na przeciwko niej i położył pysk na jej udzie. Drżał od czasu do czasu - i ona nie sądziła, że to było z zimna.

Gdy samochód już się rozgrzał, ściągnęła swoje rękawiczki i przycisnęła jej palce do nawiewu, a następnie rozwiązała buty i odłożyła je i mokre skarpety daleko. Były kałuże wody pod jej stopami ale roztopiony śnieg podgrzał się tak, że nie przejmowała się tym zbyt wiele.

Wycofanie samochodem w dół wąskiej drogi było żalosne. Droga wznosiła się i opadała, a przez większość czasu nie mogła polegać na tylnej szybie więc musiała robić to na wyczucie. Zanim dotarła w dół drogi, jej ręce drżały ze stresu, pot spływał jej po plecach - ale samochód był cały.

Kabina miała zapach ciepłego, mokrego futra; zegar na pulpicie wskazał, że jest trzecia rano, a

jej palce u nogi bolały i pulsowały ponieważ w końcu się rozgrzały.

Jechała jakieś pół godziny kiedy szary Suburban, nadjechał z naprzeciwka, migając światłami by się zatrzymała. Chociaż byli na autostradzie, zatrzymała się i opuściła szybę. Nie zobaczyła innego samochodu przez całą noc więc zdecydowała nie martwić się o ruch uliczny. Okna SUV-a były ciemne więc jedyna osoba, którą mogła zobaczyć to był Tag na siedzeniu kierowcy. Spojrzał z marsową miną na nią - Bran kazał mi zebrać paru ze stada do sprzątnia. Wszystko w porządku?

Zabrało jej chwilę, aby zdać sobie sprawę jak Bran im to powiedział. Rozejrzała się po swoich towarzyszach, z których żaden nie wyglądał dla niej dobrze. – Co

powiedział Ci Bran? - jej głos był zmęczony.

Odpowiedział jej – Są tam dwa ciała, czarownica i wilk. Mamy zebrać wszystko i zrobić sprzątanie.

Anna kiwnęła głową - Humvee jest na szczycie drogi. Zostawiliśmy kluczyki w nim.

Przypuszczam, że Asil ma też gdzieś samochód, ale nie wiem gdzie to jest.

Twarz Taga zastygła na moment jakby on słuchał czegoś, czego ona nie mogła usłyszeć. Posłał jej delikatny uśmiech - Bran wie. Zabierzemy je z powrotem. Masz wystarczająco siły by dojechać do domu?

To było dobre pytanie i nie była pewna czy kłamała gdy powiedziała mu - Tak

- W porządku - odgłos jego silnika zmienił się ponieważ wrzucił biegu, ale nie odjechał. Za to, powiedział niepewnie – Coś się zdarzyło... Poczujęm taki...

- Czarownica - powiedziała Anna stanowczo zgodnie z prawdą.

Jeśli Bran będzie chciał by każdy wiedział o jaką czarownicę chodzi i co zrobiła – powie im sam. Zamknęła swoje okno i ruszyła w dół drogi.

Martwiła się, że nie będzie mogła znaleźć domu Charlesa ale zrobiła to z łatwością.

Wyglądał przytulnie i bezpiecznie przykryty świeżym śniegiem.

Pozwoliła im wszystkim wejść do domu i skierowała się do łazienki, a następnie sypialni. Zdjęła jej bardzo brudne i mokre ubranie, wtedy wpełzła pod nakrycia w bieliznie. Zasnęła podczas gdy trzy wilki zastawiały się jak wejść do łóżka z nią.

- Czy z nią wszystko w porządku? - jego ojciec zapytał.

Charles zamknął oczy i słuchał. Wszystko, co mógł powiedzieć to, że więź między nim i jego partnerką była mocna i solidna. Nie mógł powiedzieć jeszcze co ich więź oznacza i co im przyniesie. Jego ucho, jednak powiedziało mu, że śpiewa.

- Wszystko w porządku - powiedział.

Asil uniósł swoją filiżankę herbaty w pozdrowieniu. Jego ojciec i Asil świeżo umyć pod prysznicem i ubrali się w czyste rzeczy.

Samochód podjechał drogą i zaparkował przed domem.

- Mój samochód - powiedział Asil, nie fatygując się by wstać.

Sage otworzyła drzwi bez pukania i spojrział ostrożnie. Kiedy ona zobaczyła Brana, głośno otupała śnieg i weszła do środka - Ktoś musi odśnieżyć – powiedziała do

Charlesa - Sil, przyprowadziłam twój samochód i możesz go dostać z powrotem jeśli podrzucisz mnie do domu.

- Sprzątanie skończyło się? - Bran zapytał łagodnie.

Sage kiwnęła głową - Tag mówi, że tak. Pojechał samochodem Charlesa do krematorium by opiekować się ciałami. Kazał mi powiedzieć, że wilk zostanie rozrzucony w zwykłym miejscu, z domieszką soli i popiołami czarownicy. On zda Ci relacje z pozbycia się tego w twoim domu.

- Bardzo dobrze - Bran powiedział – Dziękuję.

Podczas gdy Sage mówiła, Asil zebrał swoje naczynia i zabrał je do kuchni – Pojadę już z Sage -zrobiło głęboki wdech, wtedy uklonił się formalnie do Brana – Co do spraw, o których Ci nie powiedziałem - spodziewam się twojej wizyty w ciągu paru dni.

Sage złapała nagły oddech ale Bran wydał z siebie westchnienie - Jesteś trochę stary na kazanie. Nie mam Ci nic do powiedzenia co już powiedziałem — uniósł brew - Chyba że ty masz jeszcze jakąś czarownicę, co może stanowić zagrożenie dla stada? Nie? Więc pójdź do domu i trochę odpocznij, stary przyjacielu - wypił łyk herbaty, a następnie powiedział - Mam nadzieję, że to oznacza, że już przestaniesz prosić mnie bym Cię zabił. Dostaję od tego niestrawności.

Asil uśmiechnął się - Podejrzewam, że będę kontynuował przyprawianie Cię o niestrawność - ale prawdopodobnie nie z tego powodu. Przy najmniej nie w tej chwili - odwrócił się do Charlesa i udzielił mu takiego samego formalnego ukłonu – dziękuje za Twoja pomoc.

Charles przechylił swoją głowę w kierunku łazienki gdzie było słycać prysznic. – To Anna zabiła czarownicę.

Uśmiech Asil stał się chytry – Musze w takim razie podziękować jej jak należy.

Charles wpatrywał się lekko w jego oczy – Właśnie to zrobiłeś.

Asil odrzucił do tyłu swoją głowę i zaśmiał się. Zabrał Sage i odprowadził ją na zewnątrz,

przechodząc boso po śniegu bez grymasu.

Po tym jak samochód odjechał, Bran powiedział – Wciąż będziesz miał trudności z

tym jednym - ale on nie będzie już miał tego na myśli. Myślę ja również pójdę do domu. Leah będzie się niepokoiła.

Charles zlekceważył Asila — był bardziej zmartwiony innymi sprawami. - Jesteś pewny? Jesteś

mile widziany tutaj. Możesz zostać tu przez chwilę - nigdy nie zapomni tego potwora, który czaił się pod wyrozumiałą fasadą jego ojca.

Jego ojciec uśmiechnął się - Ze mną wszystko w porządku. Opiekuj się swoją partnerką - i powiadom mnie kiedy będziesz chciał to zrobić oficjalnie. Chciałbym ją przyjąć do stada jak najszybciej. W tym tygodniu jest pełnia.

- Ta pełnia będzie dobra - Charles założył ręce na swoją klatkę piersiową i przechylił głowę - Ale ty musisz być strasznie zmęczonym jeśli myślisz, że możesz kłamać mi w ten sposób.

Bran, które znajdował się w pół drogi do drzwi odwrócił się. Tym razem uśmiech zapalił jego oczy - Nie martw się zbyt wiele. Wszystko będzie w porządku. Tak lepiej?

To była prawda.

- Jeśli będziesz miał kłopoty, zadzwoń do mnie to zabiorę Annę i przyjadę.

Bran kiwnął głową i wyszedł, zostawiając Charlesa martwiącego się. Dopiero kiedy Anna, ciepła i wilgotna po prysznicu, weszła do pokoju, jego troska o Brana trochę przycichła.

- Crep, strep, venefica est mortus - powiedziała mu.

- Co to znaczy? - zapytał ją.

- Ding, dong, czarownica nie żyje - wyjaśniła, siadając obok niego – I dobry człowiek też. Świętujemy czy oplakujemy?

- To zawsze jest pytanie - powiedział jej.

Wyciągnęła swoje palce na stole – On był dobry, wiesz? Zasłużył na szczęśliwe zakończenie.

Przykrył jej palce swoimi, szukając dobrych słów, ale nie znalazł ich.

Po chwili, oparła swoje czoło o jego ramię - Mogłeś umrzeć.

- Tak.

- Ja również.

- Tak.

- Myślę, że wezmę szczęśliwe zakończenie, które dał nam i to ma tylko znaczenia – objęła go ramionami za szyję – Kocham Cię.

Obrócił się i pociągnął ją na swoje kolana. Jego ramiona drżały i był bardzo ostrożny aby nie trzymać ją w ramionach tak mocno by wyrządzić jej krzywdę – Ja też Cię Kocham.

Po dłuższej chwili popatrzyła w górę na niego – Też jesteś głodny?

Bran poczuły poruszenie potwora jak tylko wyszedł z domu swojego syna. Myślał, że ma to pod kontrolą – niestety było inaczej. Było to bardzo nieprzyjemne.

Było wciąż ciemno gdy zaparkował w garażu. Spali godzinę w domu Charlesa i było jeszcze kilka godzin do świtu. Wszedł do swojego domu cicho i odprężył się na schodach. Leah nie była w swoim pokoju.

Wiedział, wcześniej zanim doszedł do swoich drzwi że spała w jego łóżku. Cicho, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

Zwinął się w kłębek na łóżku, ona trzymała się blisko poduszki. Czułość wezbrała w nim; we śnie ona wyglądała miękko i wrażliwie.

Odepchnął czułość ponieważ to było zbyt niebezpieczne. Wiedział, że jego synowie nigdy nie zrozumieją jego małżeństwa, jego połączenia się w pary. To zajęło mu kilka lat po śmierci Blue Jay Woman's znaleźć Leah, kobietę tak samolubną i głupią by mógł ją kiedykolwiek pokochać. Miłość nie była niezbędną dla więzi łączenia się w pary - akceptacja była, zaufanie było - a miłość była premią, na którą on nie mógł pozwolić sobie.

Z Blue Jay Woman stwierdził, że więź łączenia się w pary jest potrzebna Bestii – dzięki temu miał nad nią kontrolę. Ale nie mógł pozwolić sobie na tracenie każdego kogo kochał. Tak znalazł dopuszczalny kompromis w Leah.

Zdjął swoje ubranie, hałasując teraz. Leah obudziła się gdy bluza sportowa uderzyła o podłogę.

Obudziła się i starła sen z jej twarzy gdy jego spodnie podążyły za koszulą, wydeła wargi na niego i powiedziała - Jeśli myślisz, że

Zamknął jej usta swoimi, i nakarmił Bestię zapachem jej skóry i odgłosami, które robiła, gdy ją zaspokoił. Przestała sprzeciwiać się po pierwszym pocałunku. Gdy skończył z nią, ona przytuliła się blisko, drżąc trochę po wstrząsach.

A Bestia spała.

Stado pobiegło w las na wielkie polowanie jak w starych historiach.

Anna była zadowolona że nie zrobiła tego. Nie miała nic przeciw dobremu polowaniu, tak jak wilk w niej, ale wciąż mogła czuć smak ciała i krwi Brana, danych jej na scementowanie jej miejsca w jego stadzie. Posmak był słodkim i bogatym - i to martwiło Anne dużo bardziej niż jej wilka.

Charles trzymał się z tyłu stada i w końcu odłączył się od nich. Gdy byli sami zaczęli się bawić w śniegu do czasu, aż nie dała o sobie znać rana na nodze Charelesa.

Wzięli ślub w południe w małym kościele w mieście. Sage zabrała ją w podróż do Missoula przeddzień, więc nawet miała właściwą suknię. Asil zapewnił bukiet i udekorował kaplicę jego różami. Nie wiedziała, że Charles skontaktował się z jej rodziną do czasu gdy nie weszła do kaplicy a jej ojciec czekał w przejściu by poprowadzić ją do ołtarza zamiast Brana. Jej brat był drużbą razem z Samuelem.

Wygłaszała przysięgę małżeńską ze łzami płynącymi po jej twarzy. Ksiądz zatrzymał ceremonię i podał jej chusteczkę by wytarła nos, co ją rozśmieszyło.

Jej ulubiony moment był jednak po ceremonii, kiedy jej ojciec, chudy i wysoki zgarbił się i potrząsnął jego palcem w kierunku Charlesa i zagroził mu śmiercią i poćwiartowaniem jeśli on nie zaopiekuje się mną. Wszystkie wilki które słyszały - co oznaczało wszystkie wilki w pokoju – widziały śmieszny obrazek, jak Charles potulnie pochylić głowę jakby jej ojciec był Marrokiem.

Anna siadła na przeciwko Charlesowa ponieważ tkwili w drzewach, jego futro miękkie i grube było na przeciwko niej.

Zauważyła, że byli pod domem Brana i mogła zobaczyć światła wewnątrz, gdzie jej ojciec i brat wciąż byli - prawdopodobnie rozmawiając o niej. Ona miała nadzieję, że

ciesz się z jej szczęściem. Osądzając po paru ostatnich dniach, to jej nowe życie nie będzie łatwe, ale pomyślała, że da sobie radę.

Gdzieś w lasach otaczających ich, wilk wzywał swojego partnera. Anna lekko ugryzła nos Charlesa i zaczęła uciekać.

KONIEC.....